„Ta powieść to kopalnie sekretów.
A. Cleeves prowadziła mnie od jednego do kolejnego.
Była to kręta i niezwykle pasjonująca droga. Bardzo polecam”.

AGNIESZKA PIETRZYK

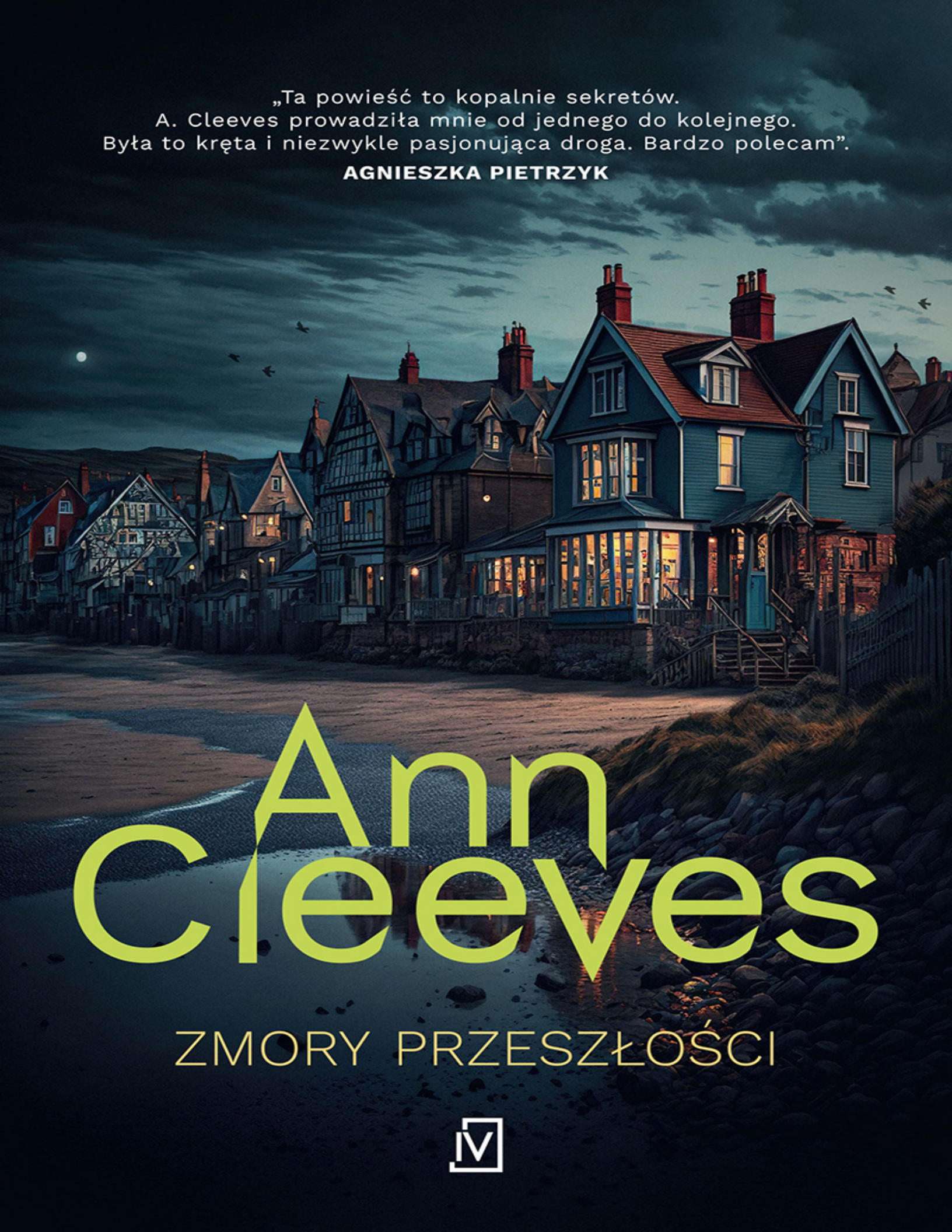

Ann Cleeves

ZMORY PRZESZŁOŚCI

Ann Cleeves

ZMORY PRZESZŁOŚCI

Przełożyli
Piotr Grzegorzewski
i Marcin Wróbel

CZWARTA STRONA

Tytuł oryginału: *Burial of Ghosts*

Copyright © Ann Cleeves 2003
Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023
Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Redaktor prowadzący: Bogumił Twardowski, Mateusz Witczak
Marketing i promocja: Karolina Guzik
Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Marta Akuszewska, Joanna Pawłowska
Skład: Stanisław Tuchołka | panbook.pl
Projekt okładki i stron tytułowych: Pola i Daniel Rusiłowiczowie
Zdjęcie na okładce: RobertEm © Unsplash

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

ISBN 978-83-67551-30-4

Wydawnictwo Poznańskie Sp. z o.o.
ul. Fredry 8, 61-701 Poznań
tel. 61 853-99-10
redakcja@wydawnictwopoznanskie.pl
www.wydawnictwopoznanskie.pl

Konwersja: eLitera s.c.

Spis treści

Strona redakcyjna

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty
Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy

Prolog

W swoich koszmarach widzę mnóstwo noży, ostrzy i krwi. Nie wpadam do dziur ani nie uciekam opustoszałymi ulicami. I chociaż zwykle moje sny są czarno-białe, krew jest intensywnie czerwona, lśniąca i zdecydowanie odstaje od innych scen, które są pozbawione wyrazu i nudne. Najgorsze, że kiedy się budzę, uświadamiam sobie, że to wcale nie był sen.

Jestem w Blyth, akurat w dzień targowy, i robię zakupy dla Jess. Ma ulubiony stragan, na którym zwykle kupuje owoce i warzywa. Zna właściciela, dzięki czemu zawsze daje jej rabat. Jest późny ranek i panuje duży ruch. Niedługo Gwiazdka i wszyscy opętani są szaleństwem zakupowym, kupują nawet ostatnie badziewie, inaczej wydaje im się, że nie są przygotowani do świąt. Dzień jest mglisty, dżdżysty i chłodny. Ostry wiatr smaga skórę. Jednak nie do krwi. Nie tak, jak nożyczki, które kupuję w sklepie sieci Woolworths. Proszę sprzedawczynię, by wyjęła je z plastikowego opakowania, bo chcę sprawdzić ich ostrość. Przejeżdżam ostrzem po kciuku i na palcu pojawia się cienka czerwona linia, a po chwili malutkie, idealnie okrągłe, czerwone krople, niczym klejnociki. Przy kasie mam trudności z wyjęciem pieniędzy – nie z powodu ranki, która już się zasklepia, ale dlatego, że mam zlodowaciałe ręce.

Po wyjściu z Woolworths wracam na targ, by odebrać warzywa dla Jess. Zatrzymuję się na kilka minut, chcąc przejrzeć kasety i płyty kompaktowe i pogadać z podstarzałym punkowcem, który je oferuje, a potem przystaję przy stoisku ze słodyczami i kupuję lody kokosowe. Mam ogromną ochotę na słodycze. Oczywiście sprzedaje się je tutaj na funty i uncje. Do Blyth nie zawitały jeszcze kilogramy. Nagle dostrzegam idącego w moim kierunku chłopaka z plikiem egzemplarzy „Big Issue". Ma na sobie spodnie bojówki i glany, naprawdę drogie glany, nie jakieś podróbki. Kręcę się wokół niego,

starając się nie tracić go z oczu. Dlaczego to robię? Dlatego że jego szczupła twarz wydaje mi się znajoma. Chłopak przypomina mi kogoś, kogo nie chcę pamiętać: Nicky'ego, gościa o twarzy poety. A także dlatego, że nie mam ochoty czekać na resztę. Odkąd to zwykłego gazeciarza stać na takie buty? Gość musi coś kombinować.

Jestem już prawie przy straganie z warzywami. Czuję zapach liści kapusty i cytryn. Ktoś dotyka mojego ramienia.

– „Big Issue" dla pani? – słyszę napastliwy, szyderczy głos. Gość stoi tuż za mną, tak blisko, że czuję jego oddech na karku.

Odwracam się i dźgam go nożyczkami w górną część ramienia. To twardziel z Blyth, dlatego mimo zimna narzucił na siebie tylko bluzę. Ostrze z łatwością rozcina skórę i dociera do kości. Kiedy jednak unoszę rękę, by zadać kolejne uderzenie, ktoś mnie powstrzymuje. Właściciel warzywniaka rozpoznaje mnie i zaczyna krzyczeć. Wokół zbiera się tłum. Teraz już wszyscy krzyczą. Gazeciarz wypuszcza z rąk naręcze „Big Issue". Krew plami jego szarą bluzę i w zwolnionym tempie kapie na zadrukowany papier. Po czerni i bieli rozlewa się czerwień. Niezłe, co?

Rozdział pierwszy

W Maroku nic mi się nie śniło.

W południe robiło się już gorąco. Był dopiero kwiecień, ale przez całą zimę nie spadła ani jedna kropla deszczu i koryta rzek wyschły. Inna sprawa, że trudno w to uwierzyć akurat tutaj, gdzie nawadniano pola i zdążyły się one już zazielenić. Zatamowano też jeden z górskich strumieni, a wodę puszczono drewnianymi korytami do zbiornika, skąd zasilała okoliczne poletka, palmy daktylowe oraz żywopłoty z tamaryszku, jakarandy i bugenwilli. Kwiaty eksplodowały barwami w promieniach słońca. Jedyne w swoim rodzaju doświadczenie mistyczne. Czułam się, jakbym trafiła do raju.

To naprawdę był raj, a jechałam na ośle prowadzonym przez Latifę, ośmioletnią ślicznotkę o błyszczących czarnych oczach, w podartej spódniczce i bez butów. Skierował mnie tutaj australijski turysta, którego poznałam w hotelu. „Tutaj", czyli do gaju palmowego.

– Warto zobaczyć – powiedział miłym głosem. – O ile chcesz wyjechać z miasta. Fajne widoki.

Nie wspomniał jedynie, że gaj leży na trasie wycieczek. Kiedy tu wreszcie dojechałam wypożyczonym wysłużonym renaultem (na kamienistej drodze trzęsło niemiłosiernie), na miejscu zastałam dwa autokary z Agadiru pełne niemieckich gospodyń domowych w krótkich spodenkach i kamizelkach. Po tygodniu spędzonym na plaży ich skóra miała tę samą zaskakująco różową barwę co płatki bugenwilli. Mało brakowało, a zawróciłabym i odjechała. Po prostu nie moje klimaty. Jestem podróżniczką, nie turystką. Nie znoszę tłumów. Właśnie wtedy podeszła do mnie Latifa. Ciągnęła za sobą osła.

– Przejażdżka na ośle, pani?

Jakimś szóstym zmysłem wyczuła, że jestem Brytyjką. Spojrzałam na nią przez okulary przeciwsłoneczne.

– Za ile?

Podała cenę w dirhamach. Odpowiednik jakichś trzech funtów, czyli rozbój w biały dzień.

– Dobra – odparłam. Była w szoku. Nawet turyści wiedzą, że pierwsza rzucona cena to zaproszenie do targowania się. – Ale nie chcę jechać tam, gdzie one.

Pokazałam na Niemki, które właśnie wsiadały na inne osły.

– Zabierz mnie w jakieś ciche miejsce.

– Żaden problem. One jadą w hotel. Pić coca-cola. Jeść mięso. Dużo mięsa. Tagine. Kuskus. Chleb. Jeść, jeść, jeść.

Wydęła policzki. Jak się domyślałam, udawała tłustą Niemkę. Po czym nagle przyłożyła dłoń do ust, zapewne myśląc, że przez ten przypływ szczerości straci klientkę, która w jej oczach należała do tego samego plemienia.

– Nie ma sprawy.

Ciągle patrzyła na mnie jak na wariatkę. Nie mieściło jej się w głowie, że się nie targowałam. Wysiadłam z samochodu. Kiedy wrócę, będzie rozgrzany jak piekarnik. Autokary zajęły jedyne miejsca w cieniu.

A potem Latifa zabrała mnie do raju. Poprowadziła mnie piaszczystymi ścieżkami otaczającymi malutkie poletka prosto w olśniewające światło i morze barw. Czułam się, jakbym zanurzyła się w witrażu, tyle że do wrażeń wzrokowych dochodziły jeszcze słuchowe – zewsząd dobiegał świergot ptaków i bzyczenie owadów. Stałam się częścią jakarandy w takim samym stopniu, jak wody spływające drewnianymi korytami. Co więcej, miałam wrażenie, jakby cała ta sceneria została zaaranżowana specjalnie dla mojej przyjemności. Na chwilę zatraciłam się w niej bez reszty. Z oddali słyszałam głos Latify paplającej o swojej rodzinie i szkole. Pewnie liczyła na napiwek za to, że jest taka miła. W końcu udowodniłam już, że rozdaję dirhamy lekką ręką.

Podczas drogi do miasta uznałam, że najwyższa pora wracać do domu. Pozbyłam się gniewu. A po tym dniu wszystko inne byłoby rozczarowaniem. W Tarudancie oddałam auto do wypożyczalni i kupiłam bilet na autobus do Marrakeszu. Nazajutrz miałam wyruszyć w podróż powrotną. Jednak nie spieszyłam się, dałam sobie czas na oswojenie się z tym pomysłem. Straciłam nawyk planowania.

Spacerowałam dobrze mi już znanymi ulicami. Minęłam piekarnię, w której leżały płaskie bochenki zawinięte w szary koc, i sklep z gałązkami akacji na opał, przeszłam obok targowiska, starając się unikać chudych chłopców ganiających kozy i młodych mężczyzn o łagodnych ciemnych oczach, którzy chcieli poćwiczyć ze mną angielski albo sprzedać mi dywan lub srebrną berberyjską bransoletkę, i dotarłam do najdroższego hotelu w mieście, w którym mogłyby się zatrzymać niemieckie turystki, gdyby miały trochę więcej klasy. Zjadłam kosztowną kolację na tarasie i wypiłam niemal całą butelkę wina. Potem popływałam w basenie wbudowanym w mury miasta wzniesione z czerwonego kamienia. Otaczał go ogród. Jeszcze więcej jakarandy, palm i winorośli. Pływałam aż do zmroku, ciesząc się tym, że oprócz mnie nie było tam nikogo.

Wreszcie ruszyłam do swojego hotelu. Nie był aż tak drogi, ale w przewodniku Rough Guide polecano go ze względu na położenie i stosunek jakości do ceny. Szłam wolnym krokiem, wiedząc, że to mój ostatni taki spacer. Siedzący przed kafejkami staruszkowie o surowych twarzach pili kawę. Nietoperze zanurzały się w dziurach w ścianach i z nich wylatywały. Muezini z meczetu na placu wzywali wiernych do modlitwy. W hotelowym barze czekał na mnie australijski turysta. Wyraźnie miał nadzieję na coś więcej. Postawiłam mu piwo, a potem poszłam do łóżka. Sama. Myślę, że był to dla niego potężny cios.

Autobus jechał osiem godzin. Bilet kosztował mniej niż połowa posiłku, który zjadłam poprzedniego wieczoru w hotelu. Przejechał przez płaską równinę w dolinie Wadi Sus, a potem ruszył w kierunku gór. Pozostali pasażerowie wydawali się miejscowymi, były to głównie kobiety z małymi

dziećmi jadące w odwiedziny do krewnych. Starsze kobiety były niemal całe zakryte, widziałam tylko ich ciekawskie oczy i tatuaże z henny na kostkach. Z tyłu siedziało kilku nastolatków, pewnych siebie i rozchichotanych. Początkowo myślałam, że jestem tam jedyną Europejką, ale przed samym wyjazdem do autobusu wskoczył mężczyzna. W średnim wieku, ale szczupły niczym berberyjski góral, nie miał ani grama zbędnej tkanki tłuszczowej. Musiał być blondynem, chociaż trudno to było wywnioskować z jego włosów, krótko ostrzyżonych. Zdradzały go jedynie prawie białe brwi i rzęsy. W autobusie pozostało jeszcze kilka wolnych miejsc, ale tylko obok Marokanek, które zdążyły już odwrócić od niego wzrok, chcąc, by zachował dystans. Wiedziałam więc, że podejdzie do mnie.

– Można? – zapytał z nieśmiałym uśmiechem, który sprawił, że momentalnie ubyło mu lat.

„Nie" – pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos. No bo i jak miałabym wyjaśnić, że odbyłam niemal mistyczną wędrówkę wśród palm w towarzystwie dziewczynki i osła i chciałam wrócić do niej w myślach podczas podróży przez góry Atlas?

Skinęłam i podczas gdy zajmował miejsce, myślałam o jego głosie. Chociaż wypowiedział tylko jedno słowo, z ledwo słyszalnym akcentem, udało mi się zidentyfikować jego pochodzenie: na północ od rzeki Tyne i na południe od granicy ze Szkocją. Wywodził się z moich stron. Tyle że ja oczywiście nie powinnam czynić żadnych założeń co do swojego miejsca urodzenia.

Zaczęliśmy rozmawiać.

– Lizzie Bartholomew – przedstawiłam się, wyciągając do niego rękę. Formalne powitanie, jak przystało na Angielkę zachowującą pozory, będąc z dala od ojczyzny.

– Philip – odparł.

Żadnego nazwiska, tylko imię. Czyżby miał jakieś plany związane z naszym spotkaniem i w ten sposób zabezpieczał się przed możliwymi niepożądanymi konsekwencjami? Podejrzenia potwierdziły się, gdy podał mi

rękę i ujrzałam obrączkę. Wydawała się odrobinę za luźno osadzona na palcu.

– Skąd dokładnie jesteś, Lizzie?

Wyglądało na to, że rozpoznał mój akcent.

– Z Newbiggin-by-the-Sea.

Śmieszne. Pełna nazwa miasta dodaje mu atrakcyjności – wydaje się śliczne, niby z pocztówki. Człowiek wyobraża sobie niewielką przystań, dzieci bawiące się na plaży. Ciągnęło mnie do niego. Uwielbiałam wielki kościół na cyplu, kamienne domy przy Front Street. W pewnym sensie to właśnie stamtąd pochodziłam, tam niejako powstałam. Tyle że miasto wcale nie było ładne. Newbiggin cieszyło się złą sławą. Mój towarzysz podróży musiał słyszeć opowieści o dziecięcych bandach grasujących po osiedlach komunalnych, spalonych wózkach na polach golfowych, plaży czarnej od pyłu węglowego. Wątpiłam, by kiedykolwiek tam był.

Uniósł brwi.

– Luksusowy kurort, co?

Nie chciał być okrutny. Był po prostu ciekawy, to wszystko. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem.

– A ty? – zapytałam.

– Kiedyś mieszkałem w Newcastle. Ale potem przeprowadziłem się na wybrzeże.

Nadal enigmatyczny.

– Daleko cię wywiało – stwierdziłam. – Urlop?

– Spełnienie marzenia – odparł śmiertelnie poważnie.

– Jakiego?

– O trekkingu w górach Atlas. W dzieciństwie zobaczyłem je na zdjęciu w książce do geografii. Z jakiegoś powodu podziałało na moją wyobraźnię. Chyba chodziło o egzotykę. Widoki trochę różniły się od tych w Heaton.

Heaton to przedmieście Newcastle. Żaden powód do dumy. Jeśli sądzić z tonu jego głosu, cieszył się, że się stamtąd wyrwał.

– Jedziesz autobusem – zauważyłam. – Trudno uznać to za trekking.

Jego usta powoli rozciągnęły się w uśmiechu. Wszystko robił niespiesznie i rozważnie. Pomyślałam, że może być niezłym kochankiem. Cierpliwym. Zastanawiałam się, co zamierza robić w Marrakeszu. Jessie zawsze twierdziła, że jestem bezwstydna.

– Akurat dzisiaj jadę autobusem – przyznał. – Ale przez trzy tygodnie chodziłem po górach z miejscowymi przewodnikami. Wróciłem na kilka dni, żeby odpocząć w porządnym hotelu.

To by tłumaczyło jego wysportowaną sylwetkę.

– Niech zgadnę: Palais Salaam?

Skinął głową.

– Byłam w nim wczoraj wieczorem.

– Wiem – powiedział. – Widziałem, jak pływałaś.

– Podróżujesz sam?

– Ach... – Odchylił się na siedzeniu i przymknął oczy. – Moja żona to święta kobieta. Niczego mi nie odmawia.

Czekałam na dalszy ciąg, ale zapadł w sen. Przespał pierwszą godzinę podróży. Jego oddech był regularny i płytki. Nie budził się nawet wtedy, gdy zatrzymywaliśmy się na hałaśliwych placach, by pasażerowie mogli wysiąść i wsiąść. Patrzyłam przez okno najpierw na niekończące się sady cytrusowe otoczone jaskrawopomarańczowymi murami, a potem na zagajniki akacjowe i kozy pasące się na gałęziach drzew. Gdy autobus zaczął piąć się po zboczu, mój współpasażer przebudził się nagle i ciągnął dalej pogawędkę, zupełnie jakby nigdy nie przerwał jej drzemką.

– A co ciebie sprowadziło do Maroka, Lizzie?

Wymamrotałam, że potrzebowałam przerwy.

– Wiesz, czasami sprawy się komplikują.

– O jakich komplikacjach mowa w twoim przypadku?

– Długo by opowiadać.

– Przed nami bardzo długa podróż.

Opowiedziałam mu więc historię swojego życia. Nie całą, ale jej okrojoną wersję, którą wykorzystywałam do zrobienia wrażenia na nowych znajomych, wzbudzenia współczucia, wytłumaczenia wyboru ścieżki kariery. Wydawało mi się, że połknął haczyk.

– Większą część dzieciństwa spędziłam w domu dziecka. A właściwie w wielu domach dziecka.

– Myślałem, że raczej próbuje się znaleźć dziecku rodzinę zastępczą.

– W moim przypadku też próbowano. Tyle że niezbyt usilnie. Poza tym byłam trudnym dzieckiem… Niektóre ośrodki były fajne. Inne okropne. Jednak nawet w tych fajnych pracownicy trzymali się na dystans. Pewnie inaczej by zwariowali. Kiedy jest się dzieckiem, nie rozumie się takich rzeczy. Od czasu do czasu pojawiał się ktoś, kogo naprawdę zaczynałam lubić, jednak zawsze albo przenoszono jego, albo mnie. Pierwszego dnia w kolejnej szkole inni się ze mnie śmiali, bo niezależnie od starań personelu my, dzieci z bidula, wyglądałyśmy dziwnie. Ubrania nigdy do końca na nas nie pasowały, a na szkolnych przedstawieniach nie pojawiali się nasi rodzice.

Zareagował dokładnie tak, jak chciałam. Powinnam pomyśleć o karierze aktorskiej. W jego oczach zalśniły łzy.

– Musiało być ci ciężko – powiedział.

– Tak – potwierdziłam z lekką kpiną. – Ciężko.

Co mógł o tym wiedzieć?

– Odeszłam, kiedy miałam szesnaście lat. A raczej mnie wyrzucili. Nie przepadali za mną. Byłam pyskata. I kłótliwa. Podburzałam inne dzieciaki. No i za dużo piłam. O wiele za dużo. Znaleźli mi miejsce w schronisku w Newbiggin, takim hotelu dla nieudaczników, ćpunów i uczniów wyrzuconych ze szkół. Raz w tygodniu przychodziła pracownica socjalna, żeby sprawdzić, czy wszystko u mnie gra. Nienawidziłam jej. Za każdym razem, gdy proponowałam jej herbatę, odmawiała, twierdząc, że dopiero co piła. Bała się, że coś ode mnie podłapie.

– I co, wszystko u ciebie grało?

– Było mi świetnie.

Opowiedziałam mu o Jess, właścicielce schroniska.

– Nikt jej nie płacił za bycie dla mnie miłą czy dbanie o mój stan psychiczny, a jedynie za pranie pościeli i robienie śniadań. Więc kiedy była miła, to się naprawdę liczyło.

Jess pracowała jako kucharka w podstawówce. Ciotka zostawiła jej w spadku wielki kamienny dom z widokiem na morze. Był dla niej za duży, ale nie udało się go sprzedać. Dlatego postanowiła rozkręcić tam biznes.

Początkowo liczyła na szacownych gości – obserwatorów ptaków, którzy pojawiali się jesienią, biznesmenów, studentów, reporterów – ale skończyło się na nas. Jeśli tylko miała miejsce, przyjmowała każdego. Byliśmy niczym przedszkolaki, którym opatrywała zranione kolana i łokcie. Podchodziła do nas z uczuciem, na które nie zasługiwaliśmy.

– To Jess namówiła mnie do podejścia do egzaminów maturalnych.

Była uparta, tak tęga, że – jak to mówią – łatwiej było ją przeskoczyć niż obejść, ubierała się zwykle w łachy z lumpeksu: spodnie dresowe i męskie koszule w kratkę. Pewnego dnia przeszła samą siebie. Zaciągnęła mnie na dzień otwarty w college'u i podeszła ze mną do biurka, przy którym zapisywano chętnych.

– Na co masz ochotę, moja piękna? – zapytała.

Wybrałam angielski, ponieważ spodobał mi się nauczyciel, ponury facet z opadającymi powiekami i ogoloną na łyso głową, paradujący w skórzanej kurtce, a także psychologię, bo Jessie uważała, że może być ciekawa. Dodałam do tego socjologię, bo trzeba było wybrać trzy przedmioty. Nie można się było dostać na uniwerek, jeśli nie miało się trzech rozszerzeń. Żaden z lokatorów Jess nie studiował. Miałam być pierwsza.

– Zrobiłam to dla jaj. Miałam ją za wariatkę.

– Oczywiście dostałaś się – powiedział Philip. – I to bez trudu.

Nie odzywał się, gdy opowiadałam o czasie spędzonym u Jess, ale słuchał, i to uważnie, a nie że jednym uchem coś wpuścił, a drugim wypuścił.

– Dostałam dwie piątki i czwórkę.

Uśmiechnęłam się, wspominając minę Jess, gdy pomachałam jej przed nosem cienką karteczką z wynikami.

– Tylko pięciu punktów zabrakło mi do piątki z socjologii.

Philip również się uśmiechnął, jakby podzielał moją radość. Pomyślałam jednak, że powinnam być bardziej opanowana. Prawdopodobnie on i wszyscy jego przyjaciele mieli na maturze same piątki.

– Jakie studia ostatecznie skończyłaś? – zapytał.

– Zrobiłam dyplom z pracy socjalnej.

– No tak, oczywiście.

– Chciałam pomagać dzieciakom takim jak ja. – Przerwałam na chwilę. – Żałosne, co?

Nie zaprzeczył, tylko znowu się uśmiechnął.

– Co robiłaś po studiach?

– Zamierzałam pracować w domu opieki. Ostatecznie wylądowałam w ośrodku szkolno-wychowawczym.

– Takim dla młodocianych przestępców?

– Głównie. Ale też dla zaburzonych dzieci. Takich, które mogły wyrządzić krzywdę sobie lub innym.

Spodziewałam się kolejnego żartobliwego komentarza, ale tym razem nic nie powiedział.

– Uwielbiałam tę robotę. Każdy dzień był inny i wiązał się z nowym wyzwaniem. Myślałam, że udaje mi się do nich dotrzeć. Że budujemy jakąś relację.

– Ale?

– Nie było żadnego „ale". Po prostu to ciężka praca. Musiałam odpocząć. Podróż do Maroka wydała mi się niezłym pomysłem.

Wiedział, że to nie wszystko, ale nie naciskał, nawet wtedy, gdy zaczęłam się trząść. W autobusie było blisko czterdzieści stopni, jednak ja nagle zaczęłam cała drżeć. Philip otoczył mnie ramieniem i przytulił. Siedząca

przed nami kobieta odwróciła się i spojrzała przez szparę w swojej zasłonie. Jej oczy błyszczały z ciekawości i rozbawienia.

Rozdział drugi

Tego ranka w autobusie Philip usłyszał moją historię, autoryzowaną biografię Lizzie Bartholomew. Nie opowiedziałam mu wszystkiego. Na przykład pominęłam dziecięce wybryki, które naprawdę dały się we znaki władzom, sprawy sądowe, kradzieże. A to dlatego, że mimo całej sympatii do mnie byłby po stronie tamtych. Znałam takich facetów jak on. Zawsze na czas płacił podatki. Głosował w wyborach. Pisał do gazet, skarżąc się na wzrost przestępczości, śmieci na ulicy i psie kupy. Był do bólu porządny i godny szacunku.

Lizzie Bartholomew jest fikcją, która nie została stworzona przeze mnie, ale dla mnie. Nie istniałabym, gdyby nie wyobraźnia i szybkie działanie dwóch pań w średnim wieku, które na mnie wpadły. Dosłownie wpadły. Spacerowały ze swoim psem po cyplu w Newbiggin. Działo się to 30 listopada, o szóstej wieczorem, gdy było już prawie ciemno. Mgła skryła boje w zatoce i kobiety wybrały drogę przez cmentarz, ponieważ uznały ją za bezpieczniejszą.

Pies szedł przed nimi, więc kiedy twierdziłam, że na mnie wpadły, nieco mijałam się z prawdą. Często przesadzam dla efektu, taka już jestem. Dobra opowieść zawsze liczy się dla mnie bardziej niż prawda. W rzeczywistości to nie kobiety na mnie wpadły, ale suka rasy collie.

Leżałam w kruchcie kościoła z widokiem na morze, zawinięta w koc w kratę. Jak dowiedziałam się później, miałam wtedy jakiś tydzień.

Zaapelowano do mojej matki, by się zgłosiła, ale nikt się nie zdziwił, gdy te apele pozostały bez odpowiedzi. Miałam czarne włosy i oliwkową skórę, która zszarzała z powodu żółtaczki. Niezbyt ładne dziecko. Od razu zaczęto podejrzewać, że jestem Romką, ponieważ Romowie, ze swoimi wy-

mizerowanymi chabetami i zdezelowanymi wozami, obozowali właśnie na wybrzeżu w Lynemouth. Stanowili prawo sami dla siebie. Miejscowi wierzyli, że zjadają dzieci. Nic zatem dziwnego, że porzucili mnie w kruchcie kościoła. Jakiś czas później policjanci i pielęgniarka środowiskowa pojechali z nimi porozmawiać. Wyobraźcie sobie tę scenę: zwierzęta, zaniedbane dzieci, ogień palący się w beczce po oleju. Rzecz jasna Romowie nie chcieli z nimi gadać. Bo i dlaczego mieliby rozmawiać z obcymi? Ja na ich miejscu też siedziałabym cicho. Jeśli nawet wśród nich znajdowała się młoda kobieta, która jakiś czas temu była w ciąży, nikt nic nie mówił. Tabor wciąż się zmieniał. To nie była stała grupa.

Nie wiem, czy zrobiono coś jeszcze, by odnaleźć moją matkę. W miejscowej gazecie ukazał się artykuł. Czytałam go. Jego główną tezą było, że zostałam porzucona przez Cyganów i że lepiej mi będzie bez rodziny niż z TAKĄ rodziną. Cudem udało mi się tego uniknąć. Zabrano mnie do szpitala w Ashington, a potem zajęła się mną opieka społeczna.

Musiano mnie jakoś nazwać. Nazwisko Bartholomew pochodziło od nazwy kościoła, w którym mnie znaleziono. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Było solidne i zachwycające, jak sam budynek. Gorzej z Lizzie. Nie Elizabeth, nawet w akcie urodzenia mam wpisane Lizzie. Wolałabym Elizabeth, bo imię Lizzie pochodziło od imienia psa.

Ktoś powinien był mnie adoptować. Taki był plan. Krótki pobyt w rodzinie zastępczej, a potem – jeśli nie znajdą się moi rodzice – adopcja. Tyle że się nie udało, a ilekroć pytałam dlaczego, nikt nie umiał mi odpowiedzieć, nawet wtedy, gdy wpadłam do gabinetu i zażądałam wglądu do swoich akt. Podejrzewam, że winna była mieszanka lenistwa, uprzedzeń i niekompetencji. Żadnemu z pracowników socjalnych na tym nie zależało. Potencjalnych rodziców zniechęcał mój dziki wygląd – mimo upływu lat wciąż wyglądałam nieco egzotycznie – i historia mojego życia. Zapewne wydawało im się, że dziecko, w którego żyłach płynie romska krew, będzie nie do okiełznania. Naprawdę wyobrażali sobie, że będę rzucać klątwy na ich koty i sprzedawać gałązki wrzosu w progach domów sąsiadów?

Domy dziecka były w dużej mierze takie, jak opisywałam Philipowi. W moim umyśle zlały się w niewyraźną plamę. Jeśli nie liczyć okropnego przytułku prowadzonego przez zakonnice, były na ogół dosyć wygodne, tylko niewyobrażalnie nudne. Ich pracowników można podzielić na dwie grupy: albo byli gorliwymi młodymi wilczkami piszącymi raporty i czekającymi na awans, albo niewiele robiącymi kobietami w średnim wieku, które godzinami oglądały telewizję, twierdząc przy tym, że są straszliwie zapracowane. Może jestem niesprawiedliwa i pamięć mnie zawodzi, ale naprawdę nie pamiętam, by ktokolwiek spędzał z nami czas. Gdy wracałam ze szkoły, nikt nie wysłuchiwał moich drobnych żalów, choć zawsze miałam ich mnóstwo. W telewizji widziałam rodziny, które jadły razem posiłki, grały w gry planszowe i dużo się śmiały. Myślałam, że wszyscy tak żyją, tylko nie my. Oczywiście teraz już wiem, że tak nie jest. Chcę po prostu powiedzieć, że chociaż w budynku byli dorośli, nie zajmowali się nami, tylko robili co innego. Coś ważniejszego. Nie cieszyło ich nasze towarzystwo. Nie mieliśmy dla nich znaczenia.

Tak sobie w każdym razie tłumaczę swoje zachowanie. To moja wymówka. Przynajmniej w tamtym czasie. Moją agresję nazywano próbą zwrócenia na siebie uwagi. I nią właśnie była. Dopiero ostatnio wszystko zaczęło się wydawać o wiele bardziej skomplikowane.

Autobus zatrzymał się na szczycie przełęczy Tizi-n-Test, koło przydrożnego baru, żeby kierowca mógł zjeść lunch. Wysiedliśmy, żeby rozprostować nogi i pozachwycać się widokami. Były oszałamiające. Spoglądaliśmy w dół na śnieg i szybujące sępy. Philip zszedł z drogi na wąską ścieżkę. Przykucnął, by przyjrzeć się z bliska krzakom, po czym zawołał, żebym podeszła.

– To kapary – wyjaśnił. – Mają zastosowanie w kuchni.

Tylko tyle pamiętam, ale z pewnością nazwałby wszystkie rośliny i drzewa, gdybym dała mu szansę. Okazała jakiekolwiek zainteresowanie.

Pochłaniałoby go to godzinami. Wyczuł jednak, że myślami bawię gdzie indziej.

– Głodna? – zapytał.

– Mhm.

W takim nastroju zawsze byłam głodna.

Kiedy wracaliśmy do baru, spokój zakłócił ryk przejeżdżającego auta. Okazało się, że nieopodal przebiega trasa hiszpańskiego wyścigu samochodowego. Właściwie był to nie tyle wyścig, ile jazda na czas. Niekiedy przejeżdżało jakieś auto, a mężczyźni ze stoperami machali rękami i krzyczeli do siebie. Dla mnie prędkość i hałas były ekscytujące, jednak Philip się wściekł.

– Wszystko zniszczyli. Nasz ostatni przystanek w górach, a tu takie rzeczy. Jak mogli?

Myślę, że gdyby był sam, stawiłby czoła głośnym Hiszpanom, wszczął by awanturę. Pomyślałam, że jest przyzwyczajony do tego, by radzić sobie w takich sytuacjach.

– To nic takiego – powiedziałam. – Wrócisz tu jeszcze. Są inne miejsca.

– Może i tak.

Wszedł do baru i po jakimś czasie wrócił z tacą. Ujrzałam na niej talerz z omletem, bochenek płaskiego, słodkiego chleba, miskę sałaty i dwie puszki coli. Położył przede mną na drewnianym stole piknikowym talerz, wytarł nóż i widelec papierową serwetką, po czym otworzył jedną z puszek i upił łyk.

– A ty nie będziesz nic jadł? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Za gorąco.

Wyjął z torby lornetkę i zaczął obserwować krążące w dolinie sępy. Od czasu do czasu krzywił się, gdy akurat przejeżdżał samochód. W pewnej chwili pokazał mi rodzinę dzików, matkę i cztery warchlaki, przemykającą przez zarośla. Gdy oddałam mu lornetkę i wróciłam do jedzenia, zapytał:

– Co zamierzasz robić w Marrakeszu, Lizzie?

Spojrzałam na niego znad posiłku, spodziewając się, że znów będzie się uśmiechał, on jednak wpatrywał się we mnie z napięciem, czekając na odpowiedź.

– To zależy – odparłam.

– Od czego?

– Od ciebie.

Skinął głową z zadowoleniem. Nalegałam, by oddać mu pieniądze za lunch. Szczyciłam się tym, że nikt nigdy nie płacił mi za seks.

Rozdział trzeci

Nie opowiedziałam Philipowi również o kilku innych sprawach, z których nie byłam dumna. Na przykład o kradzieżach i sprawie sądowej. Pewnie by zrozumiał. Był miłym człowiekiem. Machnąłby na to ręką. Może nawet by się roześmiał. Chciałabym go rozśmieszyć. A jednak obdarzyłam go tylko oficjalną historią swojego życia. Ocenzurowaną wersją, którą raczyłam też innych. Jesteśmy właścicielami swojej przeszłości, prawda? Możemy robić z nią, co nam się żywnie podoba. Wolałam nie opowiadać mu o pobycie w Blyth. Nie lubiłam tego okresu swojego życia i z pewnością nie wiązało się z nim zbyt wiele zabawnych wydarzeń. Nic, co rozśmieszyłoby tak miłego człowieka jak Philip.

Po raz pierwszy uciekłam z bidula, gdy miałam czternaście lat. Zatrzymałam się u Katie Bell. Wyszła z domu dziecka rok wcześniej, ale nie do końca sobie radziła. Nigdy nie była typem wojowniczki. Wpadła w panikę, gdy stanęłam przed jej drzwiami, ale tylko dlatego, że nie chciała zadzierać z opieką społeczną. Po jakimś czasie mnie wpuściła i pozwoliła przekimać na podłodze.

Mieszkanie było w porządku. Katie mogła o nie trochę bardziej zadbać, ale nie obchodziło jej nic poza jej chłopakiem Dannym i towarem, który przywoził. Danny za mną nie przepadał. Nazywał mnie świrniętym, ponurym krówskiem. Gdy tam był, starałam się schodzić mu z drogi i zwykle przenosiłam się do kogoś innego. W końcu zamknęli go za dilerkę i Katie znów mogła się cieszyć moim towarzystwem.

Było fajnie. Zupełnie jakbyśmy bawiły się w dom. Ze swoich wypraw łupieżczych oprócz żarcia i wódy przynosiłam kołdry i poduszki. Nie miałam kasy, ale nigdy nie dilowałam ani się nie prostytuowałam. Odkąd byłam mała, nawiedzał mnie pewien sen. Niespodziewanie przyjeżdżała po mnie

matka. Po prostu pukała do drzwi i czekała, aż jej otworzę. Od razu wiedziałam, że to ona. Wyglądała zupełnie jak ja, tylko jej twarz była pełniejsza, a rysy mniej ostre. Nie chciałam, żeby odkryła, że jestem prostytutką. Może to była tylko wymówka. Może tak naprawdę po prostu bałam się nią zostać. Tak twierdziła Katie, ale ona nie była najmądrzejsza i nie zwracałam uwagi na jej słowa.

Nie ukrywałam się. W ogóle. Władze mogły mnie znaleźć, gdyby tylko chciały. Z łatwością ustalić, gdzie jestem. A gdyby nie były na tyle bystre, by to odkryć, każdy dzieciak, który pozostał w bidulu, mógł im to powiedzieć. W większość dni nawet chodziłam do szkoły. Korzystałam z tej miejscówki za każdym razem, gdy Katie zaczynała mnie wkurzać, a poza tym mogłam tam zjeść darmowy obiad. Zresztą (nigdy się do tego nie przyznałam) lubiłam szkołę. Lubiłam wstawać rano z myślą, że mam jakieś obowiązki. Przypuszczam, że potrzebowałam struktur. Rozwijałam się dzięki rutynie. Oczywiście w końcu wtłoczono mnie w machinę państwa. Zdałam maturę i skończyłam studia. Wiem o tym wszystkim.

Gdybym nie stanęła przed sądem, pozwoliliby mi koczować u Katie do szesnastego roku życia. Sama sobie byłam winna. Poszłam do supermarketu Asda, który już kiedyś obrobiłam. Rozpoznali mnie i postawili pracownika przed sklepem.

Plan, według którego działałam, był następujący: wkładam do wózka masę towarów. Podchodzę do kasy i płacę, po czym wychodzę ze sklepu. Katie już tam na mnie czeka. Przejmuje wózek i ładuje jego zawartość do taksówki. Tymczasem ja wracam z paragonem do sklepu i kupuję dokładnie takie same towary. Potem omijam kasę – Asda idealnie się do tego nadaje, bo ma mnóstwo miejsca – i idę do kawiarni na herbatę. Odczekuję trochę, po czym wracam. Pakuję zakupy do pustych toreb, które wzięłam za pierwszym razem, zupełnie jakbym po prostu zmieniała ułożenie zakupów. Jeśli ktoś mnie zatrzyma (co zresztą kiedyś się zdarzyło), pokażę paragon, żeby udowodnić, że zapłaciłam za zakupy, które mam w wózku. Oczywiście wszystkie paragony będą miały wcześniejszą godzinę, ale wyjaśnię to tym, że po skasowaniu zakupów poszłam na herbatę. Tego dnia jed-

nak zatrzymali Katie, gdy wsiadała do taksówki. Wystraszyła się i momentalnie wszystko im wyśpiewała. I tak skończyłam przed sądem. Pierwsze wykroczenie, więc dostałam wyrok w zawiasach. W końcu musiałam coś jeść, prawda? Tyle że opieka społeczna umieściła mnie z powrotem w bidulu i obiecała przed sądem, że będzie mnie lepiej pilnować.

Pewnie myślicie, że to wtedy zaczęły mnie dręczyć koszmary. Nieprawda. Zarówno u Katie, jak i w bidulu spałam jak dziecko. Nie zawsze miałam krwawe sny. Nie urodziłam się z nimi.

Do Marrakeszu dojechaliśmy późnym popołudniem. Było tam głośniej i tłoczniej niż w Tarudancie. Kiedy wysiedliśmy z autobusu, uderzyła nas kanonada dźwięków: klaksony samochodów i krzyki ludzi. Wszyscy w biegu. Zarezerwowaliśmy pokój w hotelu polecanym w Rough Guide. Podejrzewam, że Philip planował zatrzymać się gdzieś indziej – pewnie w jakiejś amerykańskiej sieciówce w rodzaju Hiltona albo Sheratona, w czymś pośrednim między północną Afryką a swoim krajem, w miejscu, gdzie mógłby przystosować się przed powrotem do żony. Nic jednak nie mówił. Zaproponowałam hotel, a on się zgodził.

W środku było chłodno. Ściany i podłogę hotelowego holu wyłożono płytkami, przez co człowiek miał uczucie, że jest na basenie. Wrażenie potęgowały dziwne cienie i refleksy. Powietrze wydawało się ciężkie niczym woda, poruszał nim powolny wentylator na suficie. Siedzieliśmy przy ławie i piliśmy gorzką czarną kawę, podczas gdy recepcjonista przygotowywał nasz pokój.

– Jesteś tego pewien? – zapytałam. Nagle nabrałam przekonania, że nigdy nie zdradził żony. Nie chciałam myśleć o sobie jako o uwodzicielce żonatych mężczyzn. Wciąż wierzyłam w wyidealizowany obraz rodzinnego życia wzięty z sitcomów, które oglądałam w domu dziecka.

– Na sto procent – odparł. – To spełnienie kolejnego marzenia.

– Jakiego marzenia?

– O byciu uwiedzionym przez młodą i piękną nieznajomą.

Mówił całkiem serio i podobało mi się to. Nie licząc tego, że przytulił mnie w autobusie, jak dotąd w ogóle mnie nie dotykał. Mimo to dałam się ponieść tej przygodzie. Wydawała się przedłużeniem doświadczenia w gaju palmowym: egzotyczna i nierealna.

Nasz pokój znajdował się na parterze. Drzwi prowadziły na dziedziniec otoczony wysokimi ścianami pokrytymi winoroślą. W oknach były okiennice, w pokoju terakota, a obok łazienka z ogromną staromodną wanną, która zapewne pamiętała czasy francuskie. Pośrodku pokoju stało niskie podwójne łóżko przykryte bawełnianą kołdrą.

Wykąpałam się i przebrałam w białą sukienkę. Kiedy wciągałam ją przez głowę, dotarło do mnie, że zachowuję się strasznie głupio. Nic nie wiedziałam o tym facecie. Mógł się okazać gwałcicielem albo seryjnym mordercą. Gdyby postanowił poderżnąć mi gardło w anonimowym hotelu w Marrakeszu, z pewnością uszłoby mu to na sucho. Być może biel sukienki oznaczała ofiarowanie, niewinność i naiwność. Jednak nie ma przyjemności bez ryzyka, a ja i tak zaufałam swojemu pierwszemu przeczuciu na jego temat.

Zjedliśmy kolację na dziedzińcu, gdzie stoły nakryto wykrochmalonymi prześcieradłami, co czyniło je podobnymi do ołtarzy. Z krzewów winorośli darły się ptaki o jaskrawych barwach. Myślałam, że Philip będzie głodny – w końcu przez cały dzień nic nie jadł – ale on ledwie coś skubnął, przesuwał widelcem jedzenie po talerzu niczym wybredne dziecko. Pomyślałam z rozczarowaniem, że pewnie jest facetem, który lubi proste posiłki złożone z kawałka mięsa i surówki. Chociaż nie wydawał mi się taki. Zostaliśmy dłużej i zamówiliśmy jeszcze kawę. Chyba oboje byliśmy onieśmieleni. Chcieliśmy odwlec w czasie chwilę, gdy znajdziemy się sami w pokoju, lecz to odraczanie gratyfikacji tylko spotęgowało podniecenie. Stało się niemal erotyczną grą. Czekałam, aż zrobi pierwszy krok. Dla niego jednak to nie była gra, ale wielkie przeżycie. To musiało się wydarzyć w jego tempie.

W końcu odsunął krzesło i wstał.

– Idziemy? – zapytał.

Ruszyłam za nim i zauważyłam, że zostawił kelnerowi absurdalnie wysoki napiwek. Pewnie z poczucia winy. Nie mógł zapłacić mnie, więc przy-

najmniej zostawił pieniądze łysemu Marokańczykowi ze śmiesznym amerykańskim akcentem.

W pokoju zamknął okiennice. Światło, głosy innych gości hotelowych i hałas miasta dalej do nas dochodziły, ale bardzo słabo. Usiadł na łóżku i ostrożnie zdjął buty i skarpetki. Były czyściutkie – widziałam, jak wyjmował je z plecaka, wyglądały wtedy jak wyprasowane. Ciekawe, czy to żona go spakowała. Stanęłam przed nim, więc kiedy uniósł wzrok, nie mógł dłużej mnie ignorować. Popatrzył mi w oczy, wziął za ręce i posadził na łóżku przy sobie.

Dotykał mnie niczym ślepiec, który rozpoznaje osoby opuszkami palców. Delikatnie badał moją twarz, szyję i ramiona. Od przejażdżki po gaju palmowym moje zmysły były pobudzone. Dzięki temu czułam teraz każde muśnięcie skóry głęboko w sobie. Czułam, jakbym wchłaniała je przez pory. Każde dotknięcie było eksplozją, niczym sorbet w ustach. Postawił mnie na podłodze i zdjął mi sukienkę przez głowę. Był cierpliwy, dokładnie tak, jak się spodziewałam, i uważny, ale dało się w tym również wyczuć determinację, która mnie zaskoczyła. Próbował nad tym zapanować, lecz w końcu skapitulował, jak mężczyzna, który przez lata nie był z kobietą. Skończyło się na wspaniałym, choć niezbyt wyszukanym numerku, który pozbawił nas tchu i pobudził do śmiechu. Pomyślałam, że jego żona musi być jedną z tych chłodnych, przepracowanych, wiecznie zmęczonych kobiet, które robią to raz w miesiącu, a i to tylko wtedy, gdy wiatr wieje w odpowiednim kierunku. Po wszystkim leżeliśmy zdyszani i spoceni w swoich ramionach.

– No i? – zapytałam, spragniona komplementów. – Czy uwiedzenie przez młodą nieznajomą sprostało oczekiwaniom?

– Zdecydowanie tak. Umrę szczęśliwy.

Przewrócił się na plecy i wpatrzył w sufit. Wyglądał jak zadowolony kocur leżący na parapecie i wygrzewający się w promieniach słońca.

– A tobie jak było? Czy to był tylko przykry obowiązek? Akt miłosierdzia okazany staremu człowiekowi?

– Było okropnie. Nie widać?

Uciekłam się do żartu, bliska już zaproponowania kolejnej randki, bo to by wszystko zepsuło. Gdyby się zgodził, skazałby nas na ukradkowe spotkania w porze lunchu i wieczorem, gdy podobno był w pracy, a to wydawało mi się plugawe i brudne. Lepiej żyć wspomnieniami.

Przewrócił się leniwie na bok i pogładził mnie po włosach.

– A co z twoimi marzeniami, Lizzie? Co teraz zamierzasz robić?

– Chyba wrócę na północ. Zawsze mogę zostać u Jess, dopóki nie stanę na nogi. Znajdę jakąś pracę.

– W opiece społecznej?

– W końcu po coś robiłam te studia.

Wiedziałam jednak, że nigdy więcej nie będę pracować z dziećmi, a już na pewno nie w ośrodku szkolno-wychowawczym. Po tym, co zaszło w Blyth, daliby mi jakąś nudną robotę, o ile w ogóle dopuściliby mnie do pracy z ludźmi. Wyobrażałam sobie siebie siedzącą przy biurku z listą spraw do załatwienia długą na jakiś kilometr, angażującą się w cudze życie, załatwiającą interesantom a to pomoc w domu, a to windę schodową. Doraźne rozwiązania, bo na stałe nigdy nie było czasu ani środków. Biuro byłoby open space'em, na ścianach wisiałyby wyblakłe plakaty ze Snoopym, a na biurkach stałyby usychające rośliny w doniczkach. Ludzie byliby rozgorączkowani i wkurzeni i oczekiwaliby, że okażę im wdzięczność za ostatnią szansę…

– To nie marzenie – zaprotestował. – Opowiedz mi o swoim marzeniu.

– Chcę pracować na własny rachunek. Robić coś, na czym mi zależy. Zmieniać świat. Dalej mieszkać na wybrzeżu. Chcę mieć pokój na poddaszu, w którym mogłabym pracować. Spadzisty dach i widok na morze.

– Widzę, że wszystko już przemyślałaś.

– Wcale nie.

Ta wizja nawiedziła mnie dopiero w tej chwili. Pomyślałam, że najwyższa pora wrócić do Jess. Byłam zwariowana, a ona ściągała mnie na ziemię.

Zaraz potem zasnęliśmy, mimo wezwania wiernych do modlitwy dobiegającego z meczetu po drugiej stronie placu, ruchu ulicznego i gwaru prze-

chodniów. Kiedy się obudziłam, jego już nie było. Zostawił liścik, w którym pisał o mnie bardzo miłe rzeczy. Zachowałam go na pamiątkę, ale nie znalazłam tam adresu ani nawet jego nazwiska.

Rozdział czwarty

Jechałam do domu niemal pustym pociągiem. Było popołudnie, szary dzień, padał deszcz ze śniegiem. Od czasu do czasu wspominałam tamtą noc w Marrakeszu i na mojej twarzy pojawiał się uśmiech, jednak żaden z moich smutnych współpasażerów go nie dostrzegł. Wypatrywałam za oknem znajomych elementów krajobrazu, które wskazywałyby, że zbliżam się do Jess. Katedra w Durham z czerwonego piaskowca. Czerwony od rdzy Anioł Północy ze skrzydłami rozpostartymi w bezwarunkowym geście powitania. Mosty nad Tyne.

Pociąg zwolnił i przejechał po moście. Poziom rzeki był wysoki. W barach i restauracjach na nabrzeżu paliły się już światła, odbijały się w wodzie. To były godziny szczytu. Widziałam pobladłe twarze, skulone ciała opatulone przed zimną pogodą, która nie miała w sobie nic z wiosny. Tęskniłam za marokańskim światłem i wmawiałam sobie, że cieszę się z powrotu.

Podróż z Newcastle do Newbiggin trwała ponad godzinę. Rozmowy, które toczyły się wokół w przegrzanym autobusie, brzmiały znajomo – przegrana Newcastle United, telenowele, pogoda. Wolnych miejsc było na tyle dużo, że mogłam postawić plecak na siedzeniu obok, dzięki czemu nikt się nie przysiadł i mnie nie zagadywał. Krople deszczu i brud zamazały szyby, więc nic nie widziałam. Zasnęłam, a kiedy się obudziłam, okazało się, że autobus jest pusty, a kierowca wychyla się ze swojego siedzenia i krzyczy do mnie:

– Koniec kursu, mała! Dalej nie jedziemy.

Przegapiłam swój przystanek, ale na szczęście dzieliło mnie od niego tylko kilkaset metrów. Wysiadłam i poczułam zapach wodorostów i błota,

a w tle ledwie wyczuwalną woń ryb. Pod moimi butami chrzęścił piasek, który wiatr nawiewał na chodnik. Zarzuciłam plecak na plecy i zaczęłam oddalać się od kościoła. Grupa nastolatków, ubranych nieadekwatnie do pogody, przebiegła obok mnie, żeby zdążyć na autobus wracający do miasta. Pokręcił się chwilę jak starzec kaszlący flegmą, po czym odjechał. W mieście zapanowała cisza.

Nie powiedziałam Jess, kiedy wracam. Nie byłyśmy rodziną. Nie miałyśmy wobec siebie zobowiązań. Nie oszukiwałam się. Opiekowała się wszystkimi wyrzuconymi ze szkoły i narkomanami, których dostarczyła jej opieka społeczna. Ja po prostu zostałam u niej dłużej niż inni, więc się do mnie przyzwyczaiła. A poza tym byłam jedną z pierwszych jej podopiecznych. Płaciłam z góry za pokój, więc trzymała go dla mnie. Musiała z czegoś żyć. Uświadomiłam sobie, że w pewnym sensie łączy nas zależność finansowa, przynajmniej z jej strony. Chciałabym myśleć, że nasza przyjaźń znaczy dla niej więcej, lecz wcale nie byłam tego pewna.

Kamienny dom, w którym mieszkała, wznosił się na końcu alejki odchodzącej od głównej ulicy. Na podwórzu otoczonym wysokim murem z zamykaną bramą stały pojemniki na śmieci. Jess rozwiesiła tam też sznur do suszenia prania. Front domu wychodził na morze i zaledwie kilka kroków dzieliło go od promenady, którą swego czasu władze miasta wytyczyły w celu urozmaicenia przestrzeni miejskiej. Od frontu rozciągał się również ogródek ze ścieżką z kamieni, kilkoma powalonymi przez wiatr krzewami i białą ławką z widokiem na przystań i kościół. To głównie tam przygotowywałam się do egzaminów końcowych na studiach. Weszłam od tyłu, obok skrzynek z pustymi butelkami po winie gotowymi do recyklingu i stosów gazet przewiązanych sznurkiem.

W kuchni paliło się światło. Zdjęłam plecak i zajrzałam przez okno. Jess stała przy starej kuchence gazowej, mieszając coś w garnku. Zgadywałam, że rosół. Momentalnie poczułam głód. Robiła wyśmienity rosół, z wieprzowiną, grochem i innymi warzywami, które akurat udało się jej tanio kupić na targu w Blyth. Do jej obowiązków należało tylko przygotowywanie śniadań, ale jeśli komuś zdarzyło się być w pobliżu wieczorem, podkarmiała go,

nawet jeśli mogła zaoferować jedynie chleb z serem albo fasolkę i grzanki. Była niska, przysadzista, z szerokimi biodrami i pokaźną pupą. Tego dnia miała na sobie dżinsy i długą jedwabną tunikę, której dotąd nie widziałam. Pewnie znów myszkowała w sklepach charytatywnych Oxfam. Na nią narzuciła zielony płócienny fartuch, który kupiłam jej, nie mogąc znieść jej okropnego nylonowego kombinezonu kucharki. Stała odwrócona do mnie plecami, ale mogłam sobie wyobrazić jej twarz ze zmarszczkami wokół oczu, które sprawiały, że wyglądała, jakby ciągle się śmiała i miała największy uśmiech w Northumberland. Włosy ścinała krótko. Jeśli wychodziła z domu, zakładała kolczyki. Dzisiaj, chociaż była w domu, z jej uszu zwisały podłużne srebrne ryby – kolejny prezent ode mnie. Ciekawe, czy wyczuła, że wrócę tego samego dnia.

Zbliżyłam się do okna, zamierzając zapukać, by ją zaskoczyć, i wtedy zobaczyłam, że nie jest sama. Przy stole stał, otwierając butelkę wina, nieznany mi mężczyzna. Pomyślałam, że to nowy lokator. W końcu od niedawna miała jeszcze jeden wolny pokój. Tuż przed moim wyjazdem ćpun o imieniu Stuart trafił za kratki za okradanie samochodów. Jess zeznawała na jego korzyść przed sądem, ale żadnemu z nas nie było go żal. Pozostałych mieszkańców też okradał, a pewnie i samą Jess, która powiedziała mi, że chyba dobrze się stało, że poszedł siedzieć, bo będzie miał szansę wyjść z nałogu. Jess jest bardzo naiwna. To właśnie w niej uwielbiam. Wszyscy to uwielbiamy. Staramy się ją chronić.

Nieznajomy miał jakieś czterdzieści kilka, może pięćdziesiąt lat. Jego głowa była prawie całkowicie łysa, grudkowata, jakby została niedbale wystrugana z drewna. Zwykle zamieszkują u nas nastolatki, ale od czasu do czasu zdarza się również ktoś starszy, często osoba, która ma za sobą długą odsiadkę i tylko z braku wolnych miejsc nie trafiła do hostelu kuratorskiego. Dla mnie to było pogrzane, ale nikt nie pytał Jess o zdanie – po prostu przysyłali takie osoby i już. Przez to mogliśmy jeść przy jednym stole z pedofilem albo szalonym nożownikiem.

– Nowy początek – mawiała Jess. – Każdy na to zasługuje.

Czasami zastanawiałam się, czy jest religijna, czy właśnie dlatego to wszystko robi. Jednak nigdy o tym nie wspominała. Z tego, co wiem, nie chodziła do kościoła. Nigdy też nie próbowała nas nawracać.

Tymczasem przybysz otworzył butelkę i postawił ją na stole. Nie miał szarej cery osoby, która długo przebywała w zamknięciu. Jego twarz wydawała się długo smagana wiatrem, jak u starszych mężczyzn z wioski, którzy całe życie pracowali na łodziach. Poza tym śmiało sobie poczynał. Stanął za Jessie, położył ręce na jej ramionach, po czym przesunął je w dół jej ciała do bioder. Ona starannie oparła drewnianą łyżkę o garnek i odwróciła się do niego, nadstawiając twarz do pocałunku.

Zrobiło mi się niedobrze. Pewnie właśnie tak czuje się nastolatek, który przyłapał swoich rodziców na uprawianiu seksu. Nie byłam gotowa na to, by się nią z kimś dzielić.

Chyba się niechcący poruszyłam albo wydałam jakiś odgłos, bo Jess spojrzała w okno i mnie zauważyła. Rozpostarła ramiona w powitalnym geście niczym Anioł Północy. Otworzyłam drzwi i weszłam do środka, ciągnąc za sobą plecak. Stanęłam w zaparowanej kuchni, skrępowana, słaba i bezbronna jak wtedy, gdy pojawiłam się tu pierwszy raz.

– Siadaj, skarbie, zasłaniasz światło.

To samo powiedziała tamtego dnia, gdy zaciągnęła mnie tutaj pracownica socjalna. Teraz mrugnęła do mnie porozumiewawczo na znak, że wciąż pamięta to nasze pierwsze spotkanie, mimo że minęło od niego tyle lat. Nie pozostawało mi nic innego, jak siąść przy stole, wypić kieliszek wina i cieszyć się widokiem nowego mężczyzny w jej życiu.

Na imię miał Ray i był hydraulikiem. Przyjechał pewnego wieczoru, by naprawić bojler, i zgadali się, że chodzili razem do szkoły. Kiedy był młody i głupi, zdążył się ożenić i rozwieść. Na szczęście nie miał dzieci. Jess zaproponowała mu coś do jedzenia, bo myślała o sobie jako o kimś w rodzaju matki dla całego świata. On z kolei zabrał ją do klubu folkowego w Cramlington, ponieważ właśnie to go interesowało: muzyka folk i warzenie piwa. Żałosny gnojek. Odtąd widywali się codziennie.

Jess opowiedziała mi to wszystko, a słowa wylewały się z niej tak szybko, że ledwo mogłam wychwycić sens. Ray nie mówił zbyt dużo. Miał na sobie grubą koszulę w kratę i brązowe sztruksowe spodnie, a do tego ciężkie buty, jakie noszą turyści, gdy akurat nie są na jakiejś górze. Trudno było go sobie wyobrazić jako młodego i głupiego, jako kogoś innego niż nudnego dziwaka lubiącego twórczość długowłosych muzyków śpiewających z palcem w uchu. Jess mogła się bardziej postarać. Ale niby dlaczego miałaby mnie słuchać?

Sześć tygodni później dostałam list.

Dużo myślałam o Philipie. Wspomnienia naszej nocy w Marrakeszu rozpraszały mnie podczas lektury. Od czasu do czasu wydawało mi się, że widziałam go na ulicy, tylko jego plecy, gdy właśnie znikał za rogiem, albo jego twarz w przejeżdżającym samochodzie. Ale to nigdy nie był on. Marzyłam o tym, by mnie znalazł, jednak wiedziałam, że ma za dużo do stracenia.

List przyszedł ostatniego dnia maja. Tego tygodnia cieszyliśmy się gorącem i słoneczną pogodą. Siedziałam na ławce w ogródku, czytając *Do latarni morskiej* Virginii Woolf. Te senne bajania pasowały do mojego nastroju. Jackie, zabawiając się w listonosza, rzuciła mi kopertę na kolana, gdy wracała do domu z resztą poczty. Nie otworzyłam jej od razu. Była gruba i kremowa. Na odwrocie wydrukowano napis SMITH I HOWDON, ADWOKACI.

Jezu, pomyślałam, pewnie ten chłopak z Blyth zrealizował groźbę, że będzie domagał się odszkodowania. Myśl, że miałabym to wszystko przeżywać raz jeszcze, na oczach mężczyzn w fikuśnych przebraniach, sprawiła, że chciało mi się wymiotować.

Drżącymi rękami otworzyłam kopertę. Skrywała jedną kremową zadrukowaną kartkę.

Szanowna Pani,

z przykrością informuję, że 27 maja po ciężkiej chorobie zmarł Pan Philip Samson. Nabożeństwo żałobne odbędzie się 3 czerwca o godzinie 12.00 w St. Bede's Church w Wintrylaw. Życzył sobie, by poinformować Panią o Jego śmierci, mając w pamięci Państwa spotkanie w Tarudancie w Maroku. Zaistniały również inne kwestie, które chciałbym przedyskutować z Panią osobiście. Jeśli to Pani odpowiada, moglibyśmy się spotkać po pogrzebie.

Z poważaniem
Stuart Howdon
adwokat

Wpatrywałam się dłuższą chwilę w tę grubą kremową kartkę, pozwalając oczom przesuwać się po słowach, chociaż do mnie nie docierały. A potem się rozpłakałam. Słońce i nadmorska bryza osuszyły łzy na moich policzkach, więc ostatecznie pozostał na nich tylko słonawy osad.

Rozdział piąty

Mniej więcej w tym samym czasie powróciły sny. Nie były to przyjemne fantazje o wpadaniu na Philipa na ulicy. Próbowałam je przywołać, jednak nie udało mi się to mimo usilnych starań. Te różnego rodzaju obrazy pozostały ze mną do dziś.

Nie przychodzą tylko w nocy. Pojawiają się nagle w dzień, kiedy jestem zraniona albo zmartwiona. Lisa, moja pielęgniarka, nazywa je retrospekcjami, ale ta nazwa sugeruje wspomnienia, a to są bardziej koszmary senne; mają zdecydowanie nierealny klimat. Nie jestem pewna, czy to, co widzę w tych retrospekcjach, naprawdę się wydarzyło. Nie ufam im.

Jeśli w scenie pojawia się nóż, natychmiast skupiam się na nim. Tak, jakbym coś filmowała. Ostrze pojawia się w zbliżeniu. Obraz jest piękny, uwodzicielski. Czasami wydaje mi się, że dźgam nożem chłopaka w Blyth, ale wiem, że to nieprawda. W Blyth to były nożyczki.

Każdy z nas ma jakieś fantazje, prawda? W pierwszych fantazjach widziałam swoją matkę przychodzącą po mnie do domu dziecka. Potem fantazjowałam o seksie. A teraz o nożach. Lisa pyta, czy myślę o tym, żeby się pociąć, ja jednak odpowiadam, że nie. W moich snach to inni ludzie się tną. Albo ja tnę ich.

Jest taka jedna retrospekcja. Znajduję się w ośrodku, w którym pracowałam po studiach. Dzieciaki są roztrzęsione i nerwowe. Od tygodni pada deszcz, a one nie mogą wyjść na dwór. Mówię więc nagle:

– Dobra, ugotujmy coś.

To będzie dla nich coś nowego, coś, co pozwoli pokonać nudę wywołaną zamknięciem.

Czy pytam kogoś o zgodę? Nie. Jestem starszym pracownikiem socjalnym na dyżurze. Kogo miałabym zapytać?

Kuchnia okazuje się pusta. Kucharka robi sobie przerwę po lunchu. Jest wczesne popołudnie, ale na dworze panuje półmrok. Wnętrze oświetlają bardzo jasne jarzeniówki. Wszystko jest tak czyste, że aż lśni. Mnóstwo stali nierdzewnej rzucającej refleksy, pośrodku ogromny stół z półką pod blatem na garnki i patelnie. Piekarnik przemysłowych rozmiarów. I noże. Schowane z tyłu szuflady, z dala od ciekawskich spojrzeń, chociaż kuchnia jest zwykle niedostępna dla dzieci.

Zbliżenie na noże. Są cztery, z żółtymi plastikowymi rączkami. Wszystkie w takim samym kształcie, ale różnych rozmiarów.

Nie wyjmuję ich z szuflady. Może i jestem naiwna, ale nie głupia. W pojemniku ze stali nierdzewnej w spiżarni znajduję mąkę i kilka torebeczek suszonych drożdży. Przystępujemy do robienia pieczywa. Wyrabiamy ciasto na stole, dzieciaki są spokojniejsze niż przez ostatnie dni. Gratuluję sobie. Naprawdę uważam, że jestem w tym dobra. Wyobrażam sobie, że za kilka lat mogłabym kierować całym oddziałem, podejmować decyzje, planować długofalowe działania.

Pokazuję dzieciom, jak formować ciasto w bułeczki, wyrabiając je pokrytymi mąką dłońmi, tak jak uczyła mnie Jess. Dobrze, że postanowiłam robić bułki, a nie bochenki. Szybciej się upieką, a to są dzieci z poważnymi problemami i łatwo się nudzą. Poza tym chcę, żeby spróbowały swoich wypieków. Gdybyśmy robili chleb, trzeba by go pokroić, a co najmniej jednemu chłopcu nie powierzyłabym noża do chleba. Jak widać, nie jestem bezmyślna ani lekkomyślna. Taki właśnie zarzut mi postawiono, jednak wmawiam sobie, że to nieprawda.

Kolejne zbliżenie na szufladę. Pozostały już tylko trzy noże.

Do Wintrylaw podwiózł mnie Ray. Jess to załatwiła.

– I tak ma robotę w tej okolicy – powiedziała, chociaż jej nie wierzyłam. – Kiedy będziesz chciała wrócić, zadzwoń do niego na komórkę.

Wziął ze sobą pogniecioną mapę agencji Ordnance Survey, ale i tak zabłądziliśmy. Kościół stał obok dużego domu, kilka kilometrów od wsi. Tak wynikało z mapy, nie wiadomo było jednak, jak tam dojechać. Miałam nawigować, ale ta plątanina linii nie miała dla mnie sensu. Nie umiałam odróżnić pieszych szlaków od lokalnych dróg. W końcu Ray zjechał na pobocze.

– Właściwie to możesz już wysiąść – powiedział. – Nie wydaje mi się, żebym mógł dotrzeć dalej. Z mapy wynika, że to gdzieś tutaj.

Widać było, że ma wyrzuty sumienia. Wiedział, że oberwie mu się od Jess za to, że nie dowiózł mnie na miejsce. Ja jednak cieszyłam się, że udało mi się uciec.

Rowy były pełne wody, a żywopłoty z głogów rozrośnięte do szalonych rozmiarów i ukwiecone. Przede mną wznosiły się dwa pokryte porostami kamienne filary. Ich krawędzie zostały wygładzone przez wiatr niczym głazy na plaży. Między filarami nie było bramy. Zarośnięta trawą ścieżka prowadziła wśród drzew, zielone liście jabłoni mieniły się srebrem, gdy poruszał nimi wiatr. Na dole rosły białe kwiaty w kształcie gwiazd i przekwitłe dzwonki, ich żywe kolory skojarzyły mi się z marokańskim dywanem. Słońce miałam za plecami, mój wydłużony cień padał na ścieżkę. Odetchnęłam i weszłam między filary.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nie mogło to być główne wejście na teren posiadłości. Żaden samochód nigdy nie przejechał tą drogą. Być może kiedyś przemierzały ją faetony, jeźdźcy na karych koniach, dzieci w wózkach ciągniętych przez osiołki, ale nie samochody. Droga skręciła i przed sobą zobaczyłam dom. Kamienna fasada lśniła w porannym słońcu. Kiedy spojrzałam z góry na dach, zobaczyłam mech rosnący w rynnach i trawę między łupkami. Przez chwilę wydawało mi się, że widzę wielkie kominy prowadzące do kominków i pieców na dole. Wyobraziłam sobie wysokie pokoje i ozdobne meble.

Za domem widać było wijącą się w oddali główną drogę i szary kościółek. Z miejsca, w którym stałam, dostrzegałam tylko jego przysadzistą wieżę,

nawę zasłaniał sosnowy zagajnik. Za nim połyskiwała linia światła – morze. Wydawało mi się, że czuję jego zapach, a także woń sosny.

Ruszyłam w kierunku kościoła, nagle ośmielona, nie przejmując się ewentualnym spotkaniem nieznajomych lub wpadnięciem na rodzinę Philipa, pewna, że byłby ze mnie dumny. Miałam na sobie białą sukienkę z Marrakeszu. Kiedy ją włożyłam, Jess zatkało.

– To chyba nie do końca to – wybąkała w końcu. – Co powiesz na tę ładną garsonkę, w której byłaś w sądzie?

Wiedziałam już, że ten nudny strój biznesowy nie nadawałby się do takiego miejsca. W drodze do kościoła musiałam minąć dom. Dotarłam na jego tyły i zobaczyłam tłum. Najpierw usłyszałam głosy, a przynajmniej dźwięki mowy. Nie byłam w stanie rozpoznać słów, odbierałam to jak miękkie, szeleszczące dźwięki na targowisku w Afryce. A potem skręciłam za róg i ich zobaczyłam, bardzo brytyjskich i ekscentrycznych. Głosy nadal były stłumione. Nie były to te głośne, skrzeczące głosy, jakie słyszałam, gdy poszłam z Jess na wystawę rolniczą. Głosy ćwiczone do tego, by być słyszane ponad ujadaniem psów gończych.

Było tam mnóstwo osób, stały z kieliszkami w dłoniach, więc znów pomyślałam o polowaniu, o ludziach czekających przed pubem na występ mistrza, ubranych w czarno-czerwone stroje. W sumie dostrzegłam tu więcej czerni niż czerwieni. Stali w niewielkich grupkach i rozmawiali. Przypuszczałam, że to sąsiedzi z wioski, którzy przyszli pożegnać zmarłego. Wiejskie tereny Northumberland wciąż mają bardzo feudalny charakter.

Od razu zgadłam, która kobieta jest wdową po Philipie. Stała z dala od innych, w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Miała intrygującą twarz. Bardzo szczupłą, wręcz chudą, asymetryczną i z krzywym nosem. To nie oznacza jednak, że brzydką. To była silna twarz, od której nie dało się oderwać wzroku. Oczy były wąskie, podłużne, kocie i bardzo ciemne. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów, która sięgała prawie do kostek, na niej obcisły szyfonowy żakiet, a na nogach spiczaste buty w stylu wiktoriańskim. Strój sprawiał wrażenie wytwornego. Nie włożyła rękawiczek, chociaż pewnie chciała. Idealne byłyby czarne, koronkowe, sięgające do łokci.

Prawdopodobnie ktoś jej powiedział, że nie będą odpowiednie, tak jak Jess powiedziała to o mojej białej sukience. Kobieta miała kręcone platynowe blond włosy niczym gwiazda filmowa z lat trzydziestych.

Jej córka również była blondynką, jednak miała włosy proste, opadające jej na plecy. Założyła niebieski słomkowy kapelusz z aksamitną wstążką, przytrzymywany cienką gumką pod brodą, granatową sukienkę z lekko bufiastymi rękawami i białe rajstopy. Nie zdążyłam dostrzec jej butów, ponieważ odwróciła się raptownie w moją stronę i pokazała mnie matce, która popatrzyła na mnie z wrogością – a w każdym razie tak mi się wydawało. Zapewne Philip zwierzył się jej ze swojego skoku w bok w Marrakeszu. Być może chciała obwinić kogoś o jego śmierć i sprowadziła mnie tutaj, żeby zrobić scenę. Ona jednak zmarszczyła brwi, jakby nie miała pojęcia, kim jestem. Zapytała o to małego chłopca, który kopał kamyki na podjeździe, wpatrując się w swoje stopy i wyraźnie usiłując się nie rozpłakać. Spojrzał w górę, zadowolony, że ktoś oderwał go od smutnych myśli, ale też mnie nie rozpoznał. Stałam na skraju tarasu, czując się niewidzialna jak duch.

Uratował mnie korpulentny mężczyzna w brokatowej kamizelce. Zamienił kilka słów z wdową, po czym ruszył w moim kierunku. Nogi miał krótkie i chodził, jakby się toczył, niczym nakręcana zabawka. Na przykład grubiutka świnka.

– Elizabeth Bartholomew? – zapytał, mierząc mnie wzrokiem. – Stuart Howdon.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Proszę mówić mi Lizzie – odparłam.

– Inaczej sobie panią wyobrażałem.

Chciałam zapytać, jak sobie mnie wyobrażał, w jaki sposób opisywał mnie Philip, lecz on ciągnął dalej:

– Powiedziałem Joannie, że jest pani moją współpracowniczką i przyszła pani złożyć wyrazy szacunku. Uznałem, że tak będzie lepiej.

– Chyba tak – przyznałam.

– Proszę trzymać się mnie.

Polecenie. Zupełnie jakbym pozostawiona sama sobie mogła wywołać jakąś katastrofę. Uśmiechnął się jeszcze raz, nieco lubieżnie, być może na skutek zdenerwowania. A może myślał, że dzięki temu wyda się atrakcyjny.

Przez podwójne drzwi na taras wyszły dziewczyny, młodsze ode mnie, w czarnych fartuszkach, na które narzuciły mniejsze białe fartuszki. Trzymały ciężkie drewniane tace i zaczęły zbierać kieliszki. Wszystko to wyglądało nad wyraz staroświecko, jak w dramacie historycznym w telewizji. Wyobraziłam sobie, że mieszkają w ponurych klitkach na poddaszu. Pan Howdon spostrzegł, że się im przyglądam.

– Firma cateringowa z Alnwick – wyjaśnił. – Ten pogrzeb kosztował Joannę krocie.

Ponownie zaczęłam się zastanawiać, czy nie wini o to mnie.

W tłumie zapanowała cisza. W naszym kierunku powoli jechał karawan. Na trumnie nie było kwiatów. Samochód zatrzymał się przed domem i utworzyliśmy nieregularny orszak żałobny z Joanną i jej dziećmi na czele. Po chwili wóz z wolna ruszył, a my podążyliśmy za nim.

Kiedyś być może kościół służył tylko tej posiadłości; teraz korzystała z niego cała wioska. W kruchcie wisiały ogłoszenia o zebraniach klubiku dla dzieci i plakat reklamujący zeszłoroczne dożynki. Mam sentyment do starych, zaniedbanych kościołów. Czyż można się dziwić? Wewnątrz ujrzałam piękny witraż, przez który przeświytywały promienie słońca. Momentalnie przypomniały mi się barwy Maroka, bugenwilli i jakarandy. Wibracje muzyki organowej przyprawiały mnie o zawroty głowy. Usiadłam na wypolerowanej ławce i zgięłam się wpół. Nie po to, by się modlić, ale by powstrzymać się przed omdleniem.

Ksiądz był siwowłosy i ledwo trzymał się na nogach. W pierwszej chwili pomyślałam, że jest pijany, ale chyba po prostu nie doszedł do siebie po udarze. Miał strasznie długie kły, przez co kojarzył mi się z wampirem. Zastanawiałam się, czy dzieci, mimo smutku, dostrzegły to podobieństwo. Miałam nadzieję, że tak i że będą o tym żartować. Wyobraziłam sobie, jak patrzą na siebie, robią głupie miny i przewracają oczami. Siedziały w pierwszym rzędzie, więc tylko ksiądz je widział, ale on się nie liczył. Pew-

nie zdążył się już przyzwyczaić do tego, że jest obiektem żartów dzieci. Wstaliśmy i zaśpiewaliśmy *Jerusalem*. Pieśń ta wydała mi się osobliwym wyborem, zważywszy na okazję. W tej części kraju było bardzo mało młynów szatana, a nawet kopalnie i fabryki położone dalej na południe przestały istnieć.

To od siwego księdza dowiedziałam się, na co umarł Philip. Już na samym początku mowy oznajmił uroczystym tonem, że na raka. No tak, oczywiście. To wyjaśniało wygląd skinheada, brak apetytu i skłonność do nagłego zapadania w sen. Myślałam, że dba o formę i ma wybredne podniebienie, a on cały czas walczył o przetrwanie. Dowiedziałam się również, że był ławnikiem i kościelnym. Tak jak podejrzewałam, przykładny członek lokalnej społeczności. Ksiądz nie wspomniał, kim był Philip z zawodu. Być może chorował od tak dawna, że nikt już nie pamiętał. Trochę tak jak ze mną.

Następna pieśń sprawiła, że wróciłam w myślach do pierwszej klasy liceum. To był ulubiony utwór pani Wallace, z którą mieliśmy religię. Wzięła mnie pod swoje skrzydła, od czasu do czasu zatrzymywała mnie po lekcjach, żeby zapytać, co słychać. Na swój sposób ją kochałam. Kiedyś zapytałam ją żartobliwym głosem: „Czy myślała pani kiedyś o opiece nad dzieckiem?". Oczywiście wiedziałam, że nie mam co liczyć na adopcję. Nie odpowiedziała, ale w jej oczach ujrzałam błysk paniki. Jej serdeczność wynikała po prostu z profesjonalizmu.

Jest coś wzruszającego we wspólnym śpiewaniu. Dołączyłam do innych. „Nie będziemy na zielonych pastwiskach po najdłuższe czasy. / Czy poprosimy o wskazanie drogi?". Czasami pan Howdon dziwnie na mnie spoglądał, zupełnie jakbym śpiewała za głośno albo fałszowała, ale nic sobie z tego nie robiłam. Jego śpiew ograniczał się do poruszania ustami, przypominał gwiazdę pop śpiewającą z playbacku w wideoklipie, więc nie miał prawa mnie krytykować.

Po skończonym nabożeństwie wyszliśmy na dwór. Joanna stała w drzwiach i ściskała ręce wychodzącym, ale zdołałam jakoś przemknąć niezauważona. Słońce strasznie przygrzewało. Może ustał wiatr, a może

tak się tylko wydawało po wyjściu z chłodnego kościoła. Cmentarz opadał w stronę lasku sosnowego i prowadziła do niego wąska furtka. Zastanawiałam się, jakim cudem zmieści się tam trumna, ale żałobnicy, którzy ją nieśli, poradzili sobie bez trudu. Było to sześciu krzepkich mężczyzn z łysymi głowami. Pomyślałam, że to może być efekt chemioterapii i że stanowią symbol nadziei, jednak usłyszałam, jak ktoś mówi, że to rugbiści z klubu w Alnwick. Niewykluczone, że gdy Philip był zdrowy, również tam grał. Weszliśmy przez furtkę za nimi i ruszyliśmy między starymi pomnikami do miejsca spoczynku Philipa. Wydawało mi się, że są tu same stare nagrobki i od lat tu nikogo nie chowano.

Dół na trumnę był już wykopany. Staliśmy wśród resztek zeszłorocznych liści aż do zakończenia ceremonii. Trwało to znacznie krócej, niż się spodziewałam, chociaż w chwili, gdy ksiądz skończył, dziura nadal nie została zasypana. Patrząc na kopiec ciemnej jak sadza ziemi, modliłam się, żeby przykryli nią trumnę. Z jakiegoś powodu te gołe deski sprawiały, że czułam niepokój. Byłam zakłopotana, jak gdyby leżało tam nieubrane ciało, i gdy tylko ksiądz przestał mówić, odwróciłam się. Spodziewałam się, że wszyscy się rozejdą. Miałam nadzieję, że w końcu dowiem się, dlaczego tu jestem. Ale nikt się nie ruszył. Wszyscy czekali, jakby wiedzieli, że coś jeszcze się wydarzy. Nastała cisza, przerywana jedynie krakaniem gawronów na drzewie w pobliżu kościoła.

Przed nami stanęła Joanna. Zaczęła mówić tak cicho, że musieliśmy nadstawiać uszu, żeby ją słyszeć, ale chyba tego właśnie chciała. Warunki głosowe pozwoliłyby ją usłyszeć aż w domu. Musiałaby się tylko postarać.

– To właśnie tutaj Philip chciał być pochowany – powiedziała ze smutnym uśmiechem. – Zawsze miał w sobie coś z poganina. W każdą niedzielę chodził do kościoła, ale nie jestem pewna, do czego się modlił. Podejrzewam, że do tego wszystkiego. – Zrobiła dramatyczny ruch ręką, obejmujący szpaler sosen i niebo. – Wyhodowaliśmy z żołędzia sadzonkę dębu. Flora i Dickon podlewali ją, gdy Philip był w rozjazdach. Chciał, żebyśmy posadzili go przy jego grobie. Proszę, pozwólcie nam się tym zająć. Wracajcie do domu. Niedługo do was dołączymy.

Przerwała na chwilę, niczym aktorka czekająca na oklaski, po czym uśmiechnęła się krzywo i wzięła dzieci za ręce. Chłopiec uścisnął niechętnie jej dłoń. Wciąż wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz. Flora patrzyła na nas czystym spojrzeniem.

Zebrani wymamrotali słowa współczucia i ruszyli powoli w kierunku furtki. W pewnej chwili obejrzałam się za siebie. Szpadel i sadzonka musiały już być przygotowane, bo Joanna kopała energicznie. Podwiązała swoją długą, obcisłą spódnicę i mocno naciskała na ostrze wiktoriańskim butem. W Maroku wyobrażałam sobie żonę Philipa zupełnie inaczej – jako zahukaną i ograniczoną. Ta kobieta odbiegała od moich wyobrażeń. Wyciągnęła szpadel i wbiła go ponownie w nieco innym miejscu. Przeciął ziemię niczym miecz.

Rozdział szósty

Szerokie drzwi na taras zostały otwarte, a w holu ustawiono długie stoły przykryte białymi obrusami i zastawione jedzeniem. Główne schody prowadziły na piętro. Można by to uznać za kuszące zaproszenie, gdyby nie to, że jeden ze stołów zastawiał drogę. W stojakach stały misterne kompozycje z białych kwiatów. Wyglądało mi to bardziej na wesele niż pogrzeb, chociaż co ja tam wiem? Nie mam krewnych, więc kto miałby mnie na nie zapraszać?

Uroczysty poczęstunek to takie wydarzenie, podczas którego trzeba w jednej ręce trzymać talerz, szklankę i serwetkę i jednocześnie prowadzić uprzejmą rozmowę. To nie jest mój ulubiony typ imprez, mimo że kelnerki znów były w natarciu i fajnie byłoby je trochę wkurzyć. Stuart Howdon gdzieś przepadł. Wyszłam na dwór i usiadłam na kamiennym stopniu. Patrząc na kościół, przysłuchiwałam się rozmowie, która toczyła się za mną. Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej o Philipie. Przecież o to właśnie chodziło, prawda? O możliwość wysłuchania wspomnień. Innych niż moje, którymi nie chciałam się dzielić.

– Widziałaś artykuł o Philipie w „Sunday Timesie"? – Głos należał do starszej, wykształconej kobiety. Uznałam, że to ciotka Joanny. – Ukazał się kilka miesięcy temu. Był już wtedy chory, ale w artykule o tym nie wspomniano. Pewnie wiedziała tylko rodzina. Tekst dotyczył ogrodu, który zaprojektował w Kornwalii. Były zdjęcia. Bardzo zielony. – Chwila milczenia. W końcu: – Nie wiem, czy byłabym z niego zadowolona. Lubię porządek w ogrodzie. Pewną powściągliwość.

– Może właśnie dlatego Joanna nigdy nie pozwoliła mu poszaleć tutaj? – Drugi głos był wesoły i należał do trochę młodszej kobiety.

– To w końcu dom Joanny – odrzekła starsza kobieta z lekką dezaprobatą – a Philip zawsze powtarzał, że lubi go takim, jaki jest. Komu potrzebny ogród, gdy ma się taki krajobraz? To by tylko osłabiło efekt.

– Myślałam, że w ogrodzie w Kornwalii też mają piękny krajobraz. – Ton głosu był złośliwy, ale starsza kobieta nie dała się sprowokować. – Poza tym chyba wszystko rozbiło się o pieniądze. Być może musiałby odmówić przyjęcia zlecenia, aby poświęcić się pracy tutaj, a nie jestem pewna, czy mogliby sobie na to pozwolić.

– Moim zdaniem dostaną teraz pieniądze z ubezpieczenia.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, do kogo należały głosy, ale kobiety zdążyły już zniknąć w tłumie.

Na taras wyszli rugbiści. Skądś wytrzasnęli puszki theakstona. Być może przywieźli je ze sobą. Mnie proponowano tylko wino. Odchylali głowy do tyłu i wlewali piwo do ust równymi strumieniami, jakby bez przełykania. Wyglądali nieco niechlujnie. Zdjęli marynarki i poluzowali krawaty.

– Gdzie Joanna? – zapytał jeden z nich. Jego puszka była już pusta. Zgniótł ją i przez chwilę się w nią wpatrywał, jakby zwalczał pokusę jej kopnięcia i przekonania się, jak daleko poleci. – Powinna już wrócić z cmentarza.

– To zasadzenie drzewa to miły gest. Uroczy – skomentował jeden z jego kolegów, po czym zamilkł, najwyraźniej zawstydzony własnym sentymentalizmem.

– Co w tym dziwnego? W końcu bardzo się kochali. – Zgniatacz puszek upił się na tyle, że nie przejmował się popadaniem w sentymentalizm. – To najlepsze małżeństwo, jakie znałem. Jo to cudowna kobieta. Philip był farciarzem…

– Do czasu, aż zachorował na raka…

– Jasne. Do tego czasu.

Otworzył kolejną puszkę i zaczął pić.

Wiem, że to egoistyczne, ale nie miałam najmniejszej ochoty słuchać o idealnym małżeństwie Philipa. Wstałam i wróciłam do domu. Też musia-

łam się napić. Właśnie próbowałam przywołać wzrokiem kelnerkę, gdy z korytarza na tyłach wyszedł Stuart Howdon. Stoły były już niemal puste, zaśmiecały je zmięte serwetki i kawałki czerstwego pieczywa. Prawnik wydawał się zdenerwowany. Ruszył w moim kierunku mechanicznym krokiem, jeszcze dziwniejszym niż wcześniej.

– Przepraszam, że musiała pani czekać. Wypadło mi coś pilnego. Czy mogę prosić jeszcze o chwilę cierpliwości? Spotkamy się za mniej więcej godzinę.

Wypowiedział to wszystko przepraszającym tonem, lecz ja miałam już dosyć tego miejsca. Chyba wyczuł moją wrogość, bo dodał:

– To dla mnie bardzo ważne. A raczej było to bardzo ważne dla Philipa.

Na jego twarzy pojawił się złośliwy uśmieszek.

Nie pozostawało mi nic innego, jak się zgodzić. Zrobiłam to tak uprzejmie, jak tylko potrafiłam.

– Dobra, to za godzinę. Pójdę na spacer.

Doszłam do wniosku, że jakoś łatwiej mi będzie wspominać Philipa w samotności. Wymknęłam się z tłumu zgromadzonego na tarasie. Nikt nie zwrócił uwagi na moje odejście. Znów poczułam się niewidzialna. Ruszyłam ścieżką w kierunku kościoła, ale zamiast do niego wejść, skręciłam na piaszczystą ścieżką. Prowadziła ona w stronę rzadkiego szpaleru sosen, a potem w kierunku wybrzeża. Usłyszałam szum morza. Niezbyt głośny, bo dzień był spokojny. Nie mogłam go zobaczyć, dopóki nie wspięłam się na jeden z piaszczystych pagórków w pasie wydm, który oddzielał drzewa od plaży. Stanęłam wśród kolczastych roślin porastających wydmy i popatrzyłam na zatokę rozciągającą się między dwoma niskimi cyplami. Akurat trwał odpływ. Na powierzchni unosiły się strzępki pływaczy, kawałki drewna i postrzępionej niebieskiej liny. Dalej widać było rozległe połacie mokrego piasku odbijającego oślepiające popołudniowe słońce i mieniącą się wodę. Plaża była pusta, ale dostrzegłam ślady stóp prowadzące do morza. Zdjęłam sandały i podążałam za nimi, aż w końcu zniknęły w grząskim piasku na brzegu, a moje palce zakryła fala.

Przede mną stał chłopiec po kolana zanurzony w wodzie. Buty miał zawieszone na szyi, tkwiły w nich skarpetki. Podwinął spodnie, ale najwidoczniej za mało i nogawki były mokre. Wydawało się, jakby unosił się w poświacie. Złapałam rąbek sukienki w jedną rękę i podeszłam do niego.

– Cześć! – powiedziałam.

Wolę chłopców od dziewczynek, łatwiej mi się z nimi dogadać. Dziewczynki lubią udawać. Przejmują się tym, co człowiek o nich pomyśli. Chłopcy są bardziej bezpośredni.

– Spierdalaj.

Odwróciłam się i zaczęłam wracać na plażę. Najwyraźniej nie tego się spodziewał. Oczekiwał raczej pełnej szoku reakcji na jego słownictwo albo wyrazów współczucia, na pewno nie natychmiastowej realizacji jego żądania.

– Zaczekaj. Ty to kto?

– Lizzie Bartholomew. A ty?

– Dickon Samson.

– Ile masz lat, Dickon?

Zawahał się i przez chwilę myślałam, że powie, że to nie moja sprawa.

– Prawie dziewięć.

Przeszył mnie uważnym spojrzeniem.

– Co ty tutaj robisz? – zapytał.

– Przyjechałam na pogrzeb twojego taty.

Puściłam sukienkę. Fale przykleiły cienką bawełnę do mojej nogi i uformowały kupki piasku obok moich stóp.

– Skąd go znasz?

– Nie znałam go za dobrze. Spotkaliśmy się tylko raz, w autobusie w Maroku.

– Tak? Mówił, że to były najlepsze wakacje w jego życiu. Kazał mi obiecać, że kiedyś tam pojadę.

– To chyba nie masz wyboru.

Z pobliskiej skały zeskoczył kormoran i zanurkował w wodzie. Gdzieś w górze, w blasku słońca, nawoływały się mewy.

– Jak daleko chciałeś popłynąć? – zapytałam. – Na Coquet? Czy na Farne Islands?

Wyspy były niewidoczne w rozedrganym z gorąca powietrzu.

– Nie jestem głupi. Nigdzie nie płynąłem. Było mi gorąco.

– Niezły sposób, żeby się ochłodzić – zgodziłam się z nim. W odpowiedzi na mój protekcjonalny ton odwrócił się do mnie plecami.

– Tata lubił morze?

– Nauczył mnie pływać.

– Tutaj?

Spojrzał na mnie i skinął głową. Po jego policzkach spływały łzy.

– W kwietniu. Było zajebiście zimno.

– Muszę już iść, jestem umówiona – powiedziałam. Na pewno nie chciał, żebym się teraz na niego gapiła. – Spróbuję jakoś wysuszyć sukienkę. Na razie.

Odwróciłam się i ruszyłam do brzegu. Słyszałam, że za mną idzie, ale się nie oglądałam. Wyżęłam sukienkę, a potem usiadłam na płaskim kamieniu i rozpostarłam ją, żeby szybciej wyschła. Kiedy słońce przesłonił cień, spojrzałam w górę. Włosy chłopca były lekko rude, a na nosie miał piegi.

– Tylko ja w klasie nie będę miał taty.

Mogłam mu powiedzieć, że i tak ma szczęście, bo ja nawet nie poznałam swojego ojca, ale nie zrobiłam tego. Zasłużył na to, by przez chwilę pożalać się nad sobą.

– Przejebane – stwierdziłam.

– Cholernie przejebane – potwierdził. Usiadł obok mnie i chwycił się za głowę. Udawałam, że tego nie zauważam, i zaczęłam rzucać kamykami w pobliską skałę. Marny ze mnie strzelec. On trafił za pierwszym razem.

– Z kim masz się spotkać?

– Z panem Howdonem.

– Po co?

– Służbowo.

To nawet mogła być prawda.

– A, no tak, pracujesz z nim, prawda?

Nie odpowiedziałam, a on chyba nie zauważył, że nie pasuje to do mojej opowieści o tym, że poznałam jego ojca w Maroku.

– Czym zajmował się twój tata?

Nie byłam głupia. Dowiedziałam się tego z podsłuchanej rozmowy, ale chciałam poznać szczegóły.

– Naprawdę nie wiesz?

Najwyraźniej nie mógł w to uwierzyć.

Pokręciłam głową.

– Miał swój program w telewizji. Co prawda tylko w BBC 2, ale zawsze…

– Nie oglądam za dużo telewizji.

– Projektował ogrody bogaczom – wyjaśnił Dickon. – Nie zajmował się kopaniem ani pieleniem. Robił tylko fajne rzeczy. Tak mi mówił. Jeździł po całym świecie. Dlatego nie było go tutaj zbyt często, dopóki nie zachorował.

Cisnął z całej siły kamieniem w skałę.

– Cieszyłem się, gdy zachorował. Przynajmniej na początku. Miał dla mnie więcej czasu. Leżał w łóżku i graliśmy w „Jengę".

Przypływ narastał. Woda wnikała w ślady stóp. Spojrzałam na zegarek.

– Czas na mnie. Pan Howdon będzie zły, jeśli się spóźnię.

– Nienawidzę go – powiedział Dickon. Tym razem cicho, nie popisując się ani nie domagając uwagi, jak poprzednio.

– Dlaczego?

– Jest okropny dla mamy.

Nie naciskałam. To w końcu nie moja sprawa. Uznałam, że sam mi powie, jeśli będzie chciał. Tyle że nie chciał.

– Pokażesz mi, którędy najszybciej wrócić do domu?

Nie odpowiedział, ale otrzepał stopy z piasku i włożył skarpetki i buty. Ruszyłam za nim ścieżką. Gdy dom był już w zasięgu wzroku, pomachał mi i zaczął biec, zbyt szybko, bym mogła za nim nadążyć.

Rozdział siódmy

Stuart Howdon czekał na mnie w domu. Tłum wyraźnie się przerzedził. W kierunku wioski podążał strumień ludzi. Rozglądałam się za Dickonem, ale nigdzie go nie widziałam. Adwokat był wyraźnie zniecierpliwiony, zrzędliwy i przemęczony. Nawet się do mnie nie uśmiechnął.

– Chyba nie powinniśmy rozmawiać tutaj. Zawiozę panią do swojej kancelarii. Nie ma potrzeby żegnać się z Joanną. Wyjaśniłem jej już, że muszę wracać do pracy.

Zaprowadził mnie do swojego wypasionego czarnego samochodu, zupełnie jakbym była zwariowaną krewniaczką, która zrobiła scenę na imprezie rodzinnej. Wyraźnie żałował, że zaprosił mnie na ten pogrzeb. Pomyślałam, że choć wyglądam trochę niechlujnie w tej mokrej, poplamionej sukience, to nie sprawiam wrażenia wariatki. Howden pędził wiejskimi drogami, zbyt szybko pokonywał zakręty i gwałtownie hamował na skrzyżowaniach. Zastanawiałam się, czy jest całkiem trzeźwy. Najwyraźniej dobrze znał drogę.

Do Morpeth dotarliśmy późnym popołudniem. Ludzie wracali z zakupów do domów, na głównej ulicy stał sznur samochodów czekających na przejazd wąskim mostem nad rzeką. Miałam poczucie powrotu do prawdziwego świata, co wprawiło mnie w przygnębienie. To było jak powrót do Newbiggin po wakacjach w Maroku.

Kancelaria Howdona mieściła się w eleganckim szeregowcu nieopodal biblioteki. Przy drzwiach wisiała wypolerowana mosiężna tabliczka, a na podwórku z tyłu namalowano na bruku jego nazwisko, by oznaczyć miejsce parkingowe. W recepcji znudzona młoda kobieta na widok szefa szybko schowała czasopismo. Nie wyglądała na zadowoloną. Domyśliłam

się, że chciała dokończyć artykuł o wakacyjnych romansach, a potem wcześniej wrócić do domu.

– Zrób nam herbaty, Penny – powiedział prawnik. – Potem możesz nas zostawić samych. Zamknę biuro.

– Dobrze, proszę pana.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Herbata pojawiła się nad wyraz szybko. Howdon zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Na jego koszuli widać było plamy potu, przez co jego plecy wyglądały jak mapa świata. Między nami stało biurko z obitym skórą blatem. Penny podała herbatę, mając już torebkę na ramieniu, i zaraz po jej wyjściu z gabinetu usłyszałam trzask drzwi frontowych. W budynku zapanowała cisza. Wyglądało na to, że jesteśmy sami.

– A gdzie pan Smith? – zapytałam.

– Zmarł trzy lata temu – odparł. – Jest jeszcze kilku młodszych wspólników… – Przyłapał się na tym, że jest dla mnie zbyt uprzejmy, i skrzywił się. – Ale to nieważne. To ja zawsze zajmowałem się sprawami Philipa i Joanny.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

– Ja też nie!

Chyba poczuł, że niepotrzebnie zdradził swoje uczucia, ponieważ kontynuował bardziej wyważonym tonem:

– Philip miewał dziwne pomysły, zwłaszcza pod koniec życia. Ale radziłem się w tej sprawie. Nie sądzę, żebyśmy mogli zakwestionować legalność tego dokumentu.

Nalał herbaty ze zmatowiałego srebrnego dzbanka i przysunął do mnie filiżankę i spodek. Gdy się przybliżył, poczułam od niego alkohol. Wydawało się, że sączy się z jego porów. Jego ręce były smukłe jak na tak tęgiego mężczyznę, a palce giętkie. Podniósł szczypcami kostkę cukru, wrzucił ją do swojej filiżanki i przez chwilę wpatrywał się jak zahipnotyzowany w zmarszczki na powierzchni.

– Pan Samson uczynił mnie wykonawcą swojej ostatniej woli – kontynuował. – Formalnie. I zostawił mi instrukcje dotyczące pani.

– Jeśli chodzi o pieniądze, to nie chcę ich.

Nagle poczułam, że ogarnia mnie gniew. Nie na Stuarta Howdona, ale na Philipa. Czy on naprawdę myślał, że przespałam się z nim dla kasy?

– Jak w ogóle mnie znalazł? – zapytałam.

– Był ławnikiem – odparł Howdon. – Miał przyjaciół w policji. Podejrzewam, że to nie było zbyt trudne.

Przypomniałam sobie rugbistów z pogrzebu. Niektórzy z nich wyglądali na gliniarzy. Na pewno opowiadali mu o rozprawach sądowych w Blyth…

– Nie chcę jego pieniędzy – powtórzyłam. Strasznie się zdenerwowałam na myśl o tym, że Philip zmienił o mnie zdanie po wysłuchaniu opowieści kolegów. Nie wierzył, że poradzę sobie sama, więc zapisał mi w testamencie jakąś niewielką sumkę. Umarł, myśląc, że jestem żałosna. Ogarnął mnie irracjonalny gniew. Miałam ochotę spoliczkować Howdona. Wyobraziłam sobie, jak ślady palców powoli znikają z jego zadowolonej z siebie twarzy, niczym ślady stóp na mokrym piasku w Wintrylaw. Udało mi się uspokoić.

– Wszystko powinno trafić do jego dzieci.

– To nie jest takie proste.

Howdon uniósł filiżankę, zwilżył usta, po czym odstawił ją na spodek.

– Może powinienem po prostu przeczytać instrukcje zostawione mi przez Philipa. Jak już wspomniałem, wszystko jest poświadczone. Oczywiście nie ma pani obowiązku podjąć się tego zlecenia. Jeśli o mnie chodzi, byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby pani odmówiła. Moim zdaniem lepiej nie wywoływać wilka z lasu. Martwię się o Joannę i dzieci…

Przypomniałam sobie Dickona mówiącego, że go nienawidzi. Trudno było brać troskę grubego adwokata na poważnie. Dlaczego wywarł na chłopcu tak niekorzystne wrażenie? Otworzył szufladę biurka, wyjął kopertę formatu A4, a następnie wyciągnął z niej kartkę maszynopisu.

– „Lizzie Bartholomew, zamieszkałej w Sea View w Newbiggin, zostawiam piętnaście tysięcy funtów, z czego dziesięć tysięcy funtów jako darowiznę na założenie i wyposażenie siedziby jej firmy…”

– Nie – przerwałem. – Przecież mówiłam…

Nie ukrywam jednak, że byłam wzruszona. Wyglądało na to, że umierający Philip wracał myślami do naszej rozmowy w Marrakeszu. Howdon uniósł dłoń, dając znać, bym mu nie przerywała, po czym czytał dalej:

– „...a także honorarium w wysokości pięciu tysięcy funtów za zlecenie, którego szczegóły podam później. Płatności te zostaną zrealizowane pod warunkiem, że pani Bartholomew z własnej woli weźmie udział w moim pogrzebie. Darowizna nie jest uzależniona od faktu przyjęcia przez nią zlecenia".

– Dobrze wiedział, że nie przyjmę darowizny, jeśli odrzucę zlecenie – powiedziałam cicho.

Howdon spojrzał niepewnie w górę. Chyba nie zrozumiał.

– Co to za zlecenie? – zapytałam głośniej.

– „Polega ono na odnalezieniu Thomasa Marinera, ostatnio zamieszkałego przy Priory Way 63 w North Shields"...

– A co, gdy już go znajdę? – przerwałam mu.

– Wtedy ja mam przekazać mu pieniądze. Dyskretnie. Tego zapisu nie ma w testamencie.

– Dlaczego ja? Pan go nie może znaleźć?

– Na pewno mógłbym. Jednak Philip chciał, żeby zrobiła to pani. Poza tym to nie wszystko.

Ponownie pochylił się nad dokumentem, choć miałam wrażenie, że zna jego zapisy na pamięć.

– „Ponadto proszę, by mu pomagała, doradzała i zaprzyjaźniła się z nim. Z pewnością zrozumie, jak ważne jest to dla Thomasa i dla mnie".

To była ogromna prośba. Przyjaciół się zdobywa, a nie kupuje. Mimo wszystko pochlebiało mi, że Philip chciał, bym zrobiła coś tak ważnego.

– Kim, do diabła, jest Thomas Mariner?

– Podejrzewam – powiedział Howdon niechętnie – że synem Philipa. Nieślubnym synem. Do listu z instrukcjami dołączono kilka informacji.

Podał mi drugą kartkę.

– To kopia. Może ją pani zatrzymać, jeśli zdecyduje się pani przyjąć zlecenie.

Szczegóły były dosyć skąpe. Wyglądało na to, że Philip nie zaszedł zbyt daleko w poszukiwaniach zaginionego syna. Z drugiej strony, trudno się dziwić, skoro przez dwadzieścia lat nie interesował się jego losem.

„Nazwisko: Thomas (?) Mariner".

Boże, nie był pewien nawet jego imienia.

Po Marinerze dodał w nawiasie „Samson". Na swój sposób było to wzruszające. Skojarzyło mi się z młodą dziewczyną ćwiczącą podpisywanie się nazwiskiem swojego chłopaka.

„Data urodzenia: ok. 22 grudnia 1984 r. Matka: Kay Mariner, Priory Way 63, North Shields".

Czy mieszkała tam teraz? Czy dwadzieścia lat temu?

– Niewiele z tego wynika – zauważyłam.

Wzruszył ramionami.

– W takim razie nie ma się czym przejmować. Jak już mówiłem, lepiej nie wywoływać wilka z lasu. I tak dostanie pani dziesięć tysięcy.

– Czy Joanna wie o Thomasie?

– Jezu, nie sądzę. – Ta myśl wyraźnie go przeraziła. – Mam nadzieję, że nie.

– Czyli Philip i jego żona nie byli takim małżeństwem?

– Jakim?

– Takim, które nie ma przed sobą tajemnic?

– Oczywiście, że nie – odparł z wyższością. – Które małżeństwo ich nie ma?

– Jak dobrze ich pan znał?

– Wystarczająco dobrze.

Zamilkł i pomyślałam, że już nic więcej z niego nie wyciągnę. Pomimo słońca rozświetlającego dachy za oknem, w pokoju panował półmrok. Pod ścianą stała ciężka mahoniowa szafka, której szuflady były zbyt wąskie, by

pomieścić dokumenty. Być może znajdowała się w niej kolekcja motyli. Albo skamieniałości. Miał ręce kolekcjonera. Wyobraziłam sobie, jak precyzyjnie i starannie układa swoje okazy. Tapeta była w kolorze bagnistej zieleni, a zasłony z aksamitu w podobnym, lecz ciemniejszym odcieniu.

Potem Howdon zaczął mówić, a ja zdałam sobie sprawę, że jest bardziej pijany, niż myślałam. A może to nie alkohol za to odpowiadał. Może był na skraju załamania nerwowego. Myśli kłębiły się w jego głowie, a słowa nie mogły za nimi nadążyć. Może również jego dręczyły sny na jawie.

– Joanna i Philip byli małżeństwem idealnym. – Spojrzał na mnie. – Wie pani, co mam na myśli? To była po prostu magia. Jak z bajki. Zbyt piękne, by było prawdziwe.

Jego głos przepełniała gorycz, jakby z jego doświadczeń wynikało, że żaden związek nie spełnia oczekiwań.

– To ja ich spiknąłem. Stary Stu Howdon w roli wróżki chrzestnej. Co pani o tym sądzi? – Roześmiał się. Po chwili śmiech przeszedł w szloch, a potem w kaszel. – Philip był nowym zarządcą jednej z nieruchomości, którymi się opiekowałem. Był młody i inteligentny, chociaż nie w typie gogusiów po prywatnych szkołach. Skończył normalny ogólniak, a potem studia rolnicze w Newcastle. Jedynym jego związkiem z ogrodnictwem była działka za domem. Prowadził ekologiczne uprawy, szukał tradycyjnych gatunków, ciągle gadał o założeniu sadu. Pomyślałem, że to jego hobby. To dobrze. Mężczyźni potrzebują hobby, żeby nie zejść na złą drogę.

Howdon parsknął. Być może śmiechem.

– Rodzice Joanny zmarli, a ona była jedynaczką. Została z domem i podatkiem od spadku. Doprowadzili to miejsce do ruiny. Zrobiłem dla niej wszystko, co w mojej mocy, pomogłam jej przez to przejść. A przynajmniej tak mi się wydawało.

Wpatrzył się w herbatę, która zdążyła wystygnąć w filiżance. On ją kochał, pomyślałam. Philip był jego rywalem.

– Jedyną rozsądną rzeczą, jaką można było zrobić, wydawała się sprzedaż domu. Ale ona tego nie chciała. Tłumaczyła, że wiąże się z nim zbyt

wiele wspomnień. Uważała też, że ma obowiązek zatrzymać go w rodzinie. Jest pasjonatką tego miejsca.

– Pracowała gdzieś?

Poczułam się dziwnie, zadając to pytanie. Zupełnie jakbym już kiedyś znajdowała się w takiej sytuacji, tyle że role się odwróciły. Tak jakbym to ja była psychiatrą, a on pacjentem.

– Co takiego?

Uniósł wzrok.

– Była młoda, niezamężna. Podejrzewam, że mogła zarabiać na własne utrzymanie.

– Była fotografką. Nie taką od ślubów i portretów dzieci, chociaż pewnie więcej by na tym zarobiła. Parała się fotografią artystyczną. Wie pani, czarno-białe zdjęcia. Pejzaże. Miała wystawy. Niektóre jej fotografie trafiały do książek. – Znów przerwał na chwilę. – Mówiła o założeniu w domu wiejskiego pensjonatu. To mogło się udać. Miała zapał i ducha, a także mnóstwo kontaktów. Jednak kiedy poznała Philipa, porzuciła ten pomysł. Dlatego dom dalej popadał w ruinę.

– Przedstawił ich pan sobie?

– Na wystawie rolniczej. Wie pani, jak to jest. Wpada się tam na połowę ludzi, których poznało się w życiu. A w każdym razie wszystkich, z którymi chodziło się do szkoły. Philip reprezentował tam posiadłość, którą zarządzał, a Joanna robiła zdjęcia do czasopisma. Przedstawiłem ich sobie, a potem zaczepił mnie jakiś nudny stary rolnik. Kiedy pół godziny później do nich wróciłem, popijali szampana z truskawkami. Nie chciałem im przeszkadzać. Pół roku później byli już małżeństwem. Poprosiła, żebym poprowadził ją do ołtarza.

Biedaczysko. Prawie było mi go szkoda.

– Wydali razem książkę, *Tradycyjne ogrody w północnej Anglii*. Ona zrobiła zdjęcia, on napisał tekst. Ponieważ nikt nie chciał jej wydać, opublikowali ją własnym sumptem, a potem wstawili do wszystkich lokalnych księgarni i zawieźli do Londynu. Zainteresował się nią jeden z programów telewizyj-

nych. Byli atrakcyjną parą, a Philip wywoływał kontrowersje wśród współczesnych projektantów. Twierdził, że ich ogrody są zbyt minimalistyczne. Podobały mu się ekstrawagancje i przesada, wręcz pewna barokowość. Producenci programu zaproponowali mu zaprojektowanie ogrodu gdzieś we wschodniej Anglii. Zrobił to. Wszyscy zachwycali się tym miejscem. Nabrał wiatru w żagle. Wszystko, czego dotknął, zamieniało się w złoto.

Dopóki nie zachorował na raka, pomyślałam, przypominając sobie pełne zazdrości słowa rugbisty w Wintrylaw.

– Pozostaliście przyjaciółmi?

– Od czasu do czasu zapraszaliśmy ich z Marjorie na kolację. Chodziliśmy też do nich, żeby zapewnić lokalny koloryt, kiedy odwiedzali ich przyjaciele z Londynu. Gdy wpadaliśmy na siebie w klubie rugby, wychylaliśmy razem kilka piw. Nigdy nie wspominał o synu, jeśli o to pani pyta. Nie byliśmy aż tak blisko.

– Dlaczego wcześniej go nie szukał?

To pytanie zabrzmiało dość rozpaczliwie. Howdon spojrzał na mnie z wahaniem. Pewnie pomyślał, że jestem żałosna.

– Niby czemu miałby to robić? Piękna żona, dwoje dzieci… Po co wywoływać zamieszanie? Podejrzewam, że pod koniec życia dopadło go poczucie winy. Wiedział, że umiera, i chciał uporządkować swoje sprawy.

Siedziałam tam i zastanawiałam się, jak Philip mógł tak ze mną pogrywać. Naprawdę był aż tak głupi? Czy chciałabym, żeby ojciec mnie szukał? Oczywiście, że tak. Fantazjowałam o tym, gdy budziłam się wczesnym rankiem. Łudziłam się, że istnieje ktoś, kto podejmuje choć trochę wysiłku, by mnie odnaleźć. Ale nie potrzebowałam tej sprawy. Jezu, i bez tego byłam już wystarczająco pokręcona. Nie zależało mi na odnalezieniu Thomasa. Serio, nic mnie nie obchodził. Nawet gdy o tym myślałam, miałam przed oczami innego chłopca. Nie Thomasa, ale Nicky'ego.

– Nie wydaje mi się, żebym była odpowiednią osobą do wykonania tego zlecenia – powiedziałam spokojnie.

– Philip uważał, że jest pani zdecydowanie właściwą osobą. Przecież przeczytałem pani jego słowa.

Włożył kartkę z powrotem do koperty, jakby w ogóle nie obchodziło go, co postanowię. Zamierzałam odmówić, powiedzieć mu, gdzie ma wsadzić te pieniądze. Nagle jednak zrozumiałam, jaki użytek mogłabym zrobić z tych piętnastu kawałków. Na przykład mogłabym wyposażyć pusty pokój w Sea View w komputer, linię telefoniczną i faks. To dałoby mi czas na podjęcie decyzji, co dalej. Tylko bogacze mają ten luksus, że nie liczą się z forsą. Przecież to nie było tak, że zapłacił mi za seks, prawda? To byłaby legalna transakcja biznesowa.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, wpatrując się w siebie. Wciąż myślałam, że mogę po prostu wyjść. I wtedy Howdon sięgnął w dół, otworzył szufladę w swoim biurku i wyjął brązową kopertę bąbelkową. Ze sposobu, w jaki ją podniósł, poznałam, że jest ciężka. Popchnął ją w moją stronę. Nie była zaklejona. W środku ujrzałam mnóstwo banknotów pięćdziesięciofuntowych.

Wyciągnęłam rękę. Uśmiechnął się. Wiedział, że wygrał. Okazałam się równie pazerna jak on.

Rozdział ósmy

Przy Priory Way 63 mieszkał ktoś o nazwisku Mariner. Konkretnie A. Mariner. Tak wynikało z książki telefonicznej. Jakiś krewny? Czy może Philip pomylił imię matki swojego dziecka? Zadzwoniłam z mieszkania Jess (zanim skorzystałam z telefonu, poczekałam, aż wyjdzie).

Wróciłam z pogrzebu Philipa i powiedziałam jej, że przyjaciel zostawił mi w testamencie trochę kasy. Nie wnikała. To nie było w jej stylu. Nie wyjaśniłam, co muszę zrobić, by otrzymać pieniądze. Nie do końca wiem dlaczego. Może uznałam, że to sprawa między mną a Philipem, a może chciałam odnieść sukces, zanim powiem jej, co się stało.

Telefon dzwonił przez długi czas. Już miałam się poddać, gdy nagle w słuchawce rozległ się głos starszej kobiety.

– Słucham?

– Czy mogłabym rozmawiać z Kay? – zapytałam.

– Od lat tu nie mieszka. Kto mówi?

Mój mózg pracował na zwolnionych obrotach. Nie przygotowałam żadnej przykrywki.

– Jess – powiedziałam. – Chodziłyśmy razem do szkoły.

– Nie pamiętam żadnej Jess. Do liceum, tak?

– Tak. Czy byłaby pani tak dobra i powiedziała, jak można się z nią skontaktować?

Milczała przez chwilę, nie tyle wiedziona podejrzliwością, ile troską o dziecko. Być może córka chroniła swoją prywatność.

– Proszę podać swój numer. Jej ojciec lub ja przekażemy jej, że pani dzwoniła.

Spanikowałam i odłożyłam słuchawkę, ciesząc się, że telefonowałam z zastrzeżonego numeru.

Priory Way była jedną z czystszych ulic leżących w pobliżu Linskill Centre, starej szkoły, do której dzieci z Tyneside chodzą na lekcje muzyki, w pobliżu zarośniętych nieużytków Northumberland Park. North Shields uchodziło kiedyś za tętniące życiem miasto, ze stocznią i łodziami rybackimi codziennie wypływającymi na połów. Obecnie nic tam się nie dzieje. Wiele sklepów w centrum miasta było zabitych deskami. Wszędzie wisiały plakaty reklamujące Fish Quay Festival. Miasto ożywało na czas tego weekendowego festiwalu z koncertami zespołów na nabrzeżu, występami teatrów ulicznych i fajerwerkami. Potem znów zapadało w śpiączkę.

Postanowiłam odwiedzić Marinerów około południa. Doszłam do wniosku, że jeśli mają nastoletniego wnuka, pewnie osiągnęli już wiek emerytalny i zastanę ich w domu. Kobieta, z którą rozmawiałam przez telefon, z pewnością była w starszym wieku. Tym razem nieco lepiej się przygotowałam.

Wzdłuż ulicy ciągnęły się szpalery kwitnących drzew. Od czasu do czasu powiew wiatru znad rzeki sprawiał, że opadały z nich na chodnik płatki kwiatów. Wsiadłam w autobus do Newcastle, a potem pojechałam metrem w kierunku wybrzeża. W pociągu przestudiowałam mapę, dzięki czemu teraz szłam ulicą, jakbym dokładnie wiedziała, dokąd zmierzam. W lnianym żakiecie i z czarną nylonową torbą, którą dostałam na konferencji na temat przemocy wśród nastolatków i której od tamtej pory używałam jako teczki, niemal uwierzyłam, że jestem kompetentną urzędniczką w drodze na ważne spotkanie.

Dom wznosił się w połowie ulicy. Był bardziej zadbany niż większość domostw dzieci, z którymi dorastałam, jednak to głupie być zazdrosnym o dom. Okna lśniły czystością, a moskitiery były tak jasne, że mogły wywołać ślepotę śnieżną. Niedawno zamieciono frontowe schody. Tylko poje-

dyncze różowe płatki pokrywały ścieżkę. Weszłam na nią i zapukałam do drzwi.

Otworzyła mi kobieta około siedemdziesiątki. Pozostawiła drzwi na łańcuchu. W szparze zobaczyłam tylko jej okrągłą twarz i siwe loki.

– Słucham panią?

– Bartholomew, opieka społeczna.

Mając nadzieję, że nie rozpozna głosu, który słyszała podczas krótkiej rozmowy telefonicznej, błysnęłam swoim starym identyfikatorem. Spojrzała na zdjęcie, zerknęła na mnie i uśmiechnęła się. Identyfikator został wydany w Northumberland, a nie North Tyneside, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Odczepiła łańcuch i otworzyła szeroko drzwi. Ponieważ poruszała się o lasce, zajęło jej to trochę czasu.

– Szybcy jesteście – powiedziała. Widać było, że cieszy się na mój widok. Nie musiałam się denerwować, że rozpoznała mój głos. – Dopiero co do was dzwoniłam. Wejdź, moje dziecko.

To mnie trochę wyprowadziło z równowagi. Przygotowałam historyjkę o tym, że przeprowadzam wśród starszych ludzi w okolicy ankietę, która ma na celu znalezienie luk w usługach miejscowych władz. Jeśli spodziewała się wizyty prawdziwego pracownika socjalnego, musiałam improwizować. Poprowadziła mnie do wysprzątanego salonu, w którym pachniało cytryną, pastą do mebli i pieczonym ciastem.

– Czy jest pan Mariner?

– Nie – odparła, uśmiechając się czule. Byli małżeństwem pewnie jakieś czterdzieści lat, a ona dalej się rozpromieniała, słysząc o nim. – Poszedł na kręgle.

Na gzymsie kominka stały nagrody, a także zdjęcie kojarzącego się z kretem drobnego mężczyzny w okularach i białych spodniach, który w jednej ręce trzymał puchar, a drugą obejmował większego faceta o rumianej twarzy.

– Usiądź tam, skarbie. – Staruszka poklepała oparcie sofy. – Ja nastawię wodę na herbatę. Tylko będziesz musiała mi pomóc, kiedy już się zagotuje.

Nie dam rady jej tutaj przynieść.

Gdy usiadłyśmy w rozświetlonym promieniami słońca salonie, staruszka zaczęła mi opowiadać historię swojego życia. Bez chwili wahania. To przerażające, że zaufała mi całkowicie na podstawie kawałka plastiku i zdjęcia.

– Cierpię na artretyzm – wyjaśniła. – Jestem zapisana na nowe biodro, ale to potrwa jeszcze kilka miesięcy. Tymczasem wysiadły mi też ręce. Mimo wszystko Archie i ja bardzo dobrze sobie radzimy. Stał się zręczną gospodynią. Ale niepokoi się, gdy jestem sama. Nie mogę korzystać z telefonu. Przyciski są za małe. Nie wyobraża sobie, co by było, gdybym się przewróciła… Stary głupiec. Nic mi się nie stanie. Ale on nie lubi mnie zostawiać, a jak już wyjdzie, to się martwi. Nie chcę tego. Kocha te swoje kręgle i nie chcę, żeby się spieszył z powrotem. Nie ma powodu, żeby nie mógł się napić herbaty i pogadać z chłopakami. Zastanawialiśmy się nad zainstalowaniem guzika alarmowego albo telefonu z takimi dużymi przyciskami. Co o tym sądzisz?

– Pewnie przysługiwałoby pani jedno i drugie.

Byłam na szkoleniu z dziewczyną z North Tyneside, która pracowała w tamtejszej opiece społecznej. Gdybym ją poprosiła, wpisałaby Marinerów na listę oczekujących na specjalistyczny sprzęt. Oszczędziłoby to jednemu z ich pracowników wizyty.

– Czy ma pani rodzinę? Kogoś, kto przychodzi i pilnuje, żeby nic się pani nie stało?

– Czy to by coś zmieniło?

– Jeśli chodzi o sprzęt, to nie. Nie ma pani przyznanej całodobowej opieki, więc jak najbardziej się on pani należy. W końcu nie możemy oczekiwać od pani bliskich, że ciągle tu będą.

– To prawda. Kay ma teraz własną rodzinę, którą musi się opiekować. I pracuje na pełen etat. Pamela mieszka w Surrey. Wyszła za mąż za południowca. – Wymówiła to słowo, jakby to był jakiś inny gatunek ludzi.

– Rozumiem, że ma pani dwie córki?

– Tak. Chciałam mieć syna, ale Archie pokochał swoje małe dziewczynki.

– A wnuki?

– Pięcioro.

Wstała i już po chwili przeglądałyśmy rodzinne fotografie. Córka mieszkająca w Surrey, podobnie jak jej matka, doczekała się dwóch córek. Nie były zbyt urodziwe. Po dziadku odziedziczyły wydatne zęby i na wielu zdjęciach dostrzegało się ich pełne metalu usta. Pani Mariner zdawała się nie zauważać ich bobrzych rysów i opowiadała o sukcesach w nauce, błyskotliwej grze na pianinie i zajęciach gimnastycznych. Również Kay urodziła dwie córki. Bliższe sobie wiekiem, pojawiały się razem na szkolnych fotografiach. Były też młodsze. Nawet na najnowszych zdjęciach pozowały w bluzach z podstawówki i z włosami związanymi wstążkami.

– To Lucy i Claire – powiedziała pani Mariner. – Prawda, że ładne?

Na pewno ładniejsze niż Abby i Natasha z Godalming.

– Często je pani widuje?

Nie chciałam zbyt szybko zacząć wypytywać o Thomasa.

– Nie tak często, jak bym chciała. Mieszkają bliziutko, w Whitley Bay. Mogłyby wpadać tu po szkole. Archie by je przywoził. Ale Kay się nie zgadza. Mówi, że to byłoby dla mnie zbyt duże obciążenie. Jej zdaniem nie umiałabym się nimi odpowiednio zająć. W sumie, po tej historii z Thomasem, można zrozumieć jej obawy. Poza tym Ronnie może sobie pozwolić na opiekunkę do dzieci. Nie brakuje im pieniędzy.

– Kim jest Thomas?

Mogłam zostawić jej słowa bez komentarza. Miałam już wystarczająco dużo informacji, żeby namierzyć Kay. Jednak zwyciężyła ciekawość. Wśród pozostałych zdjęć widziałam kilka przedstawiających chłopca, ale wszystkie wyglądały na dość stare.

– Thomas to syn Kay. Jedyny chłopak…

Pokręciła głową. Coś w tej twarzy i siwych lokach przypominało mi lalkę, którą kiedyś miałam. Ruszała głową. W pewne Boże Narodzenie wolontariuszki z organizacji charytatywnej przywiozły ją do domu dziecka. Była nowa. Jeszcze w pudełku. Zapakowana. Ale nie przypadła mi do gustu – po

prostu siedziała i poruszała głową z boku na bok. Dlatego zamieniłam ją na tablicę, która wydawała piszczące dźwięki, gdy pisało się po niej kredą.

– Nie musi mi pani o tym mówić – powiedziałam. – To nie moja sprawa.

– Thomas to syn Kay – powtórzyła. – Jest starszy od dziewczynek.

Rozejrzała się dookoła, zupełnie jakby bała się, że ktoś podsłuchuje.

– Urodziła go, zanim wyszła za mąż.

– Musiało jej być ciężko.

– Ledwo co skończyła szkołę. Dowiedzieliśmy się, że zaszła w ciążę zaraz po maturze. Pracowała w centrum handlowym w mieście. Tam poznała ojca dziecka. Był trochę starszy od niej, studiował na uniwersytecie.

– Poznaliście go państwo?

– Nie. Nic o nim nie wiedzieliśmy. Nie znaliśmy nawet jego nazwiska. Nawet tego nie chciała nam zdradzić. Próbowaliśmy jej pomóc. To było coś, o czym się wtedy myślało: co bym zrobiła, gdyby jedna z nich zaszła w ciążę? Wiedziałam, że nie mogę się złościć ani gniewać. To nie miałoby sensu, prawda?

To wszystko było mi zanadto bliskie. Pomyślałam: „Chciałabym, żebyś była moją babcią. Gdyby moja mama miała kogoś takiego jak ty, nie zostałabym porzucona przed kościołem".

– A czy zastanawiała się nad aborcją? – zapytałam. To ja się nad nią zastanawiałam. Zawrotna myśl, że mogłabym się nigdy nie urodzić. Pani Mariner pokręciła głową.

– Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, było już na to za późno. I bardzo się z tego powodu cieszyłam. Nie sądziłam, żeby mogła spokojnie żyć po czymś takim, niezależnie od tego, co mówiła w tamtym czasie.

– A co mówiła?

Pani Mariner nie odpowiedziała od razu. Nie dlatego, że stawała się podejrzliwa po moich pytaniach. Wszyscy się spodziewają, że pracownik socjalny będzie wścibski. Ona po prostu potrzebowała trochę więcej czasu.

– Kay była w pewnym sensie łatwym dzieckiem. Wszystko jej się podobało. Tak po prostu. Zawsze ładnie się ubierała i nigdy nie musiałam jej

przypominać, żeby posprzątała w swoim pokoju. Można powiedzieć, że była zorganizowana. W odróżnieniu od swojej siostry Pam, która żyła chwilą, Kay miała zaplanowane całe życie. Zamierzała zostać nauczycielką. Małych dzieci. Nie byłaby w stanie kontrolować starszych. A ona lubiła mieć kontrolę. A potem, jak przypuszczam, poznała w pracy tego chłopaka i byli nieostrożni. Mieli pecha i zaszła w ciążę. Tego nie było w planach. To nie miało się stać. Nie chciała przyznać się do tego nawet przed samą sobą. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przytaknęłam.

– W końcu domyśliłam się, że spodziewa się dziecka. Nie da się mieszkać w tak małym domu i utrzymać tajemnicy. Poza tym, jak już mówiłam, w przypadku nastoletnich dziewcząt zawsze trzeba było to brać pod uwagę. Zrozumiesz, kiedy sama będziesz miała dzieci.

Nic nie powiedziałam.

– Przez to się rozchorowała – podjęła po chwili pani Mariner. – Nie fizycznie. Po prostu nie potrafiła się z tym pogodzić, nawet kiedy była gruba jak piłka. Nie mogliśmy wydobyć z niej ani słowa. Nie chciała rozmawiać o ojcu dziecka. Nie robilibyśmy zamieszania. Archie nie jest gwałtownym człowiekiem. Ale pomyśleliśmy, że chłopak ma prawo wiedzieć, odegrać swoją rolę. Poza tym pewnie miał rodziców. Wyobraź sobie, że masz wnuka i nic o nim nie wiesz.

Znowu przerwała, a ja pomyślałam, że pewnie dawno o tym nie opowiadała.

– Urodził się w Wigilię. Akurat wiał wiatr ze wschodu. Tak silny, że ściąłby cię z nóg. Było za zimno na śnieg. Pojechałam z nią do szpitala, żeby pomóc przy porodzie, ale ona była wspaniała, oddychała dokładnie tak, jak jej pokazywali. Była dzielniejsza niż ja. Myślałam, że wszystko się ułoży. W końcu nie ma nic bardziej realnego od porodu, prawda? I nie ma nic lepszego od trzymania na rękach swojego dziecka. Powinna go w końcu zaakceptować.

– I tak się stało?

– Nie chciała na niego patrzeć. Wybuchała płaczem i mówiła, że chce go oddać do adopcji. Teraz myślę, że tak byłoby najlepiej. Nie powinnam była się wtrącać. Ale ja sądziłam, że jest chora. Ma depresję. Nie była w stanie podjąć decyzji. Myślałam, że będzie tego żałować, gdy wyzdrowieje… – Popatrzyła przez okno na padający śnieg różowych płatków. – Widzi pani, to ja go trzymałam na rękach. Ostatecznie to był mój pierwszy wnuk. Chłopiec, jakiego zawsze chciałam dla siebie. Ja też nie myślałam jasno. Byłam samolubna. A ona zawsze robiła to, co jej kazano. Może zaszła w ciążę, bo zrobiła to, czego chciał tamten chłopak, żeby go zadowolić. A kiedy powiedziałam, że powinna zatrzymać dziecko, też się zgodziła. Opiekowałam się Thomasem, kiedy była na studiach. Pracowałam w biurze w Parsons. Kiepska praca, więc łatwo przyszło mi z niej zrezygnować. Thomas był bardzo żywiołowy, zawsze skory do zabawy i psot. Dzięki niemu odmłodniałam. Kay wracała wieczorem, kąpała go i kładła spać. Nigdy tego nie wykorzystywała, nie zostawała w mieście do późna. Ale w głębi duszy zawsze czułam, że to była dla niej przykra odpowiedzialność. Robiła to z poczucia obowiązku. Nie dlatego, że sprawiało jej to przyjemność. Kładła go do łóżka i czytała mu bajkę na dobranoc, ale w gruncie rzeczy mógłby być jednym z jej uczniów. Wiesz, o czym mówię, kochanie?

Przytaknęłam. Doskonale wiedziałam, o co jej chodzi.

– Czasami wydaje mi się, że z nich dwóch bardziej lubił Pam. Była pogodna. Zabierała go do parku i nie przeszkadzało jej, że pobrudził ubranie. Kiedy wyszła za mąż i przeprowadziła się na południe, o mało nie wypłakał sobie oczu. Kay miała trzydzieści lat, gdy wyszła za mąż. Thomas jedenaście. Właśnie rozpoczął naukę w większej szkole i trudno mu było się przyzwyczaić. Duzi chłopcy zachowywali się agresywnie, a on był dość nerwowy. Wtedy Kay poznała Ronniego. Był właścicielem sporego komisu samochodowego na wybrzeżu i kupiła od niego auto. Tak właśnie się spotkali. Pracowała już wtedy w przedszkolu w Wallsend, w którym teraz jest zastępcą dyrektora. Już wtedy bardzo dobrze jej się powodziło, chociaż nie miała własnego mieszkania. Dla chłopca musiał to być szok. Nowa szkoła, nowy dom, ojczym…

– A na dodatek tęsknił za panią – wtrąciłam.

– Tak, myślę, że tak. Myślę, że za nami tęsknił. Przez jakiś czas przychodził na niedzielny obiad, ale to już nie było to samo. My też tęskniliśmy. Kay nie powiedziała nam, co się dzieje. Tyle lat byliśmy jej kochanymi rodzicami, a potem nagle nie mogliśmy się wtrącać. Ona i Ronnie wiedzieli wszystko najlepiej. Ale i tak trochę się dowiedzieliśmy. Wagarował. Znajomi Archiego widzieli go na mieście. Wpadł w kłopoty. Kay powiedziała nam, że to nie nasza sprawa. Nie w tak wielu słowach, ale to właśnie miała na myśli.

– A potem znowu zaszła w ciążę.

– Z dziewczynkami. Najpierw z Lucy, potem z Claire. Bardzo je kocha i to mnie cieszy, ale Thomasowi musiało być ciężko, gdy widział ją z nimi.

– Ile ma teraz lat?

– W ostatnie Boże Narodzenie skończył dziewiętnaście.

– Dalej z nimi mieszka?

– Nie.

Odpowiedź była ostra jak pocisk. Staruszka zacisnęła usta.

– Wyrzucili go?

Całym sercem byłam z nią i Thomasem.

– Nie do końca. Raczej dali mu ultimatum. „Albo będziesz się zachowywał, jak należy, albo będziesz musiał odejść". W pewnym sensie mogę to zrozumieć. Mają przecież dziewczynki, o których muszą myśleć. I nie winię Ronniego. Nie sądzę, żeby to był jego pomysł. To Kay była uparta. – Przerwała. – Mógłby zamieszkać ze mną i z Archiem, ale Kay nie powiedziała nam, co się stało, dopóki nie było po wszystkim. Teraz jest już za późno i nikt nie może się do niego dodzwonić.

– A gdzie mieszka?

– Nie wiem. – O mało się nie rozpłakała. – Myślę, że Kay wie, ale nam nie mówi. Jej zdaniem go rozpieszczamy, a on ma dostać nauczkę.

– Czy Thomas pracuje?

– Tak, i można by pomyśleć, że Kay będzie z tego dumna. Kiedy rzucił szkołę, nie miał nic. Potem przyjaciel Archiego przyjął go do pracy. W ramach przysługi dla nas.

Kiwnęła głową na zdjęcie na kominku, na którym potężny mężczyzna stał obok jej męża na kręgielni.

– To Harry Pool. Dawno temu, jeszcze w latach siedemdziesiątych, zwolnił się ze Swan's. Zobaczył, że sprawy przybierają zły obrót, i postanowił działać na własną rękę. Prowadzi firmę przewozową. Zaczynał od jednej ciężarówki, a teraz ma całą flotę i plac na tym małym osiedlu przemysłowym w Shiremoor, gdzie kiedyś jeździła kolej. A także dom wielki jak pałac w Cullercoats. Ale dalej są z Archiem najlepszymi kolegami. Znają się od przedszkola. Nic się nie zmienił.

– Co robi u niego Thomas?

– Wiem, czego nie robi. Nie jeździ samochodami. Kiedy zaczynał, był na to za młody. Pracuje w biurze. Sortuje faktury i takie tam. Układa harmonogramy dla kierowców. Harry robi wiele interesów w Europie. To miła, czysta praca. Nie wiem, dlaczego Kay się temu sprzeciwiała. Chyba chciała, żeby Thomas poszedł na studia. Ale dzieci nie da się do niczego zmusić, prawda?

– Jeśli pracuje u przyjaciela Archiego, to przynajmniej pani wie, że jest bezpieczny – powiedziałam.

– Tak, chyba tak.

– Nie może się pani dowiedzieć od Harry'ego, gdzie mieszka Thomas?

– Nie chcemy sprawiać mu kłopotów w pracy. Harry pewnie myśli, że dalej mieszka z rodzicami. Zresztą kiedy Harry ostatnio rozmawiał z Archiem, nie był zbyt zadowolony z tego, jak chłopak sobie radzi. „Jeśli się za siebie nie weźmie, wyląduje na zasiłku", powiedział. Nie powinniśmy się wtrącać, prawda? Moglibyśmy pogorszyć sytuację. – Odwróciła się do mnie. – Nie mam pretensji, że Thomas nie chce nas odwiedzać. Jest już dorosły. Dlaczego miałby chcieć spędzać z nami czas? Pragnę tylko wiedzieć, czy jest szczęśliwy i ma się dobrze.

Philip też właśnie tego sobie życzył. Nie mogłam jej tak zostawić. Zrobiłam jej kolejną filiżankę herbaty i przez chwilę rozmawiałyśmy o przyjemniejszych sprawach, aż w końcu zobaczyła przez okno Archiego i oczy znów jej rozbłysły.

Rozdział dziewiąty

Kiedy wróciłam do domu po wizycie u pani Mariner, Ray siedział w kuchni i rozmawiał z Jess. Była dopiero piąta, ale miałam wrażenie, że są tam od dłuższego czasu. Wszystko w nim było niezręczne i niezdarne; jego ogromne ręce i stopy zdawały się trzepotać, jakby nie miał nad nimi kontroli. Kiedy zajrzałam przez okno od podwórka, zobaczyłam, że jego nogi wystają spod stołu. Szerokie, kościste stopy były gołe. Gdyby siedział tam w samych bokserkach, nie przeżyłabym większego szoku. Zawsze zdejmował swoje przemoczone buty robocze, ale nigdy nie ściągał skarpetek. Najwyraźniej niedawno się kochali. W dużej sypialni z tyłu domu, która była jedynym prywatnym miejscem Jess. Nikt z nas nie miał tam wstępu, nawet ja.

Otworzyłam drzwi kuchni, a oni uśmiechnęli się do siebie, zadowoleni, a jednocześnie zawstydzeni. Miałam ochotę im przyłożyć.

– W dzbanku jest herbata, kochanie – powiedziała Jess z takim spokojem, jakby każdego popołudnia uprawiała seks z hydraulikiem. Być może tak było. Być może dlatego tak bardzo nienawidziłam tego jej nowego związku: pobyt w Marrakeszu uświadomił mi, czego mi w życiu brakowało, i byłam zazdrosna. Chyba wyczuła moje napięcie.

– Wszystko w porządku, Lizzie? – zapytała, po czym dodała: – Wzięłaś dziś tabletki?

Przeszyłam ją gniewnym spojrzeniem. To nie jej sprawa, nie powinna o tym mówić przy kochanku. Mimo to, mając takie same odczucia co do Raya, zapytałam go, czy podwiezie mnie następnego dnia. Jak widać, nie mam za grosz godności. Nie widzę w tym sensu.

– Najwyższy czas sprawić sobie własny środek transportu – powiedziałam gwoli wyjaśnienia. Po incydencie w Blyth sprzedałam swój stary samochód. Zawsze tak o tym myślałam: „incydent w Blyth". Nie mogłam mieć samochodu po tym zdarzeniu. Po prostu sobie nie ufałam. Wściekłość na drodze zabija.

– Dobry pomysł, kotku. – Jess wyraźnie się ucieszyła. Myślała, że już wybaczyłam jej wpadkę z tabletkami. – Powinnaś więcej wychodzić.

Odwróciła się do Raya.

– Zabierzesz ją, kochanie?

Przytaknął posłusznie. Gdyby poprosiła, żeby swoją małą białą furgonetką zawiózł mnie na biegun północny, powiedziałby „nie ma sprawy" i poszedł szukać łańcuchów na koła.

Znałam ten komis samochodowy. Mieścił się przy drodze na wybrzeże. Widziałam szyld, obracający się na wietrze tak szybko, że aż stał się nieostry: „Ronald Laing, samochody najwyższej jakości". Nieopodal wznosił się pochodzący z lat trzydziestych budynek fabryki Willsa, który przekształcono w drogi apartamentowiec. Siedzibę komisu zbudowano w podobnym stylu: cegła, krzywizny. Niezbyt oryginalna, ale wykonana z pewną starannością. Samochody też wydawały się dosyć specyficzne. Nie był to jakiś szrot – starzejące się micry i rdzewiejące fiesty przeznaczone dla nerwowych gospodyń domowych i osób kupujących pierwsze auto w życiu.

Te samochody były używane, ale luksusowe: najlepsze modele BMW, jaguary, kilka terenówek z napędem na cztery koła, zaledwie dwuletni golf kabriolet. Kay Mariner musiała oszczędzać dobrych kilka lat, żeby kupić tam samochód. Chyba że Ronnie zaczął specjalizować się w luksusowych markach dopiero po ślubie.

Dlaczego najpierw pojechałam do komisu, a nie od razu do Thomasa lub jego matki? Może z nerwów? Chciałam poćwiczyć. Zależało mi na tym, żeby wszystko poszło dobrze. Jak bym się czuła, gdyby jakiś obcy człowiek podszedł do mnie z informacjami o mojej rodzinie? Byłabym zszokowana i zareagowałabym na jego rewelacje sceptycznie. Musiałabym ufać posłań-

cowi, zanim przyjęłabym wiadomość. Potrzebowałam jak najwięcej wskazówek, zanim zwrócę się do syna Philipa. Fantazjowałam, że zostajemy przyjaciółmi. Wiem, że to głupie, ale marzyłam, że będzie się do mnie odnosił prawie jak do siostry. Nie chciałam spieprzyć sprawy, zanim jeszcze się poznaliśmy.

Ronnie Laing wyszedł ze swojego biura, żeby się z nami spotkać, gdy tylko podjechaliśmy. Nie jestem pewna, kogo się spodziewałam. Chyba jakiegoś potężnego i przerażającego typa, który przeszkadzał Thomasowi w odwiedzaniu dziadków. Zarozumiały, otyły sprzedawca samochodów. Tyle że stanowił odwrotność moich wyobrażeń. Był drobny, niski i dystyngowany. Nosił garnitur. Pomógł mi wysiąść z rozklekotanej furgonetki, jakby to był bentley. Cieszyłam się, że się wystroiłam. Coś w nim sprawiało, że chciałam mu się podobać. Było ciepło, więc włożyłam bluzkę bez rękawów i długą, prostą spódnicę z rozcięciem z tyłu. Nie straciłam jeszcze całej marokańskiej opalenizny. Prawdziwa opalenizna wczesnym latem zawsze wygląda na drogą. Ray został w furgonetce, jak mu kazałam.

Potem, za każdym razem, gdy widziałam Ronniego Lainga, byłam zaskoczona, jaki jest niewysoki. Nigdy o tym nie pamiętałam. W pamięci zostawał mi tylko jego chłopięcy uśmiech, którym skutecznie przełamywał lody. Odnosiło się wrażenie, jakby był pozbawiony barier, które ludzie zwykle stawiają wokół siebie dla ochrony. Na pewno nie udawał. Człowiek nie spodziewa się tego rodzaju bezbronności u sprzedawcy używanych samochodów. A do tego ta jego energia. Tego pierwszego dnia, kiedy wziął mnie za rękę, żeby pomóc mi wyjść z furgonetki, jego dotyk mnie zelektryzował. Nie wiem dlaczego. Spojrzałam na niego, a on się uśmiechnął; wiedział, jak działa na innych, i niemal mnie za to przepraszał.

– Ronnie Laing – przedstawił się. – Pisane jak nazwa tej galerii sztuki.

Jego głos również mnie zaskoczył. Był przyjemny, cichy, prawie pozbawiony akcentu. Nieznacznie, niemal niesłyszalnie, się jąkał. Wiedziałam, jak pisze się jego nazwisko. Przy drodze stała wielka tablica. Pomyślałam, że próbuje powiedzieć mi coś innego: a mianowicie to, że jest kulturalnym

człowiekiem. Nie popisywał się, ale chciał, żebym to wiedziała. Nie przedstawiłam mu się. Nic nie powiedziałam.

– Czego pani szuka? – zapytał.

– Na pewno niczego nudnego. Nie cierpię nudnych samochodów.

– Oto kobieta podobna do mnie.

U kogoś innego mogłoby to wyglądać na flirt, przekomarzanie się, ale ja pomyślałam, że mówi całkiem poważnie. Wypowiadając te słowa, zmarszczył brwi. Po prostu wskazywał na to, że wiele nas łączy. Tak mi się wtedy wydawało.

Pokazywał mi, co ma na stanie, dotykając od czasu do czasu mojego łokcia, aby zwrócić moją uwagę na ten lub inny model. Udawanie zainteresowania przychodziło mi bez większego trudu. Naprawdę niedługo musiałam kupić samochód. Dzięki Philipowi miałam trochę pieniędzy, a nie mogłam oczekiwać, że Ray będzie mnie ciągle woził. Jednak wszystkie te wozy pozostawały poza moim zasięgiem i Ronnie zapewne wyczuł, że raczej nie dojdzie do sprzedaży.

– Jeśli ma pani na myśli coś specjalnego, mogę to dla pani znaleźć.

– Chyba raczej coś niezbyt specjalnego.

Znowu zmarszczył brwi.

– Zwykle nie zajmujemy się budżetowymi samochodami… – przez chwilę się wahał – ale zobaczę, co da się zrobić.

– Naprawdę?

Spojrzałam na niego pytająco. W każdym razie mam nadzieję, że tak to właśnie wyglądało. Jego wpływ na mnie był tak oczywisty, że nie miałam nastroju do gierek.

– Nic nielegalnego – zapewnił pospiesznie, a jego jąkanie stało się wyraźniejsze. – Nie prowadzę tego rodzaju działalności. Mam kontakty, jeżdżę na aukcje. Opieram się na stałych klientach. Wiem, jakich rzeczy chcą. Może przypadkiem wpadnę na coś, co będzie pani odpowiadać.

– Chyba że tak.

Wydobyłam z siebie zakłopotany chichot, by pokazać, że źle go zrozumiałam. A potem ruszyłam za nim do biura. Na biurku Ronniego stało oprawione zdjęcie kobiety i dwóch małych dziewczynek. Kobieta miała fryzurę, która mogłaby przetrzymać huragan, i prostolinijny uśmiech. Nie było tam ani śladu Thomasa, ale spodziewałam się tego. Na biurku leżał kartonowy podajnik z formularzami zgłoszeniowymi do czegoś, co nazywało się Konsorcjum Wiejskie. Na każdym z nich wydrukowany był obrazek faceta ze strzelbą ubranego w zielone kalosze i kurtkę Barbour.

– Nie sądziłam, że jest pan myśliwym – powiedziałam.

– To poważna sprawa. Robimy to dla środowiska.

– Taa, jasne – odparłam. – Oczywiście.

– Będzie mi potrzebne pani nazwisko i numer telefonu. – Przerwał na chwilę, a ja jakbym zapomniała oddychać. – Na wypadek, gdybym znalazł samochód.

– Lizzie. – Zapisałam na kartce numer z Sea View.

– Lizzie, a jak dalej?

– To wystarczy.

W samochodzie Ray słuchał jakiejś rzewnej irlandzkiej piosenki. Jego definicja muzyki łatwej, lekkiej i przyjemnej.

– Co wiesz o Konsorcjum Wiejskim?

Wyłączył kasetę i ruszył. W każdą niedzielę spacerował po wzgórzach. Nie znałam nikogo innego, kto dysponowałby tyloma informacjami na temat najbliższej okolicy.

– Cholerne gnojki.

Jak na Raya była to bardzo ostra reakcja. Zdziwiłam się. Przez chwilę myślałam, że mógłby być ich członkiem.

– Co z nimi nie tak?

Wyjaśnił, że Konsorcjum zrzesza właścicieli ziemskich, którzy próbują ograniczyć prawo do wędrowania po ich ziemi. Drani z miasta uważających, że powinno im się pozwolić na krwawe polowania na borsuki i odstrzał drapieżników. Myśliwych, którzy myśleli, że demokracja ich nie do-

tyczy. W opinii Raya byli ostatnimi szumowinami. Nic z tych rzeczy nie pasowało do Ronniego Lainga. Był łagodny i uprzejmy. Podejrzewałam, że jego poparcie dla Konsorcjum to podstęp, który ma mu zapewnić wzrost sprzedaży samochodów z napędem na cztery koła wśród miejscowych farmerów, ale nawet to wydawało się jak na niego zbyt wyrachowane. Uznałam, że Ray musi się mylić.

Tego wieczoru nie mogłam przestać myśleć o Ronniem Laingu. Mam skłonność do popadania w obsesję. To część mojej osobowości. Od czasu do czasu w mojej głowie pojawiają się obrazy, które krążą po niej niczym irytująca piosenka. Najbardziej denerwowało mnie to, że nie mogłam go nigdzie przyporządkować. Nie umiałam ustalić, z jakiej klasy pochodził, jego wykształcenia ani nawet wieku. Zwykle jestem w tym dobra. Ray i Jess zaproponowali, żebym poszła z nimi do pubu, ale zostałam w domu. Leżałam na łóżku, wspominając chwilę, gdy poczułam dotyk Ronniego, i jego cichy głos, wysiłek, który wkładał w to, by ukryć jąkanie, a także szczupłe, wysportowane ciało pod garniturem. Wciąż jeszcze nie spałam, gdy zegar na wieży kościoła wybił trzecią. Wzięłam tabletkę nasenną i w końcu odpłynęłam.

Rozdział dziesiąty

Być może z powodu tabletki następnego dnia czułam się dziwnie rozkojarzona. Kiedy się obudziłam, Jess rozwieszała ręczniki do wyschnięcia na podwórku. Pralka się zepsuła i ich nie odwirowała, więc były bardzo mokre, ciężkie i kapała z nich woda. Rozwieszenie tego wszystkiego kosztowało Jess sporo wysiłku. Nie poszłam jej pomóc, choć zastanawiałam się przez chwilę, czy nie przeznaczyć części pieniędzy na zakup nowej pralki.

– Wszystko w porządku?

Odwróciła się do mnie z plastikowym koszem na pranie w rękach. Stałam w drzwiach kuchni, okutana w wielki sweter, mimo że nie było zimno.

– Nie wiem. To chyba grypa.

Nie kontynuowała śledztwa, choć przyjrzała mi się jeszcze raz uważnie, a potem weszła do domu, żeby zrobić mi napar z cytryny.

– Idź do łóżka – zakomenderowała. – Zaraz przyniosę ci picie.

– Muszę iść. Mam robotę.

Tego też nie skomentowała. Nie podobało jej się to, ale pozwoliła mi wyjść.

Poprzedniego wieczoru poszłam do biblioteki w wiosce, by przejrzeć książkę telefoniczną hrabstwa Tyne and Wear w nadziei, że znajdę adres Kay i Ronniego Laingów. Niestety, osoby o tym nazwisku w niej nie figurowały. Mogłabym odłożyć znalezienie matki Thomasa na inny dzień, poczekać, aż poczuję się lepiej, ale, jak już wspominałam, jestem obsesjonatką. Nie mogłam odpuścić.

Na zdjęciu, które widziałam w North Shields, wnuczki pani Mariner miały na sobie jaskrawożółte bluzy z dużym brązowym napisem St. Cuth-

bert's Primary School. Była tylko jedna szkoła o takiej nazwie w Whitley Bay i jej adres znajdował się w książce telefonicznej.

Zjawiłam się trochę za wcześnie. Był to stary budynek zbudowany z szarego kamienia, z oddzielnymi wejściami dla chłopców i dziewcząt. Podwórko pokryto namalowanymi kredą oznaczeniami do gry w klasy i otoczono czarnymi barierkami z kutego żelaza. Kiedy uczniowie wyszli na boisko z koszem pełnym skakanek i piłek, przeszłam na drugą stronę ulicy. Nie chciałam zostać przyłapana na gapieniu się na dzieci. W pobliżu starego dworca autobusowego była kawiarnia. Usiadłam przy stoliku i zamówiłam herbatę, którą nalano mi z dużego żelaznego dzbanka. Piłam i patrzyłam na wskazówki zegara, które przesuwały się w kierunku godziny trzeciej. Dopiero gdy wychodziłam, przyszło mi do głowy, że mogłam coś zjeść.

Przy bramie, pośrodku toru przeszkód w postaci dziecięcych wózków, czekała grupka matek, babć i zadufanych w sobie ojców. Stanęłam na jej skraju, starając się wyglądać tak, jakbym do niej należała. Zaczynałam panikować. Małe dziewczynki w żółtych bluzach wyglądają bardzo podobnie. Jak je rozpoznam?

– Nie widziałam tu pani wcześniej – zagadnęła mnie kobieta w średnim wieku w wygodnym, nieco nieporządnym ubraniu i z lekką nadwagą.

– Zgadza się – odparłam, czując wzbierającą panikę. – Przyszłam po dzieci siostry.

W następnej chwili pomyślałam, że to głupie wytłumaczenie, i zaczęłam w duchu błagać, by nie zapytała mnie o nazwisko.

– W czwartki się spóźniają. Ćwiczą hymn. Pan Cryer zawsze to przeciąga.

– No tak. – Poczułam, że mój oddech staje się bardziej regularny, i spróbowałam przypomnieć sobie instrukcje nauczyciela jogi ze szpitala. – Zapomniałam.

Odwróciła się, by porozmawiać z kimś innym.

W końcu dzieci wyszły i od razu poznałam wśród nich wnuczki pani Mariner. Były w pierwszej grupie, schludne, w identycznych plisowanych spódnicach i sandałach z lakierowanej skóry. Wydawało się, że zmierzają prosto do mnie, ich twarze błyszczały entuzjazmem, a warkocze podskakiwały. Wiedziałam, że aż się palą, by opowiedzieć komuś o swoim dniu w szkole, i prawie przyklękłam, żeby ich posłuchać. Miały książeczki pełne naklejek i złotych gwiazdek, a ja chciałam je zobaczyć. Jednak przemknęły obok mnie i podbiegły do kobiety w średnim wieku, która opowiedziała mi o panu Cryerze i ćwiczeniu hymnu. Akurat kończyła rozmowę z matką, która wyglądała, jakby właśnie wyszła z siłowni, podczas gdy dziewczynki ciągnęły ją za sweter i domagały się uwagi.

To nie była Kay Laing. Widziałam w miarę aktualne zdjęcie Kay w biurze Ronniego i nawet jeśli nagle przybrała na wadze, z pewnością nie zaryzykowałaby pojawienia się przed szkołą w przetartych na kolanach leggingsach i zaplamionej farbą koszulce. To musiała być opiekunka do dzieci. Skinęła mi przyjaźnie głową, wzięła dziewczynki za ręce i odeszła.

Poczekałam, aż pani stopek przeprowadzi je na drugą stronę ulicy, a potem ruszyłam za nimi. Na szczęście kobieta nie rozglądała się dookoła. W końcu zaczęła zwracać uwagę na to, co mówią dzieci, uśmiechała się i wypowiadała słowa zachęty. Dotarły do szeregu sklepów z witrynami wychodzącymi na szeroki chodnik. Kobieta otworzyła drzwi kiosku i przytrzymała je, by dziewczynki weszły do środka. Stałam po drugiej stronie ulicy i oglądałam ogłoszenia wiszące w witrynie biura nieruchomości, a gdy wyszły z kiosku, trzymając w rękach lody, wpatrzyłam się w ich odbicia w szybie.

– Lizzie Bartholomew! Co ty tutaj robisz?

Nie zauważyłam go. Poczułam nagły skok adrenaliny, który sprawił, że chciałam uciec.

Odwróciłam się jednak powoli. Byłam tak bardzo skupiona na kobiecie i dwóch małych dziewczynkach, że przez chwilę nie mogłam go rozpoznać.

– Dan Meech! – krzyknęłam w końcu. Byłam tak zadowolona, że przypomniałam sobie, jak się nazywa, że mój okrzyk zabrzmiał, jakbym zobaczyła

dawno niewidzianego brata. Klepnęłam go w plecy, bo założyłam, że tego właśnie oczekiwał. Kiedyś strasznie mi się podobał. Na studiach zaliczyliśmy kilka randek, ale okazało się, że woli tyczkowate blondynki. Rzucił mnie dla dziewczyny ze swojego kierunku, bo stwierdził, że jesteśmy zbyt do siebie podobni. Oczywiście tylko tak gadał. Nieziemska z niej była laska. On pasjonował się teatrem, ona baletem. Niby jak miałabym z nią konkurować?

Myślałam, że dobrze znoszę to spotkanie, ale sądząc z jego reakcji, chyba się myliłam.

– Hej, Liz. Wszystko w porządku? – zapytał i chwycił mnie za rękę, jakbym potrzebowała asekuracji.

Spojrzałam na ulicę za nim i wydukałam:

– Tak, Dan… Oczywiście…

Opiekunka i dziewczynki zdążyły już zniknąć.

– Słuchaj, Dan, bardzo mi się spieszy… Muszę już iść. Do zobaczenia.

Pobiegłam szybko ulicą. Kiedy się odwróciłam, zauważyłam, że Dan stoi w miejscu, w którym go zostawiłam. Wyglądał tak, jakby na zajęciach z pantomimy dostał zadanie: „wyrazić zaskoczenie i dezorientację". Zawsze miał skłonność do dramatyzowania.

Wciąż nigdzie nie widziałam opiekunki i dziewczynek. Bałam się, że weszły do jednego z domów i jutro znów będę musiała odegrać rolę troskliwej cioci czekającej na dzieci siostry. Nie wiedziałam, czy sobie z tym poradzę. Znajdowałam się teraz w elegantszej części Whitley Bay. Duże edwardiańskie domy wznosiły się w pewnej odległości od chodnika. Za pomalowanymi drewnianymi bramami widziałam długie ogrody z drzewami owocowymi i trawnikami w paski. Równoległe do siebie uliczki odchodziły od głównej ulicy, przy której stał rząd niewielkich sklepików sprawiających wrażenie wioski. Nie postrzegałam tego miejsca jako okolicy, w której mogłaby mieszkać opiekunka do dzieci. Tutejsze domy kosztowały krocie. Najwidoczniej zaprowadziła dziewczynki nie do siebie, ale do ich domu rodzinnego. Problem w tym, że nawet nie wiedziałam, w którą ulicę skręciła.

Przestałam biec. Zwracałam na siebie zbyt dużą uwagę. Ludzie się na mnie gapili, pewnie mieli mnie za wariatkę. Znowu zmusiłam się do wolniejszego oddychania, a potem zaczęłam systematycznie przeszukiwać okolicę.

Ulice biegły prosto jak wyznaczone przy linijce. Chociaż na skraju chodników posadzono drzewa, widziałam wszystko, co znajdowało się na całej ich długości. Na pierwszej ulicy dostrzegłam grupę starszych dzieci obciążonych futerałami na skrzypce i plecakami z książkami. Nie było z nimi nikogo dorosłego. Druga ulica okazała się pusta. No dobrze. Chyba czas się poddać. Może uda mi się znaleźć Dana i namówić go, żeby wpadł na drinka. Słyszałam, że prowadzi amatorską grupę teatralną i zawsze jest spłukany. Prawdopodobnie mogłabym kupić pół godziny towarzystwa za cenę kufla. Albo dwóch.

Nagle usłyszałam za sobą głosy. Dziecięce głosy. Za sobą ujrzałam dziewczynki i opiekunkę. Ta ostatnia niosła reklamówkę z nadrukiem Alldays Convenience Stores. Cały czas były w sklepie, a ja w panice przebiegłam obok nich. Stałam na chodniku jak skończona kretynka, rozglądając się dookoła. Nie było gdzie się schować. Kobieta podeszła do mnie.

– Szybko się ich pani pozbyła – powiedziała.

– Słucham?

– Dzieci swojej siostry.

– A, tak. – Musiała pomyśleć, że jestem niespełna rozumu. – Zmiana planów.

– Mieszka pani w okolicy? – W jej głosie dała się słyszeć nutka zazdrości, co potwierdzało, że sama tu nie mieszkała.

– Chciałabym. Przyszłam do przyjaciółki.

Uśmiechnęłyśmy się konspiracyjnie. Przez chwilę łączyła nas niechęć do tych wszystkich bogatych drani w ich wielkich domach. A potem kobieta ruszyła dalej.

Stałam na rogu i patrzyłam za nią, licząc domy, dopóki nie weszła do jednego z nich. Nie obejrzała się za siebie. Dom Laingów miał ganek i nie-

bieskie drzwi wejściowe, a w ogrodzie od frontu rosła magnolia. Z pewnością go rozpoznam. Nie byłam pewna, co robić. Miałam wybór. Mogłam skoczyć na drinka z Danem albo podjąć wysiłek, żeby zobaczyć się z Kay. Cichy pub późnym popołudniem, w którym tylko kilku pijaków rywalizowało o uwagę barmana, wydawał się atrakcyjną perspektywą. Dan z pewnością by się na to pisał. Pogadalibyśmy o uniwerku, nadrobili plotki o starych znajomych. Prawdopodobnie nadal stał na głównej ulicy, wyrażając zakłopotanie i zdziwienie. Ja jednak chciałam się spotkać z Kay Laing. Była już za piętnaście czwarta. Pracowała w przedszkolu. Opiekunowie odbierali dzieci pewnie do trzeciej trzydzieści. Pozostawało jeszcze sprzątanie, być może jakieś spotkanie z pracownikami, ale w sumie mogła być w domu lada chwila. Nie zdając sobie do końca sprawy z tego, że właśnie podejmuję decyzję, oparłam się o budkę telefoniczną na rogu i czekałam przy coraz większym ruchu. Nie odwracałam wzroku od niebieskich drzwi wejściowych.

Wróciła do domu prawie godzinę później. Wiedziałam, że minęła godzina, bo popatrzyłam na zegarek, ale wydawało mi się, że tkwiłam tam zaledwie od kilku minut. Nie umiem powiedzieć, o czym myślałam. Zajechała po dom jaskrawoniebieską nowiutką corsą. Takiego samochodu Ronnie na pewno nie miał na stanie. Ponieważ zatrzymała się na poboczu, w pierwszej chwili pomyślałam, że chce tam zostawić auto. Ona jednak otworzyła bramę podwójnego garażu i wjechała do środka. Pięć minut później z domu wyszła opiekunka. Jedna z dziewczynek pomachała do niej z okna sypialni, ale ona tego nie zauważyła. Bałam się, że znów wpadnie na mnie, ruszyła jednak w przeciwnym kierunku. Poczekałam, aż zniknie mi z oczu, po czym podeszłam do domu.

Rozdział jedenasty

Kay Laing otworzyła drzwi z takim impetem, jakby spodziewała się, że stoi za nimi brudny bezrobotny sprzedający ścierki do naczyń. Najwyraźniej nie miała zbyt wielu przyjaciół, którzy wpadają bez zapowiedzi. Przebrała się ze spódnicy i żakietu, które nosiła do pracy, w szary dres i białe tenisówki. Bardzo białe tenisówki.

– Tak?

Oto kobieta, w której Philip kochał się ponad dwadzieścia lat temu, matka jego dziecka. Oczywiście wtedy była zupełnie inna. Pewnie nawet dość ładna, choć dość banalnym rodzajem urody. Na tym właśnie polegał problem. Nie byłam zazdrosna, nic z tych rzeczy. Rozczarowałam się. Spodziewałam się po Philipie trochę więcej. Że zakocha się w kimś innym, bardziej ekscytującym.

– O co chodzi? – zapytała i zrobiła taki ruch, jakby zamierzała zatrzasnąć mi drzwi przed nosem. Pokazałam jej swój identyfikator.

– Lizzie Bartholomew z wydziału odpowiedzialności karnej młodzieży.

Nie byłam pewna, czy w North Tyneside w ogóle istnieje taki wydział i czy dziewiętnastoletni Thomas Mariner nie jest już ciut za stary, by mu podlegać, ale opieka społeczna to labirynt, w którym mało kto się orientuje. Nie sądziłam, żeby Kay Laing należała do tych wybrańców.

– On już tu nie mieszka.

– Wiem o tym, pani Laing. Chcę tylko porozmawiać.

Stojąc tak z Kay, czułam się lepiej niż przez cały dzień. Po raz pierwszy kontrolowałam sytuację. Philip byłby ze mnie dumny. Po drugiej stronie żywopłotu staruszek sąsiad pielił grządki. Gdyby nie on, Kay nie byłaby tak wyrozumiała. Nie chciała, żeby usłyszał, że jest niegrzeczna.

– Niech pani wejdzie.

Przez otwarte drzwi widziałam dzieci siedzące przy stole w kuchni. One też się przebrały – jedno w różowe ogrodniczki i pasującą do nich kwiecistą koszulę, drugie w niebieską. Wiedziałam, że ich mundurki zostały starannie złożone, przygotowane na następny dzień.

Wypełniały zeszyty ćwiczeń. Wydawało mi się, że są za młode na odrabianie lekcji, ale żadna ze szkół, do których chodziłam, nie była taka jak St. Cuthbert's. Poza tym może coś się zmieniło.

Pokój dzienny był żółto-biały. Wycyklinowane podłogi, dwie duże jasnobeżowe sofy z żółtymi narzutami. Piec opalany drewnem, o tej porze roku zimny. Nie tego się spodziewałam. Pomyślałam, że to nie w stylu Kay. Ona wybrałaby coś bardziej szykownego i wygodnego, na przykład kominek gazowy. W takim razie to Ronnie... Byłam pod wrażeniem.

– Co tym razem przeskrobał Thomas? – zapytała Kay. – Wie pani, że skończył osiemnaście lat. Odpowiada za siebie.

– Wiem.

– Wiele razy próbowaliśmy. I zapewnialiśmy mu wszystko, co chciał.

Zatoczyła dookoła ręką. Ten gest obejmował nie tylko pokój, ale w ogóle cały dom i wszystko, co sobą reprezentował.

– Rozumiem.

Usiadła wyprostowana na jednej z sof. Ja zajęłam drugą. Czułam się tu dobrze, byłam odprężona, pewna, że mogę uzyskać informacje, których pragnęłam.

Od pierwszej chwili nie lubiłam Kay Laing i to mi pomogło. Nie miałam nic przeciwko okłamywaniu jej. Wyobrażałam sobie Ronniego jako zdominowanego pantoflarza. Jednocześnie planowałam przebieg naszej rozmowy. Postanowiłam, że nie będę zadawać zbyt wielu bezpośrednich pytań. Mogłaby się zorientować, jak mało wiem.

– To musiało być dla niego trudne – stwierdziłam. – Przeprowadzka tutaj, nowa rodzina, nowi przyjaciele...

– Łatwo jest go usprawiedliwiać – odparła. Starała się brzmieć rozsądnie. Rozmawiałyśmy jak profesjonalistki.

– Nie usprawiedliwiam. Próbuję zrozumieć.

– Wszyscy obwiniają rodzinę – powiedziała. – To właśnie tak mnie denerwuje.

Nie wyglądała na rozzłoszczoną, jeśli już, to na zgorzkniałą, rozgoryczoną.

– Nikogo nie obwiniam. Naprawdę.

Prychnęła, jakby nie można było wierzyć we wszystko, co powie pracownik socjalny.

– Zajmuję się tą sprawą od niedawna. Czy mogłaby mnie pani zaznajomić z pewnymi szczegółami? Rozumiem, że Thomas nigdy nie poznał swojego ojca?

– Co to ma do rzeczy?

Wystraszyłam się, że każe mi wyjść.

– Przepraszam. Nie chciałam się wtrącać.

Udało jej się zachować panowanie nad sobą.

– Nie chciałam utrzymywać relacji z ojcem Thomasa. To by się nie udało. Miał inne zobowiązania.

Dziwne. Philip nie był jeszcze wtedy żonaty z Joanną. Związał się z nią później, po studiach i rozpoczęciu pracy. Jakie zobowiązania miała na myśli? Czyżby Stuart Howdon zataił przede mną jakieś niewygodne szczegóły? Poprzednie małżeństwo? Inne dzieci? Chciałam wiedzieć, ale to nie był odpowiedni moment na drążenie tematu.

– Thomas był blisko związany z dziadkami, prawda? – zapytałam.

– Tak, ale oni go rozpieszczali. A ja nie chciałam kupować jego miłości. Nigdy się z tym nie pogodził.

Zastanawiałam się, co Ronnie widział w tym krówsku. Z kuchni dobiegł nas krzyk. Jedna z dziewczynek chciała czegoś do picia, Kay wyszła, żeby jej coś przygotować. Zdałam sobie sprawę, że musiała sobie radzić z po-

dobnymi żądaniami przez cały dzień. Być może oceniałam ją nieco zbyt surowo. Ja też wstałam. Byłam roztrzęsiona – za dużo kofeiny, za mało jedzenia – i nie mogłam usiedzieć w miejscu. Na jednej ze ścian wisiało zdjęcie drzew w zimie, światło słoneczne przeświytywało przez nagie gałęzie. Obok, na białej półce, stały książki. Niewiele tam było beletrystyki – trochę klasyki (zapewne pozostałej z czasów studiów Kay) i thrillerów. Większość stanowiły książki przyrodnicze i podróżnicze, biografie odkrywców i książki o przetrwaniu w dziczy. Nie było nic innego, co mogłoby mnie zainteresować, więc poszłam za Kay do kuchni.

Na początku mnie nie zauważyła. Stała pogrążona w myślach, w jednej ręce trzymając butelkę z mlekiem, a w drugiej plastikowy kubek. Wokół niej znajdowały się dowody jej uporządkowanego życia: kalendarze, notatki, listy. Na tablicy wisiała ulotka informująca o tym, że stowarzyszenie Żony Metodystów organizuje wycieczkę do opactwa Hexham. „Prosimy o zabranie ze sobą drugiego śniadania. W drodze powrotnej zapewniamy obiad (ryba z frytkami)".

– Kiedy poznałam Ronniego, uznałam, że to będzie dobre dla Thomasa. Nie chodzi o to, że tego nie przemyślałam. Miał jedenaście lat, w tym wieku chłopiec potrzebuje ojca. A Ronnie nie miał nic przeciwko temu, że wniosłam w posagu dziecko. Zupełnie nie. Powiedział, że oczywiście pewnego dnia założymy własną rodzinę, ale zawsze chciał mieć syna. No i miał ten dom. Tyle miejsca...

Ciekawe, czy inne żony metodystów nie były zazdrosne, pomyślałam złośliwie. Na pewno skręcało je, gdy Kay przeprowadziła się do eleganckiego domu położonego przy najbardziej pożądanej ulicy w Whitley Bay. I pewnie cieszyły się w duchu, gdy Thomas wpadł w kłopoty i wszystko zaczęło iść źle.

– Ale Thomas w ogóle nie próbował go polubić. Ronnie bardzo się starał. Nie było mu łatwo, kiedy dorastał, i rozumiał to. Thomasa zawsze przepełniała energia. Ronnie porównał go kiedyś do niewytresowanego szczeniaka. Wystarczyło, że się obrócił, a już coś przewracał. Ronnie nie miał

pretensji. Zabierał Thomasa na wędrówki i wspinaczki. Myślałam, że mu się to spodoba. Ćwiczenia na świeżym powietrzu…

Z moich doświadczeń wynikało, że nastolatki nie znoszą ćwiczeń. I reagują alergicznie na świeże powietrze.

– Na początku wydawało się, że faktycznie przypadło mu to do gustu. Mówił nawet o jakiejś szkole przygotowującej do zawodu leśnika albo o czymś związanym z ochroną przyrody. Ale ta faza nie trwała długo. I nie przeszkadzało mu to robić rzeczy, których nie tolerowaliśmy. Palił, chociaż oboje się tego brzydzimy. I wagarował. Nauczyciele mówili, że chce w ten sposób zwrócić na siebie uwagę. Jakbym nie wiedziała. Pod koniec roku szkolnego przyłapano go na kradzieży w sklepie. Wyobraża sobie pani, jakie to było dla mnie upokarzające? Uczę cudze dzieci, a nie panuję nad własnymi. Ludzie patrzą na mnie tak, jakbym to ja była winna tego, co się z nim stało, ale to nieprawda. Nie wezmę na siebie odpowiedzialności. Thomas musi to zrobić.

– Czy zastanawiała się pani nad rozmową o problemach Thomasa z jego biologicznym ojcem?

– Nigdy. Ostatni raz widzieliśmy się jeszcze przed narodzinami syna.

– Jaki był Thomas w domu?

– Ciągle sprawiał kłopoty. Był wybuchowy i niegrzeczny. Ze wstydu przestałam zapraszać gości.

A co z nim? – pomyślałam. Czy zapraszał tu swoich przyjaciół? Czy też wstydził się ciebie?

Siedziała tam, sztywna, jakby połknęła kij od szczotki. Taki typ kobiety. Momentalnie bym ją znienawidziła, gdybym spotkała ją na jakiejś konferencji albo w sali sądowej. Jedna z tych, co to każdego ranka suszą włosy, a w torebce trzymają na wszelki wypadek małą paczkę chusteczek higienicznych i agrafkę. Jej życiem rządziły harmonogramy i zasady. Ale ja pamiętałam, co powiedziała pani Mariner: gdy urodziło się jej dziecko, wpadła w rozpacz. Chciałam do niej jakoś dotrzeć.

– Nie tęskni pani za nim?

Odchyliła głowę i popatrzyła mi prosto w oczy.

– Powiem pani, za czym nie tęsknię. Nie tęsknię za wymiocinami w łazience, kiedy przychodził o pierwszej w nocy po pijackiej imprezie, nie tęsknię za głośną muzyką w jego pokoju i za jego szemranymi znajomymi. Nie tęsknię za wizytami policji po skargach sąsiadów.

Wszystko to wydawało się nieodłącznym elementem bycia rodzicem. Kiedy człowiek ma dzieci, powinien wiedzieć, że zaczną dorastać. Naprawdę oczekiwała, że jej córeczki w wieku szesnastu lat będą grzecznie siedziały w domu, odrabiając lekcje? W piątkowy wieczór będą raczej pokazywać majtki w nocnym klubie Idols w Whitley i pochylone nad murkiem na nabrzeżu rzygać do morza. Właśnie tak. Potem spróbowałam spojrzeć na to z perspektywy Kay. Jedna chwila wolności i bum! – zaszła w ciążę. Może po prostu była nadopiekuńcza.

– Co było tą ostatnią kroplą? – zapytałam.

– Nie rozumiem.

– Co sprawiło, że postanowiliście go wyrzucić?

– Nie wyrzuciliśmy go. Miał wybór. Mógłby zostać, gdyby zgodził się przestrzegać naszych zasad.

– Coś musiało doprowadzić do postawienia takiego ultimatum.

– Przykro mi, ale nie chcę o tym rozmawiać.

Czyżby przyłapała go na szprycowaniu się w jej nieskazitelnie czystej kuchni? Albo na uprawianiu seksu na ich małżeńskim łóżku? Tak czy owak, nie była gotowa, by się z tym teraz zmierzyć.

– Czy Thomas ma dziewczynę?

– O żadnej nie raczył mi powiedzieć.

Co to w ogóle za odpowiedź?

– Podchodził w ogóle do jakichś egzaminów?

– Tylko do tego w podstawówce. Do matury już nie. A i ten egzamin zdał na prawie samych trójczynach. Z angielskiego miał czwórkę. No i oczywiście piątkę z muzyki. Ale ma bzika na punkcie muzyki.

Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mówiła o tym z takim lekceważeniem. Te oceny wcale nie były takie złe, zwłaszcza jeśli opuszczał dużo zajęć. Ale może powinnam się cieszyć, że w ogóle o nich pamiętała.

– Co robił po rzuceniu szkoły?

– Całymi dniami leżał w łóżku.

– Nie miał pracy?

– O jakiej pracy pani mówi? Chciał zostać gwiazdą rocka. Tak nam powiedział.

Ta sarkastyczna odpowiedź sprawiała wrażenie wyćwiczonej.

– Miał jakiś zespół?

– Pewnie tak.

Nie rozumiałam, jak można być tak głupim. Muzyka była pasją tego chłopaka, ale ona nie podjęła najmniejszego wysiłku, żeby zrozumieć, czym się zajmował. Nie mogłam jednak na nią naciskać. Gotowa przypomnieć sobie, że nawet nie zdradziłam powodu swojej wizyty.

– Dobry był?

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– Niby skąd mam wiedzieć?

– Nie była pani na żadnym jego koncercie?

– Byłam ostatnią osobą, której by tam chciał. Nie robił tu też prób. Mamy starszych sąsiadów. Nie zgodziliby się na to. Jego zespół ćwiczył w garażu jakiegoś innego rodzica. Jak twierdził Thomas, bardziej tolerancyjnego od nas. Od czasu do czasu występowali w jakimś pubie. Trudno to nazwać karierą.

– Czy Thomas w ogóle gdzieś pracuje?

Przez dłuższą chwilę milczała. Zastanawiałam się, dlaczego tak trudno jej przyznać, że syn zaczepił się u Harry'ego Poola. Czyżby wolała, żeby Thomas pozostawał bezrobotny, bo to usprawiedliwiłoby wyrzucenie go z domu? A może była aż taką snobką, że nie mogła znieść myśli, że jest zaledwie fakturzystą u przyjaciela jej ojca?

– Pracuje w firmie przewozowej. Żadnych perspektyw. – Spojrzała na mnie. – To nie jest głupi chłopak. Przy odrobinie wysiłku mógłby pójść na studia. Denerwuje mnie, że marnuje swój potencjał.

Rzeczywiście wyglądała na zdenerwowaną. Tak mocno zacisnęła pięści, że kłykcie aż pobielały.

– Nie przepadam za ludźmi, z którymi tam przebywa. Nieciekawe typy.

– Polubił tę pracę?

– Wstawał z łóżka, żeby się nie spóźnić, więc chyba tak. Nigdy nie mógł się zmusić do robienia czegoś, czego nie chciał. Poza tym zupełnie nieźle zarabia. Podejrzewam, że posiadanie pieniędzy daje mu dużo radości.

– Kiedy się wyprowadził?

– Jakieś cztery miesiące temu.

– I od tego czasu go pani nie widziała?

– Nie.

– A jak dogadywał się z pani córkami?

Nie spodziewała się tego pytania.

– Rozpieszczał je, a one go uwielbiały.

– Rozumiem, że były smutne po jego odejściu?

– Dzieci w tym wieku łatwo się przyzwyczajają.

– Odwiedził je kiedyś?

– Nie był zaproszony.

Nic nie powiedziałam, ale ona kontynuowała, jakbym oskarżyła ją o bezduszność.

– Nie chcieliśmy ich znowu niepokoić. Zdążyły się już przyzwyczaić do jego nieobecności. Po co zakłócać im spokój? Na moim synu nie można polegać. Obieca, że nas odwiedzi, a potem się nie pojawi. Albo przyjdzie pijany. Dziewczynki widziały już wystarczająco dużo. Nie chcę ich narażać na więcej.

– Czy kiedykolwiek przyszedł znienacka? Nieproszony?

– Nie było mnie wtedy w domu. Wpuściła go Cath, opiekunka do dzieci.

– I co się stało?

– Dziewczynki ucieszyły się na jego widok. Oczywiście. Kupił im całą torbę słodyczy. Przez to były nadpobudliwe, nie mogły spać. To nie było dla nich dobre. Powiedziałam Cath, żeby nie zachęcała go do tych wizyt.

– I już nie wrócił?

– Próbował jeszcze parę razy. Ale od kilku tygodni już nas nie niepokoi.

– Nie zgłosił się również do nas, chociaż wysłałam mu kilka listów. Znajdę go pod tym samym adresem, co ostatnio?

Po raz pierwszy spojrzała na mnie z niepokojem.

– Powinniście wiedzieć o tym więcej ode mnie. To w końcu wy znaleźliście mu to miejsce. To znaczy Absalom House, schronisko przy Bennet Street.

– Oczywiście. Tylko że ostatnio jest nieuchwytny.

Wstałam. Mimo mojej fascynacji Ronniem Laingiem wolałam, żeby mnie tutaj nakrył. Ale chociaż Kay do tej pory niezbyt chętnie ze mną rozmawiała, nagle nie chciała mnie puścić.

– Chce pani powiedzieć, że zaginął?

– Oczywiście, że nie. Nic z tych rzeczy.

– Wszystko u niego w porządku, prawda? – zapytała.

– Jestem pewna, że tak.

– Czy mogłaby pani do mnie zadzwonić, gdy uda się pani z nim porozmawiać? Wystarczy dać mi znać. To mój numer służbowy.

Zapisała go starannie na kartce. Dlaczego nie chciała, żebym dzwoniła do niej do domu? Przecież nie mogła się bać Ronniego. Może lubiła oddzielać od siebie różne obszary życia i dla Thomasa nie było już tutaj miejsca.

Stałam już w drzwiach, kiedy zawołała za mną:

– Myślałam, że robię, co trzeba. Łączyła nas trudna miłość. To chyba właśnie tak się nazywa?

Podejrzewam, że przeczytała o tym w jakimś czasopiśmie dla kobiet. A może żony metodystów wygłosiły na ten temat pogadankę? Dla mnie

była to tylko wymówka.

Rozdział dwunasty

Absalom House w zabudowie szeregowej stał przy zaniedbanej ulicy biegnącej znad brzegu morza. Kiedy popularne były rodzinne wakacje nad morzem, a robotnicy z przemysłowej nizinnej Szkocji uważali, że Whitley Bay będzie wspaniałym miejscem do spędzenia kilku tygodni w sierpniu, w budynku mieścił się zapewne hotel. Teraz podrzucano tu bezdomnych młodych ludzi.

– To nie jest schronisko – oświadczyła oburzonym tonem kobieta, która odebrała mój telefon. – To znaczy, nie jesteśmy jednym z tych miejsc, z których wygania się kogoś po śniadaniu, a wpuszcza dopiero na kolację. Jesteśmy prawdziwą wspólnotą.

Może i tak, ale głos sztywniaczki z klasy średniej wskazywał, że raczej tam nie mieszkała. Bardziej prawdopodobne, że co wieczór wracała do ładnego domu w ładnej okolicy. Mogła być sąsiadką Laingów. Wątpię, czy miała bliski kontakt z mieszkańcami. Wyobrażałam ją sobie jako jedną z pracownic socjalnych z mojego dzieciństwa, zamkniętą w swoim gabinecie i piszącą raporty, podczas gdy my kłóciliśmy się na dworze, spragnieni towarzystwa dorosłych i wsparcia.

Tym razem wymyśliłam inną przykrywkę. Powiedziałam, że jestem dziennikarką, która przygotowuje artykuł o młodych uciekinierach. Była zdystansowana, dopóki nie zasugerowałam, że rozgłos pomoże w gromadzeniu funduszy, i obiecałam, że nie wykorzystam danych mieszkańców bez ich zgody. Gdybym powiedziała, że jestem pracownikiem socjalnym, pewnie łatwiej skruszyłabym jej opór, jednak trudniej byłoby mi coś wyciągnąć z Thomasa i jego kolegów.

Raz jeszcze poprosiłam Raya o podwózkę. Zapewnił, że ma prawie po drodze, choć dobrze wiedziałam, że w tej chwili pracuje w Berwick, które leżało w przeciwnym kierunku. Nie odzywał się przez całą Spine Road. Po prostu siedział ze wzrokiem wbitym w drogę i z głupkowatym, rozmarzonym uśmiechem na twarzy.

– Jakie masz zamiary wobec Jess? – zapytałam nagle. Chciałam wiedzieć, jak się sprawy mają. Chyba zabrzmiałam jak zły ojciec pytający o intencje zalotnika córki, bo się zarumienił.

– Myślę, że chcę się z nią ożenić – powiedział.

– Myślisz, że chcesz, czy chcesz?

– Chcę.

– A co ona na to?

– Jeszcze nie znalazłem w sobie odwagi, żeby zapytać.

Ale chciał. Można to było poznać po jego rozmarzonym uśmiechu. Nie przestawał o niej myśleć. Towarzyszyła mu przy każdym zepsutym bojlerze i cieknącym kaloryferze. Korciło mnie, by zapytać, co w takim razie stanie się ze mną. Sprzedadzą dom w Newbiggin? Czy zatrzymają go dla siebie? W końcu nic nie powiedziałam. Zostawiłam go samego z jego słodkimi fantazjami. Jednak myśl o zamążpójściu Jess potęgowała moją nerwowość i niepewność. Jeśli zamieszka z Rayem, gdzie się podzieję?

Kolejny wstrząs nastąpił, gdy drzwi otworzył mi Dan Meech. Wpatrywaliśmy się w siebie, stojąc w progu. W środku rozbrzmiewała muzyka. Przez otwarte drzwi zobaczyłam kilku chłopaków kłócących się przy stole bilardowym, ale nie zwrócili na nas uwagi. Byłam zakłopotana. Pomyślałam, że może Dan tam mieszka. Nigdy dużo nie zarabiał. Podobnie jak większość aktorów przez większość czasu był bez pracy. Niewykluczone, że Acting Out, jego amatorska grupa teatralna, w końcu rozwiązała się z powodu braku zainteresowania. Podejrzewam, że czuł się równie niezręcznie jak ja. Zachowywałam się bardzo dziwnie, gdy spotkaliśmy się dzień wcześniej przed agencją nieruchomości. Być może słyszał plotki o incydencie w Blyth (takie rzeczy trudno utrzymać w tajemnicy) i wyobrażał sobie, że przechodzę załamanie nerwowe i wyrzucono mnie na ulicę.

Ciszę przerwał głos kobiety, z którą rozmawiałam przez telefon. Dobiegał z podestu schodów na piętrze. Wkrótce pojawiła się ekscentryczna kobieta w długiej aksamitnej spódnicy, powłóczystych szalach i wielkich butach. Miała pofarbowane na rudo włosy zaczesane na bok i usta pociągnięte bardzo jasną szminką, która odstawała od ich konturu. Była starsza, niż sugerował głos, i całkowicie różniła się od osoby, którą sobie wyobrażałam.

– Pani Bartholomew, prawda? – zapytała. – Proszę wejść. Dan, to dziennikarka, która obiecała nam pomóc. To Dan Meech, jeden z moich współpracowników. Tylko on i ja tutaj mieszkamy.

To tyle, jeśli chodzi o moje z góry wyrobione opinie.

– Lizzie i ja jesteśmy starymi znajomymi – powiedział Dan. – Studiowaliśmy razem. Czyli ostatecznie zostałaś dziennikarką, Lizzie?

Nie zdradził mnie, ale zarazem dał mi jasno do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– Oprowadzisz panią? – zapytała kobieta. – Właśnie dzwonił do mnie opiekun Charliego. Jego matka chce, żeby wrócił do domu. Coś mi tu nie gra. Muszę z nią porozmawiać.

Odpłynęła w stronę kłócących się głosów, pozostawiając za sobą chmurę paczuli. Odprowadziliśmy ją wzrokiem.

– To Ellen – wyjaśnił Dan. – Prowadzi to miejsce.

– Silna osobowość.

– Lubi sprawiać takie wrażenie. Nie jest tak głupia, jak się wydaje.

– I jest twoją szefową?

– Zgadza się. Podejrzewam, że zaczniemy od razu od góry, co?

Zabrzmiało to sarkastycznie, jakby wiedział, że właściwie nie interesuje mnie zwiedzanie.

– Co się stało z Acting Out?

– Nadal tam pracuję. To nigdy nie był pełen etat.

Poszłam z nim na ostatnie piętro i zaczęłam zaglądać przez drzwi do pokoi, mimo wszystko zaciekawiona. Ellen miała rację. To nie była bezduszna instytucja, ale prawdziwy dom. Duży i zniszczony. Sufity wysokie, a pokoje przestronne. Większość miała własną łazienkę. Gdyby Jess zdecydowała się sprzedać Sea View, mogłabym tu trafić.

Dan prowadził mnie właśnie z powrotem do schodów, gdy otworzyły się drzwi i zobaczyłam twarze dwóch dziewczyn o ciemnych oczach, z białymi chustami na głowach. Zamknęły szybko drzwi, choć podejrzewałam, że właśnie miały wychodzić.

– Kim one są? – zapytałam.

– Ellen zabroniła mi podawania jakichkolwiek danych osobowych – odparł. Wciąż był do mnie wrogo nastawiony.

– Nie pytam o nazwiska. Po prostu interesuję się nimi.

– Szukasz ciekawych historii? – zapytał ze śmiechem.

– Zgadza się.

– Są siostrami – odparł. – Pochodzą z Europy Wschodniej. Przeżyły ciężkie chwile.

Chciałabym dowiedzieć się więcej, ale nie po to tu przyszłam. Poza tym nie zamierzałam go drażnić niepotrzebnymi pytaniami.

Wróciliśmy na dół i usiedliśmy przy stole w kuchni. Panował w niej ten brud i nieporządek charakterystyczny dla miejsc zamieszkiwanych przez młodych ludzi: okruszki herbatników na podłodze, nieumyte kubki piętrzące się w zlewie, miska z owocami, w której leżały wyschnięte pomarańcze i zgniłe banany. Mimo wszystko było to przyjemne pomieszczenie. Otwarte drzwi prowadziły do przeszklonej werandy, za którą rozciągał się zarośnięty ogród. Dan nastawił wodę w czajniku, po czym odwrócił się do mnie. Chyba bycie odpowiedzialnym za tyle osób uderzyło mu trochę do głowy.

– Co ty tu właściwie robisz, Lizzie? – zapytał. – Tylko nie wciskaj mi kitu. Dziennikarze robią notatki. Założę się, że nie masz przy sobie nawet długopisu.

Więc mu powiedziałam. Nie o Philipie. Tylko że jestem chora i poproszono mnie o odnalezienie pewnego chłopaka. Zrobił dzbanek herbaty i wypłukał dwa kubki. Nie pytał o szczegóły mojej choroby, dałam mu o niej tylko ogólne wyobrażenie.

– Depresja wywołana długotrwałym stresem.

Czułam, że je mi z ręki. Chociaż nie do końca. Dan Meech nigdy nie był łatwowierny, chyba że akurat rozmawiał z blondwłosą studentką tańca.

– Thomas Mariner – powiedziałam, wpatrując się w niego z nadzieją na błysk rozpoznania, jednak się zawiodłam. Być może nie doceniałam jego talentu aktorskiego.

– Nie mogę ci nic powiedzieć. Pracuję tutaj. To poufne dane.

– Słuchaj, wystarczy, że poczekam, aż te chłopaki skończą grać w bilard. Nie będą tego robić cały dzień, a nawet jeśli, to potrafię być bardzo cierpliwa. Jeżeli Thomas tu mieszka, powiedzą mi. Jeśli dam im dychę, dowiem się, jaki ma kolor majtek i kiedy ostatnio uprawiał seks. Tyle że to delikatna sprawa. Nie chciałby, żeby wszyscy wiedzieli, że ktoś go szuka. Poza tym jeśli Thomas tu jest, znasz go lepiej niż ktokolwiek inny. Mógłbyś pomóc.

– On tu nie mieszka – odparł, zupełnie jakby to załatwiało sprawę. Albo nigdy nie znał mnie zbyt dobrze, albo zapomniał, jaka potrafię być uparta.

– Ale kiedyś mieszkał. I wiesz, gdzie mieszka teraz.

– Nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Obiecałem, że nie powiem. Dlaczego w ogóle się w to mieszasz?

– To sprawa osobista, Dan. Prawie rodzinna.

Naprawdę tak właśnie czułam. Spodziewałam się dalszej walki, ale Dan niespodziewanie się poddał. Może domyślał się, jak wiele to dla mnie znaczy. Uniósł ręce w geście kapitulacji.

– W porządku – powiedział. – Wygrałaś.

– Adres, proszę.

– Słuchaj – westchnął, odkładając na później to, co nieuniknione. – Masz ochotę na piwo?

Kilka ulic dalej znajdował się pub. Malutki, niewiele większy od kuchni Jess. Właścicielem był człowiek o potężnym podbródku ze zwisającą skórą. Skinął do Dana, gdy tylko przekroczyliśmy próg, i wyjął dla niego kufel, zanim jeszcze dotarliśmy do kontuaru. Wydawał się urażony, gdy powiedziałam, że ja też bym się napiła. Jeśli kobiety w ogóle miały pić piwo, to wolał je im podawać w kieliszkach na nóżkach.

– Jak wylądowałeś w Absalom House? – zapytałam.

– Acting Out prowadził tam warsztaty dla mieszkańców. Zacząłem gadać z Ellen i w końcu zaproponowała mi pracę.

– Kto finansuje jej działalność? Opieka społeczna?

– Opieka dokłada się tylko do kilku mieszkańców, dzieci, którymi się kiedyś zajmowała, a teraz potrzebują wsparcia. To jest organizacja charytatywna. Ellen założyła ją trzydzieści lat temu, żeby uczcić pamięć swojego syna. Ktoś go napadł, kiedy spał na ulicy w Londynie. Zmarł dwa dni później w szpitalu.

– Czy Ellen ma męża?

– Pewnie kiedyś miała. Nigdy o nim nie wspomina. Podejrzewam, że nie wytrzymał jej tempa życia. Jest niezmordowana. Ma wielu współpracowników, ale to ona wykonuje większość roboty. Przez te wszystkie lata zapewniła dom setkom dzieci. Nie wiem, jak długo jeszcze będzie w stanie to ciągnąć. Nie mam odwagi zapytać o jej wiek, ale musi mieć co najmniej siedemdziesiątkę. Była aktorką teatralną, zanim zaczęła pracować w tym zawodzie. Może dlatego się do mnie przekonała. Czasami myślę, że będzie chciała, bym przejął to miejsce, kiedy przestanie sobie radzić.

– Szykuje cię na szefa?

Uśmiechnął się.

– Coś w tym stylu.

– Thomas Mariner był jednym z waszych mieszkańców?

– Tak, przez kilka miesięcy. Miał pokój obok dziewczyn, które widziałaś. Tych sióstr w chustach na głowach.

– Przecież on pracuje. Bez trudu znalazłby sobie mieszkanie.

– Traktował Absalom House jako coś przejściowego. Może jego matka myślała, że dzięki temu oprzytomnieje i wróci do domu z podkulonym ogonem, obiecując, że już będzie dobrym chłopcem?

– Jaki on jest?

– Radzi sobie.

– Daj spokój, Dan. Stać cię na więcej.

– Pożarł się z rodziną. Ścisłodupą suką z klasy średniej i ojczymem, którego nigdy nie poznałem.

– Ale poznałeś matkę?

– Pomogła mu się tu wprowadzić, przywiozła trochę jego rzeczy. Widać było, że mają ze sobą na pieńku. Nie chodziło tylko o jego wyprowadzkę. Był już na tyle dorosły, że mógł to zrobić sam. Przy odrobinie czasu rzeczywiście mógłby znaleźć sobie mieszkanie. Ale ona nie chciała dać mu tego czasu. Chodziło o coś jeszcze. Coś poważniejszego.

– Powiedział ci, co to było?

– Nie. Dopiero zaczynałem go poznawać, a już się wyprowadził. Pewien student, chłopak, z którym Thomas przyjaźnił się w szkole, szukał współlokatora do domu w Seaton Delaval. Ojciec tego chłopaka kupił go i urządził. Raty kredytu okazały się niższe niż opłaty za akademik. Poza tym uważał to za coś w rodzaju inwestycji. W każdym razie Thomasa było stać na czynsz i przeprowadził się tam.

– Opowiadał o swojej pracy?

– Niewiele. Miał ambicje artystyczne, a przekładanie z miejsca na miejsce papierków w firmie przewozowej trudno uznać za kreatywne zajęcie. Nie mówił o tym w obecności innych chłopaków. Wolał opowiadać o zespole, w którym gra, i o swoich koncertach.

– To chyba nie dosłownie papierki?

– Co masz na myśli?

– Chyba przeszli już na komputery, prawda? Mają pewnie jakiś program do fakturowania.

– Tym lepiej dla niego. – Dan zaczynał się niecierpliwić. – Ten koleś zna się na komputerach jak mało kto. Kiedy Ellen wysiadł sprzęt, to on przywrócił go do stanu używalności. Chwalił się tym tygodniami, ale na pewno zna się na rzeczy.

– Chyba za nim nie przepadasz.

– Jak już mówiłem: radzi sobie.

Pewnie rozumiał, że to mi nie wystarczy, bo dodał:

– Słuchaj, jest młody, trochę zarozumiały i arogancki. A może po prostu nie jest zbyt pewny siebie i musi się dowartościować. Nieważne. Żaden z nich nie jest aniołkiem.

– Dlaczego ciągle pracuje w firmie przewozowej, skoro tak dobrze zna się na komputerach? Mógłby zostać programistą. Z tego są o wiele większe pieniądze.

– Może to kwestia pewności siebie. Boi się, że w poważnej firmie by przepadł.

Wygląda na to, że Dana łączyła z właścicielem jakaś mistyczna albo telepatyczna więź, bo na barze pojawiły się dwa kolejne kufle. Tym razem to ja zapłaciłam.

– Co jeszcze możesz mi o nim powiedzieć?

– Zaczął pracować jako wolontariusz, zbierał kasę dla jakiejś organizacji charytatywnej zajmującej się ochroną przyrody. To pewnie wpływ Nell.

– Nell?

– Jego dziewczyny. Miłości jego życia. W każdym razie była nią, gdy mieszkał w schronisku. Niedawno się rozstali.

– Czy Nell mieszka w Absalom House?

Dan pokręcił głową.

– Nie, właśnie kończy Whitley High. Mieszka w domu z mamą i tatą. Spokojna laska o artystycznej duszy. Jej rodzice też są artystami. Bardzo liberalni.

Przerwał i obdarzył mnie uśmiechem niewiniątka, który sprawił, że przypomniałam sobie, dlaczego podobał mi się na studiach.

– Miała praktyki w Acting Out.

Odetchnęłam z ulgą. To wyjaśniało dwuznaczny stosunek Dana do Thomasa. Przeczucie mnie nie myliło. Oni po prostu rywalizowali o względy ładnej dziewczyny.

– Tak naprawdę nazywa się Helen – kontynuował Dan. – Helen Ravendale. Ale znajomi mówią na nią Nell.

Nagle przerwał. Coś mu przyszło do głowy.

– Jeśli matka chciała znaleźć Thomasa, dlaczego po prostu nie przyszła i nie zapytała?

– Przecież nie powiedziałbyś jej, gdzie go może znaleźć.

– To ona poprosiła cię o jego odnalezienie?

Postukałam się w bok nosa i odparłam, że mnie też obowiązuje tajemnica zawodowa.

– Podaj mi lepiej adres tego mieszkania w Seaton Delaval.

– Słuchaj, on naprawdę nie chciał, żeby ktokolwiek o tym wiedział. Zaznaczył to, kiedy odchodził. Jeśli zapyta, nie dostałaś go ode mnie.

– Dobra.

– Isabella Street 16. – Przestał udawać, że się opiera. – Pamiętam, bo po południu miałem mu na ten adres odesłać listy. Jeśli wrócisz ze mną do schroniska, będziesz je mogła wziąć ze sobą. Oszczędzisz mi fatygi.

Rozdział trzynasty

Tej nocy znów miałam sen o Blyth. Obudziłam się, cała drżąc.

Rano pojechałam do Delaval. Nie spałam dobrze, ale nie mogłam odłożyć spotkania z Thomasem. Obudziłam się z obsesyjnym pragnieniem, by wykonać zlecenie Philipa. Niewykluczone, że tak bardzo mnie ono pochłonęło, ponieważ widziałam w nim sposób na pogrzebanie własnych demonów. Nie sądziłam, że retrospekcje przestaną mnie dręczyć, gdy znajdę Thomasa. Czułam jednak, że jest to sposób na ponowne przejęcie kontroli nad swoim życiem i umysłem.

Dopiero gdy siedziałam w autobusie, uświadomiłam sobie, że nie wiem, co powiedzieć temu chłopakowi. Philip nie przekazał mi żadnych wskazówek. Jechaliśmy nabrzeżem, mijając szare domy szeregowe. Koniec wsi wyznaczało zanurzone w betonie kopalniane koło, otoczone rabatkami kwiatów. Załatwiał się przy nim pies. Zastanawiałam się, co powiem Thomasowi. „Jestem znajomą twojego ojca. A tak przy okazji, on nie żyje”?

Naprzeciwko mnie siedziała strasznie otyła kobieta. Tak gruba, że nie widać było po niej wieku. Miała ogromny podwójny podbródek, obwisły biust i zajmowała całe dwuosobowe siedzenie. Mamrotała coś o kupnie butów. Opowiadała o tym, co się stanie, kiedy wejdzie do sklepu, żeby je wybrać. Nikt nie zwracał na nią uwagi. Wariatów zwykle się ignoruje, wyrzuca z głowy.

Jednak tego dnia ona naprawdę mnie wkurzyła. Chciałam krzyknąć, żeby się zamknęła. Miałam własne plany, które były ważniejsze niż jej głupie buty. Oczywiście nic nie powiedziałam, ale miałam na to wielką ochotę.

Wysiadając z autobusu, wciąż jeszcze nie wiedziałam, jak rozegram swoje spotkanie z Thomasem. Możliwe, że jest zdrowy i zadowolony z ży-

cia, że po ucieczce od matki i ojczyma nowi przyjaciele zapewnili mu zastępczą rodzinę. Być może nie będzie potrzebował moich rad ani przyjaźni. Mogłabym zabierać go od czasu do czasu na drinka lub kolację, niczym niezbyt mu bliska matka chrzestna. Całą resztą zająłby się Stuart Howdon. Ale jakoś nie wierzyłam w to bajkowe zakończenie, a poza tym, czyż nie liczyłam na przyjaźń? Byłam zdezorientowana i nieszczęśliwa. Być może mój kiepski nastrój miał związek z pogodą. Ostry wiatr znad morza przyniósł uporczywą mżawkę. Czułam się bledsza, bardziej szara, jakby deszcz zmył moją marokańską opaleniznę. Na ulicy wszyscy chodzili z pochylonymi głowami. Było tak ciemno, że spodziewałam się włączonych latarni ulicznych. Zaskoczyło mnie, że się nie paliły.

To nie wszystko. Niepokoiło mnie coś jeszcze. Przez ostatnie kilka dni wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi. Zdarzyło się to już wcześniej, tuż przed tym, jak straciłam panowanie nad sobą w Blyth. Chociaż wiedziałam, że nikt mnie nie obserwuje, nie mogłam pozbyć się tego wrażenia.

Seaton Delaval było kiedyś górniczą osadą. Ulice są tu proste i szare. Przy wąskich chodnikach stoją małe domki z dwojgiem drzwi wejściowych. Jedne prowadzą zwykle do mieszkania na parterze, drugie – do tego na piętrze. Przy ładnej pogodzie młode matki siedzą na schodach, palą i rozmawiają. Dziś Isabella Street była pusta, jeśli nie liczyć osoby w długim czarnym płaszczu, która spieszyła się, by wsiąść do samochodu i uciec przed deszczem. Stanęłam przed domem numer 16. Mieszkania na parterze i na piętrze zostały tu połączone. W miejsce drugich drzwi zamontowano szklany panel, przez który mogłam zajrzeć do środka. Zobaczyłam hol i schody. Na podłodze leżał brązowy dywan, pokryty taką ilością brudu i kurzu, że wyglądał, jakby nigdy nie był odkurzany. Pod ścianą stał rower przygnieciony stertą butów. Zadzwoniłam do drzwi. Bez odpowiedzi. Więcej nie próbowałam. Czułam, że ktoś mnie obserwuje, dlatego uciekłam na ulicę. Ta wizyta wymagała więcej przygotowań. Cieszyłam się, że zyskam na czasie.

Przy rondzie znajdowała się cukiernia prowadzona przez włoską rodzinę. Lokal słynął z lodów. Jess i ja ustawiałyśmy się tam w kolejce w nie-

dzielne popołudnia po rytualnej wizycie w ogrodach miejscowej rezydencji. Jess była niezmiernie ciekawa arystokracji. Jestem pewna, że Ray nie pochwaliłby tego, gdyby się dowiedział, był bowiem kimś w rodzaju domorosłego rewolucjonisty. Nie sądzę, by Jess kiedykolwiek zwierzyła mu się z tej swojej słabostki. Wewnątrz sklepu ustawiono kilka stołów i krzeseł, tworząc kącik kawiarniany. Ściany pokrywały tu ciemna boazeria i zakurzone półki ze słoikami pełnymi landrynek, oranżady w proszku i lasek lukrecji. Usiadłam nad kawą z mlekiem i próbowałam zrozumieć swoje położenie.

Nagle dotarło do mnie, że Thomasa i tak raczej nie będzie o tej porze w domu. Przecież pracował u Harry'ego Poola. Może zastanę przynajmniej jego kolegę. Gdyby potwierdził, że Thomas tam mieszka, mogłabym złożyć raport Stuartowi Howdonowi i odłożyć zawarcie przyjaźni z Thomasem do czasu, aż poczuję się lepiej przygotowana.

Tym razem ktoś był w środku. Z góry dochodziło dudnienie basów, jakiś kawałek, którego nie znałam. Nacisnęłam dzwonek. Niemal nie przebijał się przez ten hałas. Nadal nikt nie odpowiadał. Drzwi następnego domu otworzyły się i wyjrzała przez nie dziewczyna. Miała jakieś czternaście lub piętnaście lat i ubrana była w czarne spodnie i białą koszulę, które uznałam za mundurek szkolny. Pod białą koszulą dostrzegłam zgrabny brzuszek ciążowy. Poza tym miała figurę dziecka – bardzo drobną i chłopięcą. Jej stopy były gołe. Stała w przedpokoju i patrzyła na mnie przez uchylone drzwi.

– Oni nie słyszą – powiedziała. – Nigdy nie słyszą.

– Obaj są w domu?

– Kim pani jest?

– Lizzie Bartholomew.

Tym razem nie pokazałam identyfikatora.

– Z opieki społecznej?

– Nie. Nic z tych rzeczy.

– To skąd?

Zawahałam się.

– Z rektoratu. Mam sprawdzić, czy to miejsce jest przystosowane do zamieszkania przez studentów.

Wiem, kompletna bzdura. Ale dziewczyna i tak to kupiła. Albo szukała wymówki, żeby nie iść do szkoły.

– Oczywiście, że tak. Odpicowali je. Jest tam lepiej niż w innych domach na tej ulicy. Lepiej niż tutaj. – W jej głosie zabrzmiała tęsknota.

– Mimo wszystko…

– Nie wiem, kto tam jest – weszła mi w słowo. – Właśnie wróciłam od lekarza. Wpadłam na chwilę w drodze do szkoły. W ciąży ciągle chce się sikać, wie pani.

Znowu walnęłam w drzwi, żeby pokazać, że poważnie myślę o wejściu do środka.

– Chwileczkę – powiedziała. – Tam jest klucz. Pokażę pani.

Wsunęła stopy w czarne buty przypominające łódki z dużymi kwadratowymi obcasami i dołączyła do mnie na chodniku. Na parapecie pod oknem stała drewniana skrzynka z trzema glinianymi doniczkami. Rośliny uschły. Najwidoczniej kolega Thomasa nie studiował ogrodnictwa.

Dziewczyna wzięła jedną z doniczek i wyjęła z niej uwalany ziemią klucz. Wytarła go o spodnie i podała mi go. Myślałam, że wróci do domu albo pójdzie do szkoły, ale ona dalej stała obok, wyraźnie zaciekawiona.

– Niech pani wejdzie – powiedziała.

Włożyłam klucz do zamka, ale nie chciał się przekręcić. Nacisnęłam klamkę i drzwi się otworzyły. Okazało się, że nie były zamknięte.

– Co za głupki – skomentowała dziewczyna. – Mówiłam im, że powinni uważać. Ktoś może się włamać. Nie mają pojęcia, co to za okolica.

Wepchnęła się przede mną do środka i zaczęła wchodzić po schodach. Zamknęłam za sobą drzwi. Wewnątrz muzyka była głośniejsza. O wiele głośniejsza. A także dziwniejsza, bo nagle zaczął przebijać się przez nią przeraźliwie wysoki ton. W następnej chwili muzyka się urwała, jednak

przeszywający pisk nadal trwał. I wtedy zrozumiałam, że to krzyk dziewczyny.

Dźwięk wydobywał się z tyłu jej gardła. To dlatego właśnie był tak wysoki. To musiało naprawdę boleć. Nie przestała, nawet gdy do niej podeszłam. Stała w drzwiach sypialni. Odsunęłam ją i nagle znalazłam się w samym środku własnego koszmaru. Zupełnie jakby rzeczywistość i retrospekcje zderzyły się ze sobą z gwałtownością wybuchu jądrowego. Krew była wszędzie. Błyszcząca i jaskrawoczerwona na tle monochromatycznego tła, wypływająca z szarej postaci leżącej na podłodze.

Gdzie jednak nóż? W moim śnie zawsze był jakiś nóż. Rozejrzałam się dookoła, ale go nie zauważyłam. Z pewnością nie znajdował się na pierwszym planie, gdzie się go spodziewałam.

Dziewczyna dalej krzyczała. Chwyciłam ją za ramiona i potrząsnęłam. Zapomniałam o dziecku, które w sobie nosiła, chciałam tylko, żeby się zamknęła. Jej krzyk był jak wiertło w mojej głowie. Ranił mnie, podobnie jak cała ta czerwień raniła moje oczy. Nastała cisza. Dziewczyna wpatrywała się we mnie, usta wciąż miała otwarte. Ponownie dotknęłam jej ramion, tym razem w ramach przeprosin czy też raczej nieudolnej próby pocieszenia.

– Masz w domu telefon? – zapytałam.

Przytaknęła, nie będąc w stanie mówić.

– Zadzwoń na policję. Nie stąd. Ze swojego domu. Dasz radę?

Znów skinęła głową.

Była już w połowie schodów, gdy zawołałam za nią:

– Kto to? Który z nich?

Jej głos był skrzeczącym szeptem, jakby odzyskała zdolność mowy po całym życiu milczenia.

– Tommy Mariner.

Oczywiście od początku wiedziałam, że to Thomas. Zupełnie jakbym się tego spodziewała. Jakbym widziała to wcześniej w jakiejś wizji. Odkąd

dźgnęłam tego chłopaka w Blyth, czekałam, aż to się powtórzy. Zaczęłam szlochać.

– Tak bardzo mi przykro… – wyszeptałam. – Przepraszam. Bardzo przepraszam.

Nie mówiłam do Thomasa, lecz do Philipa.

Rozdział czternasty

I oto znowu wylądowałam w tej sali. Wysokie ściany pomalowane kremową farbą olejną, którą można znaleźć tylko w instytucjach. Wysokie okno z poziomą szczeliną wentylacyjną. Przykręcony do podłogi, pokryty graffiti stół, a na nim pojemnik z karbowanej folii, który służył za popielniczkę, a kiedyś pewnie przechowywano w nim ciasto. Wyglądało na to, że nic tu się nie zmieniło od Bożego Narodzenia. Od mojego ostatniego razu. Cztery plastikowe krzesła. Nawet pytania zadawał ten sam policjant. On również zauważył podobieństwa.

– Kolejne dźgnięcie ostrym narzędziem – powiedział smutnym głosem, zupełnie jakbym go zawiodła. Obok niego siedziała kobieta. Tylko trochę starsza ode mnie, o cienkich wargach i plamistej skórze. Nic nie mówiła, nawet się nie poruszyła. Czwarte krzesło było puste.

Policjant nazywał się Farrier. Był zwalisty, w średnim wieku, z piwnym brzuchem, kręconymi włosami i w okrągłych okularach. Wyobrażałam sobie, że po pracy jest wesoły – dusza towarzystwa na każdej imprezie. Porządny był z niego gość. Zrozumiałam to już za pierwszym razem. Kobieta nazywała się Miles i była w stopniu sierżanta.

– Nie zadźgałam Thomasa Marinera – powiedziałam szybko.

Odczekał chwilę, po czym zapytał:

– A czy wiedziałaby pani, gdyby to zrobiła? Co? Właśnie to musimy ustalić.

Przez chwilę panikowałam, zastanawiając się, czy ma rację. Szperałam w pamięci w poszukiwaniu obrazu Lizzie Bartholomew z uniesioną ręką i nożem w dłoni. Nic nie znalazłam.

Nie widziałam też Thomasa. Byłam pewna, że to nie ja go zabiłam. Prawie.

– Nigdzie nie było noża – powiedziałam.

– Na pewno nie było go, gdy dotarliśmy na miejsce zbrodni.

– Pamiętałam, że dźgnęłam tego chłopaka w Blyth.

– To prawda – zgodził się. – Ale trudno, żeby pani nie pamiętała. Zrobiło się tam niezłe zamieszanie. Ci wszyscy ludzie, którzy panią od niego odciągali, hałas... Na pewno wszystko to pani pamięta? Wszystko, co do tego doprowadziło?

Zacisnęłam powieki i wróciłam pamięcią do tego incydentu.

– O, tak – powiedziałam, otwierając oczy. – Wszystko dokładnie pamiętam. Wszyściutko. Nie tylko samo dźgnięcie, ale wszystko, co do niego doprowadziło. Pamiętam też doskonale wszystko, co wydarzyło się dzisiaj.

Miałam nadzieję, że mi to jakoś ułatwi, żebym mogła mieć to już za sobą. Złożę zeznanie i wrócę do Jess. Jeśli powiedzieliby jej, że tu jestem, na pewno by przyjechała i czekała, aż wyjdę. Tak jakbym była jednym z ćpunów, których miała pod opieką. Jednak Farrierowi najwyraźniej się nie spieszyło.

– Proszę mi przypomnieć, co się stało w sądzie. Po tym, jak wbiła pani nożyczki temu chłopakowi z Blyth – odezwał się. Oczywiście doskonale wiedział. Nawet jeśli nie mógł sobie przypomnieć, na pewno to sprawdził.

– Dostałam pół roku w zawieszeniu – powiedziałam, podejmując grę.

– A, tak – odparł. – Ze względu na okoliczności łagodzące.

Miał na myśli tę sprawę z Nickym. Mój adwokat ją wykorzystał. Miałam tego dość. Nie tylko ponownego przeżywania tego incydentu w sądzie, ale także tego, że przedstawiał mnie jako ofiarę.

Farrier spojrzał na mnie, zachęcając do kontynuowania.

– W postanowieniu o warunkowym zawieszeniu wykonania kary zapisano, że muszę poddać się leczeniu – zmusiłam się do przyznania.

Spojrzał na mnie poważnie.

– Naprawdę? I co? Podjęła pani leczenie?

– Tak.

– Pomogło? – Pochylił się nad stołem w moim kierunku i zmarszczył brwi. Niemal uwierzyłam, że martwi się o mnie, a nie o to, że zanim postawi mi zarzuty, będzie musiał wystąpić o udostępnienie mojej dokumentacji medycznej.

– Wydaje mi się, że tak.

Zawahałam się, drażniąc się z nim, każąc mu czekać na informacje, których naprawdę chciał, po czym kontynuowałam, bez emocji, jakbym przedstawiała raport na jakimś zebraniu:

– Miałam psychoterapię. Dalej na nią chodzę raz w miesiącu. Chodziłam też na zajęcia relaksacyjne i jogę. Psychiatra uznał, że pomogłoby mi, gdybym na jakiś czas stąd wyjechała. Posłuchałam jego rady i zrobiłam sobie wakacje. Od czasu do czasu przychodzi do mnie pielęgniarka psychiatryczna. Rozmawiamy o tym, jak najlepiej sobie radzić w moim stanie.

– Co to za stan? – Nieznacznie ściszył głos, ale wiedziałam, że nie odpuści.

– Cierpię na dwubiegunówkę.

Nie odrywał ode mnie wzroku. Pytanie zawisło w powietrzu między nami.

– Mam wahania nastroju. – Znowu zamilkłam na chwilę. – A także psychozę maniakalno-depresyjną.

Wiedziałam, że to tylko słowa, ale bolały. Były niczym rana. Na psychozę maniakalno-depresyjną cierpią prawdziwi wariaci, tacy jak tamta szalona kobieta w autobusie.

– To uleczalne? – zapytał.

– Farmakologia potrafi zdziałać cuda – odparłam. Wstrzymałam oddech, czekając na pytanie, które nie padło.

– Wiadomo, co wywołuje te zaburzenia? – Sprawiał wrażenie, jakby naprawdę go to interesowało.

– Prawdopodobnie czynniki genetyczne – odparłam. Zła krew, pomyślałam. Pewnie moja matka też była szalona. To by wiele wyjaśniało. Po chwili dodałam: – Wydaje mi się, że w moim przypadku odpowiadał za to stres.

Oddychałam miarowo, jak nauczyła mnie Lisa, moja pielęgniarka psychiatryczna. „Oddychaj poprzez strach" – mawiała. Potem spojrzałam mu prosto w oczy. Przypomniałam sobie incydent w ośrodku dla młodzieży, gdzie pracowałam. Nie sądziłam, że minie aż tyle czasu, zanim się z tym pogodzę. Czułam dumę, że mój głos pozostał silny, choć Nicky w mojej głowie wciąż się uśmiechał.

– Rozumiem – powiedział uprzejmie policjant. – Ciężka praca.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Te leki... Czy bierze je pani regularnie?

A niech to, pomyślałam. Rozmawiał z Jess.

– Oczywiście – odparłam. – Dlaczego miałabym tego nie robić? Czasami zapominam, ale przeważnie je biorę.

Przestałam w Maroku. Recepta się skończyła, a ja nie mogłam znaleźć anglojęzycznego lekarza, żeby ją odnowić. Potem doświadczyłam mistycznych doznań w gaju palmowym i pomyślałam: „Jeśli to jest szaleństwo, chcę go więcej". Poczułam, że żyję. Nie chciałam powrotu szarego, nijakiego świata. Pomyślałam, że zniosę zjazdy, jeśli będę miała wzloty. I że jestem już zdrowa. Jakoś przeżyłam ponad dwadzieścia lat bez leków. Nie potrzebowałam ich.

– Możemy to sprawdzić – powiedział Farrier łagodnym tonem.

Kobieta o cienkich wargach patrzyła na mnie jak na nieobliczalnego psa, który powinien nosić kaganiec. Miałam przemożną ochotę spełnić jej oczekiwania i jej przyłożyć. Zignorowałam komentarz policjanta i odchyliłam się na krześle. Moje ręce spoczywały na stole. Były niesplamione krwią i białe.

– Napiłabym się kawy.

Farrier skinął na swoją koleżankę. Wstała z ociąganiem i wyszła z pokoju.

– Proszę mi opowiedzieć o Thomasie Marinerze – powiedział, kiedy pani sierżant wróciła z tacą, a magnetofon ponownie poszedł w ruch. Kawa w polistyrenowym kubku nie była tak paskudna, jak się spodziewałam, ale miała posmak plastiku. Miles przyniosła również ciastka. Zanurzyłam jedno z nich w gorącym napoju i ugryzłam. Było pyszne, słodkie i orzechowe, i przez chwilę ważniejsze stało się dla mnie delektowanie się nim niż odpowiedź na pytanie. Farrier zdawał się to rozumieć, bo czekał cierpliwie.

– Dlaczego odwiedziła pani Thomasa Marinera? – zapytał w końcu.

Nie za bardzo chciałam mu powiedzieć. Nie chodziło o zachowanie poufności. Ani o moją reputację zawodową. Straciłam ją, gdy wbiłam nożyczki w ramię bezdomnego chłopaka. Po prostu z mojego doświadczenia wynikało, że bezpieczniej jest utrzymywać policję w niewiedzy. Im więcej im powiesz, tym więcej rzeczy później wykorzystają przeciwko tobie. Informacje, które w danej chwili mogą wydawać się nieszkodliwe, wrócą, by cię prześladować. Spojrzałam na Farriera i zrozumiałam, że mam już dość tkwienia w tej sali przesłuchań. Chciałam z niej wyjść. Wrócić do domu, usiąść na kanapie i pijąc kakao, oglądać gównianą telenowelę w telewizji.

– Można powiedzieć, że w ramach obowiązków służbowych – wyjaśniłam.

– Jako pracownica socjalna?

– Nie do końca.

Nie miałam wyjścia, musiałam mu powiedzieć. Nie wdawałam się w szczegóły na temat mojego związku z Philipem, ale opowiedziałam o całej reszcie – liście od Stuarta Howdona, pogrzebie w Wintrylaw, zleceniu odnalezienia nieślubnego syna Philipa. Wszystko to zapisał. Od czasu do czasu przerywał, by dopytać o szczegóły. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że zamierza sprawdzić wiarygodność mojej opowieści.

– Gdzie znajduje się ta kancelaria adwokacka?

– W Morpeth, naprzeciwko biblioteki.

– Kiedy odbył się pogrzeb?

– Trzeciego czerwca. W czwartek.

Wyglądał na zadowolonego. Zapisał to na kartce, po czym spojrzał na mnie.

– Jak znalazła pani tego chłopaka?

Byłam w szoku, że tak się rozgadałam. Nie lubię być w centrum uwagi. Popisywanie się nigdy nie było moją mocną stroną. Wzrok policjantów mnie peszy. Miałam ochotę zakryć oczy rękami i udawać, że jestem sama.

– No, dalej – zachęcił mnie Farrier. – Nie musi się pani spieszyć.

Wyjaśniłam, że rozmawiałam z babcią Thomasa, a potem z Kay Laing, i że pojechałam do schroniska w Whitley Bay. Nie przyznałam się do kłamstw, do których musiałam się uciec, żeby zdobyć informacje. Jak już wspominałam, takie rzeczy mogą potem człowieka prześladować. Zataiłam też wizytę u Ronniego Lainga. Sama nie wiem dlaczego.

– Dan Meech, jeden z pracowników schroniska, dał mi nowy adres Thomasa. – Spojrzałam ze smutkiem na Farriera. – Myślałam, że jestem bardzo sprytna. Cóż za wspaniałe śledztwo!

– Powinna pani zastanowić się nad karierą w policji – skomentował. Oczywiście nie mówił serio.

– Myśli pan, że mogłam przyczynić się do jego śmierci? Oczywiście pośrednio, bo przecież nie miałam takiego zamiaru. Ale czy to moje węszenie mogło mu jakoś zaszkodzić?

Znów się uśmiechnął. Miał piękny uśmiech. Zastanawiałam się, czy jest ojcem i czy jego dzieci wiedzą, jakie mają szczęście.

– Nie – odparł. – Nawet przez chwilę tak nie myślałem.

– Czyli wierzy mi pan?

– Cóż, nikt by czegoś takiego nie wymyślił. – Wstał i dał znać Miles, by poszła za nim. – Proszę chwilę zaczekać. – Przy drzwiach zatrzymał się i mrugnął do mnie. – Zaraz wracamy.

Po ich wyjściu do sali weszła umundurowana policjantka. Przyniosła kolejną kawę i talerz ciastek. Myślę, że to był pomysł Farriera. Nie zjawiał się dłużej, niż się spodziewałam, i znowu zaczęłam się denerwować. Kiedy

wrócił, zerwałam się z krzesła, licząc na to, że zaraz mnie wypuści. On jednak wrócił na swoje krzesło po drugiej stronie stołu. Wyglądał na zmartwionego i lekko zdziwionego. Nie sądziłam, żeby udawał. Miles nie wróciła z nim, więc poprosił policjantkę w mundurze, żeby została. Kiedy włączył nagrywanie, podała swoje nazwisko, ale go nie zapamiętałam.

– Czy chciałaby pani coś zmienić w swoim zeznaniu? – zapytał.

– Nie – odparłam. Nie czułam zagrożenia. Byłam zmęczona. Zdekoncentrowałam się.

– Przed chwilą rozmawiałem z panem Howdonem. Czy zachowała pani ten list z prośbą o spotkanie po pogrzebie?

Miałam go ze sobą, kiedy pojechałam do Wintrylaw. Pokazałam go w kancelarii, żeby udowodnić, że ja to ja. Howdon go zatrzymał. Czułam się zbyt wyczerpana, by to wszystko wyjaśniać, więc tylko potrząsnęłam głową.

– Nieważne. – Farrier zdawał się nie tracić dobrego nastroju. – Na pewno bank poda nam dane czeku, który na panią wystawiono.

– Nie dostałam czeku, tylko gotówkę. Wpłaciłam ją do banku, na sto procent mają na to dowody.

– Niestety, to nie to samo. Ta gotówka mogła pochodzić z dowolnego źródła. Poza tym wydaje się to trochę dziwne. Szanowany adwokat wręcza pani kopertę używanych dziesięciofunciaków?

– To były dwudziestki – sprostowałam. – I pięćdziesiątki. – Jego sceptycyzm wreszcie przełamał moją apatię. – Co się dzieje?

– Pan Howdon… – Przerwał na chwilę, po czym dodał, jakby cytując cudze słowa: – Nie przypomina sobie, żeby spotkał się z panią po pogrzebie pana Samsona. W ogóle pani nie kojarzy.

Rozdział piętnasty

Ostatecznie zdecydowali się mnie wypuścić, choć Miles wyraźnie to nie pasowało. Nawet w drodze do wyjścia starałam się przekonać Farriera, że mówię prawdę.

– W kancelarii Howdona była sekretarka. Pokażcie jej moje zdjęcie. Rozpozna mnie.

– Być może.

Widać było, że nie pokłada w tym większych nadziei. Ja zresztą też nie. W końcu ta dziewczyna pracowała dla Howdona, prawda? Zrobi, co jej każe.

Widać było też, że mi współczuł. Miał mnie za wariatkę, podobnie jak gapie w Blyth. Pewnie zrobiło mu się głupio, że dał mi się przekonać, ale jak już mówiłam, to porządny gość. Zasugerował, żebym jak najszybciej zobaczyła się z moim psychiatrą.

– Ale tym razem bez wypraw w góry Atlas, dobrze? Cokolwiek będzie mówił, nie może pani wyjechać z kraju.

O mało mu się nie przyznałam, że w Delaval czułam się śledzona. Istniała możliwość, że tego ranka na Isabella Street nie byłam sama. Jednak nie mogłam się przemóc. To było tylko przeczucie. Gra cieni. Nie potraktowałby tego poważnie, ja też zresztą nie umiałam.

Jess czekała na mnie przy recepcji. Zgodnie z ustaleniami miałam pozostać w jej domu. Z początku nawet mnie nie zauważyła. Gapiła się przed siebie, siedząc na tapicerowanej ławce w korytarzu. Nie czytała, nie robiła na drutach, całą jej aktywnością było siedzenie. Podkreślała w ten sposób, że nigdzie się nie wybiera. Gdy wreszcie mnie dostrzegła, rozpostarła ramiona.

– Cześć, piękna – powiedziała na powitanie. – Co za okropne nieporozumienie – dodała głośniej, dając do zrozumienia wszystkim policjantom, że nawet przez chwilę nie wierzyła, że mogłabym kogoś skrzywdzić. I choć nigdy nie wierzyła w oskarżenia stawiane jej lokatorom, mimo wszystko znajdowałam w tym pocieszenie. Posadziła mnie obok siebie i wzięła w objęcia. Miałam ochotę się rozpłakać, ale musiałam z tym zaczekać. Poszłyśmy na parking, gdzie w furgonetce cierpliwie czekał na nas Ray.

Kiedy wyjechaliśmy na Spine Road, wielka brązowa chmura zakryła zachodzące słońce i tył wozu pogrążył się w półmroku.

– Poprosiłam Lisę, żeby wpadła – rzuciła od niechcenia Jess. Wyglądało na to, że zamierza mnie traktować jak pacjentkę, a nie morderczynię.

– Jess, przecież jest już wieczór. Na pewno chciała wyskoczyć na miasto.

Lisa uwielbiała imprezować. Do pracy wkładała kusą skórzaną kieckę i siatkowe pończochy, do tego skąpy sweterek, który niczego nie pozostawiał domysłom, oraz żakiet, by zachować pozory profesjonalizmu. I zwykle miała kaca. A pracowała w ośrodku leczenia uzależnień.

– No wiem – odpowiedziała, kiedy zapytałam, czy nie ma w tym przypadkiem odrobiny hipokryzji. – W zeszłym tygodniu spotkałam paru naszych pacjentów w Bigg Market i możesz mi wierzyć, że byłam w gorszym stanie niż oni.

Wychowywała się w Ashington i mówiła z akcentem, który pozwalał określić miejsce jej pochodzenia z dokładnością do kilku przecznic. W trakcie naszej pierwszej rozmowy nakłoniła mnie do zwierzeń na temat rodziców.

– W końcu nasi starzy ciągle nam towarzyszą – stwierdziła.

Kiedy wyjaśniłam, że w moim przypadku zdecydowanie tak nie było, zakrztusiła się ze śmiechu kawą z mlekiem i przeprosiła, że się nie przygotowała do naszej rozmowy. Od tej pory dobrze się dogadywałyśmy.

– I tak była pod telefonem – stwierdziła Jess.

Gnietliśmy się w trójkę z przodu furgonetki. Wyczuwałam napięcie u Jess.

– Potrzebuję pocieszenia – stwierdziła. – Czuję się za ciebie odpowiedzialna. Wolałabym, żeby zobaczył cię jakiś specjalista.

Ray wysadził nas w uliczce na tyłach domu. Nie chciał wchodzić do środka. Mamrotał coś o spłuczce u sąsiada, ale podejrzewam, że miał już dosyć tej gadki o szaleństwie.

Kilkoro lokatorów zasiadło przed telewizorem w salonie, ale widać było, że zupełnie nie interesuje ich program. Zostali tylko po to, by sprawdzić, co się stało. Morderstwo to zdecydowanie było coś. Wyczuwałam, że patrzą na mnie z szacunkiem. Woleliby pewnie, żebym nie wróciła, tak byłoby o wiele dramatyczniej. Jess szybko się ich pozbyła, przekupując najpewniej jakimiś drobniakami na wypad do klubu. W końcu usiadłyśmy i popatrzyłyśmy po sobie.

– Rozmawiałam z tym całym Farrierem – zaczęła. – Nie wierzy, że to twoja robota.

– No popatrz, kto by pomyślał.

Zignorowała moją uwagę.

– Twierdzi, że nie wyrobiłabyś się czasowo. Znalazłaś tego chłopaka niedługo po śmierci. A pani Russo zapamiętała cię z cukierni. Ponoć siedziałaś tam jak zmokła kura. Potem ta dziewczyna wpuściła cię do domu. Ale to ona weszła pierwsza, prawda? Zaklina się, że nie mogłaś go zabić. Więc kiedy miałabyś to zrobić? I gdzie schowałaś nóż?

– Byłam wcześniej w tym domu. Nikogo nie zastałam, ale miałam okazję to zrobić i pozbyć się noża.

– Nie – upierała się Jess. – Za długo siedziałaś w cukierni. I po co miałabyś tam wracać, gdybyś zabiła tego chłopaka?

Wbiła we mnie wzrok, zachęcając do racjonalnego namysłu. Zastanawiałam się, jakim cudem zdołała wyciągnąć te wszystkie informacje od Farriera. Dlaczego jej o tym powiedział?

– Ale co ty tam w ogóle robiłaś? – zapytała.

A więc o to chodziło. Na pewno ją o to poprosił.

Opowiedziałam jej dokładnie to samo, co policjantom.

– Farrier mi nie wierzy, że miałam odnaleźć Thomasa. Nie dociera do niego, że to dlatego tam byłam. Myśli, że oszalałam. Albo kłamię. – Zamilkłam na chwilę. – Pokazywałam ci ten list od prawnika? Ten z informacją o pogrzebie w Wintrylaw?

Jess pokręciła głową.

– Przykro mi, kochana, ale nie widziałam go. Pamiętasz, dałam ci go na dworze zaraz po przyjściu listonosza. Ale to jasne, że chodziło o pogrzeb. Dlaczego Ray miałby cię zabierać aż na drugi koniec wybrzeża? Nigdy wcześniej nawet nie słyszałaś o tym miejscu, prawda?

Prawda. Philip nigdy o nim nie wspominał.

Za oknem rozległ się pisk opon. Wyglądało na to, że Lisa dotarła na miejsce.

– Ona sobie kiedyś coś zrobi – westchnęła Jess. Zawsze to powtarzała. Dostrzegła moje spojrzenie i uśmiechnęła się krzywo, gdy dotarło do niej, że się powtarza. Wstała, by przywitać naszego gościa.

Tym razem Lisa ubrała się zwyczajnie: dżinsy, które idealnie modelowały jej tyłek, top bez rękawów i to właściwie tyle, jeśli nie liczyć lśniących butów na wysokim obcasie. Jess zostawiła nas same. Stwierdziła, że na pewno umieram z głodu (co zresztą było prawdą), i poszła do kuchni przygotować coś do jedzenia. Tymczasem Lisa najwyraźniej pominęła tę część szkolenia, która mówiła o tym, jak istotne są nieosądzanie, takt i dyskrecja.

– Co się dzieje? – zapytała z miejsca. – Słyszałam od Jess, że odstawiłaś tabletki.

Podziękowałam Jess w myślach, zastanawiając się przy tym, co jeszcze wypaplała. Szkoda, że nie opisała tego od razu w gazetce parafialnej.

Wyjaśniłam Lisie, że w Maroku doskonale czułam się bez tabletek.

– Ale teraz będą ci potrzebne. – To było stwierdzenie, a nie zaproszenie do dyskusji.

– Może...

– Żadne „może”. Czeka cię sporo stresu. Każdy byłby zszokowany tym, co znalazłaś. Pogódź się w końcu z faktem, że jesteś człowiekiem, Lizzie.

– A nie wydaje ci się, że mogłam sobie wymyślić powody, z których tam się zjawiłam? – zapytałam nagle. – To przecież mogły być objawy choroby, prawda? Jak sny i wspomnienia?

– A głosów przypadkiem nie słyszysz? – To pytanie brzmiało jak żart, ale mówiła poważnie. – Nikt ci nie wydaje rozkazów przez telefon? Albo przez radio?

Zniecierpliwiona pokręciłam głową.

– Czyli masz normalny kontakt z rzeczywistością – stwierdziła. – I dość rzeczy na głowie, żebyśmy się jeszcze tym musiały zamartwiać. Zaufaj instynktowi, Lizzie. Wierzę w ciebie.

Nagle zapikał jej pager i chwilę później już jej nie było, pognała z wizytą do kogoś bardziej chorego i mniej upartego niż ja.

Czyli nie oszalałam. Skoro Lista tak twierdziła, to musiała być prawda. Ale to oznaczało, że Stuart Howdon kłamał. Tylko dlaczego? Czy to on zabił Thomasa? To, że ten powszechnie szanowany tłuścioch zadźgał nastolatka, wydawało mi się najbardziej obłąkaną myślą, na jaką wpadłam tego dnia.

Zjadłyśmy w kuchni zupę z wczoraj, jedną ze specjalności Jess, krupnik na baraninie – tak gęsty, że można było w nim postawić łyżkę na sztorc. Jess chciała wiedzieć, o czym rozmawiałam z Lisą, ale taktownie powstrzymywała się od pytań. Cisza była równie gęsta, jak stojąca przed nami zupa, więc w końcu nie wytrzymałam.

– Lisa nie wierzy, że jestem szalona.

– Oczywiście, że nie jesteś, kotku.

Zabrzmiało to tak, jakbym była dzieckiem, które wymaga pocieszenia. Pewnie nie zrobiła tego specjalnie, ale i tak puściły mi nerwy. Całe napięcie tego dnia spędzonego na posterunku, cały syf ostatnich sześciu miesięcy, wszystko to sprawiło, że wybuchłam. Wrzeszczałam ile sił, bluzgając tak, jak nie bluzgałam od czasów bidula, bo wiedziałam, że Jess nie lubi wulgaryzmów i chce się jakoś odróżnić od tych tępych baranów, którzy nie potrafili sklecić zdania bez przekleństw. Siedziała nieruchomo, przyjmując to

wszystko na klatę i robiąc to z takim zaangażowaniem, jak wcześniej na posterunku. Nawet nie drgnęła. Czekała, aż przestanę. Minuty zdawały się ciągnąć niczym dni, aż w końcu mój wrzask przeszedł w szloch. Wtedy wzięła mnie w objęcia, pogładziła po włosach, odgarnęła je z czoła i wsunęła mi kosmyk za ucho.

– Już nie będę – obiecałam jak skruszone dziecko. – Zrobię, co Lisa kazała.

Potem otworzyłyśmy butelkę wina i usiadłyśmy na kanapie, żeby obejrzeć jakiś łzawy film, dokładnie tak, jak sobie to wyobrażałam, siedząc na posterunku.

Do łóżka poszłam dopiero po północy. Przyjemnie drzemało się na kanapie, oczekując nieprawdopodobnego happy endu, zwłaszcza że nie chciałam być sama. Jess na pewno zostałaby ze mną całą noc, ale wiedziałam, że jest zmęczona. Jeden z lokatorów znalazł pracę, więc zrywała się co rano, żeby dopilnować, by zdążył na autobus.

Kiedy znalazłam się u siebie, byłam tak wykończona, że nie chciało mi się spać. Otworzyłam na oścież okno i spojrzałam na morze. Wisiał nad nim księżyc, jeszcze nie całkiem w pełni, nie do końca okrągły. Pomyślałam o Philipie. Wsłuchując się w szum fal, pozwoliłam sobie na wspominanie naszej nocy w Marrakeszu. Przynajmniej nigdy się nie dowie, jak zginął jego syn. Jako niewierząca nie umiałam sobie wyobrazić, że ucina sobie na ten temat pogawędkę z Bogiem.

Zastanowiłam się nad wydarzeniami dzisiejszego dnia, próbując nadać im jakiś sens. Czy Philip poprosił mnie o odszukanie Thomasa, bo wyczuwał, że coś mu grozi? Spodziewał się, że ochronię jego syna? Bo jeśli tak, to zawaliłam po całości.

„Przestań, Lizzie. Skończ się obwiniać". Tak powtarzała Lisa w czasie sesji, na których rozmawiałyśmy o moich błędach z przeszłości. Słyszałam teraz jej głos w swojej głowie. Tym razem obciążała mnie śmierć, była kolejnym powodem wyrzutów sumienia.

„Nie możesz brać odpowiedzialności za wszystkie zbrodnie na świecie" – kolejne z powiedzonek Lisy. Kto więc odpowiadał za śmierć Thomasa,

skoro nie ja? Kto go zadźgał, a potem wymknął się tuż przed moim przybyciem? Jakie to w ogóle miało znaczenie? Dlaczego miałoby mnie obchodzić?

A jednak obchodziło. Zawiodłam Philipa. Nie powinnam była do tego dopuścić.

Parapet pełnił funkcję mojej skrzynki odbiorczej, leżały na nim sterty papierów: wciąż niewypełniony formularz podatkowy, wyciągi bankowe, jakieś skomplikowane pismo w sprawie funduszu emerytalnego, ostatnie zwolnienie lekarskie. Oraz listy od Dana Meecha, które miałam przekazać Thomasowi. Zapomniałam je włożyć do torebki, gdy wychodziłam dziś rano. Trzy koperty. Rozłożyłam je na łóżku i wpatrywałam się w nie, próbując się domyślić, co zawierają.

Z pierwszą było prosto. Wyciąg bankowy. Korzystaliśmy z tego samego banku, więc rozpoznałam podłużną, białą kopertę i adres nadawcy. Drugi list nadano w Whitley Bay. Pochyłe, odręczne litery skreślone prawdziwym wiecznym piórem. Trzecia koperta miała adres pisany pismem maszynowym, ale nie wyglądała, jakby zawierała reklamy. Była to jedna z tych naklejek drukowanych na komputerze. Na odwrotnej stronie koperty zobaczyłam symbol i pieczątkę Izby Gmin. List od parlamentarzysty. Najpewniej odpowiedź na zapytanie Thomasa. Tylko o co? O bezdomność? O patologie rodzinne?

Doskonale wiedziałam, co powinnam zrobić z tymi listami. Powinny wrócić na parapet. Rano musiałam zadzwonić do Farriera i mu o nich powiedzieć. Wciąż leżały na moim łóżku, a ja nadal się na nie gapiłam, jakbym wierzyła, że samą siłą woli i koncentracji prześwietlę ich zawartość. Zastanawiałam się, jakie są szanse na to, że Meech powie Farrierowi, że mi je przekazał. Właściwie zerowe. Będą z nim rozmawiać, to oczywiste. Skoro to nie ja zabiłam Thomasa, kolejnym podejrzanym będzie zapewne jakiś dzieciak ze schroniska. Gliniarze przecież mają bezdomnych za nie-

obliczalnych. Ale pamięć Dana była dziurawa jak sito. Słynął z tego. Byłam zaskoczona, że w ogóle rozpoznał mnie wtedy na ulicy.

W końcu uznałam, że mogę pokazać Farrierowi wyciąg bankowy. Co interesującego mógłby skrywać? Nawet jeśli Dan przypomni sobie o listach, na pewno nie zapamiętał, ile ich było. Z drugiej strony, nadal nie wiedziałam, dlaczego to robię, po co się wtrącam. Przecież obiecałam Jess, że będę uważać. Mogłam to wyjaśnić tylko tym, że potrzebowałam jakiegoś poczucia kontroli. Nienawidziłam, gdy coś działo się bez mojego udziału.

Najpierw otworzyłam kopertę z ręcznie wypisanym adresem. Nie stawiała wielkiego oporu, gdy wsunęłam kciuk pod zagięcie i ostrożnie ją rozkleiłam, uważając, żeby nie rozedrzeć. Nikt się nie dowie, jeśli ponownie ją skleję. W środku znalazłam czerwony kartonik z kilkoma linijkami tekstu, skreślonymi tym samym pochyłym charakterem pisma.

> Bardzo przepraszam za cały ból, jakiego ode mnie doznałeś. Czy możemy się wciąż przyjaźnić? Mam nadzieję, że Ci to przekażą. Wybacz mi, błagam.

Żadnego podpisu ani nagłówka, ale domyślałam się, że to musiała być Nell, dziewczyna Thomasa. Nie było też adresu, ale pamiętałam, jak Dan wspominał, że nazywa się Ravendale. Nie było to popularne nazwisko i być może zdołam je znaleźć w książce telefonicznej. Zapisałam je na odwrocie kartonika i dopiero chwilę później dotarło do mnie, co narobiłam. Już nie mogłam oddać tego listu Farrierowi bez wytłumaczenia, dlaczego go otworzyłam. Idiotyzm. I po co w ogóle miałabym szukać tej dziewczyny?

List z Izby Gmin otworzyłam już bez żadnych skrupułów. Nadawczynią była parlamentarzystka Shona Murray, wybrana w ostatnich wyborach uzupełniających. Słynęła ze szczerości i radykalizmu, ale dopiero zaczynała. Widziałam ją kiedyś w telewizji. Pamiętałam burzę włosów sterczących naturalnie we wszystkie strony, bez wielogodzinnej pracy fryzjera z grzebieniem. Nie pamiętam, co mówiła – pewnie coś po linii partyjnej – ale zauroczyło mnie jej poczucie humoru.

> Drogi Thomasie,

dziękuję Ci bardzo za informację. Będę ją oczywiście musiała sprawdzić, zanim ją wykorzystam. Jestem pewna, że rozumiesz, jak wielka odpowiedzialność ciąży na posłach w takich sytuacjach.

List wydrukowano na drukarce, ale nosił odręczny podpis Shony. Wydawało mi się znaczące, że zwraca się do Thomasa po imieniu. Czy był to fragment regularnej korespondencji? A może się kiedyś poznali?

Nagle poczułam się wyczerpana. Za dużo tego wszystkiego. Odłożyłam listy i wciąż nieotwarty wyciąg z powrotem na parapet. W kierunku doków w Blyth zmierzał niespiesznie kontenerowiec. Nie spodziewałam się, że szybko zasnę, jednak momentalnie odpłynęłam.

Rozdział szesnasty

Jest wieczór, a ja krążę po długim korytarzu. Poza zasięgiem lamp panuje półmrok. Żadnego dźwięku. Dzieci śpią.

Nagle, tuż przed sobą, zauważam chłopca. Pojawia się zupełnie znikąd. To Nicky, piętnastolatek o przystojnej, zaciętej twarzy, pobladłej jak u starca. Uważam go za jeden z moich sukcesów wychowawczych i podchodzę bliżej bez żadnych obaw.

– Psze pani! – W jego głosie słychać ponaglenie, oczy mu płoną, jakby właśnie zbudził się z koszmaru.

– Wracaj do łóżka, Nicky. Nic się nie dzieje. Porozmawiamy rano.

Stoję tak blisko, że mogę go dotknąć. Nicky zamordował swoją babcię. Niedawno udało mi się go przekonać, by w końcu mi o tym opowiedział. Każdy tutaj musi się skonfrontować ze swoimi przestępczymi działaniami. To fundament naszych przekonań, podobnie jak wiara w Boga w klasztorze.

– Ale ja chciałem zamienić z panią tylko kilka słów.

Dopiero wtedy dostrzegam nóż. Czy miał go przy sobie cały czas? Chował go za plecami? Przez jego pobielałe palce prześwieca żółta rękojeść.

– Nicky...

Jego ramię zaciska się na moim gardle, ostrze noża celuje w mój brzuch. Chłopak kopniakiem otwiera drzwi swojego pokoju i wciąga mnie do środka. Padamy na łóżko jak para kochanków, splątane nogi, jego ramię wciąż zaciśnięte na moim gardle. W końcu siada na mnie całym ciężarem. Czubek noża celuje w moje gardło. Bełkocze coś z podniecenia. Wrzeszczę w myślach, przywołując na ratunek matkę, której nigdy nie poznałam.

Obudziło mnie gwałtowne pukanie do drzwi sypialni. Od razu wiedziałam, że to nie będzie udany dzień, ale musiałam sobie przypomnieć dlaczego. Jess zatrzymała się na progu, trzymając w ręku kubek herbaty. Nie przepadam za herbatą, ale to miły gest. Moja opiekunka wydawała się zmęczona. Obudziła mnie, bo chciała porozmawiać. Miałam tylko nadzieję, że nie zwróci uwagi na pootwierane koperty na parapecie.

– Telefon się urywa.

– Farrier? – zapytałam. Domyślałam się, że będzie chciał porozmawiać.

– Gazety. Ale nie tylko nasz „Journal". Nawet z Londynu.

– Ustaw automatyczną odpowiedź.

– To tylko pogorszy sprawę, kotku. Zaczną tu przyłazić i koczować na progu.

– I tak to zrobią.

– Nie sądzę. Nie teraz.

Zaczekała, aż usiądę, po czym podała mi kubek. Wypiłam łyk naparu. Okazał się tak mocny, że poczułam, jak rozpuszcza mi się szkliwo na zębach.

– Okłamałam ich – wyjaśniła. – Powiedziałam, że miałam z tobą same kłopoty, więc cię wyrzuciłam. Że miarka się przebrała. – Zamilkła, żebym mogła pochwalić jej przebiegłość.

– No coś ty! – Udałam, że jestem pod wrażeniem.

– I normalnie każdy mi uwierzył! Wszyscy! Jak jeden! – Zachmurzyła się. – Jakbym w ogóle była do czegoś takiego zdolna!

Nie powiedziałam jej, jak bardzo się różni od opiekunów, u których mieszkałam przedtem. Było mi źle i nie miałam nastroju na prawienie komplementów.

– Co jeszcze im powiedziałaś? – zapytałam.

– Że chyba zatrzymasz się u dawnej koleżanki w Heaton.

Heaton. To tam wychowywał się Philip. Czy mieszkała tam jeszcze jego rodzina? Dziadkowie Thomasa?

Jess dalej paplała, ale tak bardzo pogrążyłam się w myślach, że niczego nie słyszałam. Kiedy na nią popatrzyłam, napotkałam zmartwione spojrzenie. Nie mogła zrozumieć, że ktoś może się tak głęboko zamyślić. Dlatego też wstałam i z wielkim namaszczeniem wzięłam brązową fiolkę ze stolika przy łóżku, wytrząsnęłam z niej dwie tabletki i popiłam je ostatnim łykiem herbaty. Nie skomentowała tego w żaden sposób, ale wyszła w promiennym nastroju.

O dziewiątej zadzwoniłam do biura Stuarta Howdona. Odebrała inna sekretarka niż ta, którą poznałam po pogrzebie Philipa. Była starsza i mówiła z wyraźnym szkockim akcentem.

– Nie ma go jeszcze w biurze – oznajmiła takim tonem, jakby tylko jakaś wariatka mogła oczekiwać, że jej szef będzie o tak wczesnej porze w pracy.

Musiał tam dotrzeć, zanim ponownie zadzwoniłam o dziesiątej, bo tym razem czekała mnie chłodna odpowiedź.

– A mogę zapytać, kto dzwoni?

Przedstawiłam się bez namysłu. Błąd.

– Przykro mi, pani Bartholomew, ale szef będzie cały dzień na zebraniu.

Najchętniej pojechałabym do Morphed i wywlekła go za fraki z tego zebrania, ale Jess przekonała mnie, że to niezbyt dobry pomysł.

– Zostaw to Farrierowi, kochana. To jego praca i wie, jak się to robi.

Chciałabym jej wierzyć, ale Farrier był przekonany o mojej winie. Nie miał tylko dowodów, które pozwoliłyby na zatrzymanie mnie w areszcie.

W porze obiadowej odwiedził mnie Dan Meech. Wcześniej próbował się dodzwonić, ale Jess wcisnęła mu tę samą bajeczkę co dziennikarzom. Nie uwierzył. Przyniósł ze sobą bukiet kwiatów, jakbym była chora, wybierał się na mój pogrzeb albo chciał upamiętnić miejsce wypadku.

– Pismaki pojawiły się też w Absalom House – poinformował. – Bezczelne gnojki. Przekupywali lokatorów w zamian za opowieści o Thomasie. I oczywiście trochę tego usłyszeli. Najpewniej same bajki, ale czemu mia-

łoby to ich obchodzić? Nie mogę tu długo siedzieć. Ellen walczy tam z nimi całkiem sama.

Czekałam, czy wspomni coś o listach, które miałam doręczyć Thomasowi, ale nie poruszył tego tematu. Ani wtedy, ani później. I raczej tego nie zrobi, o ile policja nie zapyta go o nie bezpośrednio.

– To miłe, że mnie odwiedziłeś – podziękowałam.

I było to miłe, ale jednocześnie dziwne. Kiedyś coś nas łączyło, ale dawno temu i nigdy nie przejmował się zbyt mocno moimi uczuciami. Zastanawiałam się, czy nie sprowadziła go upiorna ciekawość. Być może, podobnie jak czytelnicy nękających nas gazet, spodziewał się jakichś pikantnych szczegółów. Że dostanie opis w kolorze i z perspektywy świadka. Wydawał się zakłopotany i zmieszany, kiedy powiedziałam, że to miłe, więc podejrzewałam, że mam rację.

– Chodzi o Nell – powiedział nagle.

– Co z nią?

– Chce z tobą porozmawiać.

– Bo?

– Bo wbiła sobie do głowy, że musiałaś rozmawiać z Thomasem przed jego śmiercią.

Nie mogłam tego pojąć. Poczułam się tak, jakby oskarżył mnie o morderstwo. Musiałam się bronić.

– Nie żył już, kiedy tam weszłam. I mam świadka, który może to potwierdzić…

– Nie – przerwał mi donośnie, gdy zrozumiał, że go opacznie zrozumiałam. – Nie o to mi chodzi. Oczywiście, że nie. Ona myśli, że umówiłaś się z nim przez telefon. Albo że się gdzieś wcześniej spotkaliście.

– Nie. Nie spotkałam go.

– A możesz jej to powiedzieć?

– Co? – Moje pytanie zabrzmiało głośniej, niż planowałam.

– Odbija jej. Mnie nie uwierzy.

– Za młoda chyba trochę dla ciebie, co, Dan? – Ta złośliwa uwaga miała go zranić, ale nie spodziewałam się, że poczerwienieje, gniotąc kwiaty w ręku. Zabrałam mu ten bukiet, odłożyłam na kuchenną ławę i zaprosiłam go do środka.

– O to Nell pokłóciła się z Thomasem? – zapytałam. – O ciebie?

– Nie wiedział, że to o mnie chodzi. Powiedziała mu tylko, że poznała kogoś innego. Starszego. Nie chciał się z tym pogodzić.

– Ciekawe czemu.

Zdumiało mnie, że Dan potrafił być taki podstępny. Wyglądało na to, że Thomas został porzucony przez wszystkich, na których mu zależało.

– To dlatego przeprowadził się do Delval?

– Jeden z powodów. Gdyby wciąż chodził z Nell, pewnie nadal by się tu kręcił.

Widząc moją minę, wzruszył teatralnie ramionami, jakby zrzucał z siebie całą odpowiedzialność.

– Myślałem, że mu przejdzie. Ludzie tak mają. Skąd mogłem wiedzieć, że zginie, zanim Nelly zdąży z nim o wszystkim pogadać?

Pamiętałam ten ton, używał go w stosunku do mnie na studiach. „Ej, Lizzie, nie wiedziałem przecież, co czujesz. Nie sądziłem, że to dla ciebie takie ważne. Zabawiliśmy się trochę i dalej jesteśmy kumplami, nie?”

Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że ma bardzo skromny warsztat aktorski. Nic dziwnego, że nie mógł znaleźć stałej pracy.

Zapadła cisza. W oddali słyszałam szum odkurzacza na piętrze. Usiadłam, nie przerywając milczenia.

– Mógłbym cię od razu zabrać – zaproponował. – Nell nie poszła dziś do szkoły, a Ellen pożyczyła mi samochód. Proszę cię, Lizzie. – Jego głos stracił nagle całą energię. – Ona jest w naprawdę okropnym stanie. Nie mogę wrócić bez ciebie.

Przyjrzałam mu się podejrzliwie. Czyżby miał się okazać lepszym człowiekiem, niż myślałam? Trochę nadętym, ale nieco bardziej uczuciowym, niż chciałam przyznać? Ostatecznie nie miało to większego znaczenia. Jeśli

z nim pojadę, to nie dla niego, tylko dla tej dziewczyny. Dziewczyny, która obwinia jego, mnie, siebie oraz swoich rodziców. Wszystkich, tylko nie tego, kto trzymał nóż. Co zresztą miałam innego do roboty? Wstawiłam kwiaty do pustego dzbanka na mleko i zostawiłam na stole wiadomość dla Jess. Gdyby wiedziała, próbowałaby mnie powstrzymać. Cicho zamknęłam za sobą drzwi do kuchni, chociaż nie sądziłam, by mogła cokolwiek usłyszeć przez ryk odkurzacza.

Dan jechał do Whitley Bay w całkowitym milczeniu, co oznaczało, że albo naprawdę zależy mu na tej dziewczynie, albo ma na tyle dużo rozsądku, by nie triumfować.

Dom Nell stał przy ulicy równoległej do tej, przy której mieszkali Laingowie. Prawdopodobnie Dan szedł do niej, gdy wpadliśmy na siebie tydzień wcześniej. Był to dom wolnostojący, z cegły, z bluszczem porastającym jego bok i z nowoczesną dobudówką z tyłu. Po wyjściu z auta zatrzymałam się przy bramie i zagrodziłam drogę, więc Dan musiał mnie wysłuchać.

– Skąd wiedziałeś, że znalazłam ciało?

– Dowiedziałem się z radia Newcastle.

– Mówili o mnie?

Kiwnął głową.

– „Dwudziestopięcioletnia pracownica socjalna".

No cóż, mogło być gorzej. Farrier mógłby dodać: „...która obecnie przebywa na zwolnieniu lekarskim w związku z załamaniem nerwowym". A ja myślałam, że porządny z niego gość.

Odsunęłam się na bok i przepuściłam Dana. Poprowadził mnie na tyły domu i otworzył drzwi w dobudówce z płaskim dachem. Myślałam, że wejdę do kuchni, ale to był pokój Nell, połączenie artystowskiego poddasza ze studiem dziecięcego programu *Blue Peter*. Mnóstwo kolorów. Jedna ściana była pomarańczowa, z czerwonymi i brązowymi plamami w stylu Pollocka, na innej głęboki błękit przechodził w kolor liliowy. Na tej ścianie odciśnięto czarną połyskliwą farbą różne części ciała – nie były to tylko odciski dłoni, jakie widuje się w przedszkolach, ale także odciski stóp, rąk, po-

śladków, a także dwie rozmazane plamy, które prawdopodobnie były odciskami piersi. Ogromne okno wychodziło na ogród, obok niego stał długi stół. Pod nim dostrzegłam szuflady na kółkach, kosze z pędzlami i tubki z farbami, a także kilka wysokich stołków. Wszystko było nieuporządkowane i chaotyczne. Tubkom z farbami olejnymi brakowało zatyczek. Pod przeciwległą ścianą ujrzałam zlew. Na ociekaczu stały słoiki z rozpuszczalnikiem, w których odmakały pędzle. Podłogę pokrywały stosy papieru. Zobaczyłam tam kilka rysunków ołówkiem, które sprawiły, że po raz pierwszy pomyślałam, że Nell być może jest kimś więcej niż tylko rozpieszczonym bachorem, który nie dba o swoje rzeczy. W kącie stała instalacja, do której budowy wykorzystano drut i gips. Niewykluczone, że była już skończona i symbolizowała nietrwałość, ale nie sądzę. Na podłodze leżały kawałki gipsu, które wciąż wyglądały na mokre. Sama Nell mogła uchodzić za kolejną instalację. Leżała skulona na wielkiej fioletowej poduszce. Włosy i koszulkę miała uwalane gipsem. Kiedy usłyszała, że wchodzimy, wstała.

– To Lizzie – powiedział Dan.

Popatrzyłyśmy po sobie.

– Kawy? – zapytał i wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Wyglądało na to, że czuł się tu jak u siebie w domu. Podejrzewałam, że rodzice Nell są w pracy. Pozostawione same sobie, nadal się na siebie gapiłyśmy.

Wydawała się bardzo drobna. Czarne włosy, których chyba nie farbowała, tworzyły postrzępione pasemka przy uszach. Niewielka twarz. Duże czarne oczy sprawiające wrażenie jeszcze większych przez to, że były podkrążone.

Nawet kiedy siedziała ze skrzyżowanymi nogami, miała wdzięk tancerki, który Dan zawsze cenił.

– Znalazłaś go – powiedziała.

Przytaknęłam. Nie było krzeseł, a brudna podłoga nie zachęcała do tego, by na niej usiąść, zwłaszcza że miałam na sobie porządne spodnie, które można było prać tylko chemicznie. Wyciągnęłam więc spod stołu stołek, odkurzyłam go rękawem i usiadłam.

– Nie jestem pewna, dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć – powiedziałam. – On już nie żył, kiedy tam dotarłam. Nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

– Musiałaś umówić się z nim wcześniej na wizytę. Chcę wiedzieć, w jakim był stanie. Jeśli jakoś się pozbierał, to może nie będę się z tym wszystkim aż tak źle czuła. W tej chwili myślę tylko o tym, że go zdradziłam.

Wiem, że okres dojrzewania to czas intensywnych emocji. Sama intensywnie szukałam sprawiedliwości, matki i wielkiego marzenia o Newbiggin, ale nikt nigdy wcześniej nie wpatrywał się we mnie takim nawiedzonym i przeszywającym wzrokiem.

– Nie rozmawiałam z nim.

– A dlaczego chciałaś się z nim spotkać?

Mogłam skłamać, ale nie widziałam w tym sensu. Jedyni ludzie, których nie chciałam skrzywdzić ani obrazić, już nie żyli. Opowiedziałam jej całą swoją historię, a na zakończenie dodałam:

– Problem w tym, że adwokat twierdzi, że nigdy o mnie nie słyszał. Przez to moje położenie jest… niezbyt korzystne.

– Policja myśli, że to ty zabiłaś Thomasa?

Kiwnęłam głową.

– Co za bzdura. Dlaczego miałabyś to zrobić?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wydaje mi się, żeby musieli mieć motyw.

– Dobrze, że do niego napisałam – powiedziała. – Z przeprosinami. Strasznie się pokłóciliśmy. Dzięki temu listowi przynajmniej wiedział, że mi na nim zależy.

Nic nie powiedziałam. Nie było sensu tego roztrząsać. Musiałam szybko zmienić temat. W każdej chwili mógł wrócić Dan, a ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę, to rozmowa o tym liście przy nim.

– Czy Thomas wspominał kiedyś o swoim ojcu?

– Nigdy o tym prawdziwym. Mówił tylko o Ronniem. Jego mama nalegała, żeby Thomas nazywał go tatą, ale on nie chciał.

– Co mówił o Ronniem?

Starałam się zachować lekki ton, ale wiedziałam, że to ważne. Związek między Ronniem a Thomasem mógł wiele znaczyć w tej sprawie. To mogło wyjaśnić, dlaczego Kay wyrzuciła go z domu.

– Thomas powiedział mi, że gardzi Ronniem. Że Ronnie pozwala, żeby Kay nim pomiatała.

– Ale?

– Nie jestem pewna. Był bardzo zakręcony na punkcie rodziców, wiesz?

Pewnie, że wiedziałam.

– Wydaje mi się, że w głębi serca chciał, żeby Ronnie go polubił.

– To dlatego Thomas zaczął pracować jako wolontariusz w organizacji zajmującej się ochroną przyrody? Ronnie też w takiej działa, prawda?

Spojrzała na mnie. Jedna z zakonnic w domu dziecka, do którego trafiłam, gdy miałam siedem lat, też na mnie w taki sposób patrzyła. Oceniając, osądzając. Wydawało mi się, że potrafiła powiedzieć, o czym dokładnie myślę. Bałam się tego.

– Co o tym wiesz? – zapytała.

– Tylko to, co powiedział mi Dan. Że Thomas zgłosił się do pozyskiwania funduszy.

– Nie podobało mi się to – stwierdziła.

– Dan myślał, że to ty go tam wprowadziłaś.

– Nie myślę o niej jako o organizacji charytatywnej. To raczej grupa lobbystyczna. Sporty terenowe. Polowania. Polityka. Byłam zaskoczona, kiedy się na to zgodził. Powiedział, że nie rozumiem. Gdybym rozumiała, czym się zajmują, na pewno nie miałabym nic przeciwko.

Przypomniałam sobie, co mówił Ray po moim spotkaniu z Ronniem Laingiem.

– Thomas pracował dla Konsorcjum Wiejskiego?

– Tylko jako wolontariusz. Marcus mu to załatwił.

Kiedy mówiła, otwierała szeroko usta. Słowa były bardzo wyraźne. Sprawiała wrażenie aktorki ćwiczącej głos. Kolejna gwiazdunia. Pasuje do Dana.

– Marcus?

– Pracował dla Konsorcjum, zanim poszedł na studia. Oboje go znaliśmy, chociaż nie chodził do naszej szkoły. Zaskoczyło mnie, że Thomas się w to zaangażował. Na początku śmiał się z tego wszystkiego. W końcu Ronnie był jednym z członków. To wystarczyło, żeby Thomas miał o tym złe zdanie. Poza tym znał moje odczucia na ten temat. Ale ostatecznie się wciągnął. Nie mówił o tym za dużo. Zupełnie jakby to było tajne stowarzyszenie. Jakby to była jakaś wielka sprawa, a on ratował świat. Lubił być tajemniczy.

– Masz adres Marcusa?

– Jego ojciec jest właścicielem tego domu w Seaton Delaval. Marcus mieszkał w nim z Thomasem. Dowiedziałam się o tym dopiero po jego śmierci, gdy zobaczyłam adres w gazecie.

Odwróciła się, więc trudno mi było orzec, co o tym sądzi.

– A co z jego pracą u Harry'ego Poola? Miał tam jakichś przyjaciół?

– Kumpli do picia – odparła. – Chodził z nimi do pubu w piątkowe wieczory. Nigdy żadnego z nich nie poznałam. To nie była moja sprawa.

– Lubił tę pracę?

– Myślę, że trochę się jej wstydził. Była zbyt zwyczajna. Thomas zawsze marzył o sławie. Mówił o tym, co by robił, gdyby dostał szansę i został dziennikarzem albo muzykiem. – Zamilkła na chwilę, robiąc smutną minę. – Wreszcie trafił na pierwsze strony gazet, ale nie może się z tego cieszyć.

Do pokoju wszedł Dan. Trzymał za uszka trzy kubki. Po drodze rozlewał kawę. Ostrożnie podał jeden z nich Nell, a kubek dla mnie postawił na stole. Usiadł obok niej na zakurzonej fioletowej poduszce, objął ją ramieniem i przytulił. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Nie był to złośliwy

uśmiech, ale łagodny i pełen współczucia, jakby wyczuwała moją zazdrość i nie chciała mnie zranić.

– Czas na mnie – powiedziałam. – Jess będzie się martwić.

Nie ruszył się z miejsca. Skrzywiłam się. W końcu zjawiłam się tu tylko z jego powodu.

– Mógłbyś mnie odwieźć, Dan? – zapytałam. – Nie chce mi się czekać na autobus.

– Racja. – Wstał z wyraźną niechęcią. – Jeśli to wszystko...

Spojrzał na Nell. Pomyślałam, że chciałabym zapytać ją jeszcze o kilka spraw. Na przykład o Shonę Murray i o to, o czym Thomas mógł do niej pisać. Ale wzmianka o parlamentarzystce może przypomnieć Danowi pieczątkę Izby Gmin na odwrocie listu, więc to pytanie musiało poczekać.

W drodze powrotnej do Newbiggin zapytał mnie, co sądzę o Nell.

– Jest piękna – odparłam. – Naprawdę piękna.

To była prawda.

Rozdział siedemnasty

Kiedy wróciłam do Sea View, Jess akurat prasowała w kuchni. Stała w rozkroku i machała żelazkiem z taką energią, jakby uprawiała aerobik na siłowni. Przyglądałam się jej przez chwilę, myśląc o niej i Rayu oraz o tym, czy się pobiorą. A także o Danie i Nell. Zastanawiałam się również, czy jeszcze kiedykolwiek będę uprawiała seks z kimś, na kim będzie mi zależeć. Potem przyszła Sally, emerytka, która mieszka na osiedlu za rogiem. Ciągnęła za sobą wózek z egzemplarzami „News Post Leader". Ma siedemdziesiąt pięć lat i jest naszą gazeciarką. Jess zawsze robi jej herbatę, bo wypadamy mniej więcej w połowie jej obchodu, a poza tym wie, że staruszka jest samotna i nie przegapi okazji do rozmowy. Sally to stara panna. Ciekawe, czy w ogóle kiedykolwiek uprawiała seks.

Siedziałam z nimi przy kuchennym stole, pijąc herbatę, i przeglądałam gazetę, podczas gdy one plotkowały o ludziach, których nie znałam. Choć „Leader" jest bezpłatny, oprócz reklam i ogłoszeń motoryzacyjnych można w nim znaleźć mnóstwo lokalnych wiadomości. Tego dnia całą stronę poświęcono Shonie Murray. Artykuł nosił tytuł „Jeden dzień z życia naszej parlamentarzystki". Reporter towarzyszył jej w podróży po okręgu wyborczym i rozstał się z nią dopiero, gdy wsiadła do nocnego pociągu z Newcastle, by zdążyć do Izby Gmin na głosowanie nad ustawą o edukacji. Z artykułu wynikało, że była ona szczególnie zainteresowana tą tematyką, ponieważ zanim została polityczką, uczyła w college'u. Dużą część swojego dnia pracy poświęcała na wizyty w szkołach.

Wstałam i wymknęłam się z pokoju, zabierając ze sobą gazetę. Jess i Sally zdawały się tego nie zauważać. Gadały o Jerrym, gminnym policjancie, i Trish, fryzjerce Sally. Według tej ostatniej mieli oni romans. Spędzili nawet namiętny weekend w hotelu w Scarborough. Sally może i nigdy nie

uprawiała seksu, ale uwielbiała o nim mówić. Jakiś czas temu schowałam list Shony do Thomasa w szufladzie z majtkami. Jess nigdy nie wchodziła do mojego pokoju bez pytania, ale nie chciałam ryzykować. Teraz go wyciągnęłam i ponownie przeczytałam, po czym wróciłam do artykułu. Dowiedziałam się z niego, że parlamentarzystka co miesiąc przyjmuje w swoim biurze w centrum sportowym w Newbiggin. Najbliższy dyżur przypadał następnego wieczoru. Nie trzeba było się umawiać. Kiedy odniosłam gazetę do kuchni, Sally i Jess rozmawiały właśnie o pogrzebie Mattiego Watsona, który prowadził kiedyś pub obok poczty. Nigdy nie spotkałam Mattiego, ale w chwili, gdy Sally wychodziła, czułam, jakbym znała go równie dobrze jak one. Gdybym miała jakichś krewnych, byłby moim ulubionym wujkiem.

Kiedy następnego dnia dotarłam do centrum sportowego, w kolejce przede mną stało kilka osób. Byłam młodsza od najmłodszej z nich o jakieś trzydzieści lat. Shona wynajmowała jedną z sal konferencyjnych i siedzieliśmy w korytarzu. Czułam się tak, jakbym czekała na rozmowę o pracę, zdenerwowana i, o dziwo, przepełniona duchem współzawodnictwa. Przyglądałam się pozostałym kolejkowiczom, myśląc, że żadna z tych osób z pewnością nie ma tak interesującego powodu, by zobaczyć się z Shoną, jak ja. Bystra młoda kobieta, która mi się nie przedstawiła, zapytała, jak się nazywam. Odpowiedziałam, spodziewając się, że wykrzyknie: „Czy to nie ty jesteś tą dziewczyną, która znalazła ciało w Delaval?". Ale niczego takiego nie usłyszałam. Morderstwo Thomasa było już starą wiadomością.

– Shona trochę się spóźniła – powiedziała. – Znowu te pociągi.

Mówiła uprzejmym tonem i uśmiechała się przy tym, ale nie patrzyła na mnie. Odparłam, że nie ma sprawy, jednak ona wpatrywała się w kartkę i nie jestem pewna, czy usłyszała.

Usiadłam na pomarańczowym plastikowym krześle, dokładnie takim samym jak to w sali przesłuchań na posterunku policji. Wyciągnęłam książkę wypożyczoną z biblioteki i pogrążyłam się w lekturze celtyckiej baśni o pięknej pannie i jej siedmiu braciach, którzy zostali zamienieni w łabędzie. No dobra, lubię fantasy. Wiem, że to żałosne, ale nieszkodliwe i nie

przejmuję się tym. Kiedy usłyszałam swoje nazwisko, uniosłam wzrok i zobaczyłam, że wszyscy pozostali kolejkowicze zniknęli. Nie było nawet młodej asystentki, z którą rozmawiałam. To Shona Murray wyszła z sali, by mnie zawołać. Rozpoznałam z telewizji jej rude włosy. Wyglądała na zmęczoną, ale udało jej się uśmiechnąć i spojrzeć mi w oczy. Być może ulżyło jej, że jestem ostatnia. Pospieszyłam za nią do sali.

Nie siedziała za biurkiem, lecz na niskim fotelu przy stoliku do kawy. Kiedy weszłam, właśnie układała wokół siebie swoją spódnicę. Była długa i pognieciona. Shona poprosiła mnie, żebym zajęła miejsce naprzeciwko niej. Przypomniały mi się moje przymusowe sesje terapeutyczne z udziałem starszego psychiatry. Układ pokoju się zgadzał. Podobnie było z początkowym pytaniem; za każdym razem wydawało się, że zapomniał, kim jestem i po co przyszłam.

– Co mogę dla pani zrobić?

Zawsze kusiło mnie, żeby odpowiedzieć: „Wypisać zwolnienie i powiedzieć sądowi, że stosuję się do nakazu". Nigdy jednak tego nie zrobiłam. W niektórych sytuacjach trzeba być gotowym na grę. Z Shoną chciałam to rozegrać w miarę prosto. Kiedy zadała pytanie, odczekałam chwilę, po czym odparłam:

– To ja znalazłam ciało Thomasa Marinera w Seaton Delaval.

Do tej chwili jej zainteresowanie miało profesjonalny charakter, była pełna wystudiowanej uprzejmości. Nagle stała się czujna.

– Czytałam o tym – powiedziała. – To musiało być straszne.

– Znała go pani?

Odpowiedziała nie wprost.

– Nie był moim wyborcą.

– Ale znaliście się? – naciskałam.

– Odwiedziłam kiedyś Absalom House, schronisko, w którym mieszkał. – Przerwała na chwilę. – Interesują mnie młodzi ludzie, którzy porzucili edukację...

Czuła się pewniej, mówiąc o sobie niż o Thomasie.

– Zdaniem policji jestem zamieszana w jego śmierć.

– A jest pani?

Zaimponowała mi. Zachowała zimną krew, mimo że rozmawiała z potencjalną morderczynią. Nie wzywała policji. Nawet jeśli w pokoju znajdował się przycisk alarmowy, nie skorzystała z niego.

– Nie. Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Nie mogę ingerować w policyjne dochodzenie. Nie na tym etapie. Od tego są adwokaci.

Nie powiedziałam, że w tym przypadku to adwokat stanowi problem.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale nie dlatego tu jestem.

Jeśli dowiem się, kto zabił Thomasa, zwolni mnie to z odpowiedzialności.

– To dlaczego?

W tym momencie musiałam wykazać się odrobiną kreatywności. Nie mogłam przyznać się do otwarcia listu Shony do Thomasa.

– Thomas miał dziewczynę. Młodą, zaledwie siedemnastolatkę. Pokłócili się i nie zdążyła się z nim pogodzić. Czuje się z tym naprawdę źle. Potrzebuje wytłumaczenia. Zamknięcia tej sprawy.

To była amerykańska pseudopsychologiczna gadka w najgorszym wydaniu, ale Shona chyba połknęła przynętę.

– Poprosiła mnie o pomoc. Jestem pracowniczką socjalną.

To akurat była prawda. Tyle że nie pracowałam już w zawodzie…

– Wspominała, że Thomas do pani pisał. Wbiła sobie do głowy, że to może mieć jakiś związek z tą sprawą.

Przez chwilę Shona siedziała nieruchomo. W końcu powiedziała:

– Wszelka korespondencja między obywatelami a mną ma poufny charakter.

No tak, oczywiście. Rozłożyłam ręce, jakbym chciała powiedzieć, że to nie moja wina i że jestem tylko pośredniczką.

– Ale powie pani o tym policji?

– Czyli policja wie, że Thomas do mnie napisał? – zapytała chyba ostrzejszym tonem, niż zamierzała.

– Nie ufają mi, jeśli chodzi o tego typu informacje – odparłam.

Uśmiechnęła się.

– Domyślam się. Domyślam się też, że pani zainteresowanie tą sprawą wynika bardziej z potrzeby oczyszczenia się z zarzutów niż z chęci pomocy dziewczynie Toma.

Odwzajemniłam uśmiech, choć zastanawiałam się, dlaczego nie chciała iść na policję. Nie odmówiła ujawnienia jej szczegółów korespondencji, ale wyczułam w niej niechęć. To chyba niemożliwe, żeby w jakiś sposób była powiązana ze śmiercią Thomasa? Nigdy nie wierzyłam w teorie spiskowe.

– Wiedziała pani, że wyprowadził się z Absalom House? – zapytałam.

– Nie. Dowiedziałam się dopiero z artykułu w gazecie. – Spojrzała na mnie. – W jaki sposób była pani z nim związana? Zawodowo?

– Miał problemy z matką i ojczymem, ale, jak już mówiłam, nie znaliśmy się.

– Ja spotkałam go tylko raz – powiedziała powoli. – Wywarł na mnie duże wrażenie. Bardzo się różnił od większości tamtejszych chłopaków. Był wygadany. Mówił, że jego mama jest nauczycielką. Zastanawiałam się, jakim cudem tam trafił. Inni byli głośni i bez przerwy próbowali się popisywać. On wydawał się całkiem fajny. Jak na kogoś tak młodego miał styl. I wydawało się, że mnie polubił. Prawdopodobnie chodzi o władzę. Ludzie myślą, że członkowie Izby Gmin mają więcej władzy niż w rzeczywistości. To była nieformalna wizyta i dość długo rozmawialiśmy. Próbowałam go przekonać do pójścia na studia. Jego wyniki egzaminów nie były złe. Przy odrobinie wsparcia dostałby się na uniwersytet.

Nagle przyszła mi do głowy dziwna myśl. Przecież opieka społeczna mogła umieścić Thomasa u Jess. A ona mogła postąpić z nim tak samo, jak ze mną. Nie doszłoby wtedy do tego wszystkiego. Gdyby mieszkał z nami w Sea View, pilnowałabym go. Nie dopuściłabym, żeby został zamordowany. To było niedorzeczne, ale to marzenie o świecie równoległym spra-

wiło, że poczułam się bardziej odpowiedzialna za jego śmierć niż dotychczas.

Tymczasem Shona ciągnęła:

– Zapytał, jakie są procedury związane z informowaniem o nieprawidłowościach. Do kogo powinien się zwrócić o ochronę. Tak właśnie powiedział. Był bardzo melodramatyczny, bardzo tajemniczy. „Skoro coś cię niepokoi, powiedz mi o tym, jeśli chcesz", poprosiłam. Ale on nie chciał. „Nie tutaj. Nie w Absalome House. Ktoś może podsłuchiwać". Znowu melodramat. „W takim razie napisz do swojego parlamentarzysty", powiedziałam i pamiętam, że zapisałam na skrawku papieru nazwisko deputowanego z Tyneside. On jednak stwierdził, że nie chce tego mówić mężczyźnie w średnim wieku. „Nie zrozumie".

– Dlatego napisał do pani?

– Tak – odparła. – Dlatego napisał do mnie. Przedstawił swoje zarzuty, ale były one niejasne, nieprecyzyjne. Nic, co mogłabym wykorzystać. Pomyślałam, że być może szukał uwagi. Jak wszyscy inni chłopcy w schronisku. Po prostu miał bardziej wyrafinowany styl.

– Czyli nie uwierzyła mu pani?

– Na pewno nie we wszystko. Być może było w tym ziarnko prawdy. Trudno powiedzieć. Potrzebowałabym dowodu, żeby cokolwiek zrobić.

– O kim pisał? O kimś z pracy?

– Chyba nie oczekuje pani, że powiem? – Jej głos zachował lekkość, ale widać było, że wciąż myśli o Thomasie. Wydawała się poruszona tą sprawą. – Minęło dużo czasu, zanim odpowiedziałam – kontynuowała. – Dostał potwierdzenie z mojego biura, że otrzymałam jego list, ale akurat byłam na urlopie, a potem miałam masę spraw do załatwienia. Trochę czasu zajęło mi też przypomnienie go sobie. Spotykam tak wiele osób... Prawdopodobnie nigdy nie otrzymał mojego listu. To chyba zależy od tego, kiedy się przeprowadził. Wysłałam go do schroniska. Może po prostu pomyślał, że nie chcę zawracać sobie tym głowy.

– Ma pani ten list, który do pani wysłał?

– Na pewno znajdę go gdzieś w papierach.

– Może warto pokazać go policji – zasugerowałam. – Inspektorowi Farrierowi z Blyth.

– Na pewno – powiedziała raz jeszcze.

Ale nie zapisała nazwiska, więc nie byłam pewna, czy rzeczywiście to zrobi.

Rozdział osiemnasty

Kiedyś przed firmą Harry'ego Poola znajdowała się rampa, ale linię kolejową zamknięto kilkadziesiąt lat temu, a okolice opuszczonych torów przekształcono w teren przemysłowy. Harry miał największy plac, najbliżej drogi. Otaczał go wysoki ceglany mur z żelaznymi bramami pomalowanymi na żółto.

Były otwarte, dzięki czemu widziałam magazyn z pomieszczeniami biurowymi po jednej stronie i kilka ciężarówek po drugiej. Też były żółte, z zielonym napisem „Transport Harry'ego" po obu stronach.

Wszystko to zgadzało się z moimi oczekiwaniami. To, czego się nie spodziewałam, to ludzie zgromadzeni tuż za bramami. Nie byli to kierowcy ciężarówek, nie wyglądali też na potencjalnych klientów. Zgromadziło się ich kilkunastu. Grzali się w promieniach słońca i beztrosko gawędzili, ale zaczynali się już trochę niecierpliwić. Jeśli sądzić po ubraniach, zaliczali się do klasy średniej. Mogli być nawet pracownikami socjalnymi. Dopóki nie zobaczyłam mikrofonów, myślałam, że to jakaś demonstracja. Potem zdałam sobie sprawę, że wszyscy są dziennikarzami.

Nie przyszło mi do głowy, że śmierć Thomasa okaże się na tyle dużym wydarzeniem, że nadal będą kręcili się przy jego pracodawcy. Towarzyszył mi irracjonalny lęk, że domyślą się, kim jestem. Wyobraziłam sobie, że gonią mnie po ulicy, zadają pytania i celują mikrofonami w moją twarz. Już miałam się wymknąć i wrócić innym razem, gdy pojawił się Harry Pool. Zewnętrzne metalowe schody prowadziły do biura na pierwszym piętrze. Na górze znajdował się podest z barierką ochronną. Stanął na nim i popatrzył na nas. Znałam go z fotografii, którą widziałam w domu Archiego Marinera. Był to zwalisty mężczyzna o tak rumianej twarzy, że wystraszyłam się, że zaraz będzie miał zawał serca.

Dziennikarze przestali mówić o swoich planach wakacyjnych i narzekać na szefów i zapadła cisza. Nie wydawało mi się, żeby czuli podniecenie. To miały być rutynowe relacje. Stanęłam na końcu tłumu. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Harry oparł się o balustradę i zaczął mówić. Miał donośny głos, który niósł się ponad szumem ruchu ulicznego za ogrodzeniem. Mówił wyraźnie i szybko, ale podobnie jak w przypadku oczekujących dziennikarzy, nie było w nim zaangażowania. Przypominał mi staroświeckiego przywódcę związkowego, który zamierza za chwilę zdradzić swoich towarzyszy.

– Jako regionalny przedstawiciel Zrzeszenia Przewoźników Drogowych zwołałem tę konferencję prasową, by przypomnieć opinii publicznej o trudnej sytuacji Mike'a Spicera, kierowcy ciężarówki z Berwick, który nadal jest przetrzymywany w belgijskim więzieniu.

Czyli nie ma to nic wspólnego z Thomasem. Zawahał się lekko przy nazwisku kierowcy i pomyślałam, że pewnie potrzebuje lekkiego przypomnienia faktów.

– Pan Spicer został oskarżony o przewożenie nielegalnych imigrantów przez granicę belgijską. Od chwili aresztowania twierdził, że nie wiedział o obecności tych osób. Przestrzegał wszystkich stosownych przepisów krajowych i unijnych. Plomba na jego ładunku pozostawała nienaruszona, gdy sprawdzał ją w Bukareszcie.

Nadszedł czas na pytania dziennikarzy. Rękę uniosła dziewczyna z potarganą trwałą. Harry spojrzał na nią wyczekująco.

– Czy może pan wyjaśnić, w jaki sposób nielegalni imigranci dostali się do środka?

Rzucił jej pogardliwe spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że przerabiał to już kilkanaście razy i jeśli przykładałaby się do swojej pracy, to wcześniej zrobiłaby jakiś research.

– Naszym zdaniem użyto klucza grzechotkowego. Ciężarówka miała naczepę kurtynową, a ładunek składał się z kilku części i otaczał go pas. Napinano go aż do chwili, gdy między częściami powstała szczelina umożliwiająca dostęp do ładunku bez konieczności przecinania plomby.

Dziewczyna pewnie nie zrozumiała ani słowa z tej przemowy. Harry'ego jednak wyraźnie to nie obchodziło.

– Praworządny obywatel został aresztowany w związku z przestępstwem, którego nie popełnił. Musimy wywierać presję na naszych polityków, żeby walczyli o jego uwolnienie.

Rozejrzał się dookoła, a widząc, że nikt więcej się nie odzywa, skinął głową.

– Dziękuję państwu.

Zaczął schodzić po schodach. Metal brzęczał przy każdym jego kroku. Spodziewałam się, że niektórzy dziennikarze podejdą do niego z kolejnymi pytaniami, ale oni już stracili zainteresowanie. Ruszyli do samochodów pozostawionych na ulicy. Harry przeszedł obok mnie do śliwkowego jaguara ze spersonalizowaną tablicą rejestracyjną, zaparkowanego przodem do magazynu, po czym ruszył. Przejeżdżając przez bramę, pomachał do kilku pozostałych osób. Plac opustoszał.

Odczekałam jeszcze chwilę. Nie bardzo wiedziałam, co robić. Początkowo planowałam nawiązać rozmowę z jednym z kolegów Thomasa, zabrać go na lunch i postawić mu kufel piwa w zamian za trochę plotek o firmie. Najwyraźniej to się nie uda. Nie było tu nikogo, do kogo można by podejść. Wszyscy kierowcy przebywali poza bazą. Ale w biurze musi ktoś być. Harry Pool nie odjechałby, nie zostawiwszy w nim kogoś, kto odbierałby telefony.

Weszłam po metalowych schodach, starając się ograniczyć hałas do minimum, i zapukałam do drzwi.

– Tak?

W środku siedział siwowłosy mężczyzna, zapewne tuż przed emeryturą. Okulary zsunęły mu się na czubek cienkiego nosa. Popatrzył na mnie zza nich z uznaniem. Prawdopodobnie niezbyt dużo młodych kobiet pukało do jego drzwi. Jego oczy sunęły łapczywie po moim ciele, zanim ponownie spoczęły na twarzy. Połapał się, że wiem, co mu chodzi po głowie, i wydał się nieco zakłopotany. Gnojek, ale z odrobiną przyzwoitości.

– Tak się zastanawiam, czy mógłby pan ze mną porozmawiać...

Miałam na sobie krótką spódniczkę i usiadłam tak, żeby mógł widzieć moje nogi. Wiedziałam, że całkiem nieźle się prezentują, ich miodowa barwa była pozostałością po marokańskiej opaleniźnie.

– W czym mogę pomóc? – zapytał i już wiedziałam, że mój widok sprawia mu przyjemność.

– Byłam na konferencji prasowej, ale przydałoby mi się trochę więcej informacji.

– No nie wiem. Pana Poola już nie ma.

– A czy mogłabym porozmawiać z panem? Chciałabym napisać artykuł, ale mam za mało informacji. A pan wydaje się odpowiadać za prowadzenie firmy.

Rola dziennikarki stawała się moją drugą naturą. Siedział przy jednym z dwóch stojących obok siebie biurek. Wszędzie leżały stosy papierów. Zamknięte drzwi prowadziły do drugiego pomieszczenia. Domyślałam się, że to gabinet Harry'ego. Pewnie chciał mieć oddzielną przestrzeń.

– Co pani chce wiedzieć?

– Chodzi mi o szczegóły codziennego funkcjonowania firmy. Takie rzeczy zawsze ożywiają artykuł. Chciałabym, żeby moi czytelnicy zrozumieli presję, która może prowadzić do łamania przepisów.

Zanim zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Klient, który chciał szybko dostarczyć do Aberdeen ubranka dziecięce. Podczas gdy mój nowy znajomy załatwiał sprawę, patrzyłam na niego z podziwem, jakbym była pod ogromnym wrażeniem jego kompetencji. Kiedy wreszcie odłożył słuchawkę, pochylił się nad biurkiem i wyciągnął do mnie rękę.

– Kenny Baxter – przedstawił się. – W jaki sposób mogę pani pomóc?

Nie podałam swojego nazwiska.

– Proszę po prostu opowiedzieć mi o firmie Poola, o tym, co tutaj się dzieje. Oczywiście pod warunkiem, że ma pan czas na rozmowę.

– Po wyjeździe pierwszych ciężarówek jest chwila spokoju. Ale zawsze może coś wypaść, a jestem tutaj sam. – Zniżył głos. – Pracował u nas ten

chłopak zabity przez ćpunów w Delaval. Muszę teraz robić za siebie i za niego.

– Nie wiedziałam! Jaki on był?

– Dosyć ogarnięty – powiedział ostrożnie i domyśliłam się, że kolejne pytanie o Thomasa wzbudzi jego podejrzenia.

– To musiało być straszne.

Skinął głową z poważną miną i zaczął mówić. Godzinę później wiedziałam już o większej liczbie przekrętów w branży transportowej, niż mogłam sobie wyobrazić. Przy tym cały czas Kenny upierał się, że nic takiego nie miało miejsca u Poola. Harry działał zgodnie z prawem. Był z tego znany. Baxter opowiadał z pasją entuzjasty i sprawiał wrażenie, że to, czym się zajmuje, to bardziej hobby niż praca. Odnosiło się wrażenie, że pojawiałby się tu codziennie o ósmej rano nawet za darmo. Zazdrościłam mu tego. Czułam się tak samo, gdy pracowałam w ośrodku dla młodzieży.

– Musi pani wiedzieć, że konkurencja na rynku jest ogromna – powiedział. Nie miał kilku zębów i nieco seplenił. – To prawdziwy Dziki Zachód z wieloma kowbojami. Kierowcami na samozatrudnieniu. Nikt nie sprawdza, czy przestrzegają przepisów. Ja pilnuję naszych chłopaków. Jeśli przychodzą kontrolerzy, wiedzą, że wszystko jest w porządku.

Rzeczywiście, mimo stosów papierów i zabrudzonych kubków z kawą wydawało się, że w tym chaosie panuje porządek. Baxter wtajemniczył mnie w arkana swojego systemu.

– Tu mamy wykaz usterek pojazdów. – Wyciągnął z szuflady dyskietkę. – Każdy kierowca przed rozpoczęciem pracy musi wypełnić specjalny formularz. Nie tylko wtedy, gdy znajdzie jakąś usterkę. Tak właśnie robią w innych firmach. Ale nie tutaj. Tak jest na każdej zmianie. Dalej są tachografy.

– Szpieg w kabinie – dorzuciłam.

– Chłopaki nie mogą jeździć dłużej niż cztery i pół godziny bez przerwy. – Najwyraźniej uznał, że moja uwaga nie jest warta reakcji. – I nie więcej niż dziewięć godzin w ciągu dnia. A jeśli tak się zdarzy, muszą później dłużej odpoczywać.

– Nie da się tego obejść?

– Mogą próbować – powiedział ponurym głosem.

– Zawsze pan to wykryje?

– Niełatwo mnie oszukać. – Przerwał na chwilę. – Na pewno ich korci. Zwłaszcza na trasach międzynarodowych. To zawsze walka z czasem. Jeśli się nie zdąży, może to przesunąć harmonogram o wiele godzin.

– A ja się zawsze zastanawiałam się, dlaczego kierowcy ciężarówek są tak cholernie niecierpliwi. – To miał być żart, ale nie udało mi się go rozśmieszyć.

– Mamy ograniczniki prędkości – powiedział. – Nie można więc jej przekraczać. – Przerwał na chwilę, po czym przyznał: – Tylko że czasami je wyłączają.

– Czyli ciężarówki mogą jechać szybciej? – Chciałam, żeby wiedział, że jestem zainteresowana. Bo byłam. A także wystraszona, jak wszyscy kierowcy jeżdżący małymi samochodami. Ciężarówki pędzące z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę zawsze wzbudzają strach.

– Żaden z moich chłopaków by tego nie spróbował – wtrącił szybko. – Ale można zrozumieć, dlaczego ludzie to robią. Jak już mówiłem, w tej branży jest wielu kowbojów.

Myślałam, że kończy, ale on dopiero się rozkręcał. Przekonywał mnie, że jego firma jest jedynym uczciwym przewoźnikiem. Wszyscy inni byli na dorobku i oszukiwali na potęgę. Przerwał na chwilę, by złapać oddech i napić się herbaty, która już dawno musiała wystygnąć.

– Do tego dochodzi paliwo! Wie pani, ile kosztuje litr oleju napędowego? – Nabrał wigoru i nie czekał na moją odpowiedź. – Powiem pani. Sześćdziesiąt trzy pensy plus VAT. Ale czerwony diesel kosztuje trzydzieści dwa pensy i nie płaci się od niego VAT-u. Kupuje się go do wózków widłowych i maszyn. Nie wmówi mi pani, że tamci z niego nie korzystają.

– Władze muszą to jakoś sprawdzać – powiedziałam niepewnie – i jeśli to jest czerwony diesel…

– Ha! – wykrzyknął z triumfem. – W Irlandii jest zielony.

– I co z tego?

Pomyślałam, że nawet daltonista byłby w stanie wyczuć coś podejrzanego.

– Można odfiltrować zielony barwnik, przepuszczając paliwo przez nawóz. Jest przemycane przez Morze Irlandzkie.

Oczy zabłysły mu z podniecenia. Niczym duchowny podczas kazania był zachwycony rozmiarami ludzkiej niegodziwości. W młodości spotykałam takich gliniarzy jak on. Stopień deprawacji innych był dla nich usprawiedliwieniem ich istnienia.

Znów zadzwonił telefon. Kierowca utknął w korku na drodze M18. Czy Kenny mógłby powiedzieć klientowi, że się spóźni? Z rozbawieniem zastanawiałam się, czy tachograf potrafi odróżnić korek uliczny od pokątnej randki kierowcy z samotną gospodynią domową. Gdy Kenny odłożył słuchawkę, zapytałam go o to, możliwie delikatnie, by go nie zszokować. Miałam wrażenie, że łatwo go zszokować.

– Tachograf nie – odpowiedział. – Ale GPS już tak. On by go zdradził. Rozmawiałem z Harrym. Zaraz tu będzie.

Rozdział dziewiętnasty

Dzień później kupiłam samochód od Ronniego Lainga. Zadzwonił o dziewiątej, gdy byłam u Jess, która wybrała się do Asdy na jakieś spotkanie towarzyskie. Umówiła się z czwórką znajomych i ostatecznie wylądowały na kawie i drożdżówkach w tej samej kawiarni, koło której przyłapano mnie na kradzieży. Miałam pokusę, żeby zignorować ten telefon, ale dzwonił coraz natarczywiej, więc w końcu odebrałam. Natychmiast poznałam go po głosie.

– Dzień dobry. Czy mógłbym rozmawiać z Lizzie...? – Zawiesił głos. Nie podałam mu przecież swojego nazwiska.

– Beswick – wyjaśniłam, podając nazwisko Jess. – Lizzie Beswick.

Dlaczego skłamałam? Po prostu nie chciałam, żeby skojarzył mnie z dziewczyną, która znalazła ciało jego pasierba. Najrozsądniej byłoby natychmiast przerwać tę rozmowę i trzymać się jak najdalej od wszystkich, którzy znali Thomasa Marinera. Ale nie mogłam tego zrobić. Zbyt głęboko w tym siedziałam i straciłam trzeźwość osądu.

– Mogę w czymś pomóc? – dodałam pospiesznie.

– Z tej strony Laing z komisu samochodowego Lainga. Chyba mam dla pani samochód. Mały peugeot w dieslu, bardzo ekonomiczny i w świetnej cenie.

W ogóle się nie jąkał, gdy wyjaśniał mi dalsze szczegóły. Być może przez telefon było mu łatwiej. Złapałam się na tym, że zapisuję te wszystkie informacje w notesie leżącym na stoliku w korytarzu; po zakończeniu rozmowy nic z niej nie pamiętałam, więc okazało się to przydatne. Jego głos wydawał się jakiś inny, pewniejszy, nie brzmiał już jak sprzedawca.

– I jak? – zapytał. – Jest pani zainteresowana?

Może w rzeczywistości sprzedawał mi coś innego? Może opacznie go rozumiałam i był o wiele lepszym sprzedawcą, niż sądziłam?

– Tak – odparłam z nadzieją, że nie zwróci uwagi na nerwową chrypkę w moim głosie. – Tak, myślę, że jestem zainteresowana.

– Jeśli pani chce, mogę podjechać na jazdę próbną.

Nie zamierzałam zdradzać mu swojego adresu, więc stanęło na tym, że zadzwonię do niego, gdy tylko zorganizuję sobie podwózkę. Odkładając słuchawkę, trzęsłam się nie tylko z nerwów, ale też z podniecenia. Co to o mnie mówi?

Zadzwoniłam do schroniska, mając nadzieję, że Dan mnie podrzuci (w końcu był mi winny przysługę), ale odebrała Ellen, która wyjaśniła, że miał dziś wolne. Sama wspomniała o Thomasie, zanim ja zdążyłam to zrobić. Rozpoznała mnie po głosie.

– Musi pani napisać ten artykuł – powiedziała, przyprawiając mnie o lekkie zmieszanie, bo przez chwilę nie pamiętałam, że podawałam się za dziennikarkę. – Ilu chłopców musi jeszcze zginąć, żeby ktoś z tym coś zrobił?

Wtedy przypomniałam sobie, że jej syn padł ofiarą ulicznej napaści. Śmierć Thomasa musiała przywołać bolesne wspomnienia. Zaraz mnie zresztą przeprosiła, uświadomiwszy sobie, że brzmi jak wariatka.

– Wszyscy się tu niepokoimy. Na pewno słyszała pani o chłopaku, którego zabito w Seaton Delval. Mieszkał kiedyś u nas.

– To straszne – odparłam. Banał, ale nie zwróciła na to uwagi.

– Ciężko mi się z nimi rozstawać – przyznała. – Wiem, że muszą iść dalej, zyskać samodzielność, ale nie znoszę tego. Okropnie się o nich martwię. A po czymś takim jest tylko gorzej. – Zamilkła na chwilę. – Potrafi pani sobie wyobrazić, co przechodzi jego matka?

Po raz pierwszy od śmierci Thomasa spróbowałam o tym pomyśleć. Jak bym się czuła, gdyby umarło mi dziecko, którego nigdy nie chciałam i które uważałam za przeszkodę? Wyszło mi na to, że pewnie czułabym się winna. Miałabym potężne poczucie winy.

– Myśli pani, że powinnam odwiedzić panią Laing? – zapytała Ellen. – Czy to tylko pogorszy sprawy?

Wymamrotałam, że nie powinnam udzielać rad w tym temacie, i odłożyłam słuchawkę, nim wciągnęła mnie głębiej w swoje niepokoje. Nie mogłam jednak o tym zapomnieć i wciąż powtarzałam w myślach jej ostatnie pytanie. Czy powinnam zobaczyć się z Kay? A jeśli tak, to w jakim celu? Komu to miało służyć – jej czy mnie? Zanim znalazłam odpowiedź, do domu wróciła Jess z trzema reklamówkami, których plastikowe uszy odcinały dopływ krwi do jej pobielałych palców. Przyjechała wcześniej niż zwykle, rezygnując z kawy i drożdżówek. Być może nie chciała zostawiać mnie zbyt długo samej. Czułam się przez to trochę stłamszona, ale rozumiałam, o co chodzi. Tak jak mówiła Ellen – rozstania bywają ciężkie. Ale ja byłam dorosła, a Jess nie była moją matką. Musiałam uwolnić się od niej i od Sea View, nim powiem coś przykrego. Potrzebowałam auta.

Od śmierci Thomasa Ray nie gościł u nas zbyt często. Nie sądzę, by pokłócił się o mnie z Jess. Był nią zbyt zauroczony, żeby wdać się w jakiś konflikt. Być może uznał, że pora zająć się pracą, zanim całkiem zbankrutuje i skończą mu się pieniądze na wycieczki po górach i klubach.

– Dzwonił ten gość z komisu – poinformowałam Jess, która układała w spiżarce puszki z tuńczykiem i pomidorami. – Powiedział, że ma dla mnie samochód. Tak się zastanawiam, czy Ray znalazłby chwilę, żeby na niego spojrzeć.

Wyraźnie się zaniepokoiła. Nie chciała, żebym miała auto. Kto wie, w co się znowu wpakuję, gdy siądę za kółkiem. Ile jeszcze znajdę trupów? Jednak zależało jej na tym, żebym dobrze żyła z Rayem. Jeśli pomoże mi w zakupie samochodu, być może z wdzięczności nie będę za bardzo marudzić, gdy już zdecyduje się u niej zamieszkać.

– Zadzwonię do niego – obiecała, wycofując się tyłem ze spiżarni. – Sprawdzę, czy jest wolny. Ma jakąś robotę w Sandy Bay. Nastaw wodę na herbatę, kochana, na pewno chętnie się napije, gdy tutaj wpadnie.

Żadnej kontrpropozycji. Ray wygrywał za każdym razem. A ja zrealizowałam swój plan, choć nadal mi się to nie podobało.

Dzień był słoneczny, ale wietrzny, jeden z tych, w które szaleją wszystkie dzieci. Gdy tylko wyszłam z domu, poczułam pokusę, by zerwać się do biegu, pognać plażą wzdłuż wybrzeża, z dala od Jess, Raya i sąsiadów po drugiej stronie ulicy, którzy podglądali zza firanek, zafascynowani dziewczyną wplataną w sprawę o morderstwo. Ale nie pobiegłam. Wsiadłam do wozu Raya i pojechaliśmy na południe, w stronę miasta, udowadniając tym samym Jess (oraz mnie samej), że jestem poczytalna i panuję nad swoim zachowaniem.

Kiedy wysiadałam przy komisie, Ronnie natychmiast wyszedł z biura, jakby na mnie czekał. Znów zwróciłam uwagę na to, że jest bardzo drobny, ale kiedy tylko podszedł, natychmiast o tym zapomniałam. Wystarczył uśmiech i uścisk dłoni, bym znów poczuła fascynację. Zginął młody chłopak, a nade mną wisiało podejrzenie o morderstwo, jednak wszystko to nie miało znaczenia, bo najwyraźniej spodobałam się facetowi w średnim wieku. I nie widziałam w tym niczego złego, przynajmniej w tej chwili. Jak ćpun, który dostał kolejną działkę.

Nie zastanowiło mnie nawet to, dlaczego przesiadywał w swoim salonie niecały tydzień po tym, jak zadźgano jego pasierba. Nawet jeśli miał go gdzieś, czy nie powinien teraz zajmować się w domu żoną? Jednak w tej chwili jedyne, czego chciałam, to znów go dotknąć. Przesunąć dłonią po jego nadgarstku, a potem wyżej, po rękawie marynarki, i przeczesać mu grzywkę na drugą stronę. Okropne, oczywiście. W końcu był żonaty i w takim wieku, że mógłby być moim ojcem. Ale coś w nim prowokowało do takich reakcji. Widziałam to też u innych kobiet. Pomimo wrodzonej nieśmiałości emanował zaraźliwą energią, która ożywiała wszystkich wokół. W jego sposobie poruszania się widać było kontrolowaną siłę. Na pewno pamiętacie te filmy przyrodnicze, w których wielkie koty polują wśród traw. Z nimi mi się właśnie kojarzył. Do tego miał świetną sylwetkę. Każdy by mu pozazdrościł. A ja byłam szczególnie wrażliwa, zestresowana, potrzebowałam pociechy i ukojenia.

– Miałem już na niego ofertę – powiedział.

Musiałam mieć bezmyślny wyraz twarzy, bo dodał:

– Na samochód. Oczywiście odrzuciłem ją. W końcu obiecałem go pani.

– Och… – Zmusiłam się do uśmiechu. – Zgadza się.

– Wciąż zainteresowana?

– Jasne.

– Jeśli pani chce, mogę zabrać panią na przejażdżkę.

Spojrzałam na jego biuro. Pewnie miał jeszcze jakichś pracowników. Komis wydawał się zbyt duży, by prowadziła go jedna osoba.

– Dziś jestem sam – powiedział, jakby czytając w moich myślach. Wciąż jednak nie wiedziałam, ilu ludzi zatrudnia. – Ale to nieistotne, mogę po prostu zamknąć. Szczerze mówiąc, i tak nie mam dziś serca do sprzedaży. Mieliśmy śmierć w rodzinie. – Zapatrzył się na zatłoczoną ulicę, pogrążając się w myślach.

– Bardzo mi przykro. – Odsunęłam się o krok z nadzieją, że większy dystans pozwoli mi oprzytomnieć. – Zawsze mogę wrócić innego dnia. To nic pilnego. Jeśli woli pan jechać do domu…

– Nie – zaprotestował od razu. – Nie mogłem już tam wytrzymać. Tu mi lepiej. Muszę mieć jakieś zajęcie, a nie rozpaczać.

– Ktoś bliski?

Przez chwilę sama niemal wierzyłam, że nie wiem. Chyba właśnie o to chodzi w aktorstwie. Trzeba uwierzyć w swoją rolę. Może dlatego Danowi tak kiepsko szło? Skupiłam się ponownie na słowach Ronniego, ale zagłuszyła go przejeżdżająca ciężarówka.

– Słucham?

– Mój pasierb – powtórzył. – Zamordowano go. Nie byliśmy ze sobą najbliżej, ale na pewno nie zasługiwał na coś takiego. Miał dopiero dziewiętnaście lat.

Chciałam mu powiedzieć, że to ja znalazłam ciało i znałam prawdziwego ojca Thomasa. To byłaby dobra historia i stworzyłaby więź między nami. Ale się powstrzymałam. A raczej powstrzymały mnie resztki instynktu samozachowawczego. Z tego samego powodu odmówiłam również, gdy Ron-

nie zaoferował mi podwiezienie do domu, gdy już skończymy jazdę próbną.

– Jeśli pani tata chce wracać – powiedział – możemy podjechać tym samochodem pod wasz dom. Dzięki temu lepiej pozna pani wóz.

Rozbawiła mnie myśl, że Ray mógłby być moim ojcem. Jakoś nie potrafiłam sobie wyobrazić, że w młodości mogłoby go coś łączyć z jakąś Romką. Ale może skrywał w sobie niezbadane tajemnice? Nie wyjaśniłam jednak, co wspólnego mam z Rayem. Im mniej Laing o mnie wiedział, tym lepiej.

– Nie – podziękowałam. – Nie mam aż tyle czasu. A jemu to nie przeszkadza. Poza tym sam chciałby rzucić okiem na ten samochód, zanim go kupię.

Wyjaśniłam Rayowi całą sytuację, a on pogrążył się w lekturze informatora klubu turystycznego i słuchaniu tej swojej zawodzącej muzyki. Jeśli żałował, że nie może wrócić do pracy, to nijak tego nie okazał.

Dziwnie się czułam, siedząc ponownie za kółkiem. Zawsze lubiłam prowadzić. Miałam do tego naturalny talent, właściwą koordynację oczu, rąk i stóp. Robiłam to dobrze i pomogło mi to nabrać szacunku do samej siebie. Pieniądze z pierwszych wypłat wydałam na kurs jazdy, a samochód kupiłam od koleżanki Jess, sprawdziwszy najpierw jego przebieg i historię, a potem opłacając podatek. Dzieciaki z domu dziecka byłyby tym przerażone. Większość z nich prowadziła od dziesiątego roku życia. Zjeździłam tym pierwszym samochodem cały kraj, docierając do miejsc, o których jak dotąd tylko słyszałam. Kiedy miałam wolne, wybierałam się na długie wyprawy na północ, w głąb lądu, aż do Berwick, Wooler i Rothbury. Spacery pustą plażą lub wzgórzami, potem podwieczorek w jakiejś małej kawiarni. Ideał.

Ruszyłam spod komisu Ronniego, kierując się na wschód, w stronę wybrzeża. Z początku zbyt mocno szarpałam się z biegami i nie umiałam znaleźć kierunkowskazu, choć Ronnie wszystko mi pokazał. Jednak już po chwili działałam automatycznie, bez żadnego namysłu. Laing miał rację – to było bardzo miłe autko.

Nie zamierzałam wypuszczać się zbyt daleko, ale zanim zdążyłam się zorientować, byliśmy już przy wjeździe na ekspresówkę. Przed nami rozciągał się widok na morze z białą pianą fal unoszoną przez wiatr oraz wielki kościół w Cullercoats. Przypomniało mi się, jak byłam tam kiedyś na koncercie kolęd z moim chórem z podstawówki.

Przez całą drogę nie zamieniliśmy z Ronniem ani słowa.

– Przepraszam – zreflektowałam się w końcu. – Nie chciałam jechać aż tak daleko. Poniosło mnie trochę. Zaraz zawrócę.

– Szkoda mi pani taty – stwierdził.

– W jakim sensie?

– Bo to idealny dzień na przejażdżkę – wyjaśnił dziwnie poirytowanym tonem, w którym rozpoznałam własne myśli i wspomnienia, i trochę się wystraszyłam. – I to za miasto. Z dala od wszystkich ludzi.

– Pan też ma dziwną pracę jak na kogoś, kto lubi otwartą przestrzeń – zauważyłam. – Nie chciał pan nigdy robić czegoś innego? Albo gdzie indziej?

– Mam obowiązki. I rodzinę na utrzymaniu. Poza tym z natury nie jestem mieszczuchem. Mieszkańcy wsi bardziej potrzebują samochodów niż ci w mieście.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc wskazałam na rondo, sugerując, że powinniśmy wracać do miasta. Ronnie musiał sobie zdać w tym czasie sprawę, jak bardzo wydawał się wzburzony, bo nagle znów zaczął zachowywać się jak sprzedawca.

– Świetnie pani prowadzi – pochwalił mnie.

– Jak na kobietę? – spróbowałam trochę rozluźnić atmosferę.

– Nic takiego nie powiedziałem. – Zamilkł. – Dlaczego do tej pory nie miała pani auta? Wypadek?

– Nie – odparłam ucieszona, że rozmowa skręciła na bezpieczniejsze tory. – Nic z tych rzeczy. Przez jakiś czas byłam za granicą. To tyle.

– Szczęściara. Ja zawsze chciałem podróżować. I w młodości nawet trochę mi się udało pozwiedzać. Teraz to nie takie proste. Gdzie pani była?

– W Maroku.

– Serio? Miałem kolegę, który twierdził, że to jego ulubione miejsce na ziemi, a był chyba wszędzie. Może go nawet pani znała. Ogrodnik Philip Samson.

Byłam zbyt zaskoczona, by zareagować. Nie mieściło mi się w głowie, że światy Philipa i Thomasa stykały się ze sobą za pośrednictwem Ronniego Lainga. Ponownie ogarnęło mnie poczucie straty.

Rozdział dwudziesty

W pierwszą samotną podróż nowym samochodem wybrałam się do Wintrylaw. W sumie nosiłam się z tym zamiarem od czasu rozmowy z Farrierem. Wspomnienia z pogrzebu Philipa wciąż skrzyły się w moim umyśle niczym kawałki potłuczonego szkła. Pamiętałam sylwetkę Dickona, który oddalał się pustą plażą w stronę horyzontu, Joannę na przykościelnym cmentarzu, opierającą stopę na łyżce szpadla, minę Stuarta Howdona, kiedy mamrotał słowa nieznanych mu pieśni w małym, zakurzonym kościółku. Ale zdaniem Ferriera moja pamięć była zawodna, zmanipulowana przez chemię mózgu. Musiałam więc sprawdzić, czy dobrze zapamiętałam wszystkie szczegóły, czy nie wyobraziłam sobie dzikich leśnych kwiatów i domu o spadzistym, pokrytym dachówkami dachu, z którego sterczały strzeliste kominy.

Oznajmiłam, że wybieram się na piknik, i to wystarczyło, by Jess się odczepiła. Najwyraźniej uznała, że ktoś, kto przygotowuje sobie górę kanapek z serem, raczej nie planuje pakować się w kłopoty. Sama bym w to nie uwierzyła, ale ona wydawała się przekonana.

– A wrócisz na podwieczorek? – zapytała. Tego dnia spodziewała się wizyty Raya i podejrzewałam, że pyta nie z troski o mnie, ale żeby się dowiedzieć, ile będą mieli czasu dla siebie.

– Nie. – Postanowiłam okazać szczodrość. – Zjem coś nad morzem. Może w Amble? Wtrząchnę jakąś rybę z frytkami.

Nie przyznałam się, że wybieram się do Wintrylaw, ale musiały ją ogarnąć jakieś spóźnione przeczucia, bo zawołała za mną, gdy szłam przez podwórze:

– Tylko na siebie uważaj!

Pewnie czuła się winna, że ten jeden raz wybrała rozrywkę, a nie moje bezpieczeństwo.

Była sobota. Wróciły upały, jak w dniu pogrzebu Philipa. Pewnie to właśnie słońce sprowokowało mnie do wycieczki. Nie mogłam się przecież spodziewać, że zamglone albo zalane deszczem Wintrylaw będzie wyglądać tak, jak w moich wspomnieniach. Wciągnęłam na siebie dżinsy i koszulkę, ale tuż przed wyjściem wróciłam na górę i przebrałam się w białą sukienkę. Musiałam stracić na wadze, bo okazała się nieco luźna w biodrach. Bycie podejrzaną o morderstwo ma zdecydowanie dobry wpływ na sylwetkę.

Chciałam odszukać tajemną ścieżkę na tyłach posiadłości, wiodącą pomiędzy kamiennymi filarami i przez las. Ray wskazałby mi pewnie to miejsce na mapie, ale jeszcze nie dotarł, a ja miałam już wszystko spakowane na piknik i chciałam ruszać w drogę. Nie potrafiłam czytać mapy, ale wierzyłam, że gdy już dotrę na miejsce, rozpoznam elementy krajobrazu – przerośnięty żywopłot i drzewa rosnące tuż przy drodze.

Ostatecznie jednak dotarłam do tego domu od zupełnie innej strony. Podejrzewam, że była to ta droga, którą Howdon odwiózł mnie do Morpeth, ale jechaliśmy wtedy tak szybko, że nie zapamiętałam żadnych okolicznych szczegółów. I tamtego dnia droga była pusta, pozostali uczestnicy pogrzebu wyjechali przed nami. Dziś sunął nią powolny sznur aut zmierzających w tym samym kierunku. Skręciłam za srebrzystym range roverem i musiałam gwałtownie zahamować, bo utknęłam w korku. Nie pozostawało mi nic innego, jak czekać, przesuwając się milimetr po milimetrze wraz z całą resztą. Nikogo nie obchodziła przyczyna zatoru, nikt nie okazywał rozżalenia, nikt nie trąbił. Atmosfera wydawała się raczej karnawałowa, a przez uchylone okno mogłam usłyszeć odległą muzykę. Na tylnym siedzeniu rovera siedziały dwie dziewczynki, które odwróciły się w moją stronę, żeby mi pomachać. Miały różowe wstążki we włosach i buzie całe w brokacie. Nawet one zdawały się nie mieć nic przeciwko cierpliwemu czekaniu w korku.

Wreszcie sznur pojazdów ruszył. Skręciliśmy ponownie i zobaczyłam dom, którego szukałam, rozświetlony blaskiem słońca. Z jednej strony sąsiadował z kościołem, z drugiej z lasem. We wspomnieniach zawsze widywałam go z innej perspektywy, ale to było to samo miejsce. Może nieco skromniejsze i nie aż tak okazałe, ale we wspomnieniach wszystko z czasem wydaje się lepsze, prawda? W każdym razie na pewno go sobie nie wymyśliłam. I wreszcie mogłam zobaczyć, co było przyczyną korka – wszystkie samochody zatrzymywały się przed wjazdem do posiadłości, by zapłacić za bilet. Tego dnia w Wintrylaw odbywała się jakaś impreza, co dało mi doskonały pretekst do błąkania się po terenie. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej okazji.

Podjeżdżając do bramy, uświadomiłam sobie, że to letni festyn kościelny. Ogłoszenie przyklejone do plandeki informowało, że trwa zbiórka na naprawę dachu kościoła, a bilet kosztuje pięć funtów od pojazdu. Kobieta zbierająca datki przeprosiła mnie za drożyznę.

– Mieliśmy nadzieję, że to nakłoni ludzi do wspólnych przejazdów – wyjaśniła. – Joanna wpadła na ten pomysł, bo Philip bardzo dbał o środowisko. Za to w cenie biletu jest podwieczorek.

Miała krótkie siwe włosy i nosiła luźny żakiet z aksamitnych łatek, dość egzotyczny wybór jak na taką okazję. Jej głos brzmiał znajomo. To była chyba jedna z kobiet, które na pogrzebie rozmawiały o ogrodzie Philipa. Wjechałam za bramę i jakiś pryszczaty młodzieniec wskazał mi miejsce na parkingu. Cierpiał też na kompleks władzy, bo kazał mi cofnąć i zaparkować bliżej sąsiedniego wozu. Tak blisko, że musiałam się przeciskać przez ledwie uchylone drzwi mojego auta, bo nie chciałam go tak od razu porysować. Momentalnie uderzył mnie zapach świeżo skoszonej trawy, który przeniósł mnie we wspomnieniach na szkolne zawody sportowe w Newcastle Hoppings, więc z miejsca zapomniałam o marudnym chłopaku i znów poczułam się jak dziecko.

W Newgibbins kościół Świętego Bartłomieja też organizował letni festyn. Odbywał się on w auli podstawówki. Wstęp kosztował dziesięć pensów, a skautki prowadziły loterię ze słodyczami, kredkami i lizakami, które

odgrywały role nagród. Resztę kramów wypełniała zbieranina białych słoników, bibelotów, zabawek i książek. Komitet rodzicielski zapewniał herbatę w plastikowych kubeczkach i babeczki z dużą ilością białego lukru. Dałam się kiedyś tam zaciągnąć Jess, bo jedna z jej przyjaciółek z Asdy była drużynową. Cieszyły się, jeśli udało im się zarobić choć pięć dyszek.

Ten festyn był jednak całkiem innej klasy. Przez chwilę stałam w miejscu, próbując pozbierać myśli i uwierzyć, że to nie jest złudzenie. Poczułam się jak w jednej z tych dziwnych, podobnych do snów reklam telewizyjnych, które zgarniają wszystkie branżowe nagrody. Minął mnie jakiś złowieszczo wyglądający mężczyzna z pobieloną twarzą, poruszający się na szczudłach. Na podjeździe zobaczyłam kobietę w meloniku i tygrysich getrach, która jeździła na monocyklu. Tegoroczny festyn miał cyrkową tematykę i wszyscy się do niej dostosowali. Dziewczynki, które widziałam w range roverze, wysiadły z niego ubrane w różowe tiulowe spódniczki i pasiaste rajstopy. Wyminęły mnie, idąc za ręce z matką, która przywdziała boa z różowych piór. Pryszczaty chłopak z parkingu miał na sobie spodnie klauna i szelki. Wszędzie roiło się od akrobatów, poskramiaczy lwów i cyrkowych konferansjerów. Okręciłam się powoli na pięcie, wirując sukienką, i przez chwilę napawałam się tym wszystkim, wchłaniając tę wyniosłą atmosferę i ciesząc się wysiłkiem, który włożono w to widowisko.

Stały tam również kramy. W każdym zbierano pieniądze na cele charytatywne. Budki obwieszono girlandami i wystawiano w nich domowe ciasta, rośliny oraz obrazy. Wszystko wyglądało jak luksusowy jarmark połączony z ulicznym widowiskiem teatralnym. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie spotkam tu przemykającego gdzieś Dana. To była impreza w jego guście. Tuż obok mnie rozpoczął się koncert. Muzycy w najróżniejszym wieku mieli na sobie czerwone kurtki oraz czerwone muszki i grali skoczną, hałaśliwą muzykę, kojarzącą się z lunaparkiem. Ucieszyłabym się z towarzystwa Dana. Przebywając w tym miejscu, nie byłam już pewna, co chciałam osiągnąć, muzyka i kostiumy mnie rozpraszały i przyniosły poczucie odrealnienia. Wciąż wjeżdżały nowe samochody i tłum stawał się coraz gęstszy. Ruszyłam wzdłuż kramów, wybierając na chybił trafił

różne przedmioty, by okazać zainteresowanie i powstrzymać atak paniki. Wypatrzyłam kubek do mleka z ładną niebieską emalią, który spodobałby się Jess, ale wydałam za dużo na wstęp i nie było mnie na niego stać.

Podwieczorek podawano w wielkim, pasiastym namiocie. Ruszyłam w jego stronę, planując wypić herbatę i jechać dalej, ale po drodze trafiłam na kram Konsorcjum Wiejskiego. Niczego nie sprzedawali, wręczali za to ulotki, naklejki oraz baloniki z hasłem „Ocalmy naszą okolicę", wypisanym wielkimi czarnymi literami. I rekrutowali nowych członków. To było ich główne zajęcie. Szło im wyśmienicie – kiedy się przy nich zatrzymałam, trzy osoby właśnie wypisywały formularze i podpisywały czeki. Istniała możliwość, że spotkam tu gdzieś Ronniego. Najpewniej poznali się z Philipem na jednej z takich imprez. Nie licząc zainteresowania sprawami najbliższej okolicy, raczej nie mieli ze sobą wiele wspólnego. Sama myśl o tym, że mogłabym się tu na niego natknąć, przyspieszyła bicie mojego serca. Powtarzałam sobie, że to głupie, ale niczego to nie dało.

Pobłąkałam się jeszcze jakiś kwadrans i zawróciłam. Ronnie raczej nie rozstawił się tu z kramem, ale trudno było mieć pewność. Ludzie z Konsorcjum nosili papierowe zwierzęce maski na gumce, które zakrywały całe twarze z wyjątkiem oczu. Zza lady wychynął niedźwiedź, po czym przystanął obok mnie. Udając, że go nie zauważam, pogrążyłam się w lekturze ulotki o istotności sportów plenerowych na angielskiej wsi.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał mnie młody, wyedukowany głos. Odwróciłam się. Jego właściciel włożył krótkie spodenki w beżowym kolorze i białą koszulkę polo. Widziałam jego piaskowe włosy, ale maska nie pozwalała dostrzec kształtu twarzy. Miał brązowe oczy i nie wydawał się znajomy. Na piersi nosił zieloną plakietkę z napisem: „Marcus Tate, wolontariusz". To on mieszkał z Thomasem w Seaton Delaval i pracował na rzecz Konsorcjum w czasie rocznej przerwy w nauce. A teraz wrócił i znów im pomagał. Wypełniał lukę po Thomasie? Czy gdyby go nie zamordowano, to właśnie Thomas kręciłby się tu teraz, pracując na terenie posiadłości, w której mieszkał kiedyś jego ojciec?

Chłopak wyraźnie czekał, aż się odezwę.

– Tak tylko patrzę – powiedziałam, po czym dodałam: – Jestem miastowa. Zainteresowana, ale zupełnie niezorientowana.

– Wielu naszych członków mieszka w miastach. Ich wsparcie odgrywa kluczową rolę. – Promieniał entuzjazmem mormońskich misjonarzy, którzy przychodzili mnie czasem nawracać, ale nie przebierali się do tego za niedźwiedzie. Jess zawsze zapraszała ich do środka i częstowała herbatą, więc z pewnością bym zauważyła. Uśmiechnęłam się zachęcająco do mojego rozmówcy i czekałam na ciąg dalszy, ale chłopak był zbyt sprytny, by naciskać.

– Fakty mówią same za siebie – oświadczył. – Proszę wziąć ulotkę i wrócić, jeśli będzie pani nadal zainteresowana.

– Na co bym się pisała?

– Na tyle zaangażowania, ile pani odpowiada. Składki członkowskie wspierają nas w działalności. I jesteśmy za nie ogromnie wdzięczni. – Uśmiechnął się, podkreślając, że głównie chodzi o pieniądze. Miał proste i równe zęby. – Dzięki członkostwu zyskuje się też pewne przywileje: zniżki w hotelach, restauracjach i na kempingach. Na epidemii pryszczycy ucierpiało wiele wiejskich firm, więc jeśli chciałaby pani pomóc w jakiś praktyczny sposób, na naszych farmach lub w badaniach, to oczywiście zapraszamy, ale nie jest to warunek konieczny.

– Bale charytatywne?

– Oczywiście. Każda fundacja zawsze stara się coś zebrać. Ale nie wymagamy eleganckich strojów. – Kolejny uśmiech. – I mamy wiele szczęścia, które pozwoliło nam zyskać hojnych, korporacyjnych sponsorów.

– Mogę się jeszcze nad tym zastanowić?

– Pewnie. – Był zbyt profesjonalny, by okazać rozczarowanie.

– Zastanę pana po południu?

– Nie. Właśnie kończę. Ktoś inny pani pomoże. Chyba że woli pani… – Sięgnął po jedną z broszurek i napisał coś na marginesie. – To mój numer. Jeśli ma pani kartę kredytową, możemy wszystko załatwić przez telefon.

Wyczułam w jego głosie pewną natarczywość i wydało mi się to dziwne. Być może zorientował się, kim jestem, i szukał sposobu, by porozmawiać bez świadków. Kolejny miłośnik krwawych szczegółów i krwi. Ale jakim cudem miałby mnie poznać? Gazety nie opublikowały moich zdjęć po tym, jak znalazłam Thomasa, nie nosiłam też plakietki z nazwiskiem. Być może wolontariusze konkurowali między sobą. Może za każdego nowego członka dostawał jakąś premię.

Stanęłam w kolejnej kolejce, do namiotu z podwieczorkiem. Kiedy spojrzałam na stoisko Konsorcjum, mojego rozmówcy już nie było. Zniknął w tłumie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Pomimo kolejki do namiotu z podwieczorkiem w środku panował spokój i porządek. Żadnej samoobsługi ani plastikowych naczyń. Płótno namiotu tłumiło zewnętrzne hałasy oraz blask popołudniowego słońca. Światło wydawało się przytłumione i rozproszone, jakbym wszystkiemu przyglądała się z oddali. Maleńkie stoliki nakryto kraciastymi obrusami, na środku każdego blatu stał bukiet kwiatów. Wyglądałoby to jak typowa herbaciarnia w Harrogate w środku tygodnia, gdyby nie kelnerki ubrane w siatkowe rajstopy i cylindry. Jedna z nich podeszła do mnie. Była dość tęga i pomyślałam, że jeszcze parę dni pochodzi z wzorem tych rajstop odciśniętym na nogach.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko towarzystwu, to tam jest wolne miejsce. – Wskazała mi stolik, przy którym siedziała jakaś pogrążona w rozmowie para. Kobieta miała na sobie biało-różowy strój Pierrota. Ciemne włosy zaczesała do tyłu, odsłaniając umalowaną na biało twarz z delikatnymi czarnymi trójkątami brwi i czarną łzą na policzku. Rozpoznałam Joannę Samson. Nie potrafiłam za to stwierdzić, czy jej partner się przebrał, czy był to jego zwykły strój. Nosił krzykliwą, musztardowo-brązową marynarkę w kratę i było to coś, co mógł włożyć kierownik prowincjonalnego cyrku, ale równie dobrze tak właśnie mogła wyglądać niezobowiązująca weekendowa elegancja w wykonaniu… Stuarta Howdona.

– W zupełności mi wystarczy – zgodziłam się.

Kiedy podeszłam do stolika, Joanna zmierzyła mnie spojrzeniem, z którego nie mogłam wyczytać, czy mnie rozpoznaje, czy tylko zaintrygowała ją nowa osoba przy stole. Howdon siedział odwrócony do mnie plecami i nie przestawał trajkotać protekcjonalnym tonem o jakiejś umowie do

podpisania. Przypomniały mi się słowa Dickona o tym, że go nienawidzi. Ciekawe, co takiego miał na Joannę, że wytrzymywała to nękanie.

– Potrzebna jest nam jakaś decyzja – naciskał. – Poważnie, Jo, to nie może tak dłużej trwać.

Jej mina sprawiła, że w końcu zamilkł, ale wciąż siedział odwrócony do mnie plecami.

– Przepraszam, czy mogę się dosiąść?

Stuart wahał się przez chwilę, najpewniej rozpoznając mój głos, ale w końcu się odwrócił i wzruszył ramionami, godząc się z nieuniknionym. Nie dał po sobie poznać, że kiedykolwiek mnie spotkał. Niezły tupet.

Jednak nie była to dobra okazja, by urządzać sceny. Kiedyś zupełnie bym się tym nie przejęła, ale teraz nie miałam sumienia, by poinformować świeżo owdowiałą kobietę, że ktoś brutalnie zamordował syna jej zmarłego męża. Nie przy tych wszystkich ludziach. Zastanawiałam się przez chwilę, czy policja rozmawiała z nią o możliwych powiązaniach Philipa z Thomasem, ale uznałam to za nieprawdopodobne. Ostatecznie Farrier nie uwierzył przecież w moją historię i pewnie był zbyt uprzejmy, by podzielić się tak wybuchowym odkryciem. Po co miałby niepotrzebnie pogłębiać czyjąś rozpacz?

Napiłam się herbaty i poczęstowałam babeczką z marmoladą. Rozmowa Joanny i Stuarta taktownie skręciła w stronę wspólnych znajomych oraz przygotowań do wystawy kobiety w Morpeth.

– Wpadniesz dziś, Stuarcie? – zapytała, naśladując błaganie małej dziewczynki. – Wiem, że to tylko Morpeth, ale zaprosiliśmy parę znakomitości. A ja zawsze tak się denerwuję przed wernisażem. Możesz przyjść z Marjorie, jeśli chcesz.

– Za nic bym sobie nie odpuścił.

– Zawsze okazujesz mi tyle wsparcia – podziękowała i zaskoczyła nas oboje, podnosząc się z krzesła. – Muszę już lecieć. Od obiadu nie widziałam się z Dickonem, a mamy jeszcze mnóstwo roboty.

Oddaliła się, a cały namiot pogrążył się na chwilę w ciszy, patrząc, jak zmierza do wyjścia. Była tu gwiazdą i wszyscy wiedzieli, kim jest. Howdon odczekał chwilę, póki gwar rozmów nie wrócił do zwyczajnego poziomu, i również wstał od stolika.

Znalazłam go przy kramie sprzedającym jabłka w karmelu. Sama woń skarmelizowanego cukru wystarczyła, by mój głos stał się ochrypły.

– Panie Howdon!

Nie spodziewał się, że za nim pójdę. Myślał pewnie, że pogodzę się tym, że mnie zignorował, i wymknę się do domu, unikając konfrontacji. Tak czy inaczej – wzięłam go z zaskoczenia.

– Tak?

Odwrócił się gwałtownie, a poły marynarki rozchyliły się na tyle, by odsłonić jego okazałe brzuszysko.

– Co to za gierki? – zapytałam, starając się zachować spokój w głosie, ale było to bardzo trudne. Musiałam walczyć z pokusą kopnięcia go w ten bebech. Chciałam go złamać i obedrzeć z pretensjonalności. Zmusić, żeby płakał.

– Przepraszam, czy my się znamy? – zapytał ze zmarszczonym czołem i nastroszonymi brwiami.

– Dobrze pan wie, że tak!

– Przepraszam, ale będzie pani musiała mi przypomnieć. Jak to mawia moja żona, im jestem starszy, tym krótszą mam pamięć. – Uśmiechnął się jowialnie, jakby spodziewał się, że docenię żart.

– Lizzie Bartholomew.

– Obawiam się, że nadal mi to nic nie mówi.

W czasie naszego pierwszego spotkania uznałam Stuarta za osła, przygłupawego sługę rodziny. Teraz jednak jego przebiegłość wydawała mi się przerażająca. Trudno było nie wierzyć, że mówi prawdę. Nie wiedziałam, co z tym począć. Nie ruszał się z miejsca i ignorując dzieci, które gnały między nami, żeby kupić jabłka, patrzył na mnie uprzejmie, gotów wysłu-

chać, co mam do powiedzenia. Jedyną oznakę jego niepokoju stanowiła gruba warstwa potu na czole, ale był to przecież upalny dzień.

– Jezu, spotkaliśmy się w pana kancelarii! A przedtem siedziałam obok pana na pogrzebie Philipa.

– Znała pani Philipa?

– Oczywiście, że tak. I pojawiłam się tylko dlatego, że pan do mnie napisał! – wrzasnęłam. Wiedziałam, że to błąd, ale nie umiałam się powstrzymać.

– Przykro mi, młoda damo, ale obawiam się, że popełnia pani straszliwą omyłkę.

Odwrócił się i ruszył w stronę domu. Dopiero patrząc, jak przeciska się przez tłum, zaczęłam się zastanawiać, czy w jego ostatnich słowach nie kryła się jakaś groźba. Mogłabym go pewnie ścigać, ale nie miałam pojęcia, co by mi to dało, więc stałam tylko i patrzyłam, czując się bezsilna jak nigdy. W moich oczach wezbrały łzy. Nienawidziłam płakać przy ludziach. To żałosne, te zaczerwienione oczy i wykrzywiona twarz. Wszyscy zawsze myślą, że ktoś cię właśnie rzucił. Przerażało mnie też to, że mogłabym znów wpaść na Joannę. Pewnie okazałaby współczucie na widok moich łez, co tylko by wszystko pogorszyło.

Ludzie zaczynali się już powoli zbierać, a przy bramie zdążył utworzyć się korek aut próbujących wyjechać na ulicę. Mnie za bardzo nosiło, żeby stać i czekać, aż ruszą. Odwróciłam się więc plecami do kramów, odświętnie wystrojonych dorosłych i dzieci z buziami umazanymi watą cukrową i ruszyłam w kierunku kościoła.

Spojrzałam za siebie dopiero przy cmentarnej furtce. Nie widziałam już kramów i namiotów, ale wciąż docierała do mnie nieznośnie radosna, karnawałowa muzyka. Być może grube kościelne mury zdołają ją stłumić. Siądę w chłodzie i półmroku i spróbuję pozbierać myśli. Kiedy jednak szarpnęłam klamkę strzelistych kościelnych wrót, te nawet nie drgnęły. Budynek był zamknięty.

Usiadłam na skąpanych w słońcu stopniach i przymknęłam oczy. Kręciło mi się w głowie. Czułam się tak, jakbym znów zaczęła pić. Całe popołudnie

i wieczór szwendania się po barach, krzyków i śmiechów, ani chwili wytchnienia. A kiedy się w końcu kładziesz, wszystko wciąż się rusza. Nazywaliśmy to helikopterami. Człowiek się czuł jak na jednej z tych dziecięcych karuzel na placu zabaw, które trzeba odpychać nogą od ziemi. I ja tak właśnie się czułam, siedząc na schodach kościoła Świętego Bedy. W tej chwili skłonna byłam ponownie uwierzyć, że Farrier miał rację, a spotkanie z Howdonem i zlecenie odnalezienia Thomasa tylko mi się przyśniły. Wymyśliłam to sobie w pijackiej malignie i wciąż chodziło mi po głowie.

– Cześć – odezwał się jakiś przyjazny głos. Otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą cudownie zwyczajnego Dickona w krótkich spodenkach i pasiastej koszulce. Nie nosił przebrania.

– Cześć.

– To ty byłaś na pogrzebie taty.

– Pamiętasz to?

– Oczywiście. Spotkaliśmy się na plaży. Byłaś w Maroku i poznałaś tatę w autobusie.

Spojrzałam na niego, mrużąc oczy przed promieniami słońca, przez co tylko jego widziałam wyraźnie. Cała reszta była rozmazanym żółtym tłem.

– A powtórzyłbyś to, gdyby ktoś cię o to pytał? – zapytałam ostrożnie.

– Ale kto?

– Policja – wyjaśniłam z wahaniem.

– A czemu chcieliby to wiedzieć? – Miał poważny głos i czułam się tak, jakbym rozmawiała z dorosłym. Widać było, że wychowano go w szacunku do władz. Będę musiała o tym pamiętać.

– Bo mówiłam im, że tutaj byłam, ale mi nie uwierzyli. Nie ich wina. Będą musieli to sprawdzić.

– Jak alibi? – Chłopiec z miejsca się ożywił. – Chcesz, żebym zapewnił ci alibi?

– Tak – odparłam, z trudem opanowując uśmiech. Obraziłby się zapewne, gdyby uznał, że się z niego śmieję. – Dokładnie tak.

Chciałam go poprosić, by to pozostało naszą tajemnicą, ale uznałam to za niewłaściwe, bo musiałby mieć tajemnice przed własną matką. A poza tym to tylko moja paranoja. W cokolwiek bawi się Howdon, na pewno nie zacznie nękać dzieciaka. Dickon przyglądał mi się z góry, otoczony blaskiem słońca. Drugi syn Philipa. Pewnie był ciekaw, czego chciała ode mnie policja. Ale nie zamierzałam go wystraszyć, bo gdyby uciekł, mogłabym uwierzyć, że jego też sobie wyobraziłam.

– Miłe popołudnie? – zapytałam. – Czy to jednak okropne mieć tylu gości?

Wzruszył ramionami i rzucił wzrokiem przez ramię, przyciągnięty jakąś bardziej kuszącą perspektywą, wyprawą na plażę lub do swojej sekretnej kryjówki. Wyobrażałam sobie, że jego dzieciństwo w tym miejscu musiało wyglądać tak jak to, o którym czytałam w książkach Enid Blyton czy w serii *Jaskółki i Amazonki*. Każdego dnia nowa przygoda.

– Znalazłem zdechłą wiewiórkę – oznajmił. – Zbieram czaszki. Muszę ją wygotować, ale nie wpuszczają mnie do kuchni.

– Duży masz zbiór?

– Trzymam je w walizce pod łóżkiem. Pokażę ci kiedyś. Mam też skrzydła i sowią wypluwkę.

– Chętnie zobaczę. – Kłamałam oczywiście, ale to nie popsuło mu nastroju. Sięgnęłam do torebki i poczęstowałam go kanapką z ogórkiem. Wziął chleb i usiadł obok mnie.

– Wiesz może, czy twój tata kolegował się z jakimś Ronniem? – zapytałam.

– Ronniem Laingiem?

Miałam pełne usta, wiec tylko skinęłam głową, licząc na to, że sam z siebie poda mi dalsze szczegóły. Ale nie zdążył. Padł na nas cień jakiejś postaci stojącej przy furtce. Oboje z zaskoczeniem poderwaliśmy głowy. To była Flora. Musiała grać w orkiestrze, ale jej nie poznałam, bo miała tę samą kurtkę i muszkę co wszyscy. Wydawała się starsza niż na pogrzebie. Kurtka była obcisła i podkreślała jej dziewczęcą figurę. Na plecy opadał jej

długi warkocz. Podeszła bliżej z twarzą poczerwieniałą od nadmiaru słońca.

– Tu jesteś – westchnęła z naganą. – Wszędzie cię szukam. Mama chce, żebyś wracał do domu.

– Czemu?

– Bo obiecałeś pomóc. Ma dziś wernisaż. Sam wiesz, jaka wtedy jest.

– Gruby Zawiadowca już sobie poszedł? – Chłopiec spojrzał na mnie i wyjaśnił: – Tak tata nazywał pana Howdona.

– Nie wiem – odparła jego siostra i wzruszyła ramionami. Wyraźnie nie podobało się jej, że Dickon opowiada przy mnie o rodzinie. – Tak czy owak, masz wracać.

Chłopiec podniósł się niechętnie, otrzepując się z okruchów i resztek sera. Jego siostra, mała dyktatorka, odwróciła się na pięcie, pewna, że za nią pójdzie. Mnie nie zaszczyciła nawet spojrzeniem. Równie dobrze mogłabym być niewidzialna. Dickon pomachał mi na pożegnanie i pobiegł za Florą, która maszerowała raźno ścieżką, kołysząc warkoczem i nowo nabytymi pośladkami.

Nie ruszyłam się z miejsca. Słońce skryło się za drzewami i zrobiło się przyjemnie rześko. W mojej głowie roiło się od pytań. Jeśli Philip faktycznie przyjaźnił się z Ronniem, musiał słyszeć o jego pasierbie, Thomasie Marinerze. Dlaczego zatem poprosił mnie o jego odszukanie? Wystarczyłoby przecież, by Ronnie ich sobie przedstawił albo przekazał Howdonowi potrzebne informacje. Ale to by oznaczało, że musiałby uznać Thomasa za swojego syna. Być może nie był na to gotów. Bardzo chciałam, by Philip wciąż żył. Żeby siedział tu ze mną na ocienionych kościelnych schodach i objął mnie ramieniem. A przede wszystkim – żeby wyjaśnił mi całą tę gmatwaninę faktów.

Rozdział dwudziesty drugi

Poszłam na plażę, chcąc dokończyć swój piknik. Przypływ był większy niż wtedy, gdy rozmawiałam z Dickonem, i słyszałam fale ślizgające się po piasku. Zmienił mi się tam nastrój. Słuszne oburzenie wywołane irytującą rozmową z Howdonem przeszło w furię. Moja pielęgniarka psychiatryczna Lisa zauważyłaby pewnie, że nie tylko o to chodzi. Była jeszcze ta sprawa z Nickym i to, że nie zamierzałam znów zostać ofiarą. Być może wiedziałam to już za pierwszym razem, ale nie zrobiło to większej różnicy. Wszystko się we mnie gotowało. Howdon musiał się przyznać do swoich gierek. Musiałam odzyskać kontrolę. Siedząc na opustoszałej plaży, obmyślałam plan zemsty.

Kiedy wróciłam do posiadłości, okazało się, że wszyscy goście już znikn̨eli. Z wielkiego namiotu pozostał jedynie stos płótna i linek leżący na trawie. Z przepełnionych koszy wysypywały się śmieci. Dookoła kręcili się sprzątacze, ale nikogo nie rozpoznawałam. Po Konsorcjum Wiejskim pozostały jedynie podarte papierowe maski.

Mogłam oczywiście pojechać prosto do domu. Jess i Ray mieli wystarczająco czasu dla siebie. Próbując złagodzić niepokój, zrobiłam głęboki wdech, a potem zaczęłam przekonywać samą siebie, że Howdon nie był wart tego całego zachodu. Nie podziałało. Wcale tego zresztą nie chciałam. Tyle dobrze, że jeszcze w domu wpadłam na to, by się przebrać, i byłam odpowiednio ubrana. Od lat nie wbiłam na żadną imprezę bez zaproszenia.

Wystawa Joanny odbywała się w pomieszczeniu nad barem przy głównej ulicy. Było to jedno z tych miejsc, gdzie człowiek mógł uwierzyć, że trafił do Cotswolds lub Hampstead, pełnych głośnych ludzi z południa. Kiedyś wpadłam tam na obiad z moimi współpracownikami. Oni też nie byli tutejsi, a jeden z nich napisał sztukę teatralną. Tamtego dnia na piętrze od-

bywał się jakiś wieczorek poetycki z udziałem kobiety grającej na saksofonie. Chwilę posłuchaliśmy i wróciliśmy na dół coś zjeść. Nie mogłam dostrzec menu wypisanego kredą na czarnej tablicy, bo jakieś dwie paple stały tuż przed nim, deliberując nad doborem wina. Dawały przy tym przedstawienie, które mogło konkurować z poetą na piętrze. Opanowałam się i zrobiłam im tylko niewielką scenę.

Zaparkowałam tuż przy supermarkecie Safeway i ruszyłam pieszo. Środkiem ulicy ciągnęła grupka nastoletnich dziewczyn, szukających jakiegoś pubu, który je obsłuży. Przejrzałam się w sklepowej witrynie, przeczesując włosy palcami. Sukienka miała z tyłu lekką zieloną plamę – pewnie od wodorostów albo mchu na kościelnych schodach. Miałam nadzieję, że na wystawie nie będzie zbyt jasno, inaczej będę skazana na podpieranie ścian.

Joanna wynajęła cały lokal. Zaproszenia sprawdzał młody chłopak w koszuli bez kołnierzyka, błyskając przy tym uśmiechem telewizyjnego prezentera.

– O kurde! – Zasłoniłam usta dłonią, w pełni świadoma, że artystyczna klasa średnia hołubi wulgarny język. – Całkiem mi z głowy wypadło to zaproszenie… Słuchaj, jestem Lizzie, Lizzie Bartholomew. Możesz się zapytać Joanny. Albo Stuarta, o ile się pojawił… – Uśmiechnęłam się do niego przepraszająco, grając słodką idiotkę („Ach, jestem taka śliczna i niezorganizowana”). Nie chcę się przechwalać, ale mogłabym uchodzić za rodowitą sunderlandkę.

– Żaden problem – odpowiedział z uśmiechem. – Na dole są kanapki i napoje, a na wystawę zapraszamy na piętro.

Do baru nie docierało światło z dworu. Poprzednio nie zwróciłam na to uwagi, ale wydawał się dość staroświecki – świece w butelkach, drewniany parkiet, wyplatane krzesła. Być może niedawno zmieniono wystrój i styl śródziemnomorski znów wrócił do łask. Wewnątrz było na tyle ciemno, że mogłabym bez żadnego zażenowania chodzić nawet topless i nie musiałam się martwić poplamioną sukienką. Na progu powitała mnie kelnerka w dżinsach i skąpym topie, dzierżąca tacę z napojami. Poczęstowałam się sokiem pomarańczowym. Moje wzburzenie nie potrzebowało alkoholu

jako dodatkowego paliwa. Sok miał gorzkawy posmak, co oznaczało, że był z kartonu. Na każdym kroku to cięcie kosztów.

Rozejrzałam się wokół, szukając Howdona. Nie miałam żadnego planu, ale musiałam się dowiedzieć, w co ze mną pogrywa. Chciałam zobaczyć jego minę, gdy mu powiem, że to zabawne, że mnie nie pamięta, skoro Dickon mnie rozpoznaje.

Przeszłam na drugi koniec długiego i wąskiego baru. Wszyscy dookoła palili. Kiedy już oswoiłam się z półmrokiem, zaczęłam dostrzegać grupki ludzi, którzy przyszli tu raczej na darmową imprezę, a nie oglądać zdjęcia. Zwyczajowa sobotnia klientela. Ciekawe, ilu jeszcze takich bez zaproszenia wpuścił ten uśmiechnięty czaruś przy drzwiach. Nigdzie nie widziałam Joanny ani Howdona. Odstawiłam szklankę na kontuar i ruszyłam na górę.

Przestrzeń galeryjna okazała się znacznie większa, niż się spodziewałam; na pewno było tam więcej miejsca niż w barze. Pomieszczenie musiało się ciągnąć też nad sąsiednimi sklepami. Tu również nie docierało żadne zewnętrzne światło – okna zasłonięto czarnymi roletami. Na zdjęcia padał blask punktowych reflektorów umieszczonych pod sufitem. I było tych zdjęć od groma. Pokrywały ściany i przenośne ścianki rozstawione w całej galerii. Zaskoczyło mnie to, bo sama nie wiedziałam, czego oczekiwałam. Na pewno nie czegoś tak profesjonalnego. U szczytu schodów stał jakiś chłopak, który wręczył mi drukowaną ulotkę – katalog albo program wystawy z ponumerowanymi tytułami zdjęć. Można się było z niej dowiedzieć, które fotografie są na sprzedaż i jakie mają ceny. Aż gwizdnęłam z wrażenia. Dowiedziałam się również, że część zysków trafi do Konsorcjum Wiejskiego, choć nie powiedziano, ile dokładnie.

Wystawa nosiła tytuł *Zagrożony krajobraz*, ale z tego, co widziałam, zagrożenie pozostawało raczej niesprecyzowane. Wbrew sobie jednak dałam się zahipnotyzować tym zdjęciom. Wiedziałam, że przyszłam tu w zupełnie innym celu, ale fotografie odciągnęły moją uwagę. Wszystkie były czarno-białe. Niektóre miały gigantyczne rozmiary i przedstawiały rozległe widoki, doliny wykute wśród skał, inne były mniejsze i bardziej swojskie, przystępne.

Po sali kręciło się sporo ludzi, ale wszyscy porozumiewali się nabożnymi szeptami. Jeśli grała jakaś muzyka, to tak cicho, że w ogóle jej nie słyszałam. Ścianki przemieniły galerię w prawdziwy labirynt, prowadząc nas przez całe pomieszczenie. Howdon mógł się czaić dosłownie za każdym rogiem, ale donikąd się nie spieszyłam. Zatrzymywałam się przed każdą fotografią. Wszystkie zrobiono w hrabstwie Northumberland. Łacha piaszczystych wydm pod zaciągniętym, burzowym niebem. Tłuste owce na łące otoczonej kamiennym murkiem, nad którym zachodzi słońce. Wezbrana rzeka u wrót stodoły. Nagle dostrzegłam coś znajomego. Uliczka rozświetlona słonecznymi promieniami, padającymi ukośnie przez zimowe, bezlistne gałęzie. Widziałam już tę fotkę na ścianie u Ronniego Lainga. Jeśli nie była to kopia, oba zdjęcia musiały powstać tego samego dnia o tej samej porze.

Tak bardzo zaangażowałam się w oglądanie kształtów na ścianach, że dopiero po chwili odkryłam, dlaczego wywołują we mnie niepokój. Były przecież ładne i przyjemne dla oczu, co mi więc w nich nie pasowało? To, że nie wyglądały na prawdziwe. Nawet jeśli rozpoznawałam dane miejsce, to wydawało się nie takie, jak je zapamiętałam. Nie potrafiłam uwierzyć, że aparat nigdy nie kłamie. To znaczy, wszystkie fizyczne szczegóły krajobrazu się zgadzały, ale perspektywa odbiorcy była zmanipulowana. Ale może na tym właśnie polega sztuka, a ja jestem naiwna? Jestem prostą osobą i nie lubię być manipulowana.

Weźmy na przykład zdjęcie wybrzeża. Przy takiej burzy cały brzeg byłby zasypany śmieciami. Zawsze są śmieci. W oddali powinien też stać jeden z tych betonowych bunkrów, wybudowanych po to, by powstrzymać natarcie niemieckich czołgów. A jeszcze dalej pokazałabym koksownię w Lynemouth albo kominy elektrowni w Blyth. Wiejskie domy nie miały anten satelitarnych, na podwórzach nie walały się pordzewiałe graty, nie widać było silosów owiniętych czarną folią. Żadnych śladów pryszczycy, zakazów wstępu. Skoro miały to być zagrożone krajobrazy, to dlaczego nie pokazała wysypiska w Widdrington, gdzie chowano martwe zwierzęta, a z ciężarówek lała się krew? Chodziło mi o to, że to nie są piękne okolice, a ona je

upiększyła. Wizja świata, w którym chciała żyć, wydała mi się zbyt baśniowa. Choroba i śmierć Philipa musiały być dla niej wstrząsem. Najpewniej nie spodziewała się czegoś takiego.

Odwróciłam się od zdjęcia, które widziałam już wcześniej u Lainga, i zobaczyłam Howdona, który stojąc z kieliszkiem w dłoni, rozmawiał półszeptem z jakimś nieznanym mi mężczyzną i drobną kobietą ubraną jak pomagierka na korcie – w fioletową marynarkę i spódniczkę z plisami w tym samym kolorze. Nie powinna nosić takich barw. Miała szczurzą twarz i pobladłą cerę. Wyglądała, jakby od dawna zmagała się z cierpieniem, pomyślałam więc, że pewnie jest żoną Howdona, który wciąż mnie nie zauważył i nagle zaczął się śmiać. Nie zrobił tego głośno, ale natychmiast zasłonił usta chusteczką. Być może jego towarzysz rzucił jakimś żartem, a może sam powiedział coś, co go rozbawiło. Ale to wystarczyło, by miarka się przebrała. Mogłabym przysiąc, że śmiał się ze mnie. I poszło.

– Co ty odpierdalasz, człowieku?!

Wspominałam już chyba, że zwykle nie przeklinam i lubię wierzyć, że już mi to niepotrzebne. Ale w tym momencie tego potrzebowałam. Moje słowa zadudniły w całym pomieszczeniu. Mogłam sobie wyobrazić, jak odbijają się od ścian i wysokiego sufitu, rozchodząc się na kształt fali, która robi się coraz większa. Ale nikt nie zareagował. Dziękowałam Bogu za angielską rezerwę.

Przy tak licznej publice Howdon nie mógł udawać, że nie istnieję, więc spojrzał wprost na mnie. Przez chwilę nie wiedział, jak zareagować, i stał nieruchomo, rozdziawiając usta jak karp z kreskówki.

– Kim ona jest, Stuarcie? – Towarzysząca mu kobieta musiała chyba uznać, że jestem jego kochanką. Nie byłabym zaskoczona, gdyby miał coś w tej kwestii za uszami. Jeśli czuł potrzebę usprawiedliwiania się z romansów, pewnie wmawiał sobie, że miłość jego życia odeszła z Philipem Samsonem i musiał znaleźć jakąś pociechę. Taki to był właśnie żałosny osobnik.
– Co tu się dzieje?

Miała znacznie donośniejszy głos, niż przypuszczałabym po wyglądzie. Być może wybaczyłaby zdradę, ale nie scenę na imprezie u przyjaciółki. I to

tak ważnej jak Joanna. Czułam też, że mnie rozpoznaje i nie pozwoli mu udawać.

– Stuarcie?

Chciałam się rozwrzeszczeć na całego i wyjaśnić, że nie jestem jego dziewczyną, stać mnie na kogoś lepszego. Jednak sugerowałabym wtedy, że kobieta ma nie najlepszy gust, a to nie z nią przyszłam się pokłócić.

– Pani mąż nakłamał o mnie policji – wyjaśniłam, ściszając głos, choć wciąż się we mnie gotowało.

– Stuart? – powtórzyła coraz bardziej zniecierpliwionym tonem, jakby przywoływała do porządku niezbyt rozgarnięte dziecko.

On jednak wciąż nie potrafił znaleźć słów. A ja nie przestawałam krzyczeć.

– Aresztowano mnie za morderstwo! I to wszystko jego wina!

Żałosne. Zachowywałam się jak dziecko w piaskownicy. A najstraszniejsze było to, że gdybym miała teraz nóż, tobym go nim zadźgała.

W końcu jednak odzyskał panowanie nad sobą.

– No nie! Wcale tego nie chciałem.

– To o co właściwie chodziło?

– Próbował mnie chronić – wtrąciła się Joanna, wchodząc do sali w stylu gwiazdy kina z lat trzydziestych.

Za każdym razem, gdy ją widziałam, wyglądała zupełnie inaczej. Nie umiałam jej rozgryźć. Dziś miała na sobie powłóczystą suknię, a paznokcie i usta pomalowała na krwistoczerwono. Bardzo efektowne wejście. Wszystkie spojrzenia skupiły się na niej. Ludzie oczywiście udawali, że patrzą na zdjęcia, ale żadne z nas nie dało się oszukać. Przez chwilę myślałam, że cieszy ją ta zbiorowa uwaga, ale chyba się myliłam, bo ujęła mnie pod ramię i szepnęła:

– Znajdźmy sobie jakieś spokojniejsze miejsce do rozmowy.

Na zapleczu galerii mieścił się niewielki gabinet z biurkiem, komputerem i kilkoma krzesłami. Żadnych okien. Joanna musiała go wykorzystać jako garderobę, bo pod jedną ze ścian ktoś ustawił wielkie lustro, a na

biurku leżała jej kosmetyczka. A ona sama zniknęła, gdy tylko wprowadziła mnie do środka. Uznałam, że poszła zapewne poszukać wsparcia u Stuarta, ale wróciła chwilę później z butelką wina w kubełku z lodem i dwoma kieliszkami. Tłumaczyłam się, że prowadzę, ale wzięłam kieliszek z uprzejmości. I tyle. Kiedy wychodziłam po naszej rozmowie, butelka była prawie pusta. W ogóle tego nie zauważyłam, ale musiała ją osuszyć, wciąż zachowując całkiem trzeźwy głos.

– Wiedziałaś, że jest żonaty? – zapytała. – W Maroku?

– Zgadłam.

I to natychmiast, jeszcze w autobusie.

– Uwierz, nie chcę go obwiniać o to, co się stało, ale ciągle się zastanawiam, czy w ogóle o mnie wspominał. – Jej wzrok zdradzał, że nie może doczekać się odpowiedzi.

Philip mówił, że niczego mu nie odmawiała, ale nie byłam pewna, czy właśnie to chciała usłyszeć. Powiedział też, że jest prawdziwą świętą, ale rozumiałam to wtedy jako zawoalowaną krytykę.

– To była tylko jedna noc – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Ale i tak zrobiłaś na nim wrażenie – próbowała zażartować, choć w jej oczach wciąż widziałam ten sam głód wiedzy.

– Skąd pani wie, co się stało w Marrakeszu?

– Philip mi powiedział. – Zmierzyła mnie spojrzeniem znad kieliszka. – Nie miałam do niego pretensji, bo i jak mogłabym mieć? Wiedział przecież, że umiera. To normalne, że chciał zebrać jak najwięcej doświadczeń. Powinnam być ci wdzięczna, ale ze zrozumiałych powodów jest to dla mnie trudne. Za to na pewno nie czuję do ciebie niechęci.

– Wiedziała pani o Thomasie.

– Nie – przyznała z wyraźnym trudem. – Nigdy się nawet nie domyślałam. – Ponownie napełniła kieliszek. – Stuart wyjaśnił mi to wszystko dziś po południu. Zaniepokoiło go spotkanie z tobą w Wintrylaw. Opowiedział mi o wytycznych Philipa w sprawie testamentu i zamordowaniu tego chło-

paka. – Znów na mnie spojrzała. – Był bardzo przejęty, serio. Prawnikowi nie jest łatwo kłamać przed policją.

Powstrzymałam się przed stwierdzeniem, że z mojego doświadczenia wynika, że prawnicy kłamią bez ustanku. Była taka naiwna. I pewnie nawet wierzyła w Boga.

– Nie chciał, żebym się dowiedziała, że Philip miał romans w Maroku, ani żebym wiedziała o synu. Troszczył się w ten sposób o mnie i dzieci. Nasze dzieci. Przysięgam.

Jak już mówiłam – to była naiwna kobieta.

Rozdział dwudziesty trzeci

Następnego dnia w porze lunchu zadzwonił inspektor Farrier, by powiadomić mnie, że nie jestem już podejrzana o zamordowanie Marinera. Joanna obiecała, że Howdon pójdzie na policję, ale stało się to szybciej, niż się spodziewałam.

– Głupi gnojek – powiedział Farrier. – Chciałem go załatwić za marnowanie mojego czasu i utrudnianie śledztwa, ale przekonał kogoś ważniejszego ode mnie, że to była pomyłka. Nieporozumienie.

Joanna użyła tego słowa poprzedniego wieczoru na wystawie, ale przesadnie je zaakcentowała, jakby biorąc je w cudzysłów. Zrozumiałam ironię. Tuż przed wyjściem z galerii, w której siedziała niczym gwiazda przed premierą, popijając wino, zapytałam:

– Dlaczego w ogóle go pani znosi?

– Kogo? Stuarta?

– Tak. Grubego Zawiadowcę.

Zamyśliła się na chwilę. Być może myślała też o Philipie.

– Bo jest miły. Naprawdę. Zrobiłby dla mnie wszystko. Słodki jest.

Przypomniałam sobie, jak Dickon mówił, że Howdon jest okropny dla matki, i nie dałam się nabrać. Jeśli była typem kobiety, która potrzebowała wielbicieli, żeby czuć się dobrze we własnej skórze, znalazłaby sobie mnóstwo innych mężczyzn do odegrania tej roli. Słyszałam, jak gracze rugby mówili o niej na pogrzebie. Howdon miał nad nią władzę. Chciałam wiedzieć dlaczego, ale tylko dla zaspokojenia ciekawości. To nie było nic osobistego.

Kiedy po rozmowie z Farrierem odłożyłam słuchawkę, uznałam, że powinnam jakoś uczcić to, że zostałam oczyszczona z zarzutów. Problem po-

legał na tym, że nie miałam z kim świętować. Jess wyszła z Rayem, ale nawet gdyby nie wyszła, i tak spędzałam z nią za dużo czasu. Nagle dotarło do mnie, jak bardzo jestem samotna. Nie zawsze tak było. Kiedy pracowałam w ośrodku dla młodzieży, miałam wielu znajomych: kolegów z pracy i ze studiów. Robiłam wszystko to, co zwykle – dużo piłam, tańczyłam, śmiałam się. Po sprawie Nicky'ego zaczęłam stronić od towarzystwa. Teraz po raz pierwszy za nim zatęskniłam.

Uznałam, że będę świętować sama. Pojechałam do Craster, zostawiłam tam samochód i poszłam na spacer do zamku Dunstanburgh, rozległych szarych ruin otoczonych z trzech stron przez morze. Cypel był prawie pusty. Ostry wiatr z zachodu pomógł mi oczyścić umysł. Ruszyłam plażą i dotarłam do pubu w wiosce w samą porę na wczesną kolację: zupa z krabów, a potem wędzony łosoś z wędzarni znajdującej się przy drodze, włożony między pajdy domowego chleba. Jadłam powoli. Nie spieszyłam się do domu.

Po powrocie do Sea View nadal czułam się przygnębiona. Bycie podejrzaną o morderstwo nie należało do przyjemnych doświadczeń, ale miało w sobie coś ekscytującego. Stanowiło wymówkę, by nie myśleć o przyszłości. Po co mam snuć plany, skoro w każdej chwili mogę zostać aresztowana? Teraz wszystko wydawało się nijakie, a ja czułam niepokój i dezorientację. Jess i Ray siedzieli przytuleni do siebie na sofie i słuchali muzyki. Tym razem nie folku, ale tego rodzaju jazzu, w którym wszystkie nuty wpadają na siebie, co kojarzy się z łagodnym pijakiem, który snuje nostalgiczne opowieści. Poza nami w domu nie było nikogo. Złe chłopaki wyszły i siały chaos na mieście.

– W kuchni jest otwarte wino – powiedziała Jess. Była równie łagodna i senna jak muzyka. Nalałam sobie kieliszek, po czym dołączyłam do nich. Było już prawie ciemno, ale nie zawracali sobie głowy zasunięciem zasłon. W zatoce migała boja świetlna. Trzy ostre błyski, potem przerwa. Usiadłam na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i wpatrzyłam się w wodę.

– Ten adwokat zrozumiał swój błąd – powiedziałam, nie odwracając się w ich stronę. – Wyznał prawdę Farrierowi.

– Co za ulga! – wykrzyknęła Jess. Nie zapytała, skąd wiem. Nie przejęła się nawet tym, że Howdon przedtem kłamał. Tak bardzo przepełniało ją szczęście, że nie było w niej miejsca na żywszą reakcję. Cieszyłam się z tego. Naprawdę. Ale byłam również zazdrosna. Też bym chciała wtulić się w kogoś, dzięki komu poczułabym się lepiej. Nie chciałam czuć się pusta, zgorzkniała i sfrustrowana.

– Wydali rodzinie jego ciało – powiedziała nagle Jess. – Tego chłopaka, Thomasa. Czytałam w „Journal". Pogrzeb w przyszłym tygodniu.

Postanowiłam, że wezmę w nim udział. Nie było powodu, żeby tego nie zrobić. Pomyślałam, że to ostatecznie zakończy dla mnie tę sprawę. O ile pogrzeb Philipa oznaczał początek moich kłopotliwych relacji z Samsonami, o tyle pochówek Thomasa będzie ich końcem. Nie powiedziałam tego Jess. Uznałaby to za pogwałcenie prywatności, wręcz coś chorego. Pogrzeb jest dla rodziny, Lizzie, oznajmiłaby. Rodziny i bliskich przyjaciół. A ty nawet go nie znałaś.

Znałam jednak jego ojca. I to czyniło mnie w pewnym sensie rodziną. Nikogo z Samsonów tam nie będzie. Pójdę reprezentować Philipa. Oczywiście to nie prawdziwy powód. Moje motywy były bardziej złożone. Nie aż tak szlachetne. Chodziło mi o to, żeby znów zobaczyć Ronniego Lainga. Czułam też, że dopóki nie dowiem się, kto zabił Thomasa, nie będę mogła cieszyć się pieniędzmi, które zostawił mi Philip. Do tego dochodziło też poczucie, że nie znalazłszy Thomasa przed jego śmiercią, w jakiś sposób zawiodłam jego ojca.

Pogrzeb chłopaka odbywał się w nowym kościele metodystów niedaleko domu Laingów. Został zbudowany z czerwonej cegły. Wewnątrz cegła była odsłonięta, a na ścianach wisiały sztandary, trochę podobne do tych, które związki zawodowe niosą w swoje święta. Miały jaskrawe kolory, a wycięte z filcu litery układały się w teksty religijne. Nie przypominało to w niczym kościoła Świętego Bartłomieja. Zostawiłam samochód przed domem Nell i razem z nią oraz Danem poszłam do kościoła. Zadzwoniłam do Dana dzień wcześniej, żeby się dowiedzieć, czy wybierają się na uroczystość.

– Nell zależy na tym, żebyśmy poszli – powiedział, po czym dodał: – Ale dlaczego ty chcesz się męczyć?

Wyglądało na to, że idzie tam wyłącznie ze względu na dziewczynę.

– No wiesz, żeby wyrazić szacunek – odparłam.

Wciąż nie miałam pewności, czy to prawdziwa odpowiedź, ale wydawała się równie dobra jak każda inna.

Dzień był ciepły i pochmurny, pod drzewami rosnącymi przed kościołem kłębiły się muchy. Staliśmy w pewnej odległości i obserwowaliśmy wchodzących żałobników. Dostrzegłam kilka dobrze ubranych kobiet w średnim wieku. Pomyślałam, że to pewnie Żony Metodystów. Wspierały Kay i przyglądały się swoim czarnym kreacjom. Ujrzałam też dziadków Thomasa, państwa Marinerów. Pani Mariner ocierała oczy chusteczką, a Archie starał się ją pocieszyć. Wziął ją za rękę, żeby pomóc jej wejść po schodach. Zjawili się też Harry Pool oraz kilku jego kierowców, Ellen z Absalom House w zielonej aksamitnej spódnicy i żakiecie, ze świeżo ufarbowanymi włosami, a także młody mężczyzna w drogim garniturze, który mógł być Marcusem Tate'em – bez zwierzęcej maski trudno było to stwierdzić. Wspięli się po białych kamiennych schodach, po czym otrzepali twarze i ubrania z much; potrząsnęli też głowami, by usunąć je z włosów.

– Będziemy tak tutaj stać cały dzień? – zapytała Nell. Poprowadziła nas w ślad za pozostałymi i przed drzwiami przeszliśmy taki sam rytuał strząsania z siebie much.

Usiedliśmy z tyłu, zupełnie jakbyśmy nie mieli prawa do przebywania w tym miejscu. Kościół wydawał się wypełniony głównie przyjaciółmi Kay. Nie licząc Marcusa oraz Harry'ego i jego pracowników, byliśmy chyba jedynymi osobami jakoś związanymi z Thomasem. Kiedy odwróciłam się w połowie pierwszego hymnu, zobaczyłam po drugiej stronie nawy śpiewającego z zapałem Farriera. Musiał przyjść w ostatniej chwili. Nie wydawał się zszokowany moim widokiem, a nawet do mnie mrugnął.

Nie widziałam Kay i Ronniego, dopóki nie wyszli za trumną na zewnątrz. Prawdopodobnie siedzieli w pierwszym rzędzie z dziewczynkami. Wyglądało na to, że ciało Thomasa zostanie skremowane. Zaplanowano

krótką uroczystość, ale tylko dla bliskiej rodziny. Ronnie chyba zauważył mnie, gdy wychodził, trzymając za ręce córki. W każdym razie rzucił w moim kierunku przelotne spojrzenie, w którym dostrzegłam mieszaninę szoku i niedowierzania. Potem w jego oczach pojawiło się coś, czego nie umiałam od razu nazwać, być może strach. To było niemal spojrzenie ofiary zagonionej w kozi róg. Bez sensu. Dlaczego miałby się mnie bać? Zaczekałam, aż wszyscy żałobnicy wyjdą, zastawiłam przy tym drogę Nell i Danowi. Nie chciałam spotkać Ronniego, a na pewno nie w towarzystwie Kay.

Kiedy wyszliśmy na dwór, karawanu już nie było.

Harry Pool otarł czoło chusteczką. Jego twarz wydawała się jeszcze bardziej czerwona, niż zapamiętałam, i lśniła od potu.

– Nie wiem, jak wam – powiedział – ale mnie przydałby się kieliszeczek czegoś mocniejszego.

Poszliśmy więc wszyscy do pubu na rogu. Był to jeden z tych bezdusznych, przestronnych lokali zbudowanych w latach trzydziestych, ale urządzonych niedawno w stylu wiktoriańskim, z dwiema różnymi tapetami, ciemnymi meblami i obrazami ze scenami z polowań. Zaczynał już wyglądać niechlujnie. Dopiero co go otwarto. Czuć było poranny zapach wczorajszego piwa i wczorajszych papierosów. Barmanka, która stała, opierając się o ścianę, leniwie przecierała szklanki ścierką. Musiała nas mieć za dziwaków. Pierwszą kolejkę stawiał Harry Pool. Poluźnił krawat i rozpiął górny guzik koszuli, ale nadal wydawał się zdyszany.

– A ty – zwrócił się do mnie po tym, gdy zapytał, co piję – skąd znałaś tego chłopaka?

Wyglądało na to, że nie kojarzy mnie z wizyty w swojej firmie. W sumie trudno się dziwić. Stałam w tłumie dziennikarzy. Chciałam powiedzieć, że znam ojca Thomasa, ale w porę się powstrzymałam. Niezależnie od moich poglądów na ten temat informowanie o Philipie byłoby nie w porządku wobec Kay.

– Tak naprawdę to go za bardzo nie znałam – odparłam. – Jestem zaprzyjaźniona z jego rodziną.

– To tak jak ja – powiedział.

Usiedliśmy przy stolikach i na początku patrzyliśmy niepewnie na siebie, nie odzywając się. Z szafy grającej dobiegały dźwięki *Knocking on Heaven's Door* Dylana. Wydawało mi się, że ten kawałek leci całe popołudnie. Harry Pool wrócił z baru z tacą pełną drinków. Pamiętam, że Ellen piła whisky. To mnie zaskoczyło. Reszta z nas zamówiła piwo: kierowcy Poola – butelkowe, pozostali – beczkowe.

– Myślę, że powinniśmy wypić za Thomasa – powiedział Harry. Stał, opierając się o stół, jakby potrzebował wsparcia. – Nie zasługiwał na to, żeby umrzeć w taki paskudny sposób. Zwłaszcza że miał przed sobą całe życie.

Wszyscy z namaszczeniem unieśliśmy szklanki, jakby to był toast ślubny.

– Za Thomasa – powiedzieliśmy. Jeden z kierowców Poola stłumił nerwowy chichot. Jeśli potem ktoś wspominał o Thomasie, to tylko szeptem, w rozmowach jeden na jeden.

Teraz wydaje mi się, że upiłam się już pierwszym kuflem. Może przez to, że okoliczności były takie niezwykłe. A może nie należało mieszać alkoholu z lekami. Pamiętam urywki rozmów, ale w mojej pamięci tło pozostawało zamazane i nie wiem, w jakiej kolejności odbywały się rozmowy ani nie znam ich kontekstu.

Pamiętam, że w pewnej chwili Ellen zaczęła coś do mnie mówić. Musiało to być na początku imprezy, ponieważ wciąż siedziałam obok niej. Na stole stały puste talerze. Zdaje się, że Harry zamówił kanapki dla wszystkich, choć nie pamiętam, żebym jadła. Wpatrywałam się w jej poruszające się wargi. Pociągnęła je szkarłatną szminką, która wsiąkła w puder dookoła. Wyglądało to tak, jakby jej twarz była pustynią, a usta laguną, do której wpadały liczne dopływy. Wciąż się gapiłam, kiedy zdałam sobie sprawę, że czeka na odpowiedź na pytanie, którego nie usłyszałam.

– Słucham? – powiedziałam. Dylan, zamiast pukać do nieba bram, walił w mój mózg.

– Musimy pogadać. Moim zdaniem Thomas był wyjątkowy.

Mimo że próbowałam się skupić, z trudem docierały do mnie jej słowa. Nie chciała, żeby ktoś ją podsłuchał. To była jedna z tych poufnych rozmów.

– Martwił się czymś.

– Miałam coś napisać… – zdołałam wydukać. Z trudem przypomniałam sobie, że udaję dziennikarkę. Wydało mi się to jakimś żartem. – A… już wiem… artykuł.

– Tak, tak… – powiedziała i chwyciła mnie za ramię. – Niech pani przyjdzie do Absalom House. Wszystko jedno o której. Zawsze tam jestem. Pogadamy.

Zniknęła mi z oczu i gdy następnym razem się pojawiła, paliła papierosa, trzymając go dziwacznie między dwoma palcami, i z lekko odchyloną głową patrzyła poprzez chmurę dymu na Harry'ego Poola.

Nell i Dan siedzieli razem przez całe popołudnie, ale nie wydawało mi się, żeby ze sobą rozmawiali. Kilka razy Nell obdarzyła mnie tym swoim przeszywającym spojrzeniem, które, jak się wydaje, przyjęła jako część swojego stylu bycia, podobnie jak fryzurę, a raz, gdy wyszłyśmy na chwilę przed pub, zapytała:

– Kim był ten facet w kościele, który mrugnął do ciebie?

Zapomniałam o Farrierze. Musiał wyjść zaraz po nabożeństwie. A może rodzina zaprosiła go na kremację? Wydawało mi się, że jego obecność mogła być dla nich źródłem pociechy.

– To policjant prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Thomasa.

– Czy oni coś wiedzą? – Głos Nell był równie natrętny, jak uścisk Ellen na moim ramieniu.

– Przyjęli do wiadomości, że nie mam z tym nic wspólnego. Tylko to mnie interesuje.

– Nieprawda – odparła. – To nie wszystko, co cię interesuje. Nie może tak być. Na pewno nie. Musimy się dowiedzieć, dlaczego zginął, prawda?

Nie czekając na odpowiedź, ruszyła do Dana. Szła tak ostrożnie i tak nienaturalnie wyprostowana, że domyśliłam się, że też jest pijana.

Kierowcy Harry'ego okazali się mniej wymagający w rozmowie. Jeden z nich był starszy, niż się początkowo wydawało. Niedawno zdobył prawo jazdy na ciężarówkę i opowiadał o wyjazdach do Europy kontynentalnej. Był podekscytowany perspektywą długiej samotnej jazdy, ale też zdenerwowany. Był już z bardziej doświadczonym kierowcą w Hiszpanii i Polsce. Zapytałam, co wiózł z Polski. Wódkę, dżem, owoce? On jednak zwlekał z odpowiedzią. W końcu wyjaśnił, że towar znajdował się w kontenerach, więc trudno mu powiedzieć.

Ostatnią rozmowę, którą pamiętam, odbyłam z Marcusem. Podszedł do mnie, niosąc dla nas drinki, i usiadł obok mnie na wyścielanej ławce, która biegła wzdłuż ściany. Zdjął krawat. Jeden jego koniec zwisał z kieszeni spodni. Udawał bardziej pijanego, niż był w istocie. Poznałam to podczas krótkich przebłysków trzeźwości, które czasami się pojawiają nawet wtedy, gdy jest się tak pijanym, że ledwo się stoi. Oparł jedną rękę na parapecie za mną. Nie dotykał mnie, ale stał bardzo blisko.

– Poznaję cię. Byłaś w Wintrylaw.

Nie wiem dlaczego, ale udawałam, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Może to był po prostu zbyt duży wysiłek. W każdym razie nie odpowiedziałam.

– Byłem niedźwiedziem – wyjaśnił. Dotknął kciukami środkowych palców, tworząc koła, i przyłożył dłonie do oczu. – Nosiłem maskę. Miałaś do nas dołączyć.

– Jesteś tym chłopakiem z Konsorcjum Wiejskiego. – Udałam, że dopiero skojarzyłam.

– Co ty tu robisz? – Pochylił się nad stołem, tak że nasze twarze prawie się stykały. – Znałaś Thomasa?

– To ja znalazłam jego ciało.

Odsunął się ode mnie, jakby w szoku, ale ponieważ udawał pijanego, nie do końca wierzyłam w tę reakcję.

W tej chwili zza stołu wstał Harry Pool i ogłosił, że czas na niego. Ma żonę, do której musi wrócić. Została z wnukami na cały dzień. Ruszyliśmy

za nim. W końcu to on zorganizował tę imprezę i bez niego nie miała sensu. Marcus i ja wyszliśmy jako ostatni. Objął mnie ramieniem i położył delikatnie dłoń na mojej szyi. Nie miałam siły go odepchnąć. Poza tym naprawdę mi się to podobało.

Stanęliśmy na chodniku, żeby pomachać innym. Następna rzecz, którą pamiętam, to jazda taksówką do Seaton Delaval, do niewielkiego domu, w którym zginął Thomas. Nie przypominam sobie, żebyśmy to uzgadniali, ale może jestem niesprawiedliwa. Być może tak było. Pamiętam, że stałam z Marcusem przed drzwiami, a on grzebał w kieszeniach w poszukiwaniu klucza. Nie znalazłszy go tam, wyłuskał go z doniczki stojącej na parapecie. Pamiętam też, że nagle zaczęłam gwałtownie wymiotować.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nie odrywając czubka noża od mojej skóry, Nicky wyciąga rękę i wyłącza światło. Robi się ciemno. Czuję, że moje źrenice rozszerzają się w odpowiedzi, ale nic nie widzę. Rolety w oknie są opuszczone. Zawsze bałam się ciemności.

Nicky obejmuje mnie i ciągnie w dół, tak że padam na łóżko. Leży obok mnie, bardzo blisko. Czuję jego zapach. Jedną ręką przyciska mnie do siebie, w drugiej trzyma nóż. Szepcze mi do ucha. Muska ustami jego płatek. Ten dotyk sprawia, że zaczynam panikować. Mówi, co zamierza ze mną robić. Próbuję odciąć się od tych słów. Ma na sobie bawełniane spodnie dresowe i czuję na swoim udzie jego erekcję. Jedną ręką rozpina mi bluzkę, szamocząc się w ciemności, a potem przesuwa ostrze noża w kierunku mojej piersi, drapiąc skórę, ale nie do krwi.

Słychać kroki w korytarzu.

– Nie ruszaj się. – Słowa są tak ciche, że chociaż trzyma usta przy moim uchu, z trudem je słyszę.

Kroki cichną.

Jednak oboje wiemy, że powrócą.

Leżałam na łóżku Thomasa. Był ten sam wieczór, wciąż jasno. W drzwiach stał Marcus. Wiedziałam, gdzie jestem i że jeśli poruszę głową, znów zwymiotuję. Kolejnym uczuciem była panika. Jak się tu znalazłam? Co zrobiłam? Pamiętałam, jak stałam przed domem, trzymając się Marcusa. Szok, że jestem tutaj. A potem nic, tylko retrospekcje. Ostrożnie zaczęłam sunąć ręką w dół po swoim ciele. Dalej byłam ubrana. Ulga. Nie uprawiałam

seksu. Zdjęłam tylko buty, zanim położyłam się do łóżka. Powróciły mdłości wywołane kacem. Zamknęłam oczy.

– Herbaty?

Głos Marcusa wydawał się dochodzić z wielu kilometrów. Z daleka. Z jakiejś Norwegii albo skądś jeszcze dalej. Uwierzyłabym, że dzieliło nas szare Morze Północne i kilka platform wiertniczych. Zmusiłam się, żeby na niego spojrzeć. Uśmiechał się, jakby podążał za moimi myślami, jakby moje zakłopotanie go bawiło.

– Która godzina?

– Dziewiąta. Właściwie wpół do dziesiątej.

– Muszę zadzwonić do domu.

Powiedziałam Jess, że wrócę zaraz po lunchu. Będzie się zastanawiać, gdzie jestem, martwić. Pewnie wyśle Raya na poszukiwania, jeśli szybko się nie odezwę. Co gorsza, gotowa też zadzwonić do Lisy.

– Jasne – odparł. – Ale najpierw herbata.

Trzymał w rękach dwa kubki. Usiadł na brzegu łóżka. Przesunęłam się do tyłu i poczułam się lepiej, jakbym odzyskała więcej kontroli.

Ktoś wykonał tu kawał dobrej roboty i dokładnie wysprzątał pokój. Nowa tania wykładzina, szara, nylonowa. Odmalowana ściana – wyraźnie jaśniejsza. Nie wisiały na niej żadne plakaty. Proces pozbywania się krwi z pewnością nie był zbyt przyjemny.

– Wybacz – powiedział Marcus. – Nie miałem gdzie cię położyć. A byłaś w takim stanie, że i tak nie miało to dla ciebie znaczenia.

Zupełnie jakby czytał w moich myślach.

– Kiedy policja skończyła pracę, mój tata wynajął firmę sprzątającą – wyjaśnił. – To mój pierwszy dzień tutaj.

– Nie przeszkadza ci to?

– Niewiele mogę na to poradzić. Tata nie kupi mi nowego mieszkania. Pomyślałem, że im szybciej się przyzwyczaję, tym lepiej. To tak, jak z powrotem siąść na konia po tym, jak się z niego spadło.

– Czy twój ojciec nie martwi się, że zostaniesz tutaj sam?

Marcus wzruszył ramionami.

– Zdaniem policji Thomas został zabity przez narkomanów, którzy szukali czegoś, co mogliby ukraść. Musiał im przeszkodzić. Raczej tu nie wrócą. – Przerwał na chwilę, po czym dodał: – Mój ojciec jest biznesmenem. Niełatwo byłoby mu sprzedać dom, w którym kogoś zabito. Więc utknąłem tutaj. Przynajmniej na jakiś czas.

Puściłam to mimo uszu. Pomyślałam, że teoria o włamywaczach nie ma sensu. W środku grała muzyka, na tyle głośno, że było ją słychać z ulicy. Nawet narkoman zorientowałby się, że dom nie jest pusty. Farrier nie był aż tak głupi. Albo z Marcusem rozmawiał jakiś inny, niekoniecznie zbyt lotny funkcjonariusz, albo policja z własnych powodów wciskała mu kit. Poczułam się nieswojo.

– Gdzie byłeś tamtego dnia? – zapytałam oskarżycielskim tonem. Nie wydawało się to rozsądne, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Na zajęciach. – Nie wyglądał na urażonego tym pytaniem. – Wykład, a potem lektorat. – Uśmiechnął się. – Mam na to wielu świadków.

– Nie to miałam na myśli… – Przerwałam.

Oczywiście, że to miałam na myśli. Musiałam sprawdzić, czy Marcus mógł zabić Thomasa. Nadal miałam tylko jego słowo, ale czułam się zbyt słabo, by nadal się bać.

– Policja powiedziała, że Thomasa nie było w pracy w dniu, w którym zginął, bo miał grypę. To prawda?

– Nie wiem, czy to była grypa, ale nie czuł się dobrze. Dopadł go jakiś wirus. Spał, kiedy wychodziłem rano.

Być może dlatego nie otworzył drzwi, gdy przyszłam tu po raz pierwszy. Później obudził się, włączył muzykę. Czy nadal był w łóżku, kiedy pojawił się morderca? Nie, ponieważ miał na sobie dżinsy i bluzę. Ciekawe, czy wstał, żeby go wpuścić.

Marcus zostawił mnie, żebym umyła twarz i ręce. Potem zadzwoniłam do Jess. Powiedziałam jej, żeby się nie martwiła. Wypiłam kilka drinków,

więc zamierzałam zostać na noc u kolegi. W tym momencie wciąż miałam nadzieję, że wrócę do domu, ale lepiej niczego nie obiecywać. Byłaby niespokojna całą noc i czekała na mnie. Nie mogłam prowadzić. Nie miałam też pewności, czy dam radę pojechać autobusem, a nie zamierzałam płacić za taksówkę.

Marcus był w kuchni, roztrzepywał widelcem jajka w szklanej misce.

– Masz ochotę na jajecznicę?

Przytaknęłam, zaskoczona, że czuję się taka głodna. Kuchnia znajdowała się w tylnej części domu, była niewielka, ale dobrze wyposażona i schludna jak na mieszkanie studenckie. Przypomniałam sobie porozrzucane buty i zakurzoną wykładzinę, które widziałam w holu podczas pierwszej wizyty, i pomyślałam, że być może również tutaj wpuszczono firmę sprzątającą. A może Marcusowi nie przeszkadzał bałagan w mieszkaniu, ale w kuchni zachowywał porządek? Znałam takich mężczyzn. Patrząc na niego, wciąż ubranego w spodnie od garnituru i białą koszulę z pogrzebu, pomyślałam, że to syn, jakiego Kay Laing chciałaby mieć. Zastanawiałam się, czy znała Marcusa, gdy był dzieckiem. Dan opisał ich jako szkolnych przyjaciół.

– Skąd znałeś Thomasa?

Oparłam się o framugę drzwi. Gdybym weszła do kuchni, przeszkadzałabym mu. Spojrzał w górę. Miał ten schludny, zdrowy wygląd angielskich chłopców po dobrych szkołach. Żadnych pryszczy. Krótkie, nieco kręcone włosy. Skóra koloru niewypieczonego tostu, różowa na karku, w miejscu, gdzie padało na nią słońce.

– Chodziliśmy razem do podstawówki. Dwa postrachy klasy.

Jak Archie Mariner i Harry Pool, pomyślałam. Po sześćdziesięciu latach nadal są przyjaciółmi, choć jeden z nich dorobił się fortuny, a drugi z trudem utrzymywał się z emerytury.

– Kiedy miałem jedenaście lat, ojciec wysłał mnie do King's. Wiesz, tej prywatnej szkoły w Tynemouth.

Skinęłam głową.

– Przenieśliśmy się na wybrzeże i straciłem kontakt z Thomasem. Spotkaliśmy się ponownie kilka lat później. Z wiekiem szkoła staje się mniej ważna. Wpadaliśmy na siebie na imprezach. Whitley w piątkowy wieczór… Kiedy miałem szesnaście lat, chodzili tam wszyscy moi znajomi.

– Thomas dalej był postrachem?

– Nie aż tak bardzo. W każdym razie nie bardziej niż ktokolwiek inny. Jedyną różnicą było to, że nic sobie nie robił z tego, że go na czymś przyłapywano.

– Znasz jego ojczyma?

Zwlekał z odpowiedzią. Pochylił się, żeby wyjąć patelnię z szafki.

– Widuję go czasami.

– W Konsorcjum Wiejskim?

– Nie jest zbyt aktywny – odparł. – Mamy wielu zwolenników.

Była to wymijająca odpowiedź, ale odpuściłam. Odwrócił się do mnie plecami i skupił się na jajecznicy. Stał nad nią z drewnianą łyżką i od czasu do czasu odrywał jajka od powierzchni patelni, gdy zaczynały przywierać.

– Jak się w to zaangażowałeś?

– Przez mojego ojca. Rodzice rozstali się, gdy miałem sześć lat. Zostałem z ojcem. Później on zamieszkał z inną kobietą, która ma ziemię na wybrzeżu. Nie uprawia jej, ale trzyma tam kilka koni i ma dom. A ojciec jest agentem nieruchomości. Uważa, że jest lepszy od innych. W normalnych okolicznościach nie zainteresowałby się takim domem jak ten tutaj, ale pomyślał, że nada się dla mnie. Na co dzień zajmuje się dużymi nieruchomościami, wiejskimi hotelami. Kiedy jacyś bogacze chcą odsprzedać część majątku, idą do niego. Nie jestem pewien, jak bardzo angażuje się w działalność Konsorcjum. Na przykład nie poluje, a konie mojej macochy go przerażają. Myślę, że uważał przyłączenie się do organizacji za sprytny ruch biznesowy, sposób na nawiązywanie i utrzymywanie kontaktów z właściwymi ludźmi.

– A ty?

Przez chwilę nie odpowiadał. Smarował masłem tosty. Potem skoncentrował się na umieszczaniu na nich jajecznicy. Nawet z miejsca, w którym stałam, mogłam stwierdzić, że jest doskonale usmażona, złocisto-kremowa i idealnie ścięta. Podał mi talerz i sztućce, po czym przeszedł za mną do salonu. Usiedliśmy na wygodnych krzesłach po obu stronach kominka, z talerzami na kolanach. Zastanawiałam się, czy on i Thomas mieli zwyczaj właśnie tak jeść.

– Dla mnie to była tylko praca – powiedział. – Poszedłem na biznes i zarządzanie, ale zrobiłem sobie rok przerwy i chciałem go spędzić, robiąc coś pożytecznego. Ojciec z kimś pogadał i załatwił mi tę fuchę. Jest w tym dobry. To było przydatne doświadczenie, rok w biurze, całkiem nieźle sobie radziłem, pod koniec odpowiadałem za zbieranie funduszy.

– A czym to było dla Thomasa? – zapytałam.

– Ach – westchnął. – Dla Thomasa to była krucjata.

– Nie rozumiem. Nie pomyślałabym, że się tym zainteresuje. Przecież wychował się w mieście. Nie pochłaniały go muzyka, kluby, sklepy?

– Jasne, lubił to wszystko. Ale podobała mu się idea wsi. Anglia jako zielona kraina wiecznej szczęśliwości. Sama wiesz. Powiedziałam mu, że rzeczywistość nie jest wcale taka różowa, ale on dalej marzył o życiu na wzgórzach, o samowystarczalności, o tym, żeby nie być niepokojonym przez matkę ani nikogo innego.

Pomyślałam, że brzmi to niedorzecznie, jednak w tym opisie Marcusa było również coś fascynującego, jakaś nutka amerykańskiego marzenia o życiu w dziczy, lecz także mitu o wyprowadzce na wieś i prowadzeniu tam lepszego życia. Patriotyzm, strzelby, a jednocześnie organiczne marchewki. Ale być może wszystko mi się pomyliło. Może Thomas miał miłość do natury we krwi, odziedziczył ją po Philipie.

Ta myśl przeniosła mnie do Joanny. Chciałam zapytać, czy jest jedną ze zwolenniczek Konsorcjum, ale Marcus zaczął zadawać własne pytania:

– Dlaczego tu przyjechałaś? Chodzi mi o dzień, w którym znalazłaś ciało Thomasa. Co sprowadziło cię do tego domu?

– Jego rodzina była zaniepokojona. Nie wiedzieli, gdzie mieszka. Jestem pracowniczką socjalną. Poprosili mnie o odnalezienie go. Bez zamieszania. Nieoficjalnie.

Chyba przekonało go moje wyjaśnienie, ale dodał:

– Ronnie wiedział.

– Słucham?

– Ronnie wiedział, że Thomas wprowadził się do mnie, żeby dzielić ze mną koszty mieszkania. Powiedziałem mu o tym. Niedługo przed śmiercią Thomasa. Później czułem się z tym naprawdę źle, bo Thomas nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że tu jest. To było dla niego ważne. Wymógł na mnie przysięgę, że dochowam tajemnicy. Typowy dla niego patetyczny gest.

– Co się stało?

– W mieście odbywał się zlot myśliwych z Konsorcjum Wiejskiego. Przy pomniku. Nie brałem w nim udziału. Właściwie to nie lubię polować. Byłem na kilku z macochą, ale nie widziałem w tym sensu. I nie pracuję już dla nich… Ale byłem w mieście i przyglądałem się temu, podobnie jak inni mieszkańcy. Widziałem Ronniego. Traktował to wszystko naprawdę poważnie. Maszerował z podniesioną głową, a nie człapał bez przekonania jak reszta. Rozpoznał mnie jako kolegę Thomasa. Podszedł i zapytał, czy go ostatnio widziałem. Powiedziałem mu, że zaprosiłem Thomasa do siebie.

– Dlaczego? Przecież Thomas prosił, żebyś tego nie robił.

Marcus wyglądał na zakłopotanego.

– Trudno powiedzieć „nie” Ronniemu Laingowi.

Pomyślałam, że to tylko wymówka, ale nic nie skomentowałam.

– Kiedy to było? Dokładnie?

– Nie wiem. Jakiś tydzień przed śmiercią Thomasa.

– Ronnie nic nie powiedział jego matce.

Przypomniałam sobie, jak wyglądała Kay, kiedy bazgrała swój numer służbowy na skrawku papieru, prosząc mnie, żebym przekazała jej wieści o synu. I podała mi adres schroniska. Nie wiedziała, że się wyprowadził.

Wmawiałam sobie, że Ronnie nie chciał martwić żony. Pewnie myślała, że Thomas jest bezpieczny w Absalom House.

– Nie lubił, gdy Thomas kręcił się w pobliżu – powiedział Marcus. – Mogę to do pewnego stopnia zrozumieć. Thomas potrafił być uciążliwy, a Ronnie lubi spokojne życie. Wiesz, potrzebuje własnej przestrzeni.

Nagle okazało się, że Marcus wie więcej o Ronniem, niż twierdził.

– Dlaczego?

Wzruszył tylko ramionami. Nie zamierzał zdradzić nic więcej na temat Ronniego.

– Opowiedz mi o Thomasie.

– Za bardzo się starał. Jakby nigdy nie mógł się zrelaksować. Ciągle chciał być zabawny, bez przerwy grał pod publiczkę, upewniał się, że ludzie go lubią.

– To musiało być męczące – stwierdziłam.

– Tak, zarówno dla niego, jak i dla nas. Myślę, że to właśnie dlatego Nell go rzuciła. Wykańczał ją.

– Jak to przyjął?

– Był pewien, że ją odzyska.

Spojrzeliśmy po sobie. Oboje rozumieliśmy naiwność tego przekonania i oboje żałowaliśmy, że Thomas już nigdy nie udowodni nam, że się mylimy.

– Co robiłeś w ten weekend w Wintrylaw? Dlaczego pomagasz Konsorcjum, skoro nie wierzysz w jego wartości i już dla niego nie pracujesz?

– W niektóre wierzę – odparł. – Poza tym płacili mi za każdego człowieka, który dzięki mnie się do nich przyłączył.

– To dlatego tak bardzo chciałeś mnie zwerbować?

– Oczywiście.

Uśmiechnął się pyszałkowato i jednocześnie rozbrajająco.

– Coś jeszcze? – zapytał. Odniósł naczynia do kuchni i ułożył je starannie obok zlewu.

– Kawy? – zawołał przez otwarte drzwi.

Pomyślałam, że może powinnam zaproponować, że pozmywam, ale wciąż nie byłam pewna, czy dam radę wstać bez zawrotów głowy. Poza tym to on mnie tu przyprowadził, prawda? Byłam jego gościem.

Napełnił ekspres wodą, wsypał łyżeczkę kawy i włączył urządzenie. Zapach kawy kapiącej do dzbanka pomógł mi oczyścić myśli.

– Czy Thomas kiedykolwiek opowiadał ci o swojej pracy? – zapytałam.

– Niewiele. To nie było jego powołanie. Pracował tam dla kasy, tak jak ja w Konsorcjum.

– Czy wydawał się zaniepokojony tym, co się tam działo?

– To znaczy czym?

– Nie jestem pewna. Kwestiami zdrowia i bezpieczeństwa? Tym, że kierowcy pracują zbyt długo bez żadnej przerwy, a ciężarówki nie są odpowiednio serwisowane?

Przypomniałam sobie o czerwonym i zielonym oleju napędowym. Co jeszcze skłoniłoby go do rozmowy z Shoną Murray? O jakich nieprawidłowościach mógłby ją poinformować?

– Coś się działo między nim a jego szefem – powiedział.

– To znaczy?

– Nie wiem. Doszło do kłótni. Jakiegoś nieporozumienia. W pewnej chwili Thomas zaczął wspominać o odejściu. Mówiłem ci, że był marzycielem. Chciał założyć własny biznes. A potem wszystko jakby ucichło.

– Naprawdę nie wiesz, o co chodziło?

Marcus nie odpowiedział.

– Co się dzieje? – zapytał. Przyniósł dzbanek do kawy Pyrex oraz dwa kubki i postawił je na dywanie między nami. – Co to ma wspólnego z tobą?

Kiedy tak stał nade mną, wydawał się bardzo młody i nieproporcjonalnie zbudowany. Tak niewiele przeżył. Pomyślałam, że ma mi tak niewiele do zaoferowania. Poza ładną twarzą. Może właśnie dlatego kusiło mnie, by

mu się zwierzyć. Nie zrozumie, przez co przechodzę, więc to nie miało znaczenia. To byłoby prawie jak rozmowa z samą sobą.

– Jestem ciekawa – wyjaśniłam. – Staram się nie być, ale nic na to nie poradzę. Przez kilka dni policja uważała mnie za zabójczynię. Byli niemal pewni, że to ja. Myślę, że mam prawo wiedzieć, co się stało.

– Powinnaś dać sobie z tym spokój – powiedział szorstko.

– Co ty o tym wiesz?

– Nic. Ale jeśli tego nie zrobisz, zamieni się to w obsesję. Nikt nie może tak żyć.

A co ty wiesz o obsesji? – pomyślałam. Nie masz o niczym pojęcia, chłopczyku z bezpiecznym życiem, lekcjami jazdy konnej i tatą, który ma na tyle dużo forsy, żeby kupić ci dom i posprzątać po twoim zamordowanym przyjacielu.

Nagle dotarło do mnie, że jestem niesprawiedliwa. Pochyliłam się i nalałam nam kawy. Wziął kubek i usiadł. Przyszło mi do głowy pytanie, którego wcześniej nie zadałam:

– Czy Joanna Samson należy do osób wspierających Konsorcjum?

– Jest jego patronką.

– Co to znaczy?

Wzruszył ramionami.

– Jest znaną fotografką. Pozwala im umieszczać swoje nazwisko w nagłówkach listów, organizuje zbiórki pieniędzy i przyjęcia w ogrodzie.

Jak królowa, pomyślałam. To by jej się spodobało.

– Znasz ją? – zapytał.

– Znałam jej męża.

Samo to stwierdzenie sprawiło, że poczułam się lepiej. Pochylił się i nalał więcej kawy. Kubki były identyczne, białe z niebieskimi paskami.

– Słyszałeś kiedyś o Stuarcie Howdonie? – zapytałam. – Czy on też jest w to zamieszany?

Położył długie palce na krawędzi kubka i obrócił go na dywanie.

– Już ci mówiłem. Powinnaś dać sobie z tym spokój.

– Czy wiesz, kto zabił Thomasa?

– Oczywiście, że nie.

– Dlaczego mnie tu przyprowadziłeś?

– Może podobają mi się starsze laski. To pewnie ma coś wspólnego z tym, że moja matka odeszła, gdy byłem mały.

Widać było, że pożałował tej uwagi, gdy tylko wyszła z jego ust.

– Przepraszam. – Zamilkł na chwilę. – Byłaś pijana. Nie chciałaś powiedzieć, gdzie mieszkasz. Wolałem, żebyś nie prowadziła po pijaku. – Znowu przerwał, tym razem na dłużej. – Szczerze? Jak już mówiłem, to był mój pierwszy dzień po powrocie. Nie mogłem sobie wyobrazić, że będę tu sam po pogrzebie.

– Masz dokąd pójść? Mogę też zostać na noc, jeśli chcesz.

Pokręcił głową.

– Chodziło tylko o wejście do środka ze świadomością, że go tu nie będzie. Nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Już nie. Ale od dawna się przyjaźniliśmy.

Wstał.

– Mogę prowadzić. Zawiozę cię do domu.

Pozwoliłam mu na to, choć nikt inny związany z morderstwem Thomasa, z wyjątkiem Dana, który z jakiegoś powodu się nie liczył, nie wiedział, że mieszkam w Newbiggin. Poprosiłam, żeby zatrzymał się przed kościołem, i powiedziałam, że pójdę stamtąd pieszo. Nie padało, ale nad morzem rozpętała się burza; błyskawica rozświetliła horyzont. Wysiadł z samochodu, żeby się pożegnać, i otworzył przede mną drzwi. Prawdziwy dżentelmen. Miałam wrażenie, że chciał coś jeszcze powiedzieć, ale tylko stał nieporadnie obok otwartych drzwi. Przyciągnęłam jego głowę do siebie i pocałowałam go w czoło, a potem lekko w usta. Pewnie wciąż byłam pijana, ale wydawało mi się, że tak trzeba zrobić.

Rozdział dwudziesty piąty

Marcus zginął tej samej nocy. Podobno w wypadku.

Dowiedziałam się o tym następnego dnia. Pojechałam do Whitley, żeby odebrać samochód sprzed domu Nell. Jadąc autobusem, zauważyłam, że Spine Road jest zamknięta dla ruchu, ale zrzuciłam to na karb remontu mostu. Prace drogowe na tym odcinku trwają, odkąd pamiętam. Kiedy wróciłam do Sea View, Jess robiła chili. Na podwórku czuć było jego zapach. Słysząc jej śpiew dobiegający przez otwarte okno, domyśliłam się, że jest u niej Ray. Chili to jego ulubiona potrawa, a Jess śpiewa tylko wtedy, gdy jest zadowolona. Poprosili mnie, żebym z nimi zjadła, a ja się zgodziłam, bo też lubię chili. Jak już wspominałam, nie mam za grosz godności.

Jess uśmiechnęła się do mnie, zadowolona, że pobawimy się w szczęśliwą rodzinę.

– Będzie za dziesięć minut. Mam już ryż na stole.

Był to brązowy ryż. Ray kupował go w warzywniaku przy High Street w Gosforth, miał bzika na punkcie zdrowego odżywiania.

Przeszłam do salonu i włączyłam lokalne wiadomości w telewizji. Zobaczyłam nową prezenterkę, młodą, ładną blondynkę z krótkimi włosami. Miałam już zapytać Jess, co się stało z dotychczasowym prowadzącym, starym, łysym facetem, kiedy na ekranie pojawiło się zdjęcie Marcusa. Miał na sobie białą koszulkę z dekoltem w kształcie litery V i wyglądał, jakby grał w krykieta lub tenisa. Stałam przed telewizorem, wpatrując się w niego, podczas gdy prezenterka opisywała wypadek. Zjechał samochodem z mostu przy Spine Road. To wysoki most nad rzeką Wansbeck, tuż przed jej ujściem do morza.

Potem zdjęcie Marcusa ustąpiło miejsca ujęciu jego samochodu, ledwo rozpoznawalnego na brzegu rzeki. Według prezenterki do wypadku doszło wczesnym rankiem. Nie było żadnych świadków. Następnie przeszła do wizyty księżniczki Anny w przedszkolu w Alnwick, a Jess zawołała mnie do stołu.

Najpierw poczułam straszny smutek. Uczucie to było całkowicie egoistyczne. Marcus mógł stać się moim przyjacielem, a teraz nie mam już szansy bliżej go poznać. W tamtej chwili nie patrzyłam na jego śmierć obiektywnie. Nie dotarło do mnie, że wypadek, do którego doszło tak szybko po śmierci Thomasa, może być czymś więcej niż tylko straszliwym zbiegiem okoliczności. Nie czułam się zagrożona.

Nie wspomniałam o wypadku Jess i Rayowi. Nie chciałam o tym mówić. Następnego dnia w „Journal" pojawiło się więcej szczegółów. Gazeta odkryła związek między Marcusem a Tomem i pisała o tragedii. Sugerowano jednak, że była to wina Marcusa. Ton artykułu był świętoszkowaty. Badania krwi wykazały wysoki poziom alkoholu. To zrozumiałe, że Marcus pił w nocy po pogrzebie przyjaciela, ale wykazał się lekkomyślnością, siadając za kierownicę. Ktoś jeszcze mógł zginąć.

Nie rozumiałam tego. Nic do siebie nie pasowało. Wyszłam od Marcusa o wpół do dwunastej. Na Spine Road było wtedy jeszcze mnóstwo samochodów. Pił wcześniej w ciągu dnia, ale nie tak dużo jak reszta z nas i przestał jakieś sześć godzin wcześniej. Ze mną w swoim domu w Delaval nie tknął ani kropli. Kiedy mnie odwoził, prowadził rozsądnie. Miał nowy samochód, nie taki jak mój, kolejny prezent od taty, i jechał bardzo ostrożnie. Nigdy nie przekraczał dozwolonej prędkości. Nagle powrócił stary strach. Może nie pamiętałam tego za dobrze. Być może byłam skołowana. Jeszcze większa paranoja.

Kusiło mnie, żeby pojechać do Farriera. Wyjaśniłabym, że Marcusowi nic nie było, kiedy mnie zostawił. Ale to nie tłumaczyłoby poziomu alkoholu w jego krwi. Może w drodze powrotnej zahaczył o jakiś pub? Tylko że było już na to za późno. Poza tym nie chciałam mówić inspektorowi, że spotkałam się z Marcusem tuż przed jego śmiercią. Już sobie wyobrażałam,

jak unosi brwi i obdarza mnie tym swoim uprzejmym ojcowskim spojrzeniem. „Co się dzieje między panią a młodymi chłopakami, Lizzie? Jest pani dla nich niczym pocałunek śmierci". Nie mogłabym go o to winić. Gdybym to ja była detektywem, też nabrałabym podejrzeń. Poza tym instynkt podpowiadał mi, że to szaleństwo zgłaszać się dobrowolnie na policję.

Przez dwa dni tkwiłam w Sea View i rozmyślałam o tym wszystkim. Tak jak przewidywał Marcus, nabawiłam się obsesji. I to pomimo brania leków. Jeśli to nie był wypadek, to samobójstwo lub morderstwo. Czyżby zabił się, bo czuł odpowiedzialność za śmierć Thomasa? A może jednak został zabity, bo wiedział za dużo? Usiadłam przy kuchennym stole i zaczęłam notować drobnymi literkami, zupełnie nie w swoim stylu. Spisałam rozmowę z Marcusem, słowo w słowo, najlepiej, jak zapamiętałam. Wywiązała się kłótnia z Harrym Poolem, Ronnie Laing wiedział, że Thomas zamieszkał z Marcusem, ale nie przekazał tej informacji Kay, Tom postrzegał swoją pracę w Konsorcjum Wiejskim jako krucjatę. Coś jeszcze? Czy coś mi umknęło?

W tym czasie Jess kręciła się wokół mnie, poiła mnie herbatą i karmiła ciastem domowej roboty, coraz bardziej zaniepokojona.

Trzeciego dnia zdobyła się na odwagę, by zabrać głos.

– Powinnaś wyjść, kotku. Nie jestem dla ciebie odpowiednim towarzystwem. Spędź trochę czasu z przyjaciółmi. Na przykład, co z tym miłym chłopcem, który przyniósł ci kwiaty?

Miała na myśli Dana. Podejrzewałam, że wciąż pracuje w Absalom House. Z Ellen. Przypomniałam sobie naszą rozmowę w pubie, która odbyła się po pogrzebie Thomasa. „Martwił się czymś", powiedziała Ellen, chwytając mnie za ramię. Być może rozmawiał z nią, dał jej więcej niż kilka wskazówek, które przekazał Marcusowi Tate'owi.

Zadzwoniłam do schroniska. Odebrała.

– Tu Lizzie Bartholomew – powiedziałam. – Tak się zastanawiam, czy mogłabym z panią porozmawiać. Tak jak się umawiałyśmy.

– Tak, tak – odparła nawykowo, to było niemal jak tik nerwowy. – Tak szybko, jak pani zechce. Kiedy będzie pani mogła.

– Czy mogę zaprosić panią na lunch? Może łatwiej będzie się rozmawiało z dala od Absalom House.

Pomyślałam, że to o wiele bezpieczniejsze. Nikt nie będzie podsłuchiwał. Nie będzie Dana, który mógłby przywołać wspomnienia.

Zaproponowała kawiarnię w Cullercoats, niedaleko brzegu morza. Umówiłyśmy się o dwunastej, po południu miała już jakieś inne spotkanie. Zasugerowałam, żebyśmy zobaczyły się kiedy indziej, ale ona się uparła.

– Dzisiaj – powiedziała. – Chcę się spotkać dzisiaj.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, zrobiło mi się lżej, miałam wrażenie, jakby zaczął ustępować straszny ból głowy. Być może była to ulga, że mogę przerwać pisanie. Jess patrzyła, jak wychodzę z domu, z mieszaniną niepokoju i dumy, niczym matka po raz pierwszy wysyłająca dziecko do szkoły. Cieszyła się, że posłuchałam jej rady, ale nie miała pewności, czy nadaję się do tego, by wypuszczać się sama.

Kiedy przyjechałam, Ellen była już na miejscu. Widziałam jej włosy z ulicy. Siedziała przy stoliku w wykuszu i wydawała się pogrążona w myślach. Nie zauważyła mnie, dopóki do niej nie dołączyłam. Był to jeden z tych lokali, gdzie wszyscy pracownicy i większość klientów ma ponad pięćdziesiątkę. Odprężające, ale irytujące, jeśli się spieszysz. Zamówiłyśmy kawę i kanapki, a potem zostałyśmy same i rozmawiałyśmy przez dwadzieścia minut.

– Powiedziała pani, że Thomas czymś się martwił. Co miała pani na myśli?

Wzięłam ze sobą notes i długopis. Nie chodziło tylko o to, że chciałam wyglądać jak dziennikarka. Nie miałam zaufania do swojej pamięci.

– Nie jestem pewna, czy to powinno znaleźć się w artykule – odparła. – To znaczy, pewne szczegóły. To byłoby nie fair. Wobec niego i jego rodziny.

– Porozmawiajmy więc nieoficjalnie – powiedziałam, zamykając notes.

– Thomas przyszedł do mnie po radę – zaczęła Ellen. – Zależało mu na tym, żeby nasza rozmowa pozostała poufna. Nie byłam na policji. Nie wydaje mi się, żeby to miało związek z jego śmiercią. Ale ma to pewien ogólny

sens, który chciałabym, żeby odzwierciedliła pani w swoim artykule. Pokazuje, jak wielka odpowiedzialność ciąży na rodzicach, nawet gdy dzieci są już starsze. Jak ostrożni musimy być. I troskliwi. I że nie możemy niczego brać za pewnik.

Pomyślałam o jej synu. Co takiego zrobiła, że wylądował na ulicy? Prawdopodobnie nic. Nic strasznego. Ale czuła się winna przez trzydzieści lat.

– Zanim cokolwiek opublikuję, dam pani to do przeczytania – zapewniłam.

– Nie dogadywał się ze swoim ojczymem – oznajmiła.

Przekaż mi coś, czego nie wiem, pomyślałam. Nie powiedziałam jednak tego głośno.

– Domyślałam się tego – stwierdziłam tylko. Praca socjalna nauczyła mnie cierpliwości. Ludzie muszą opowiadać historie na swój własny sposób.

Ellen wyjęła z torby paczkę papierosów. Położyła ją na stole i wpatrzyła się w nią.

– Przez to fantazjował o swoim biologicznym ojcu. O tym, kim może być. Wbił sobie do głowy, że to człowiek o jakiejś pozycji, bogaty. Rozpaczliwie pragnął go odnaleźć.

– Matka nie zdradziła mu, jak nazywa się jego ojciec?

– Nie. Przez całe dzieciństwo wmawiała mu, że był to ktoś, z kim kiedyś pracowała. Dziadkowie usłyszeli tę samą historię. Według Thomasa zakładali, że jego ojciec był studentem, ale matka nawet tego mu nie potwierdziła. Thomas nie odpuszczał. Ciągle naciskał.

– Czy to dlatego wyrzuciła go z domu?

– Uważał, że coś może być na rzeczy.

Ellen przerwała, gdy podeszła do niej kobieta w średnim wieku, ubrana w nylonowy kombinezon podobny do tego, który swego czasu kazałam wyrzucić Jess. Niczym w zwolnionym tempie postawiła na stole dzbanek kawy oraz dwie filiżanki i spodki, po czym odeszła. Ellen odczekała, aż znajdzie się w bezpiecznej odległości.

– Uważał to za straszną niesprawiedliwość – ciągnęła. – Twierdził, że ma prawo wiedzieć i że jego ojciec na pewno chciał się z nim spotykać, ale matka na to nie pozwalała.

– Być może robiła to, żeby chronić Thomasa. Jeśli wiedziała, że jego ojciec nie jest zainteresowany…

– Oczywiście. Wyjaśniłam mu to. Ale on nie chciał tego przyjąć do wiadomości.

Ja też w to nie wierzyłam. Philip myślał o Thomasie przed swoją śmiercią. Był dobrym człowiekiem. Mogło to być trudne dla jego żony i rodziny, ale chciał poznać tego chłopaka.

– Sądzę, że domyślał się, albo tak mu się tylko wydawało, kto jest jego ojcem – stwierdziła Ellen. – Powiedział mi to tuż przed wyprowadzką z Absalom House.

Byłam przekonana, że nawiąże w jakiś sposób do śmierci Marcusa Tate'a, ona jednak nic nie powiedziała. Być może Thomas nie wyjawił jej nazwiska przyjaciela, więc wiadomość o wypadku nic dla niej nie znaczyła. A może o nim nie słyszała?

– Czy zdradził pani nazwisko ojca?

– Nie – odparła. – Najpierw chciał się upewnić. Powiedział, że musi z kimś porozmawiać, żeby to potwierdzić. A ja nie powinnam się w to wtrącać.

Znowu urwała, gdy pojawiła się kelnerka z kanapkami. W mojej głowie kłębiły się myśli. Miałam ochotę je zapisać, ale bałam się, że Ellen nabierze podejrzeń. Może to tłumaczyło nagłe zainteresowanie Thomasa Konsorcjum? Jeśli ktoś mu powiedział, że to Philip jest jego ojcem, mógł uznać, że w ten sposób zbliży się do rodziny Samsonów. Nazwisko Joanny Samson pojawiało się we wszystkich materiałach reklamowych. Byłby to duży krok do poznania człowieka, który mógł być jego ojcem. Może chciał go najpierw zobaczyć.

Ellen odłożyła kanapkę z tuńczykiem.

– Myśli pani, że odnalazł ojca przed śmiercią? – zapytała. – Mam nadzieję, że tak.

– Czy jest jeszcze ktoś, komu mógłby się zwierzyć?

Pokręciła głową. Jej oczy były duże i brązowe. Wodniste. I krowiaste.

– Nie miał wielu znajomych. Ani tym bardziej przyjaciół.

– Była jeszcze Nell.

– Nie jestem pewna, czyby z nią o tym rozmawiał.

– Dlaczego?

Nie dała bezpośredniej odpowiedzi.

– Nigdy jej nie ufałam. Nawet zanim zostawiła Thomasa dla Daniela.

– W czym widziała pani problem?

– Jest zbyt silna. Zbyt impulsywna. I zbyt inteligentna. Thomas nie wierzył, że jest dla niej wystarczająco dobry. Nie mógł z nią konkurować.

– Czy w Absalom House miał jakichś przyjaciół?

Pomyślałam o śniadych dziewczynach, które widziałam w pokoju obok. Siostrach z białymi chustami na głowach. Czy im się zwierzał?

– Nie mieszkał u nas za długo – odparła Ellen. – A poza tym pracował, więc praktycznie cały dzień był poza domem…

– A czy znała pani Marcusa Tate'a, tego chłopaka, do którego się wprowadził?

Pokręciła głową.

– A co z jego pracodawcą? Jak się dogadywali?

Strzelałam trochę na oślep, ale zaczynałam już czuć desperację. Chciałam się dowiedzieć, czy Ellen wiedziała o kłótni między Thomasem a Harrym Poolem. Jeśli Tom zwierzał się jej ze spraw osobistych, mówił o swoim ojcu, to mogła również wiedzieć, o czym napisał w liście do Shony Murray.

– Coś się stało w pracy. – Wypowiedziała te słowa pośpiesznie i wydawało mi się, że niemal natychmiast ich pożałowała.

– Co takiego?

Zamyśliła się i ponownie odniosłam wrażenie, że żałuje podjęcia tego tematu.

– Zastanawiam się, czy nie był tam szykanowany. Mężczyźni, którzy pojawili się na jego pogrzebie, wydawali się dość mili, ale możliwe, że nie wszyscy tacy byli. W niektóre dni wracał z pracy wściekły. Nie chciał o tym mówić, ale wiem, że nie był tam szczęśliwy.

– Niekoniecznie. Może po prostu zaczął się nudzić i frustrować. Ta praca nie była szczytem jego marzeń.

– Nie tylko o to chodziło.

Poprosiłam ją o szczegóły, ale obstawała przy tym, że nie ma nic więcej do opowiedzenia. Na tyle długo pracowała z młodymi ludźmi, że bez trudu wyłapywała takie sygnały. Coś w tej pracy stresowało Thomasa. Skończyła jeść przede mną i wstała w pośpiechu, mamrocząc coś o dorocznym zebraniu zarządu. Wydawało się, że bardzo zależy jej na jak najszybszym wyjściu. W sumie wcale mnie to nie dziwiło. Chyba nie najlepiej to rozegrałam. Wyglądało na to, że mi nie zaufała. Gdy spotkałyśmy się w pubie po pogrzebie, wyraźnie bardzo jej zależało na rozmowie. Dziś nie dała mi nic poza garścią plotek i opinii. Zastanawiałam się, czy powinnam wierzyć w to, co mówi. Może chciała wywołać wrażenie, że Thomas był dla niej ważniejszy niż w rzeczywistości. Może to po prostu samotna starsza kobieta, która chciała podzielić się z nowym słuchaczem swoim poczuciem winy.

Rozdział dwudziesty szósty

Żałowałam, że nie znałam trochę lepiej Marcusa. Zlekceważyłam go w noc po pogrzebie jako zamożnego młodego przystojniaka, który miał ze wszystkim z górki, ale nie dysponował doświadczeniem życiowym, dzięki któremu mógłby wiedzieć, przez co przechodzę. Teraz nie żył, a ja myślałam, że jestem mu winna trochę uwagi. Ellen okazała się bezużyteczna, a nie chciałam zakłócać pytaniami żałoby jego rodziców. Nie wiedziałam też, od czego zacząć swoje śledztwo na uniwersytecie. Wiedziałam, że studiował biznes i zarządzanie, ale wszyscy studenci zdążyli już wyjechać na wakacje. Pomyślałam więc, że wrócę do Konsorcjum Wiejskiego. To był jeden z łączników między Marcusem a Thomasem. Jeśli Ellen miała rację i Thomas rozpracował tożsamość swojego ojca, ktoś stamtąd mógł o tym wiedzieć.

Adres siedziby wydrukowano na dole ulotki, którą Marcus dał mi w Wintrylaw podczas letniego festynu kościelnego. Spodziewałam się, że będzie znajdowała się w Morpeth, gdzie Stuart Howdon miał swoją kancelarię, ale okazało się, że mieści się na skraju wsi leżącej na południowy zachód od niego, wśród niczym niewyróżniających się równin w drodze do lotniska w Newcastle. Znalazłam ją na mapie, obok głównej drogi. Musiałam wielokrotnie ją mijać.

Pojechałam tam nazajutrz po spotkaniu z Ellen, a gdy zbliżałam się do niego prostą drogą, zdałam sobie sprawę, że kiedyś już tam byłam. Nie w samej siedzibie Konsorcjum, ale w kompleksie, w którym się ona mieściła. Duży znak reklamował to miejsce jako Warren Farm. Zespół budynków gospodarczych zaadaptowanych do celów biznesowych wznosił się wokół centralnego dziedzińca, który kiedyś musiał być wiejskim podwórzem. Znajdowały się tam lokale handlowe, warsztaty rzemieślnicze i re-

stauracja. Przyjechałam tam kiedyś z Jess swoim pierwszym samochodem. Zwiedziłyśmy sklepy i zjadłyśmy lunch. W budynku głównym mieściła się kawiarnia – cała w drewnie sosnowym i z odsłoniętymi belkami. Wciąż pamiętałam zjawiskowe ciasto czekoladowe, którym się tam uraczyłyśmy.

Wjechałam na dziedziniec. Chociaż było słonecznie i na drodze panował duży ruch, stało tam tylko kilka samochodów. Może dlatego, że był środek tygodnia i początek sezonu, w kompleksie panowała przygnębiająca atmosfera, której nie zauważyłam podczas mojej poprzedniej wizyty. W jednym ze sklepów odbywała się wyprzedaż. Przyszło mi do głowy, że właściciele byli zwolennikami Konsorcjum. Wycofali się z rolnictwa, ale ich nowe przedsięwzięcie również nie okazało się wielkim sukcesem i teraz będą szukali winnego.

To, że kompleks opanowali zwolennicy Konsorcjum, potwierdziło się, gdy tylko wysiadłam z samochodu. Wśród sklepów znalazłam lokal wypychacza zwierząt. W witrynie ujrzałam wypchanego lisa stojącego wśród sztucznych liści, a obok siedzące na pniu dwa nienaturalnie pulchne wypchane bażanty. To znaczy, tak podejrzewam, że były to bażanty. Wystawa z pewnością przemawiała do myśliwych (podejrzewałam, że Dickon również byłby nią zafascynowany), ale mnie napawała wstrętem. Minęłam ją szybkim krokiem. Następny lokal, w którym sprzedawano woskowane kurtki i gumowce, okazał się zamknięty. A potem ujrzałam przed sobą sklep z jaskrawo kolorowymi swetrami na wystawie. Drzwi były otwarte. W środku siedziała kobieta robiąca na drutach. Odłożyła je na bok, gdy zobaczyła, że się zbliżam, i z wyczekiwaniem uniosła wzrok. Nie wiedziałam, co byłoby dla niej bardziej rozczarowujące – czy gdybym udała zainteresowanie jej towarem, czy gdybym od razu zapytała o drogę. Stanęłam w drzwiach.

– Szukam Konsorcjum Wiejskiego – powiedziałam przepraszającym tonem. Wskazała mi drogę i wróciła do robienia na drutach.

Siedziba Konsorcjum mieściła się na pierwszym piętrze, nad sklepami. Wchodziło się tam po wąskich drewnianych schodach. Przez chwilę stałam

u ich stóp, dopracowując zmyśloną historyjkę, którą zamierzałam zaprezentować (musiała być jak najbliższa prawdy), a potem weszłam na górę.

Drzwi na piętrze były szklane, z napisem „Konsorcjum Wiejskie". Zajrzałam do długiego, wąskiego biura z kilkoma biurkami i komputerami. Jedną ze ścian pokrywały plakaty. Wszystko wydawało się błyszczące i nowe, z pewnością bardziej luksusowe niż reszta centrum. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wyglądało na puste i pomyślałam, że zamknięto je na znak szacunku dla Marcusa. Potem jednak ujrzałam kobietę w średnim wieku. Widząc, że zaglądam przez szklane drzwi, wydawała się równie zaskoczona jak ja. Zlustrowała mnie wzrokiem i najwyraźniej uznała, że nie mam złych zamiarów.

– Proszę wejść! Proszę wejść! – zawołała.

Pchnęłam drzwi, ale okazały się zamknięte od wewnątrz. Podeszła, by je otworzyć. Stałyśmy przez chwilę i patrzyłyśmy po sobie. Kobieta była pulchna i drobna, miała siwiejące włosy i zaniedbane, niemodne ubranie, które sprawiało, że wydawała się starsza niż w rzeczywistości. Była podekscytowana, ale jednocześnie zdenerwowana, że mnie widzi. Spotykałam się z podobną reakcją kobiet w sklepach charytatywnych, do których zaciągała mnie Jess. Dla niektórych to była pierwsza praca w ich życiu.

– Ojej, ojej... – wydukała. Zastanawiałam się, czy wszystkie słowa powtarza. Postanowiłam wykorzystać jej zakłopotanie.

– Zastałam Marcusa? Powiedział mi, żebym się skontaktowała, jeśli zdecyduję się do państwa dołączyć.

Wpatrywała się we mnie z przerażeniem.

– To znaczy, on nie jest moim przyjacielem czy kimś takim – ciągnęłam. – Poznaliśmy się na festynie w Wintrylaw i opowiedział mi o Konsorcjum.

Milczenie.

– Czy dobrze trafiłam? Wspominał, że pracował tu przez rok.

– Tak – przyznała w końcu. – To był wspaniały chłopiec.

Zastygła w bezruchu, a mnie zrobiło się jej żal.

– Mam nadzieję, że nie trafiłam tu w nieodpowiednim momencie.

– Nie, nie, absolutnie nie – odparła z uśmiechem, jednak w jej oczach ujrzałam błysk paniki. Skojarzyła mi się z wypchanym ptakiem, którego widziałam piętro niżej. – Widzi pani, zostawili mnie tu samą, a jestem tylko wolontariuszką… – Zawahała się. – Marcus nie żyje. Dziwne, że nie widziała pani tego w wiadomościach. Zginął w wypadku.

– To straszne! Musiała pani być z nim blisko związana. W końcu pracowaliście w jednej organizacji, mieliście te same ideały…

Oczywiście nie mówiłam poważnie, ale ona sprawiała wrażenie zachwyconej.

– O, tak – odparła. – Wszyscy jesteśmy bardzo oddani sprawie.

Nie chciałam jej pytać o Thomasa ani Ronniego. Nie mogłam udawać, że tak się przypadkowo złożyło, że znam również ich. Spróbowałam dojść do tego niejako pośrednio.

– To musi być wyjątkowe miejsce pracy. Jeśli wierzy się w to, co się robi, podchodzi się do obowiązków zupełnie inaczej, prawda?

– O, tak – powiedziała raz jeszcze. – Jesteśmy tu bardzo szczęśliwi.

– Pewnie nie ma tu miejsca na narzekania i złośliwości, tak jak w większości innych biur?

– A w życiu! – odpowiedziała bez wahania. – Nic z tych rzeczy.

Jeśli Thomas napisał do Shony Murray o wydarzeniach w Konsorcjum, wydawało się mało prawdopodobne, żeby ta pulchna wolontariuszka wiedziała cokolwiek na ten temat.

– Czy Philip Samson nie był jednym z waszych członków? – Z trudem powstrzymywałam mdłości. – Uwielbiałam jego programy telewizyjne. Jaki był w prawdziwym życiu?

Widać, że kusiło ją, by skłamać. W końcu jednak sumienie wzięło górę.

– Nigdy tak naprawdę go nie poznałam. Był naszym zwolennikiem, a jego żona Joanna cały czas nas czynnie wspiera, ale Philip nigdy nie angażował się w codzienną pracę biura.

Wyglądało na to, że jeśli Thomas został wolontariuszem w nadziei, że spotka tutaj swojego ojca, czekało go rozczarowanie.

– Mam nadzieję, że nadal chce pani do nas dołączyć – powiedziała. – Mogę pani w tym pomóc.

– Chyba powinnam.

– My, wolontariusze, staramy się robić wszystko, co w naszej mocy.

Zastanawiałam się, ilu normalnych pracowników tutaj zatrudniają, ale pytanie o to wydawało mi się nietaktowne. Mogłoby sugerować, że moim zdaniem nie nadaje się, by ją zatrudnić odpłatnie.

– Proszę usiąść, a ja znajdę formularz członkowski.

Odwróciła się i wysunęła szufladę jednej z dużych szaf na dokumenty. Brązowa dżersejowa spódnica była rozciągnięta i workowata w okolicach pośladków. Kobieta wyciągnęła z szuflady teczkę i wróciła do biurka.

– Żałuję teraz, że nie dołączyłam do was od razu, już podczas rozmowy z Marcusem – powiedziałam. – Prawie mnie wtedy przekonał, ale wie pani, jak to jest. Człowiek potrzebuje czasu do zastanowienia.

– Oczywiście. – Pochyliła się nad biurkiem, zbliżając się do mnie. Jedna ze ścian składała się prawie w całości z okien i słońce wpadało do środka. Poczułam zapach jej potu. – Nikt z nas nie podchodzi do Konsorcjum lekko. Decyzja o wstąpieniu w nasze szeregi nie należy do łatwych. Ale musimy się zjednoczyć w ważnych sprawach. Uważam to za powinność moralną. Nie sądzę, żeby to było zbyt mocne określenie. Nie możemy pozwolić naszym wrogom na to, co robią. Po prostu nie możemy.

Załamała ręce. Wydawało mi się, że to skrajna reakcja. Ciekawe. Przypomniałam sobie, że Thomas podobno mówił o krucjacie. Co ich do tego skłoniło?

– Naszym wrogom? – powtórzyłam. To nie miała być kpina, raczej niedowierzanie.

– O, tak! W całym kraju są ludzie, którzy mają interes w tym, żeby Konsorcjum upadło. Politycy, konserwatorzy przyrody, liberałowie o niesprecyzowanych poglądach… – Przerwała. Wyraźnie chciała dodać coś jeszcze do tej listy, ale zabrakło jej weny. – Turyści! – zawołała w końcu triumfalnie.

– Rozumiem.

Najwyraźniej nie sprawiałam wrażenia przekonanej, bo dopiero teraz zaczęła się naprawdę rozkręcać.

– Musi pani wiedzieć, że ostatnio zginęło dwóch młodych ludzi zaangażowanych w naszą działalność. Jednym z nich był pani znajomy Marcus. Policja uznała to za zbieg okoliczności, ale ja tak nie uważam.

Jeśli miała nadzieję, że mnie zaszokuje i dzięki temu poważniej podejdę do jej słów, to jej się udało. Chociaż pomysł wendety przeciwko Konsorcjum wydawał się niedorzeczny, to jednak nie brałam go wcześniej pod uwagę, a w jej teorii znalazłam logikę i prostotę, które mnie pociągały.

– Naprawdę pani uważa, że zostali zabici, bo pracowali dla Konsorcjum?

– Tak – odpowiedziała stanowczo. – Tak.

– Przez kogo?

Pewnie przez liberałów i turystów, odpowiedziałam sobie w myślach.

– Już mówiłam. Przez wrogów sprawy.

Miała dziki wzrok. Całkowicie wierzyła w swoje słowa, podobnie jak niektórzy wierzą, że za epidemią pryszczycy stoi Greenpeace, który chciał się odegrać na rolnikach.

– Jeśli ma pani jakieś dowody – powiedziałam ostrożnie – powinna pani zgłosić się na policję.

W rzeczywistości chciałam, by podzieliła się nimi ze mną. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zanim to zrobiła, na schodach rozległy się czyjeś kroki. Odwróciłam się i zobaczyłam Marjorie, żonę Stuarta Howdona. W niebieskiej jedwabnej sukni wyglądała jak członkini Klubu Konserwatywnych Gospodyń Domowych. Przez chwilę wydawało się, że mnie nie rozpoznaje, bo skierowała całą swoją uwagę na kobietę po drugiej stronie biurka.

– Jak sobie radzisz, Doreen? – zapytała pogodnie. – Były już jakieś zapytania z prasy?

– Jeśli dzwonią, mówię, że w tej chwili nie ma nikogo, kto mógłby z nimi porozmawiać.

– Dobra dziewczynka – pochwaliła wolontariuszkę, jakby ta miała sześć lat. A potem przeniosła wzrok na mnie. – Co pani tutaj robi?

– Ta młoda pani chce do nas przystąpić – wyjaśniła rozpromieniona Doreen.

– Nie wydaje mi się. Naprawdę nie sądzę, żeby pani Bartholomew podzielała nasze poglądy.

Odsunęła się, zostawiając mi wolną drogę do drzwi. Wystarczyło skorzystać z tej sugestii i wyjść.

Czekałam w samochodzie ponad godzinę, mając nadzieję, że Marjorie w końcu sobie pójdzie i będę mogła uzyskać więcej informacji od Doreen. Nic z tego. Odjeżdżając, pomyślałam, że pewnie i tak niczego bym się nie dowiedziała, bo Doreen dała już sobie wmówić, że należę do grona wrogów Konsorcjum.

Rozdział dwudziesty siódmy

Po powrocie z Warren Farm skupiłam się na Harrym Poolu. Jeśli udałoby mi się dowiedzieć, gdzie mieszka, mogłabym z nim porozmawiać u niego w domu. Mielibyśmy zapewniony spokój i nikt by nas nie podsłuchał. Ale nie było go w książce telefonicznej. Nikogo już w niej dziś nie ma. Nie wiedziałam dlaczego, ale namierzenie jego adresu wydawało mi się ogromnie ważne. Być może dlatego, że w Warren Farm nie dokonałam żadnych przydatnych odkryć i nie przestawało mnie to dręczyć. Tom nie chciał mówić o tym, co działo się w pracy. Marcus pierwszy o tym wspomniał, a Ellen potwierdziła. Jakiś delikatny głosik w mojej głowie powtarzał: „Powiedz o tym Farrierowi. To jego robota, nie twoja. Odpuść". Ale węszenie w okolicy było lepsze od siedzenia i zamartwiania się w Sea View i przynajmniej miałam Jess z głowy.

O szesnastej zaparkowałam przed siedzibą firmy. Czekałam. W domu parafialnym przy ulicy chyba odbywały się lekcje tańca, bo z zatrzymujących się przed nim samochodów wysypywały się dziewczynki w połyskliwych getrach i z włosami wysoko upiętymi, tak by wyglądały jak najszczuplej. Trafiło się nawet kilku lokalnych chłopców. Rodzice przyglądali się, jak dzieci wchodzą do środka, i opuszczali parking. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Mogłam być kolejną matką, która czeka na swoją pięcioletnią primabalerinę. Być może dziwnie to zabrzmi, ale siedząc tam przez kilka godzin, po raz pierwszy w życiu zaczęłam się zastanawiać, jak to jest mieć dzieci. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej o tym nie rozmyślałam.

Harry pojawił się dopiero o wpół do siódmej. Tancerki zrobiły się starsze – nastolatki w grubych skarpetach, legginsach i powyciąganych swetrach. Część dotarła samodzielnie, w rozchichotanych grupkach, ale pozostałe wciąż dowozili troskliwi rodzice. A mnie rozpaczliwie chciało się sikać.

Uznałam, że w domu parafialnym musi być jakaś toaleta, a Harry najpewniej wziął sobie wolne, by namawiać ludzi do ubicia interesu. Nagle przez bramę przecisnął się wąski przód jego jaguara i samochód zaparkował tuż obok mnie. Pool wysiadł z auta, zatrzasnął za sobą podwójne metalowe wrota, wsiadł z powrotem, po czym ruszył dalej.

Najpierw pojechał w stronę wybrzeża, po czym zatrzymał się na światłach i zasygnalizował, że skręca na południe. Trzymałam się dwa auta za nim. Mijaliśmy knajpy i bary, które za parę lat zapełnią się nastoletnimi tancerkami, choć pewnie kręcą się już tam teraz, wypindrzone jak trzeba, czekając, aż jakiś starszy chłopak postawi im coś do picia. Jak na letni wieczór wydawało się dość ciemno, zupełnie jakby nadchodziło zaćmienie słońca albo coś podobnego. Część neonów już migotała, niektóre auta miały włączone reflektory.

Niedaleko Cullercoats trwały roboty drogowe i zrobił się korek. Nietrudno było wypatrzeć Harry'ego w tym śliwkowym jaguarze. Przy wielkim kościele, tym samym, w którym wciąż wierząc, że mogę być dobra, śpiewałam w dzieciństwie kolędy, jego wóz skręcił w stronę lądu. Była to ślepa uliczka, nie mogłam go więc zgubić, ale nie chciałam, żeby mnie zauważył, więc zaparkowałam obok zamkniętej budki z hot dogami i poszłam dalej pieszo.

Jaguar zdążył już zaparkować na podjeździe wolnostojącego, rozległego, dwupiętrowego domu. Był zdecydowanie bardziej elegancki, niż sobie wyobrażałam, wszędzie strzeliste dachy i werandy, a ja miałam w głowie raczej jakieś ceglane paskudztwo w amerykańskim stylu, postawione na świeżo zakupionej działce. Okazuje się, że pani Martiner nie przesadzała, mówiąc, że Harry zarabia krocie. Daleko temu było do skromnej uliczki w North Shields. Pool wysiadł z samochodu i kliknął pilotem, żeby go zamknąć. Nie zwracał żadnej uwagi na to, co dzieje się na ulicy. Na podjeździe stał drugi samochód, niewielki volkswagen z fotelikami dla dzieci na tylnym siedzeniu. Harry wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Przeszłam obok budynku, ale nie zobaczyłam niczego ciekawego. Z ulicy widać było jedynie okazały salon z fortepianem pod ścianą i wielkim wazonem

z kwiatami na kominku, ale nikt w nim nie siedział. Stchórzyłam i nie nacisnęłam dzwonka. Jeszcze nie wymyśliłam, o czym chcę rozmawiać. Nieopodal pobrzękiwały wagoniki metra. Tory musiały biec tuż za domem.

Zawróciłam do samochodu, ale przy głównej drodze skręciłam na łączkę, którą miejscowi zwali Links. Pomyślałam, że mogę tam znaleźć jakąś ścieżkę prowadzącą na tyły domu Poola. Para dzieciaków grała w piłkę, jakaś kobieta ciągnęła psa na smyczy. Ruszyłam przed siebie z rękami w kieszeniach, jakbym pogrążyła się w myślach po kłótni z chłopakiem i potrzebowała samotności. Dzieci zabrały piłkę i gdzieś pobiegły, a kobieta zniknęła w okolicach Akwarium Morskiego. Rzuciłam okiem przez ramię, a potem wdrapałam się na ogrodzenie, za którym biegły tory. Było z siatki drucianej, wysokie, ale powyginane. Widać często się na nie wspinano. Po drugiej stronie rozciągała się dzicz, rozrośnięte chaszcze i drzewa miały zniechęcić wandali i grafficiarzy. Pomyślałam, że nikt mnie tu nie zobaczy, nawet z pociągu. Rozpięłam spodnie i kucnęłam, żeby się wysikać, uważając przy tym, by nie usiąść w ostach, ale byłam już tak zdesperowana, że nie miało to większego znaczenia.

Domy przy kościele oddzielał od torów solidny mur, naszpikowany u góry kawałkami szkła. Domyślałam się, że mają też alarmy i fotokomórki. Przystanęłam przy murze, wiedząc, że po drugiej stronie rozciąga się ogród należący do Poola, ale widziałam tylko okna na piętrze. Wydawało mi się, że słyszę jakieś dziecięce głosy, mogły jednak dochodzić z sąsiedniej nieruchomości. Zdenerwowałam się, że niczego nie widzę, i szybko skapitulowałam. Rzuciłam bluzę na szczyt muru i rozejrzałam się wśród krzaków, szukając jakiejś podpórki. Walały się tam najróżniejsze śmieci. Ostatecznie wzięłam plastikowe wiaderko. Miało pęknięte dno, ale pozostawało na tyle solidne, by mnie utrzymać, gdy postawiłam je do góry nogami. Podciągnęłam się i spojrzałam na drugą stronę.

W tej części ogrodu stał inspekt i rosło kilka jabłonek, które zapewniały mi osłonę. Dalej dostrzegłam rabatkę z warzywami i kilka schodków prowadzących na trawnik z klombami kwiatów. Sięgał aż do werandy. Wszędzie panował porządek. Starannie zagrabiony trawnik. Niczego w stylu

Philipa Samsona. Przeglądałam różne książki i czasopisma, od kiedy tylko się dowiedziałam, czym się zawodowo zajmował, i wiem, że lubił dzicz, zacieranie granic, przesyt. Bardziej w jego stylu wydawało się to, co było po mojej stronie ogrodzenia.

Harry Pool siedział na werandzie, patrząc na dzieci, które słyszałam wcześniej. Pewnie jego wnuki, ale zachowywały się tak, jakby były u siebie. Przypomniałam sobie o fotelikach w volkswagenie i doszłam do wniosku, że pewnie żona Poola pilnowała dzieci, gdy ich rodzice pracowali. Harry wspominał chyba nawet o tym na pogrzebie Toma. Dziewczynka mogła mieć jakieś cztery, pięć lat, a chłopiec był młodszy i wciąż jeszcze nie trzymał się zbyt pewnie na nogach. Bawiły się na plastikowej, żółtej ślizgawce, a Harry podnosił się czasem, żeby im pomóc. Drzwi balkonowe prowadzące do środka domu pozostawały otwarte. Jakaś kobieta nakrywała do stołu. Dzięki zapalonemu światłu mogłam jej się dokładnie przyjrzeć. Była w średnim wieku, ale wciąż bardzo atrakcyjna, młodsza od Harry'ego o jakieś dziesięć lat. Coś musiało jej się przypomnieć, bo porzuciła swoje zajęcie i zniknęła za niewidocznymi dla mnie drzwiami. Chwilę później wróciła i stanęła w wejściu na werandę.

– Chodźcie już. Mamusia przyjechała.

Harry pogonił dzieciaki do środka, ale nie poszedł za nimi. Ponownie usiadł na werandzie i zapalił cygaro. Czułam jego woń wymieszaną z zapachem ściętej trawy i bzu. Kobieta dołączyła do niego chwilę później i usiadła na białej ławeczce z kutej stali. Okolica była bardzo cicha, więc słyszałam ich rozmowę.

– Możemy zjeść, gdy tylko będziesz miał ochotę.

Harry wydawał się pogrążony w myślach i nie odpowiedział ani słowem.

– Jesteś dziś jakiś smutny. – Zobaczyłam, jak kobieta łapie go za rękę. Miała na sobie białe lniane spodnie. Jej dłoń spoczęła na jego kolanie. – Co się dzieje?

– Nic. Zupełnie nic.

Podniósł się i weszli do środka, trzymając się za ręce. Ześlizgnęłam się po murze, rozdzierając bluzę. Szkło przecięło rękaw. To tylko matalan, ale

była to moja ulubiona bluza i wkurzałam się, że niepotrzebnie ją zniszczyłam.

Dzień później zadzwoniłam do niego do pracy. Nadal nie miałam żadnego konkretnego planu, jedynie mglisty zarys scenariusza rozmowy. Odebrał Kenny, który nie poznał mnie po głosie.

– Z panem Poolem proszę. W sprawie osobistej.

Wyczuwałam jego ciekawość, ale o nic nie zapytał.

– Harry Pool – zadudniło po chwili w słuchawce tak głośno, że musiałam ją odsunąć.

– Z tej strony Lizzie Batholomew. Spotkaliśmy się na pogrzebie Thomasa Marinera.

– Tak – potwierdził. – Tak było.

– Ale poznaliśmy się już wcześniej. Byłam na tej konferencji prasowej, którą poświęcił pan Mike'owi Spicerowi.

– Naprawdę? – Pytanie było niezobowiązujące, a nie podejrzliwe.

– Tak się zastanawiam, czy nie napisać o tym większego tekstu.

– Jesteś trochę za młoda na reporterkę – zauważył. – Kim jesteś? Jakąś stażystką?

Momentalnie dostosowałam scenariusz do sytuacji.

– Tak. Mam napisać tekst na zaliczenie. Chociaż liczę też, że go komuś sprzedam. Świetnie by było, gdyby znalazł pan trochę czasu na rozmowę.

Czułam, że wypadam nadgorliwie, ale się tym nie przejmowałam. Taka właśnie powinna być studentka, która liczy na wywiad. Ile jego zdaniem miałam lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście?

– Czemu nie – odpowiedział. – I tak nie namieszasz bardziej niż zawodowi dziennikarze.

– Kiedy moglibyśmy się spotkać?

– Miejmy to jak najszybciej z głowy. Dasz radę dzisiaj? Ale nie w pracy. Muszę za chwilę wrócić do domu. Zaraz podam ci adres.

O mało nie odpowiedziałam, że nie trzeba, wiem, gdzie mieszka, ale ugryzłam się w język.

I tak oto o drugiej znów wróciłam do Cullercoats nadmorską drogę wiodącą do posiadłości przy kościele. Tym razem zaparkowałam przed domem, przeszłam po żwirowym podjeździe i nacisnęłam dzwonek. Nie zauważyłam volkswagena, co wskazywało na to, że jego żony nie było, ale Harry nie skomentował tego ani słowem. Otworzył mi w koszuli z długimi rękawami, trzymając w ręku kubek herbaty. Nie okazałam się na tyle ważna, by podejmować mnie w salonie z fortepianem i kwiatami albo przynajmniej w jadalni wychodzącej na werandę. Zamiast tego zaprowadził mnie do wielkiej kuchni, która wyglądała tak, jak się spodziewałam – płytki, wszystko dopasowane, długi sosnowy stół. Wskazał na czajnik z herbatą, a kiedy skinęłam głową, nalał mi pełny kubek i podsunął puszkę z herbatnikami.

– Częstuj się – poprosił. – Z tego, co wiem, studenci są zawsze głodni.

Skrupulatnie dobrałam strój na to spotkanie. Stażystka, która próbuje zrobić dobre wrażenie. Spódniczka do kolan, tania biała bluzka, spięte włosy.

– Wspominałaś, że przyjaźnisz się z rodziną Thomasa – przypomniał mimochodem, siadając naprzeciwko mnie. – Jak poznałaś Kay?

Panika. Nie mogłam jej poznać w pracy. Była nauczycielką, a ja studiowałam dziennikarstwo.

– Kościół – odpowiedziałam w końcu. – Poznałyśmy się w kościele.

– Ech… – westchnął. – A ja myślałem, że metodyści nie piją. W dzień pogrzebu Thomasa zalałaś się w trupa.

– Chodziłam do kościoła tylko ze względu na rodziców – wyjaśniłam. – Teraz rzadko tam zaglądam.

– Kay od zawsze była trochę sztywna, nawet w twoim wieku – zauważył. – Kiedy reszta dziewczyn się bawiła, ona uczyła w szkółce niedzielnej. Kiedyś dobrze ją znaliśmy, ja i Bridget. Opiekowała się naszymi dziećmi, gdy

były małe. – Spojrzał na mnie z uśmiechem. – A teraz one mają już swoje dzieci.

Wyczułam kolejną okazję.

– Pewnie była zaskoczona, gdy się dowiedziała, że jest w ciąży?

– Tak, tak musiało być, ale nie będziemy o tym rozmawiać. Dość było już wtedy plotek. – Złagodził odmowę kolejnym uśmiechem. – Mieliśmy gadać o tym biedaku, Mike'u Spicerze. Więc pytaj. Co chcesz wiedzieć?

– Zanim przejdziemy do szczegółów w sprawie Spicera, zechciałby mi pan może trochę przybliżyć swoją firmę? W jaki sposób udało się panu coś takiego stworzyć? Jest pan przedstawicielem Zrzeszenia Przewoźników Drogowych. Takie tło pozwoli nakreślić czytelnikom specyfikę tego biznesu.

Większość ludzi lubi mówić o sobie. Harry na pewno nie był tu wyjątkiem.

– Wziąłem odprawę ze stoczni – wyjaśnił – i zrozumiałem, że nie ma już szans na pracę w tej branży. Uznałem, że to dobry moment, by zacząć coś nowego. Zawsze podobał mi się ten pomysł. Zacząłem od jednego wozu, jeżdżąc lokalnie od Teeside do Borders. Potem go sprzedałem, żeby kupić większy, z kurtynową naczepą. A teraz mam flotę dwudziestu pięciu pojazdów i pozwolenie na transport międzynarodowy.

– Nie boi się pan sprowadzania nielegalnych emigrantów do kraju jak miało to miejsce w przypadku Spicera?

Dość przypadkowe pytanie, które miało tylko wesprzeć złudzenie, że piszę tekst, który stanowi kontynuację informacji ujawnionych na konferencji prasowej, ale zachowanie Poola natychmiast się zmieniło. Nie wybuchł ani nic w tym rodzaju, ale nagle stał się czujny. Wcześniej wydawał się wyluzowany, bawiła go rozmowa ze studentką, a teraz uważał na każde słowo.

– Co właściwie sugerujesz?

– Nic. Po prostu praca za granicą wiąże się ze zwiększonym ryzykiem i z różnymi komplikacjami. I nie chodzi tylko o zagrożenia związane z nie-

planowanym transportem osób szukających azylu.

Uznał, że mówię prawdę. W tych sprawach zawsze było wiele niedomówień.

– Musieliśmy się głęboko zastanowić przed ekspansją na Europę kontynentalną. Wcześniej zajmowaliśmy niewielką rynkową niszę. Wielkie firmy nie chciały nic dostarczać do Borders. Nie ma tu autostrady, transport zajmuje sporo czasu. Teraz mamy już oczywiście konkurencję, i to nie tylko brytyjską.

– Oszczędzają na kosztach paliwa?

– I to znacznie. – Przytoczył mi dane, które słyszałam już wcześniej od Kenny'ego. – Ceny paliwa to prawdziwy ciężar dla takich średnich firm jak moja. Jak mam konkurować z lokalnymi firmami w Niemczech i Francji?

– A czy francuscy kierowcy nie mają dodatkowych składek, ubezpieczeń i podatków? – Przygotowałam się trochę do tematu, by nie wypaść na kompletnego głąba.

– Może i mają. – Odniosłam wrażenie, że wolałby, bym mu nie przerywała. – O ile w ogóle je płacą. Wystarczy dobry księgowy, żeby to ominąć. A akcyzy na paliwo ominąć się nie da.

– Naprawdę? Słyszałam, że istnieje czarny rynek handlu dieslem używanym przez rolników.

– To tylko plotki. – Po raz pierwszy stracił dobry nastrój. Nie wspomniałam, że te plotki znałam od Kenny'ego. – Szanujący się kierowca nie pakowałby się w coś takiego.

– Ktoś to jednak musi kupować. Słyszałam, że je szmuglują, podobno przez Irlandię.

– Podejrzane interesy prowadzone przez straceńców. To nie ja. Ja gram czysto. I dlatego nie chcę mieć nic wspólnego z tymi blokadami. – Spojrzał znacząco na zegarek. – Coś jeszcze? Czekam na ważny telefon.

Zamknęłam notes.

– A co Thomas myślał o tym wszystkim?

– To znaczy?

– O blokadach i protestach. W końcu należał do Konsorcjum Wiejskiego, a ono wspiera protestujących, prawda? Zdaniem członków Konsorcjum tanie paliwo stwarza problemy w okolicy.

Tak przynajmniej napisano w ulotkach wręczonych mi przez Marcusa w Wintrylaw. Harry nie miał jednak ochoty wdawać się w szczegółową dyskusję.

– Nie obchodzi mnie, co robił w swoim wolnym czasie. Do mnie przychodził pracować.

– Lubił to?

– A jaki człowiek w tym wieku lubi pracować? – Zaśmiał się sztucznie. – Ja na pewno tego nie lubiłem.

– Ale nic mu nie przeszkadzało? Dobrze się z wszystkimi dogadywał?

– Oczywiście. Wszyscy się dogadują. Moje chłopaki są jak rodzina.

Podniósł się z krzesła. Poczułam, że wygania mnie, tak jak poprzedniego dnia wygonił swoje wnuczęta. Kiedy zamykał za mną drzwi, usłyszałam dźwięk telefonu.

Dopiero w drodze do samochodu uświadomiłam sobie, jak bardzo mu zależało na pozbyciu się mnie. Nawet nie zauważył, że nie powiedział mi niczego nowego o sprawie Spicera.

Rozdział dwudziesty ósmy

Po powrocie do Sea View czekał mnie szok – w kuchni siedział inspektor Farrier. Pił herbatę i rozmawiał z Jess, jakby należał do paczki z Newbiggin i od zawsze byli przyjaciółmi. Zdążyłam wejść, zanim mnie zobaczyli. Farrier spojrzał w górę. Jego twarz wykrzywiło coś pomiędzy uśmiechem a mrugnięciem. Jess była tak pochłonięta rozmową, że mnie nie zauważyła.

– Nasza Lizzie to mądra dziewczyna, panie inspektorze. Czasami trochę uparta, ale trudno się temu dziwić po tym wszystkim, przez co przeszła, prawda? Naprawdę, od przyjazdu nie sprawia żadnych kłopotów.

Poczułam, że się rumienię, a przynajmniej moja skóra robi się gorąca. Farrier cieszył się każdą chwilą. Uśmiechnął się i w tym momencie Jessie zorientowała się, że tam jestem. Była zaskoczona.

– Hej, Lizzie, co się tak skradasz?

Nie sprawiała jednak wrażenia zawstydzonej. Chciała nas zostawić samych pod pretekstem pójścia do sklepu po mleko, ale Farrier powiedział, że chętnie się przejdzie, bo siedział cały dzień, i może ja też nie miałabym nic przeciwko spacerowi. Moglibyśmy kupić mleko w drodze powrotnej.

Wyszliśmy. Podziwiał ogródek i widoki, ale ja nie słuchałam. Zastanawiałam się, co go do nas sprowadziło. Pewnie dowiedział się, że w dniu śmierci Marcusa Tate'a wyszłam z nim z pubu.

Na plaży spotkaliśmy kilku chłopaków w woderach, łowiących ryby, a także ojca i córkę puszczających latawca, ale nikt nas nie podsłuchiwał. Od morza wiał porywisty wiatr, który sprawiał, że latawiec co chwila spadał na piasek. Zaczęliśmy iść wzdłuż muru. Nie była to pogoda do opalania.

– Powinienem był przyjść wcześniej – powiedział Farrier – żeby przeprosić osobiście. Uwierzyłem Howdonowi. Nie wiedziałem, co miałby zyskać,

kłamiąc.

– To prawnik. Mógł się pan domyślić. W końcu tak zarabiają na życie.

Nie chodziło o to, że nie doceniałam tego gestu, ale czułam się niezręcznie. Przeprosiny nie przychodzą policjantom naturalnie, a mimo miłej powierzchowności Farrier był jednym z nich. Nagle zrozumiałam.

– Nie przyjechał pan aż tutaj tylko po to.

– Zadzwoniła do mnie Shona Murray – odparł. – Była pani u niej.

– Musiałam coś zrobić – odparłam zaczepnie. Miałam pewność, że chce mnie ostrzec przed wtrącaniem się w nie swoje sprawy. – Miał mnie pan za morderczynię.

– Nie – powiedział tak cicho, że w szumie wiatru i huku fal rozbijających się o skały ledwo słyszałam jego słowa. – Nigdy tak nie myślałem.

Chciałam mu wierzyć.

– Czy pokazała panu list, który napisał do niej Thomas?

– Tak. Głupie babsko... Zajęło jej trochę czasu, żeby się do tego zabrać, ale w końcu się odezwała.

– Powiedziałam jej, żeby to zrobiła, i podałam pana nazwisko.

Podlizywanie się nie jest w moim stylu, ale chciałam, żeby mi zaufał i powiedział, co było w liście. Zatrzymał się i oparł plecami o pomalowaną barierkę.

– Mogłaś przyjść z tym do mnie, Lizzie. Zająłbym się tym dla ciebie.

Spojrzałam na niego. Nic nie mogłam poradzić na to, że mi się podobał. Był ubrany jak student, który zaczyna studia późno, w średnim wieku. Znałam kilku takich. Nerdowskie dżinsy, zbyt workowate w nogawkach, ręcznie robiony sweter w prążki, beżowy z małymi brązowymi plamkami. W zimie prawdopodobnie nosił płaszcz. Zawsze, gdy go widziałam wcześniej, był w garniturze i pod krawatem. Zastanawiałam się, o co chodzi z tym niezobowiązującym strojem. Miał dzień wolny czy też celowo tak się ubrał, bym się odsłoniła?

– Czego ode mnie chcesz?

Wiedziałam, że ta uwaga nie była zbyt grzeczna, ale jego sztuczki zaczynały działać. Czułam, że uwodzi mnie jego ojcowski głos, cierpliwość i życzliwość. Mam słabość do starszych facetów. Wystarczy spojrzeć na Ronniego Lainga. Osoby z depresją maniakalną zawsze wybierają nieodpowiednich ludzi.

Wiatr sprawiał, że łzawiły mu oczy. Wyjął z kieszeni dżinsów białą chusteczkę i je wytarł.

– Chcę wiedzieć, z kim jeszcze rozmawiałaś i czego się dowiedziałaś.

– Chcesz zasięgnąć języka?

– Tak, tylko to.

– To dlaczego przyszedłeś tu nieoficjalnie? Dlaczego nie zabrałeś ze sobą tego chudego krówska z notesem? Dlaczego nie zawiozłeś mnie na posterunek i nie spisałeś zeznania?

– Właśnie tego byś chciała?

– Chcę tylko wiedzieć, na czym stoję.

Nie odpowiedział.

– Twoi koledzy dalej sądzą, że ja to zrobiłam, prawda? Uważają, że Thomasa zabił jakiś szaleniec, więc to muszę być ja.

– Niektórzy z nich faktycznie tak myślą – przyznał. – Ale nie ja. – Spojrzał na morze. – Znałaś Marcusa Tate'a?

– Poznaliśmy się na pogrzebie Thomasa.

Poczułam ulgę. Pomyślałam, że będę miała okazję podzielić się swoimi obawami. Nagle nie wydawałam się sobie już taka samotna. Ale on nie kontynuował wątku. Ruszył dalej. Stałam w miejscu i krzyczałam za nim, nie dbając o to, że ktoś może usłyszeć.

– Marcus Tate... Naprawdę wierzysz, że to był wypadek?

Zatrzymał się i odwrócił.

– Nie ma powodu, żeby uważać inaczej.

– Ale czy ty w to wierzysz?! – Krzyknęłam nie tylko po to, by mnie usłyszał mimo huku fal. – Co według ciebie się stało?

– A może ty powiesz mi, co myślisz?

Jego głos był spokojny, ale nie dałam się nabrać. Nadstawiał karku, żeby się ze mną spotkać. Miał taką samą obsesję na punkcie tej sprawy jak ja. Miał ku temu własne powody – coś do udowodnienia w pracy, stare rachunki do wyrównania – ale oprócz tego po prostu musiał znaleźć przekonujące rozwiązanie tej zagadki. Nie mógł przez nią spać po nocach.

Ostry podmuch wiatru przyniósł deszcz. Poczułam smak soli na języku.

– Masz ochotę na kawę? – zapytałam. – Przy promenadzie jest nowa kawiarnia, w której robią przyzwoite cappuccino.

Był spięty, stał nieruchomo i czekał, aż mu się zwierzę. Kiwnął niezdecydowanie głową, niepewny, czy uzyska odpowiedź, czy nie. Niech jeszcze trochę poczeka.

Kawiarnia znajdowała się na placu, w tej samej części osiedla co nowa promenada. Cegła, kostka brukowa i meble uliczne w stylu wiktoriańskim. Nijako i bez wyobraźni, nie miało to nic wspólnego z oryginalną wioską rybacką na wschodnim wybrzeżu. Zastanawiałam się, czy architekt bywał tam od czasu jej wybudowania, czy budził się z koszmarami. Znałam Steve'a, chłopaka, który prowadził kawiarnię. Pieniądze z odprawy po zwolnieniu z kopalni w Ellington przeznaczył na dzierżawę budynku i zakup imponującego włoskiego ekspresu do kawy. Prawdopodobnie uwierzył w bajania radnych, że kilka lamp z kutego żelaza przyciągnie turystów. Poszłam tam w noc otwarcia. Mówił o przekształceniu kawiarni w eleganckie, kosmopolityczne miejsce dzięki zatrudnieniu szefa kuchni, który wieczorami serwowałby śródziemnomorskie specjały. Ale ten pomysł nie mógł sprawić, że stanie się drugim Harrym Poolem. Nie było szans, żeby przyjezdni wieczorami zostawiali w Newbiggin samochody bez opieki.

O dziwo jednak miejscowi uwielbiali to miejsce. Stało się ich ulubionym punktem spotkań. Zbierały się tam młode mamy po odwiezieniu dzieci do przedszkola, a nastolatki wpadały tam w drodze powrotnej ze szkoły i wyobrażały sobie, że świadczy to o ich wyrafinowaniu. Tego popołudnia lokal wyglądał jak scena z niezależnego europejskiego filmu. Bezrobotni koledzy

Steve'a wyglądali mrocznie i ponuro, palili papierosa za papierosem i czekali, aż dziewczyny wrócą autobusem z Ashington College.

Farrier i ja wyszliśmy na zewnątrz. W kawiarnianym ogródku stało kilka rozklekotanych stołów i krzeseł ogrodowych. Gdy nie wiało zbyt mocno, dołączały do nich parasole. Wyszło słońce. Farrier zapłacił za kawę i poprosił o rachunek. Podejrzewałam, że ujmie to w wydatkach poniesionych na informatora. Nie podobał mi się ten pomysł. Nienawidziłam myśli o donoszeniu.

– Rozumiem, że to spotkanie jest nieoficjalne?

– Poufne. Informacje, których udzielisz, nigdy nie będą powiązane z tobą.

– Co Thomas napisał w swoim liście do Shony Murray?

– Nie licz na to, że ci powiem. To również poufne.

– W takim razie nie ma mowy, żebym się zgodziła.

Wpatrzyliśmy się w siebie ponad stołem. W rogu kilka mew walczyło o rozrzucone na ziemi frytki.

– Potrzebuję jakiegoś gestu dobrej woli – powiedziałam. – Musisz to zrozumieć. Trochę wiem. Na przykład, że chciał poinformować o jakichś nadużyciach.

– W takim razie wiesz już prawie wszystko.

– Kogo chciał wydać?

Farrier wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że wygrałam.

– Nie podał jej żadnych szczegółów. W każdym razie niczego przydatnego. Powiedział, że podejrzewa „prominentnego członka społeczności lokalnej" o łamanie prawa. Przed podaniem szczegółów chciał mieć pewność, że nic nie straci.

– Czego nie straci? Pracy?

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem, Lizzie. Czy gdybym wiedział coś więcej, płaszczyłbym się tu teraz przed tobą?

Wydawał się naprawdę sfrustrowany brakiem informacji. Nie byłam pewna, czy mówi prawdę o liście Thomasa do Shony, ale prawdopodobnie dostałam już wszystko, co był gotów mi dać.

– Masz coś na temat Harry'ego Poola?

– Nie był notowany.

– Nie o to pytałam. Na pewno go sprawdziłeś. W końcu reagowanie na informacje o nieprawidłowościach to twoja praca, prawda?

Wytarł strużkę spienionego mleka z górnej wargi, po czym odparł:

– Nie znaleźliśmy nic ważnego.

– Mieszka w cholernie dużym domu – zauważyłam. – Nawet jak na właściciela firmy. Zwłaszcza że przewoźnicy podobno plajtują z powodu wysokich opłat za paliwo.

– Jego też odwiedziłaś?

Kiwnęłam głową.

– No i?

– Nie przyznał się do zabicia Thomasa, jeśli o to pytasz. Bardzo się stara uchodzić za osobę przestrzegającą prawa i godną szacunku. Potępia protestujących. Staje w obronie kolegów z branży.

– Ale?

– Nie wiem, czy są jakieś „ale". Może naprawdę jest miłym gościem. – Przerwałam na chwilę. – Wiedziałeś, że pokłócił się o coś z Thomasem mniej więcej miesiąc przed morderstwem?

– Nie. Kto ci o tym powiedział?

Znów zamilkłam na chwilę.

– Marcus Tate.

– Rozmawiałaś z nim na pogrzebie?

– Wszyscy poszliśmy potem do pubu. – To akurat była prawda. W dalszym ciągu nie chciałam zdradzać zbyt wiele. – Szkoda, że cię nie było.

– Nikt mnie nie zaprosił. Co jeszcze powiedział ci Marcus?

– Niewiele.

Przypomniałam sobie notatki, które zrobiłam w Sea View przy kuchennym stole. Miałam przed oczami te malutkie literki.

– Na przykład to, że Thomas postrzegał swoją działalność w Konsorcjum Wiejskim jako coś w rodzaju krucjaty.

– Młody był – stwierdził Farrier. – W tym wieku wszystko jest czarno-białe.

Miałam ochotę dowiedzieć się, czym on się pasjonował w młodości. Zamiast tego zapytałam:

– Co wiesz o Konsorcjum?

– Niewiele. To grupa wiejskich lobbystów, prawda? Powstała po wybuchu epidemii pryszczycy. Zrzesza właścicieli ziemskich, którzy starają się ograniczyć prawo do korzystania z ich terenów, drobnych biznesmenów, ludzi zainteresowanych sportami terenowymi. Zaczęli na północy, ale w tej chwili działają już w całym kraju. Niedawno w Westminsterze mieli swój zlot. Zjawiło się mnóstwo osób. Chodzą słuchy, że wystawią kandydatów w wyborach uzupełniających do parlamentu.

– Ich zwolennikiem jest Ronnie Laing.

– W takim razie podejrzewam, że to on wciągnął w to Thomasa.

– Nie. To właśnie jest w tym najdziwniejsze. Tom nienawidził swojego ojczyma.

– Czas już na mnie – powiedział nagle Farrier. Może żona czekała na niego z obiadem. Albo umówił się z sierżant Miles o wąskich wargach. Nie obchodziło mnie to.

– Byłeś w Wintrylaw i rozmawiałeś z Joanną?

– Tak.

– Nie rozumiem, dlaczego Philip poprosił mnie o odnalezienie Thomasa. Przecież przyjaźnił się z Ronniem Laingiem. Musiał wiedzieć o jego pasierbie.

– Niekoniecznie. Może łączyły ich tylko zainteresowania. My nie jesteśmy jak kobiety. Nie dzielimy się historią swojego życia przy pierwszym piwie.

Spojrzał na zegarek. Nie chciałam, żeby odchodził.

– Nie interesuje cię, co jeszcze powiedział mi Marcus?

– Oczywiście, że tak.

Odniosłam wrażenie, że powiedział to z czystej uprzejmości.

– Thomas był zdruzgotany, gdy rzuciła go dziewczyna, ale miał pewność, że ją odzyska.

– Serio? – W jego oczach pojawiła się iskierka zaskoczenia. – Przesłuchiwałem ją. Twarda młoda kobieta. Nie wyglądała mi na kogoś, kto łatwo zmienia zdanie. Chyba ma nowego chłopaka, prawda? Siedziałaś obok nich na pogrzebie.

– To Dan Meech. Studiowałam z nim.

– A jakie masz z nim układy teraz? W czasie rozmowy ze mną żadne z nich nie było otwarte. Nie lubią policji. Uważają nas za faszystowskie świnie. Nie powiedzieli tego wprost, są zbyt dobrze wychowani, ale dali to do zrozumienia. – Zawahał się. – Zamierzasz się z nimi jeszcze spotkać?

– Raczej nie.

– Pytam, bo dobrze byłoby się dowiedzieć, dlaczego Thomas był tak pewien, że do siebie wrócą. Jak myślisz, czy ona mogła się z nim spotykać za plecami Dana?

– Nie sądzę, żeby to było w jej stylu.

– Jeśli coś z niej wyciągniesz, dasz mi znać?

Wstał, nie czekając na odpowiedź.

Wracaliśmy nabrzeżem. Wędkarze wciąż łowili, ale dziewczynka i jej ojciec poszli już do domu.

– Byłam z Marcusem Tate'em w wieczór przed jego śmiercią – powiedziałam tuż przed dotarciem do Sea View. Wiem, że to głupie. Chyba chciałam, żeby Farrier zwrócił na mnie większą uwagę. Początkowo nic nie wskazywało na to, że mi się udało. Szedł dalej, jak gdyby nigdy nic.

– Mówiłaś już. Poszliście wszyscy do pubu.

– Potem.

Dopiero wtedy się zatrzymał.

– Jak to?

– Upiłam się i zabrał mnie do siebie. A później odwiózł mnie do domu. O jakiejś jedenastej, może o wpół do dwunastej. Nie był pijany. Nie ma mowy, żeby stracił panowanie nad kierownicą i wypadł z mostu.

Nic nie powiedział. Po prostu patrzył pustym wzrokiem przed siebie, jakby starał się zrozumieć fakty, nadać temu wszystkiemu sens.

– Pewnie będziesz chciał, żebym złożyła zeznanie.

– Nie. Na razie nie ma o tym mowy. Czy ktoś jeszcze wie, że tam byłaś?

Pokręciłam głową.

– Nikomu o tym nie mów, Lizzy. Obiecaj. I zapomnij o tym, co powiedziałem o Nell Ravendale. Lepiej się nie wychylaj. Wyjedź na jakiś czas. Nie chcę, żeby przytrafiło ci się coś złego.

Dotknął lekko mojego ramienia i odszedł.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Farrier uprzejmie zasugerował, żebym opuściła Newbiggin na kilka dni. Powinnam była posłuchać jego rady. Ale czyż uprzejmość nie jest najbardziej podniecającą rzeczą na tym świecie? Jego troska tak mnie zaskoczyła i wzruszyła, że ani myślałam uciekać. Zamiast tego zaczęłam poważnie rozważać jego sugestię, że mogłabym porozmawiać z Nell, mimo że sam się z tego pomysłu wycofał. Poczułam, że wyświadczyłabym mu ogromną przysługę. Ucieszyłby się. Wyobraziłam sobie, jak obejmuje mnie w spontanicznym ojcowskim uścisku. Bez przerwy miałam ten obraz w głowie. Żałosne, co?

Wciąż brałam tabletki. Nie chcę, żebyście pomyśleli, że miałam urojenia. Nie na tym etapie. Ale stres odgrywa ważną rolę w naszym życiu, a mnie prześladowała śmierć Marcusa Tate'a. Wyobrażałam sobie jego twarz przyciśniętą do przedniej szyby, gdy lśniący, nowy samochód spadał do rzeki Wansbeck. Wmawiałam sobie, że na pewno był już wtedy nieprzytomny, ale i tak widziałam, jak szamocze się, chcąc się uwolnić. W tym czasie w moim umyśle czaił się również Nicky. Retrospekcje pojawiały się coraz częściej, pochłaniając mnie zarówno w dzień, jak i w nocy. Zdecydowanie bardziej wolałam wyobrażać sobie Farriera w tych jego niedopasowanych dżinsach, zapewniającego mnie, jaka to jestem dzielna i mądra. Myśli o nim trzymały koszmary z daleka.

Cóż było robić, zadzwoniłam do Dana. Złapałam go w Absalom House już za pierwszym razem.

– Cześć – powiedziałam. – Jak tam sprawy?

– Do dupy – odparł. – Ellen wariuje bardziej niż zwykle, a Nell wciąż ma poczucie winy z powodu Thomasa. Wydaje mi się, że o czymś mi nie mówi.

– To musi być dla niej trudne.

– Tak.

Spodziewałam się, że doda zaraz, że jemu również nie jest łatwo, ale wykazał się nietypową dla siebie powściągliwością.

– Myślisz, że pomogłaby jej rozmowa ze mną? – zapytałam.

Studia na kierunku praca socjalna są genialne. Zapewniają człowiekowi zestaw komunałów na każdą okazję i odwagę, by je wygłaszać. Potraktował to pytanie całkowicie poważnie. Być może pomyślał, że jeśli uda mu się przekonać Nell, żeby ze mną porozmawiała, to przestanie na niego narzekać. Niewykluczone jednak, że byłam dla niego zbyt surowa.

– Może – powiedział w końcu.

– W takim razie spotkajmy się kiedyś na drinka. – Uważałam, żeby nie wydać się zbyt natarczywa. Lepiej, żeby pomyślał, że ta propozycja wyszła od niego.

– Co robisz dziś wieczorem? – zapytał.

– Nic ważnego.

– W ramach Acting Out prowadzę kółko dramatyczne dla dzieciaków. Nell będzie pomagać. Moglibyśmy spotkać się w naszej siedzibie. Może być siódma?

Odparłam, że siódma mi jak najbardziej odpowiada.

Siedziba Acting Out mieściła się w niewielkim ośrodku sztuki w North Shields. Kiedyś był tam kościół i pamiętałam, że wciąż unosił się tam zapach wilgotnych modlitewników i ubrań starych kobiet. Byłam w tym miejscu kilka razy wcześniej. Dan zaczął tam działać jeszcze na studiach i zabierał mnie ze sobą, żebym oglądała jego występy albo wygłupy z dzieciakami. To tam po raz pierwszy uprawialiśmy seks. Zastanawiałam się, czy to pamięta, czy też byłam tylko jednym z niezliczonych podbojów, które już dawno zatarły mu się w pamięci. Podejrzewałam, że taką Nell na pewno zapamięta.

Ja w każdym razie wciąż pamiętałam to ze szczegółami. Pomagał w przygotowywaniu grupki starszych dzieci do jakiegoś musicalu. Zanim

próba się skończyła, zrobiło się już późno. Byłam znudzona i zastanawiałam się, w jaki sposób wrócę do Newbiggin. Członkowie trupy poszli do pubu, żeby omówić ostatnie szczegóły. Oczekiwali, że pójdziemy z nimi, ale zostaliśmy. Ktoś zgromadził w siedzibie grupy teatralnej stertę starych ubrań, mieliśmy wybrać spośród nich kostiumy. To tam wylądowaliśmy. Być może stąd wziął się zapach stęchlizny w mojej pamięci. Plątanina aksamitnych spódnic i wytartych swetrów chroniła nasze kolana i łokcie przed drewnianą podłogą.

Wewnątrz budynek niewiele się zmienił. Kiedy dotarłam na miejsce, dzieci właśnie wychodziły. Krzycząc i przeklinając, wybiegały przez podwójne, łukowate drzwi. Żadne nie zatrzymało się, żeby mnie wpuścić. Chciałam zrobić im wykład o manierach, ale w ich wieku byłam taka sama. Plakaty w holu reklamowały nadchodzące wydarzenia: koncert miejscowego zespołu bluesowego, festiwal folkowy, letni spektakl dla dzieci w wykonaniu artystów z Acting Out. Ostatniemu ogłoszeniu towarzyszyły zdjęcia. Na jednym z nich zobaczyłam Dana. Wyglądał złowrogo w kapeluszu, sztucznym wąsach i długiej, czarnej pelerynie. Przypominał staromodnego grabarza, choć jestem pewna, że nie było to zamierzone. Sztuka poruszała tematykę ekologiczną, a jego postać nazywała się Profesor Smog.

Wzięłam ulotkę dotyczącą festiwalu folkowego, żeby dać ją Rayowi i zapunktować u Jess. Wtem mój wzrok przyciągnął kolejny plakat. W tle znajdowało się zdjęcie Wintrylaw, wyblakłe i nieco nieostre, jakby we mgle. Na pierwszym planie widać było wyraźny napis: „Wiejskie przyjemności. Wieczór muzyki i poezji. Gospodarz: Konsorcjum Wiejskie w Wintrylaw House". Zanotowałam datę.

Dan i Nell siedzieli na scenie w głównej sali. Górne światła wyłączono, a oni skąpani byli w zielonej poświacie, która sprawiała, że wyglądali jak kosmici. Najwyraźniej oświetleniowiec przeprowadzał test techniczny, ale Dan nic sobie z tego nie robił i jak gdyby nigdy nic rozmawiał z Nell. Nie słyszałam, o czym mówią. Stali nieruchomo w zielonym świetle, skierowani twarzami do siebie. Ten kolor sprawił, że rozmowa wydawała się ożywiona i dramatyczna, lecz w rzeczywistości mogła być bezcelowa i ba-

nalna. Wszystko, co mogłam powiedzieć, to to, że nie było w niej nic zabawnego. Żadne z nich się nie śmiało.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za mną z hukiem, przerwali. Na widowni było ciemno i nie widzieli, kto wszedł.

– Cześć, Lizzie! – zawołał Dan. – To ty?

Podeszłam do nich.

– Co ty tu robisz? – zapytała Nell. Bezpośrednio, ale nie nieprzyjaźnie.

– Dan zaproponował, żebyśmy się spotkali na drinka.

Byłam zaskoczona. Myślałam, że ją uprzedził. Spojrzała na niego i odgadła, o czym myślę, a potem się uśmiechnęła. Zupełnie jakby mu darowała. Nie miał odwagi jej powiedzieć, że umówił się na spotkanie, ale ona to rozumiała.

– Muszę wszystko pozamykać – powiedział szybko. – Idźcie same, dogonię was.

– Dan jest wkurzony, bo nie mogę przestać mówić o Thomasie – wyjaśniła Nell.

– Nic mnie to nie obchodzi – odparłam. – Ja też będę o nim mówić.

Zeskoczyła ze sceny.

– Będziemy u Connie.

Skinął głową, jakby właśnie tego oczekiwał.

Dan zwykle gustował w pubach. Lubił lokale na rogach ulic, gdzie ciągle ci sami starsi mężczyźni siedzieli nad kuflami piwa, a na zagrychę mieli wieprzowe skwarki w torebce albo słoik małży. U Connie wyglądało to inaczej. Była to kawiarnia-bar na nabrzeżu rybnym, mieszcząca się w dużym budynku, w którym kiedyś funkcjonował sklep żeglarski. Wewnątrz zauważyłam wolno obracające się wentylatory sufitowe i dżunglę roślin w doniczkach, a także dużo bambusa i jasnego drewna. Były też stoliki na zewnątrz, ale Nell zaprowadziła mnie do środka. Lokal skojarzył mi się z tym miejscem w Morpeth, gdzie Joanna zorganizowała swoją wystawę, nie ze względu na wystrój, ale klientelę. W takich przybytkach czułam się onieśmielona gośćmi w eleganckich strojach i o przemądrzałych głosach.

Jednak Nell zachowywała się tak, jakby była właścicielką tego miejsca. Siedemnaście lat i taka wyluzowana.

– Byłaś tu wcześniej? – zapytała.

Pokręciłam głową. Było to swego rodzaju przyznanie się, że nie obracam się we właściwych kręgach i nie znam właściwych ludzi.

– Connie jest Tajką. Wcześniej to miejsce prowadził Gruby Sammy. W porządku, ale nic specjalnego. Aż któregoś roku pojechał na wakacje do Tajlandii i przywiózł stamtąd Connie. Plotka głosi, że ją kupił. Myślał, że będzie miłą, uległą orientalną żonką, która pozostanie w cieniu, będzie zmywać i sprzątać, i pozwoli mu zaoszczędzić na personelu. Ale tak się nie stało. Przejęła stery i wprowadziła własne menu. Wyżywa się na nim. – Oparła się o bar. – Butelkowe, prawda?

– Prowadzę. Napiję się czegoś z beczki.

Zmarszczyła nos.

– Mniejszy wybór.

– Byle było zimne.

Usiadłyśmy przy oknie. To Nell wybrała stolik. Być może chciała zawczasu widzieć idącego do nas Dana. A może po prostu zamierzała cieszyć się widokiem.

– Nie mogę przestać myśleć o Thomasie – powiedziała. – Moi rodzice chcą mnie wysłać do psychologa.

– To może pomóc.

– Wydaje mi się, że to normalne, że o nim myślę – odparła. – Ktoś, na kim ci zależało, ginie w tak gwałtowny sposób… Dziwniejsze by było, gdybym o nim zapomniała.

– Dalej ci na nim zależało po rozstaniu?

– Oczywiście.

– Ale czy na tyle, żeby zacząć się z nim znowu spotykać?

Spojrzała na mnie. Tuż nad brwią miała zaschniętą plamę zielonej farby, przypominającą brodawkę ropuchy.

– Co masz na myśli?

– Dalej się z nim spotykałaś? Sypialiście ze sobą, gdy chodziłaś już z Danem?

Wpatrywała się we mnie, jakbym była jakimś potworem. Niektóre dzieciaki są strasznie pruderyjne. Zauważyłam to już wcześniej. To ludzie w średnim wieku mają romanse i ciągle się pieprzą. Nastolatki poważnie podchodzą do wierności. Mówią o miłości, jakby to coś znaczyło.

– Oczywiście, że nie. Za kogo ty mnie masz?

Zza baru dobiegały pokrzykiwania łamaną angielszczyzną i brzęk naczyń.

– Dlaczego go rzuciłaś? Przez Dana?

– Nie. – Zamilkła na chwilę, zbierając myśli. – Strasznie dramatyzował i miał mnóstwo tajemnic. Trudno było się połapać, co jest prawdą.

– Czyli nigdy nie dałaś mu nadziei, że jeszcze będziecie razem?

– O co ci chodzi? – zapytała stanowczym głosem. Po raz kolejny zdziwiła mnie jej pewność siebie. Być może wynikała ona z tego, że rodzice zawsze wierzyli w jej talent, a chłopak ją uwielbiał. Mnie jednak wydawało się, że nawet gdybym dysponowała tym wszystkim, i tak nigdy nie uwierzyłabym w siebie. Nie tak bardzo jak ona.

– Chciałaś pogadać o Thomasie. Więc mówię. Czy kiedykolwiek żałowałaś, że go rzuciłaś?

– Nie do końca.

– To znaczy?

– To znaczy, że nie zostawiłabym go, gdybym wiedziała, że zginie w tak straszny sposób. Wytrzymałabym jeszcze kilka miesięcy. Moje życie stałoby się o wiele łatwiejsze. Zyskałabym trochę więcej współczucia. Zamiast tego ludzie myślą, że nic mnie to nie obeszło. Uważają mnie za okrutną i bez serca.

Wyglądała na zmartwioną.

– Tymczasem naprawdę mnie to obeszło. Ale ten związek i tak nie miał przyszłości.

– Kiedy widziałaś go po raz ostatni?

– Kilka tygodni przed jego śmiercią.

– Co się stało?

– Czekał na mnie pod szkołą. Spóźniłam się. Miałam egzamin z angielskiego. Szekspir. Po wszystkim rozmawialiśmy z nauczycielami. Tak jak zwykle po egzaminach. Ale on tam cały czas czekał. Miałam wrażenie, że gdybym w końcu nie wyszła, czekałby na mnie do rana. Wiedziałam, że to dla mnie tam przylazł. Widać to było po jego minie, gdy mnie zobaczył. Mimo to zapytałam: „Hej, co ty tu robisz?". Przyjaźnie, ale zarazem niezobowiązująco. Nie chciałam go zachęcać. „Dlaczego nie jesteś w pracy?"

Zamknęła oczy. Być może widziała ten obraz w swojej głowie. A może chciała go z niej wyrzucić.

– Był podekscytowany. Podskakiwał jak jakiś szczeniaczek czy coś. Jakby chciał, żebym go poklepała i zapewniła, że jest dobrym psem. „Nie uwierzysz, co się stało, Nell", powiedział. – „Nie uwierzysz, czego się dowiedziałem". Za dużo tego było. Jak zawsze. To właśnie mnie w nim pociągało na samym początku i z tym w końcu nie mogłam sobie poradzić.

Spojrzała na mnie.

– Pewnie masz mnie za bezduszną sukę.

Pokręciłam głową.

– Skąd miałaś wiedzieć, co się stanie?

– Wiedziałam, że bardzo chciał ze mną pogadać, ale nie bardzo mogłam. Dopiero co wyszłam z tego jebanego egzaminu. Następnego dnia czekał mnie jeszcze jeden, musiałam się do niego przygotować, a ten tutaj jak zwykle gadał jak potłuczony. Znowu będzie powtarzał, że nienawidzi Ronniego i że wszystko byłoby inaczej, gdyby miał prawdziwego ojca. Znów wyssałby ze mnie całą energię. Na początku pochlebiało mi, że tak bardzo mnie potrzebował. Ale nie mogłam tego dłużej znieść... – Wzięła się w garść, by dokończyć swoją opowieść. – Spod szkoły wyjechała koleżanka. Zatrzymała się i zaproponowała mi podwózkę. Krzyknęłam do niego: „Sorki, Tom, nie mogę zostać i pogadać". I odjechałyśmy. To wtedy widzia-

łam go po raz ostatni. W pamięci utrwalił mi się taki obraz, że gapił się na mnie, jakbym właśnie napluła mu w twarz.

– Próbował się potem skontaktować?

– Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce w domu. Tym razem bardziej się kontrolował, ale i tak była dość dziwna. „Przykro mi, że nie pogadaliśmy dłużej przed szkołą, ale w sumie dobrze się stało. Zaczekajmy, aż będę miał do przekazania coś bardziej konkretnego. Niedługo się odezwę". I tyle. Jak już mówiłam, dziwna wiadomość. Jednym z powodów, dla których do niego napisałam, było to, że chciałam wyraźnie zaznaczyć, że nie będę się z nim więcej spotykać. Że nie chcę go zranić, ale nie zamierzam zmienić zdania.

– Czy powiedziałaś inspektorowi Farrierowi o tym spotkaniu i wiadomości?

– Nie pytał o to. Chciał tylko wiedzieć, gdzie byłam w czasie, gdy zginął Thomas. Poza tym to nie była jedna z tych rzeczy, o których rozmawia się z nieznajomymi.

Nie zapytałam, co powiedziała Farrierowi, choć mnie to ciekawiło. Wiedziałam, że na pewno sprawdził jej alibi, poza tym nie sądziłam, że mogłaby dźgnąć Thomasa nożem. Jej wina była bardziej subtelna.

– O co, twoim zdaniem, chodziło Thomasowi? Czego się dowiedział?

Zawahała się, a ja przez chwilę myślałam, że może mieć coś pożytecznego i ważnego do powiedzenia. Potem pokręciła głową.

– Chyba czegoś o ojcu. Miał na jego punkcie obsesję.

To by pasowało do tego, co powiedziała mi Ellen. Ale dlaczego odkrycie przez Thomasa, że jego ojcem był Philip Samson, doprowadziło do jego śmierci?

Nell wpatrzyła się w witrynę kawiarni. Nagle jej twarz złagodniała i dziewczyna przestała być zła. W naszym kierunku szedł Dan. Mijał spacerowiczów korzystających z ostatnich chwil wieczornego słońca. Kiedy spostrzegł, że Nell na niego patrzy, zatrzymał się niepewnie. Zastanawiał się, czy dał nam wystarczająco dużo czasu na rozmowę. Uśmiechnęła się i po-

machała do niego. Wszedł do środka, zbliżył się do naszego stolika i wysunął krzesło, by do nas dołączyć, ja jednak wstałam i powiedziałam, że czas na mnie. Doszłam do wniosku, że tylko bym im przeszkadzała.

Byłam już prawie przy drzwiach, gdy przypomniałam sobie o pytaniu, które nurtowało mnie od czasu, gdy trafiłam na konferencję prasową w firmie Harry'ego Poola. Nagle nabrało zaskakującego znaczenia.

– Te dziewczyny z Europy Wschodniej w schronisku… Skąd one dokładnie pochodzą?

W pierwszej chwili myślałam, że Dan nie usłyszał. Patrzył na Nell zaszklonymi oczami i wydawało mi się, że myśli o seksie.

– Z Rumunii – powiedział w końcu. – Chyba stamtąd. Albo z Czech. Nie wiem, ledwo dukają po angielsku.

– To opieka społeczna je u was umieściła?

Nadal trudno mu było się skoncentrować.

– Wiesz, jaka jest Ellen. Przyjmuje każdego. I o nic nie pyta.

Rozdział trzydziesty

Wszystko, co wiedziałam o osobach poszukujących azylu, wyczytałam z gazet i zobaczyłam w telewizji, ale niewiele w tym było z prawdziwego dziennikarstwa. Nie przeszkadzał mi jednak niedostatek faktów – przynajmniej nie miałam powodu, żeby się nad tym dogłębnie zastanawiać. Moje sympatie zawsze były po stronie imigrantów, oczywiście. Nie spodziewaliście się chyba niczego innego? Pracuję w opiece społecznej, mam liberalne sumienie i skłonność do ckliwych sentymentów. Doreen z Konsorcjum nie znosiła takich osób jak ja. Ale chodziło o coś więcej. Sporą część imigrantów z Europy Wschodniej stanowili Romowie, z którymi odczuwałam pewne pokrewieństwo. Jeśli wierzyć mitowi rozpowszechnionemu w Newbiggin, mogliśmy być jakoś spokrewnieni. I każdy atak na Romów traktuję jak osobistą zniewagę.

Zadzwoniłam do kumpeli z opieki społecznej. No, może „kumpeli" to za dużo powiedziane. Studiowałyśmy razem, ale ona wiedziała, jak się urządzić, i została kierowniczką zespołu. To oznaczało, że nie musiała łazić po zapluskwionych mieszkaniach, wymigiwać się od picia herbaty ani bawić się z zasmarkanymi dziećmi podopiecznych. Musiałam trochę przycisnąć, by mnie z nią w końcu połączono, a kiedy wreszcie odebrała, w jej głosie dało się słyszeć pewną ostrożność. Dopiero później przyszło mi do głowy, że być może obawiała się, że będę żebrać o pracę.

– Cześć, Lizzie. Kopę lat. Co tam u ciebie?

– Świetnie – odparłam z obłąkańczym entuzjazmem nauczycielki ze żłobka, choć miało to zabrzmieć całkiem naturalnie.

– Musimy się w końcu spotkać.

Żadna z nas tego nie chciała. Ona czuła się zażenowana moim towarzystwem, a ja zdychałam przy niej z nudów.

– Tak poważnie, to dzwonię po prośbie.

– Tak? – Momentalnie przybrała lodowaty ton.

– Potrzebuję informacji. Pracuję nad takim jednym projektem związanym z azylantami.

– Ach, jasne. – Nawet nie zapytała, co to za projekt, tak bardzo ucieszyła się, że nie chodziło o pracę.

– Czy North Tyneside to oficjalna strefa dla azylantów? I kto zarządza przesiedleniami, jeśli tak właśnie jest?

Postawiłam przed nią wyzwanie, test kompetencji.

– Nie słyszałam, żeby gmina się w to angażowała. To oczywiście sprawa hrabstwa Durham. Coś czytałam o tamtejszych problemach. Popytam po ludziach i do ciebie oddzwonię, dobra?

I tak zrobiła. Niemal natychmiast. Zawsze taka była – sumienna. Jedna z tych studentek, które zawsze oddawały prace na czas. Ale to ja zwykle dostawałam lepsze oceny i dlatego mnie nie lubiła. W jej głosie usłyszałam lekką dumę, bo wszystko było tak, jak myślała. W naszej okolicy nie ma żadnych oficjalnych programów przesiedleńczych i nikt nie został oddelegowany do zajmowania się imigrantami.

– Przykro mi, że nie dowiedziałam się niczego więcej – powiedziała na koniec rozmowy, ale słychać było, że wcale nie jest jej przykro.

To wcale nie musiało oczywiście oznaczać, że te dziewczyny o smutnych oczach mieszkały w Absalom House nielegalnie. Mogły być przecież studentkami. Albo urodzić się gdzieś tutaj. Ale ja obsadziłam je już w głównych rolach mojej fantazji i wierzyłam w to tak mocno, że odpowiedź uzyskana od pracownicy socjalnej bardzo mnie ucieszyła.

Poukładałam sobie to wszystko w głowie, kiedy leżałam w Sea View, wpatrując się w sufit, na którym migotały promienie światła rzucane przez boje. Szło to jakoś tak: Harry Pool przemycał ludzi do kraju. Dlatego tak zareagował, gdy zapytałam go o azylantów, i dlatego nie przykładał się moc-

niej, by wybronić Michaela Spicera. Chciał, żeby wszyscy zapomnieli o problemie. Jego flota jeździła przecież do Europy Wschodniej, prawda? Nielegalny przewóz imigrantów doskonale wyjaśniał, skąd się wzięła jego zamożność, rozległa rezydencja w Cullercoats i szpanerski samochód. Przemytnicy zarabiali mnóstwo forsy. Tak wynikało z każdego artykułu na ten temat, który czytałam. A kiedy ludzie docierali już na miejsce, opiekowała się nimi Ellen. A przynajmniej tymi najmłodszymi. Dan wspominał, że niezbyt dokładnie przyglądała się dokumentom i nie zadawała krępujących pytań. Nie chciała, by te dzieciaki zginęły na ulicy, jak jej syn. I być może tak bardzo jej zależało na rozmowie ze mną wcale nie dlatego, że chciała się podzielić informacjami – zależało jej bardziej na tym, by wybadać, co już wiem.

Istniała możliwość, że Thomas dowiedział się o tym wszystkim. Nikt inny nie miał lepszego dostępu do informacji. Pracował przecież w biurze Harry'ego. Nawet jeśli Pool próbował to przed nim ukryć, zawsze mógł podsłuchać jakąś rozmowę albo znaleźć tajemnicze nagrania na sekretarce. Nikt nie twierdził, że Thomas był głupi. Więc najpewniej to rozgryzł. A może nawet widział rozładunek powracających ciężarówek. Wyświetlałam sobie to w głowie jak jeden z tych kiepskich policyjnych seriali, które lecą w niedzielę wieczorem: przyćmione światła, złowieszcza muzyka i tak dalej. Wyobraziłam sobie, jak Thomas czai się za kontenerami, obserwując mroczne sylwetki wymykające się z otwartej paki. Na dodatek mieszkał w Absalom House, więc jeśli trafił tam na imigrantów, to ani Ellen, ani Harry nie przekonaliby go żadną wyssaną z palca historyjką.

Nie możecie mnie winić, że tak bardzo się napaliłam na tę teorię. Była piękna – wszystko idealnie do siebie pasowało, nawet ta uwaga Marcusa, że Thomas chciał założyć własny biznes. Być może Harry zaoferował, że odpali mu jakąś działkę. A może Thomas zaczął go szantażować? No dobrze, to wszystko nadal nie tłumaczyło nagłej śmierci Marcusa, ale to mógł być po prostu wypadek.

Główny problem miałam z tym, że nie potrafiłam sobie wyobrazić Ellen ani Harry'ego z nożem. To przecież Ellen! Być może z tymi farbowanymi

włosami i szkarłatną szminką zdarzało jej się straszyć wyglądem, ale była przekochana. Naprawdę troszczyła się o dzieciaki, które miała pod opieką. Nie zadźgałaby nikogo nawet w obronie własnej, a co dopiero chłopaka, który tak mocno przypominał jej syna. I być może jestem sentymentalną idiotką, ale widziałam, jak Harry bawił się z wnuczętami, i nie mogłam sobie wyobrazić, że jest skłonny do przemocy. To spotkanie w pubie po pogrzebie też dawało mi do myślenia. Czy chciałoby mu się urządzać tę całą szaradę, gdyby to on był sprawcą? Jakoś w to wątpiłam.

Instynkt podpowiadał mi, że powinnam się podzielić tą teorią z Farrierem. Poczułam się mniej więcej tak jak wtedy, gdy oddawałam prace zaliczeniowe na studiach. „Proszę. Doceńcie mnie. Doceńcie moje pomysły". Ostatecznie uznałam jednak, że to żałosne i potrzeba mi czegoś solidniejszego. Wciąż też pamiętałam, jak ostrzegał mnie przed wplątywaniem się w tę sprawę, i bałam się, że się wkurzy. Potrzebowałam dla niego konkretnych informacji, a nie szalonych oskarżeń wobec pary szanowanych mieszkańców. W przeciwnym wypadku uzna mnie za wariatkę, jak wszyscy inni policjanci.

Zdecydowałam się odwiedzić Absalom House. Może uda mi się jakoś ominąć Ellen i Dana i pogadać z jedną z tych zagranicznych lokatorek. Nie mogłam już wysiedzieć w Sea View. Nic mi nie pasowało. A moje snucie się po domu niepokoiło Jess, która zaczęła mamrotać, że może powinnam zaprosić Lisę, bo coś dawno jej tu nie było.

Zatrzymała mnie w drodze do wyjścia. Myślałam, że zacznie pytać bez ogródek, kiedy zamierzam znów zobaczyć się z psychiatrą, ale ona chciała tylko wiedzieć, czy robię coś w piątek wieczorem. Było to całkiem zwyczajne pytanie, a ja miałam sporo na głowie, więc odpowiedziałam bez większego namysłu, że raczej nie, szukając jednocześnie kluczyków w torebce.

– To super – ucieszyła się. – Idziemy na *ceilidh*. Znajomi Raya się zaręczają i ty też jesteś zaproszona. Będziesz miała okazję wszystkich poznać.

Jak miałam jej odmówić, skoro była taka rozpromieniona?

Kiedy późnym rankiem zatrzymałam się przed Absalom House, panował tam taki spokój, na jaki miałam nadzieję. Dan wyjaśnił mi, że większość lokatorów powinna być w pracy lub na szkoleniach.

– Nie jesteśmy noclegownią – powiedział, jakby to był ich slogan. Ale siostry na pewno jeszcze nie znalazły żadnej pracy ani uczelni. Ukrywały się przecież przed władzami. Nacisnęłam na klamkę, ale drzwi frontowe były zamknięte. Okna od ulicy zasłonięto firankami i niczego nie dało się dojrzeć bez przyklejania nosa do szyby. Dzień był słoneczny, więc na ulicy panował dość spory ruch, a ja nie chciałam zwracać na siebie uwagi.

Od tyłu nie dało się zauważyć żadnego przejścia, bo budynek zajmował cały kwartał. Musiałam go obejść, aż do wąskiego zaułka, w który mógł się wcisnąć pojedynczy samochód. Stamtąd można się było dostać do ogrodów i rozklekotanych garaży. Weszłam głębiej, starając się udawać tutejszą. Minęłam gołębnik i rozjazgotanego psa na długim łańcuchu. Rozpoznałam Absalom House po przeszklonej przybudówce przy kuchni. Furtka z kutego żelaza prowadziła na parking. Zero samochodów. Za parkingiem rozciągał się zarośnięty ogród. Weszłam przez furtkę i nasłuchiwałam. Żadnych odgłosów poza poszczekiwaniem psa, wciąż wściekłego, że naruszyłam jego teren.

Drzwi do przybudówki były otwarte. Wypełniało ją słoneczne światło i dusząca woń warzyw i kompostu. Na parapetach stały doniczki z pomidorami, z innych donic wystrzeliwały egzotyczne rośliny, które widuje się raczej w ogrodach botanicznych, stały tam też biały wiklinowy stolik i dwa białe krzesła. Zimą na pewno było tu przyjemnie, ale o tej porze roku duchota stała się wręcz nieznośna. Widziałam stąd jeden koniec kuchni. Było tam znacznie czyściej niż wtedy, gdy piłam z Danem herbatę. Nagle pojawiła się jakaś kobieta w długim białym fartuchu, która energicznie przetarła wszystkie blaty ścierką. Poczułam nagły przypływ adrenaliny, jakbym strzeliła pięć filiżanek espresso duszkiem, i musiałam zaczerpnąć głęboki oddech, żeby się uspokoić. A jeśli mnie przyłapią? Miałam przecież wyobraźnię, prawda? Na pewno znajdę jakąś wymówkę dla Dana i Ellen. Nic

co prawda nie przychodziło mi teraz do głowy, ale na pewno się znajdzie, gdy będzie trzeba.

Kobieta wyżęła ścierkę i przewiesiła ją przez kran, potem rozwiązała fartuch, zwinęła go w kłębek i wepchnęła do torby. Wciąż się trzęsłam, bojąc się, że będzie chciała skorzystać z tylnego wyjścia, choć już zniknęła mi z oczu. Dałam jej jeszcze pięć minut i zajrzałam do kuchni. Po sprzątaczce nie było już śladu.

Podłoga wciąż nie wyschła, a w powietrzu unosił się zapach środka dezynfekującego. W kącie warczała pralka. Wszędzie indziej panowała cisza. Zajrzałam na korytarz. Z jednej strony kończył się drzwiami, po drugiej miał salon, w którym dzieciaki oglądały telewizję i grały w bilard. Dźwięk pralki wydawał się przytłumiony, a panująca tu cisza dziwnie niepokoiła. Było w niej coś nienaturalnego, przypominającego ciszę w szkole zamkniętej na weekend albo w pubie jeszcze przed otwarciem.

Jeśli dziewczyny wciąż tu przebywały, gdzie powinnam ich szukać? Opuściłam bezpieczną przystań w kuchni i przekradłam się w stronę salonu. Przykładałam ucho do mijanych po drodze drzwi, ale niczego nie słyszałam – żadnego szelestu papierów czy stukania klawiatury. Salon też był opustoszały. Wypełniała go woń zatęchłego dymu i panował w nim półmrok, ale kobieta, którą widziałam w kuchni, musiała posprzątać też tutaj. Wszędzie panował porządek. Odkurzony dywan, kije bilardowe odłożone na stół, czasopisma leżące równiutko na blacie.

Przypomniałam sobie zaskoczenie na twarzach dziewczyn, gdy Dan oprowadzał mnie po domu. Nie siedziały z resztą. Wyglądały przez drzwi swojego pokoju na pierwszym piętrze. Uznałam, że teraz pewnie też je tam znajdę. Wyobrażałam sobie, jak się tam chowają, znudzone i wystraszone, nasłuchujące dźwięków niezrozumiałego, obcego świata.

Wbiegłam po schodach, nie wiedząc za bardzo, co zmusiło mnie do takiego pośpiechu, skąd ta nagła potrzeba działania. Czyżbym bała się, że znów znajdę ciała i zobaczę krew? Wciąż nękała mnie myśl, że gdybym nie odkładała wizyty u Thomasa, gdybym darowała sobie picie kawy tamtego ranka, mogłabym go spotkać, kiedy wciąż jeszcze żył. I nadal próbowałam

sobie przypomnieć, jak wyglądały te dziewczyny, które widziałam tylko przez szparę w drzwiach i wydały mi się podobne jak bliźniaczki. Drzwi rozpoznałam natychmiast – pomalowano je na żółto, a obok nich wisiała gaśnica i strzałka wskazująca wyjście ewakuacyjne.

Zapukałam. Odpowiedziała mi cisza. Nasłuchiwałam chwilę i zapukałam mocniej.

– Nie bójcie się – szepnęłam, ale w tej ciszy i tak odbiło się to echem od ścian. – Jestem przyjaciółką. Chcę tylko pogadać.

Nacisnęłam klamkę. Drzwi zatrzymały się na chwilę na krawędzi dywanu. Nikogo nie zastałam. Żadnych ukrywających się dziewczyn ani zachlapanych krwią ścian. Żadnego śladu, że kiedykolwiek tu mieszkały. Łóżka bez pościeli. Prześcieradła ułożone w kostkę na poduszkach. Żadnych ubrań w szafie. Mimo przeszukania szuflad, łazienki i zajrzenia pod łóżko nie udało mi się znaleźć niczego, co wskazywałoby na ich tożsamość albo to, gdzie się podziały.

Wróciłam na korytarz i zamknęłam drzwi. Rozczarował mnie ten brak rozwiązania, kiedy więc usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi wejściowych i głosy w korytarzu pode mną, nie wystraszyłam się wcale, tylko zirytowałam. Chciałam już wracać do domu.

– Poważnie myślę, że powinniśmy im powiedzieć. – To był Dan, który mówił zmęczonym tonem, jakby ta rozmowa ciągnęła się od dawna, ale nie miał zamiaru się poddawać.

– Nie – odpowiedziała ostro Nell. Znów pozazdrościłam jej pewności siebie. Gdybym to ja się tak zwracała do Dana, może bardziej by się mną przejmował? – Jeszcze nie. Za dużo do stracenia.

– Ale jeśli masz rację…

– Sama nie wiem, czy mam rację. To tylko zgadywanie, spekulacje. Zdecydujemy, kiedy będę miała pewność.

Mogłabym po prostu zejść po schodach i się z nimi przywitać, powiedzieć, że właśnie ich szukałam, a potem zapytać, o czym dyskutują i gdzie się podziały dziewczyny z Rumunii. Ale wciąż byłam roztrzęsiona i wyczer-

pana i nie chciałam z nimi rozmawiać, tłumaczyć się, co tu robiłam. Odczekałam, aż zniknęli w kuchni, a kiedy usłyszałam dźwięk nalewania wody i kliknięcie uruchamianego czajnika, zbiegłam po schodach i wymknęłam się na ulicę.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zaparkowałam samochód na końcu drogi, za dostawczakiem z browaru, który dostarczał towar do hotelu za rogiem. Wróciłam teraz do auta, ale nie pojechałam do domu. Chociaż ciężarówka w końcu odjechała, uznałam, że raczej nikt z Absalom House nie rozpozna mojego wozu, więc siedziałam i czekałam, myśląc o zniknięciu dziewczyn i stopniowo się odprężając. Była pora lunchu. Minęło mnie kilku chłopaków, którzy dzielili się paczką czipsów, ale mieli na sobie szkolne mundurki i nie kierowali się do schroniska. Miałam to gdzieś. Uwierzyłam, że moje działanie ma sens, i przestało mnie nosić.

Zaczynałam już przysypiać, gdy pojawili się Dan i Nell. Dan zamknął za sobą drzwi. W ogóle mnie nie zauważyli. Odczekałam, aż dojdą do końca ulicy, a potem wysiadłam z auta. Byłam zaspana i zesztywniała, a chodzenie za nimi zapowiadało się na spory wysiłek.

W miasteczku zrobiło się gwarno, wszędzie turyści i poranni zakupowicze – robotnicy na przerwie śniadaniowej, starsze małżeństwa, młode matki. Przed knajpkami prężyli się goście z gołymi klatami, którzy siedząc na krawężniku, osuszali kolejne plastikowe szklanki z piwem. I wszędzie pełno dzieciaków w porozpinanych koszulach i porozwiązywanych krawatach, stały w kolejkach przed cukierniami i budkami z frytkami. Wciąż byłam zaspana, a moje myśli błądziły bez celu. Dlaczego Nell nie została dłużej w szkole? Być może uczniowie nie musieli już wracać na lekcje po zdaniu egzaminu. I jakie miała plany? Kay Mariner była w tym samym wieku, tuż po letnich egzaminach, gdy zaszła w ciążę. Ale Nell wydawała się na to zbyt sprytna. Nadal skupiałam na nich uwagę, gdy przeciskali się przez tłum. Skoro już zaczęłam ich śledzić, to nie chciałam ich zgubić. Szli wolno, trzymając się za ręce, jakby mieli sporo czasu do zabicia. Wlekłam

się za nimi bez żadnego planu, być może również próbując zabić czas. A może to zazdrość miała z tym jakiś związek? Oboje wydawali się tak dogłębnie szczęśliwi, że patrzenie na nich sprawiało mi perwersyjną przyjemność. Jak drapanie strupa lub grzebanie językiem w dziurze po zębie.

Zatrzymali się na chwilę, by kupić egzemplarz „Big Issue" od bezdomnego przed Woolworthem. Widziałam już wcześniej tego człowieka, był jednym z tych pogodnych gazeciarzy, którzy wkładali w sprzedaż cały swój entuzjazm i serce, ale od czasu Blyth czułam się niezręcznie w towarzystwie sprzedawców „Big Issue", więc odwróciłam wzrok. Kiedy znów go podniosłam, zobaczyłam, że Nell macha mi na powitanie. Niczego nie podejrzewali i zachowywali się tak przyjaźnie, że zrobiło mi się trochę głupio, że ich śledziłam.

– Znowu się spotykamy – zauważyłam.

– Właśnie mieliśmy coś zjeść – odparł Dan. Nie umiałam powiedzieć, czy wolałby uniknąć mojego towarzystwa, ale przynajmniej nie pytał, co robię w Whitley.

– Lizzie zje z nami. Prawda, Lizzie?

Nell wzięła mnie pod ramię. Od dawna nie miałam z nikim tak bliskiego fizycznego kontaktu, ale wcale mi się to nie podobało. Za bardzo przypominało mi tę chwilę, gdy mnie aresztowano, a policjantka objęła mnie ramieniem i wepchnęła do radiowozu. Mimo to pozwoliłam, by Nell mnie prowadziła.

Weszliśmy w alejkę biegnącą między sklepami w kierunku morza. Jeszcze nigdy tam nie byłam. Po obu stronach pięły się wysokie mury, więc padał na nas cień, a uliczka okazała się tak wąska, że Dan i Nell ledwie mieścili się obok siebie. Za jednym z murów musiał rozciągać się ogród, bo widziałam czubki jabłoni. Mimo towarzystwa swojego chłopaka Nell wciąż trzymała mnie pod ramię. Miała na sobie czarne biodrówki i cienki batikowy top w odcieniach fioletu i purpury. Podwinęła rękawy, odsłaniając bardzo mocno opalone ramiona. Miała ciepłą skórę i pachniała sandałowcem. Chyba ciągle rozmawiała o czymś z Danem, ale nie pamiętam ani

słowa. Byłam spanikowana, czułam się jak w pułapce i ze wszystkich sił starałam się to ukryć.

Wreszcie alejka dotarła do brukowanego podwórka, tak małego, że mieściły się tam jedynie dwa stoliki z krzesełkami. Przez otwarte drzwi mogłam zajrzeć do niewielkiej kafejki, gdzie para podstarzałych hippisów popijała kawę z solidnych, żółtych kubków. W powietrzu unosiła się woń czosnku, kolendry i kadzidełek.

– Siądziemy na zewnątrz, co? – zaproponowała Nell tonem, który ponownie mi zasugerował, że jest przyzwyczajona do wydawania poleceń i braku sprzeciwu. Zaprotestowałabym dla samej przyjemności starcia, ale lokal wyglądał na jeszcze ciaśniejszy i bardziej zacieniony niż dziedziniec i nie potrafiłam się na to zdobyć.

– Co byś chciała zjeść, Lizzie? Mają tu świetny pasztet z ciecierzycy i doskonałe sałatki.

Stwierdziłam, że pasztet wystarczy. Sięgnęłam po portmonetkę do torebki, ale Nell już wyłowiła dychę z kieszeni spodni.

– Nie trzeba. My stawiamy.

Zaczęłam się zastanawiać, czego ode mnie chce. Zeszłego wieczoru wydawała się smutna i rozmarzona. Dziś bił od niej zdeterminowany entuzjazm, jak od tego bezdomnego, który handlował „Big Issue".

– Dan przyniesie wszystko z baru, prawda, Dan?

Chłopak podniósł się bez słowa i zniknął w środku. Na dziedzińcu rozstawiono terakotowe donice. Z jednej z nich wyrastała budleja z wielkimi, spiczastymi kwiatami, od których uginały się łodygi. Innych roślin nie rozpoznawałam; wszystkie były okazałe i kwitły. Nad budleją unosiły się trzy motyle, które wisiały tak blisko fioletowych kwiatów, jakby się do nich przykleiły. W każdej chwili mogły odlecieć, ale tego nie robiły.

– Kto chciał, żebyś odnalazła Thomasa? – zapytała nagle Nell. Nie spodziewałam się tego i musiałam sobie przypomnieć, co jej wcześniej naopowiadałam. Wpatrywała się we mnie tym swoim charakterystycznym, nie-

złomnym spojrzeniem. Czy to dlatego mnie tu sprowadziła? Dlaczego nagle stało się to ważne?

– Jego rodzina.

– Mówisz o Ronniem Laingu?

Milczałam przez chwilę, ale w końcu uznałam, że nie ma powodu kłamać.

– Nie. Chciał go odnaleźć jego biologiczny ojciec.

– Och – westchnęła. – Biedny Thomas. Na pewno by się z tego ucieszył. Dowiedział się o tym?

Pokręciłam głową.

– A spotkałaś kiedyś Ronniego? – zapytałam.

Tym razem to ona zamilkła. Wyglądała tak, jakby próbowała wymyślić jakąś przekonującą historię, ale nie miałam żadnego powodu do takich podejrzeń. Najpewniej chciała sobie tylko przypomnieć.

– Raz – odpowiedziała w końcu. – Zanim Thomas opuścił dom.

– I co o nim myślisz?

– Wydawał się bardzo miły i zastanawiałam się, co w nim Thomasowi nie pasuje. – Znów zamilkła, by po chwili dodać: – Ale powierzchowne wrażenie może być bardzo złudne, prawda?

Dan wrócił z jedzeniem i oddał resztę Nell.

– To nie Ronnie poprosił Lizzie o odszukanie Thomasa – wyjaśniła mu, jakby dla obojga była to istotna informacja. Powinnam pociągnąć ten temat, oni jednak natychmiast zaczęli rozmawiać o jej przyjaciółkach i uczelniach, na które się wybierały.

– A ty jakie masz plany? – zapytałam.

– ASP – odpowiedziała. – W Glasgow albo Londynie.

– W zależności od wyników egzaminów?

– Nie. – To nie była przechwałka, tylko stwierdzenie faktu. – Widzieli moje portfolio i chcą mnie w obu. Tylko sama jeszcze nie zdecydowałam, która uczelnia mi bardziej odpowiada.

– A ty, Dan? Zostajesz z Ellen i Acting Out?

– Dan też jest gotowy na zmianę. – Nell nie dała mu nawet dojść do słowa.

Jedzenie faktycznie okazało się dobre. Siedzenie na słońcu, z rozświergotanym ptactwem za ogrodowym murem, powinno być przyjemne, trudno mi było więc wyjaśnić, czemu czułam niepokój.

– Dziewczyny dalej siedzą w Absalom House? – zapytałam bardziej spontanicznie, niż planowałam, co wzbudziło wyraźne zaskoczenie Dana.

– Jakie dziewczyny?

– Te, które poznałam w czasie pierwszej wizyty. Te z Europy Wschodniej. Mieszkały obok Thomasa.

– Nie – odparł z wahaniem. – Wczoraj wyjechały.

– A wiesz dokąd?

– Nie do końca. – Wzruszył ramionami. – Ellen znalazła im jakąś rodzinę. Uznała, że tak będzie lepiej i bezpieczniej. Znasz ją przecież. Typowa matka kwoka.

– Co takiego mogło im zagrażać w Absalom House?

– Nic – odparł, marszcząc brwi. – Ale mieszkają tam głównie chłopaki. Ellen doszła do wniosku, że dziewczynom potrzeba większego wsparcia, niż ona może im udzielić.

– Przekazała je jakiejś miejscowej rodzinie?

– Nie mam pojęcia. Wczoraj akurat miałem wolne i nie było mnie rano w pracy, więc niczego nie wiem. Czemu cię to interesuje?

– Bo jestem wścibską pracownicą socjalną. Zrób mi przyjemność. Od jak dawna tam mieszkały?

– Nie jestem pewien, ale parę miesięcy.

– Na tyle długo, by poznać Thomasa?

– Tak, pojawiły się tuż przed jego odejściem. Ale trudno mi sobie wyobrazić, że mogłyby mieć coś wspólnego z jego śmiercią. To bardzo ciche i wyjątkowo nieśmiałe dziewczyny. Reszta lokatorów mówiła o nich „du-

chy", bo nosiły białe chusty na głowach i zdawały się wychodzić tylko nocami.

Dokończyłam posiłek i zostawiłam ich samych. Spodziewałam się skrycie, że Nell spróbuje mnie zatrzymać, ale tylko pomachała mi na pożegnanie. Oboje najwyraźniej nie mieli nic do roboty i postanowili jeszcze trochę posiedzieć w knajpce. Odchodząc, rzuciłam okiem przez ramię i zobaczyłam ich skąpanych w blasku popołudniowego słońca, jak parę kwitnących kwiatów.

Postanowiłam wrócić do Sea View. Nagle nadopiekuńczość Jess nie wydawała mi się już aż tak męcząca. Usiądziemy sobie przy otwartych drzwiach w ocienionej kuchni i będziemy popijać herbatkę, a jeśli dołączy do nas Ray, nie będę miała nic przeciwko. Było coś kojącego w jego powolnych ruchach i milczeniu. Kiedy jednak wynurzyłam się z alejki wprost na gwarną ulicę handlową, zauważyłam znajomą postać, której obecność w tym miejscu wzbudziła moje ogromne zdziwienie. To tak, jakbym wpadła w dyskotece na dyrektorkę swojej szkoły.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, że to Stuart Howdon mknął po drugiej stronie, wymijając banki i budynki stowarzyszeń. Rozpoznawałam ten skoczny krok i krótkie przerwy na oddech. Miał na sobie szary garnitur i pasiasty krawat. Nawet w eleganckim Morphed wydawałby się zbyt odstrzelony jak na taką pogodę, a tu, wśród półnagich turystów i w hałasie rocka dobiegającego z każdej knajpki, wyglądał po prostu absurdalnie. Domyślałam się, że ma pewnie spotkanie z klientem, jakiś roboczy obiad, ale nawet na pierwszy rzut oka wyczuwałam w jego ruchach coś podejrzanego. Tak właśnie chciałam go widzieć. Nie lubiłam go i myślałam o nim jak najgorzej.

Zatrzymał się, by otrzeć spocone czoło chusteczką i rozejrzeć się dookoła, a potem ruszył w kierunku stacji metra. Nie zauważył mnie, zbyt zaaferowany sobą. Usłyszałam brzęk wagoników i przez łukowate drzwi dworca dostrzegłam zatrzymujący się pociąg. Był oblepiony kolorowymi reklamami centrum ogrodniczego. Howdon zdecydowanie przyspieszył, mijając automaty biletowe, choć pewnie zdawał sobie sprawę, że już nie

zdąży. Z wagonu wysypała się horda pasażerów, w tym przedszkolna wycieczka, pięcio- i sześciolatkowie w czerwonych koszulkach, otoczeni przez nauczycielki i rodziców. Opuszczenie pociągu zabrało im chwilę i Howdon pewnie by zdążył, gdyby miał drobne do automatu, ale już zrezygnował i tylko patrzył. Podążyłam za jego spojrzeniem i zobaczyłam Ronniego Lainga przechodzącego przez dworcowe drzwi.

Zaskoczyło mnie to. Musiał tu przyjść na spotkanie z Howdonem, ale co mogło ich obu łączyć? Trudno mi było wierzyć, że Laing przyjaźnił się z Philipem, jego związek z adwokatem miał jednak jeszcze mniej sensu.

Ronnie wydawał się spokojny i opanowany, gdy tak czekał, aż morze czerwonych, rozpaplanych dzieci wpuści go do środka. Stałam chwilę nieruchomo, próbując przeanalizować swoją reakcję na jego widok. Żadnego podniecenia. Już nie marzyłam o tym, by mnie dotknął. Tak jak podejrzewałam, całe to zauroczenie było efektem choroby. Sama poczułam się rozczarowana swoją chłodną reakcją. Czy to oznaczało, że jeśli będę kontynuować terapię, już żaden facet nie wzbudzi mojego podniecenia? Wciąż mnie to smuciło, gdy uświadomiłam sobie, że stoję na widoku, więc szybko się odwróciłam i wyszłam na ulicę naprzeciw dworca. Na rogu mieściła się staroświecka pralnia z wielkimi maszynami do lodów i plakatami, które wyglądały, jakby wisiały tam od czterdziestu lat. Przez rozległą witrynę dworzec był doskonale widoczny. Szefową okazała się starsza kobieta, tak pokurczona z wiekiem, że kojarzyła się z małpką. Drzemała na krześle z ladą ze sklejki, oddychając spokojnie i regularnie jak niemowlę. Kiedy weszłam, jej powieki lekko zatrzepotały, ale się nie obudziła. Nikogo więcej nie było.

Howdon wypatrywał Ronniego Lainga. Widziałam, że to umówione spotkanie. Uścisnęli sobie dłonie. Jednak ich rozmowa nie sprawiała wrażenia przyjacielskiej pogawędki. Trzymali się na dystans. Niczego oczywiście nie słyszałam i istniała możliwość, że źle interpretuję język ciała, ale jakoś w to nie wierzyłam. Z mojej perspektywy wyglądało to tak, jakby Howdon chciał czegoś od Ronniego – zachowywał się jak petent, a Laing słuchał, wyraźnie niezadowolony, i okazywał coraz większe wzburzenie.

Rozmowa trwała niecałe dziesięć minut, w czasie których podeszli trochę bliżej mnie, by usiąść na ławce pod kasztanowcami. Przyjechał następny pociąg i na chwilę straciłam ich z oczu w tłumie pasażerów zmierzających do centrum miasteczka. Ale wciąż tam siedzieli, gdy tłum się rozproszył. Niczego sobie chyba nie przekazali. Neseser Howdona wciąż stał u jego stóp, a Ronnie wydawał się spokojniejszy, niemal apatyczny. Wyraz jego twarzy sugerował, że jest otwarty na argumenty, ale lepiej, żeby to były dobre argumenty. Jak już mówiłam, mogłam błędnie odczytywać całą sytuację, tak to jednak w tamtej chwili wyglądało. Howdon robił miny, machał rękami i prostował swoje parówkowate paluchy. W końcu pochylił się, żeby otworzyć neseser, i podał Ronniemu plik papierów. Laing przeglądał je przez chwilę, a potem oddał mu je, kiwając głową. Howdon z początku nie zareagował, ale wydawał się tak uradowany, że przez moment myślałam, że weźmie Lainga w objęcia niczym sowiecki polityk, ale on tylko odprężył się i uśmiechnął.

Ronnie podniósł się jako pierwszy. Z daleka słychać było pociąg, a on narzucił sobie szybkie tempo, by się na niego nie spóźnić. Nie biegł, ale i tak wyglądał, jakby chciał uciec. Howdon wołał coś za nim, być może „powodzenia" albo „dziękuję" – nie zdołałam dosłyszeć. Ronnie skrzywił się, jakby uznał, że Stuart robi z siebie widowisko. Wsiadł do pociągu, nie oglądając się za siebie i całkowicie ignorując pozostawionego na dworcu prawnika.

A ten dopiero wtedy ruszył z miejsca. Poprawił kanty spodni i otrzepał garnitur z nieistniejących pyłków. Kiedy zaczął iść w stronę centrum, porzuciłam pralnię i poszłam za nim. Staruszka wymamrotała coś przez sen, gdy zamykałam za sobą drzwi.

Howdon tymczasem kierował się w stronę głównej ulicy, tej, na której go spotkałam. Nie spieszył się już i przystanął na chwilę, by zdjąć marynarkę. Przewiesił ją sobie przez ramię, trzymając za kołnierz. Wydawał się uradowany. Zwolnił trochę przy wejściu w zaułek, w którym wcześniej byłam z Nell i Danem, więc przez chwilę zastanawiałam się, czy nie jest to ze sobą jakoś powiązane i czy on również zamierza się z nimi spotkać. Jednak Howdon zniknął w kwiaciarni i wyszedł z niej z ogromnym bukietem. Po-

dejrzewałam, że to pewnie próba pogodzenia się z żoną. Wyglądała na taką, której ciągle trzeba dogadzać. Ponownie włożył marynarkę, bo brakowało mu rąk, by trzymać zarówno ją, jak i neseser i kwiaty. Jego samochód stał przy bocznej uliczce. Ostrożnie położył róże na tylnym siedzeniu i odjechał, nie podejrzewając nawet przez chwilę, że go śledziłam. Dało mi to niepokojące poczucie mocy, zupełnie jakbym stała się niewidzialna albo jakbym nigdy nie istniała.

Rozdział trzydziesty drugi

Jest ciemno, a ja bardziej tęsknię za światłem niż za tym, żeby wyjść z tego przypominającego celę pokoju. Czuję, że przy świetle bardziej kontrolowałabym sytuację. Gdybym mogła zobaczyć twarz Nicky'ego, oceniłabym jego myśli i intencje. W tej chwili jestem bezradna. Nie mogę nic zrobić. On wyczuwa każdy mój ruch. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale zanim mi się to udaje, on szepcze:

– Zamknij się.

Kroki powracają. Ktoś otwiera po kolei wszystkie drzwi i woła do dzieci:

– Czy jest tu pani Bartholomew?

Rozpoznaję ten głos. To Maggie, jedna z moich koleżanek. Ma krótko ścięte włosy i duże okulary. Ton głosu sugeruje pewien niepokój, ale nie ma w nim paniki. To mnie trochę uspokaja. Niemal wierzę, że to wszystko jest jakąś wielką pomyłką, żartem, który wkrótce się skończy. Jej kroki się zbliżają.

Nicky podciąga mnie do pozycji siedzącej. Ostrze noża wciąż dotyka mojej lewej piersi. Chłopak oddycha płytko i niespokojnie.

Przed jego drzwiami kroki cichną. Wyobrażam sobie, że Maggie sięga do gałki, by je otworzyć.

– Nie wchodź.

Po złowrogich szeptach jego słowa wydają mi się wyzywającym krzykiem.

– Nicky. – Maggie zaczyna panikować, ale stara się nie dać tego po sobie poznać. – Czy masz u siebie panią Bartholomew?

– Jeśli wejdziesz, zabiję ją.

Obie wiemy, że to prawda. Już raz zabił. Szuka pretekstu, żeby zrobić to ponownie.

Gwałtownie porusza nożem. Czuję to jak użądlenie pszczoły. Cienka strużka krwi spływa po mojej piersi i niemal natychmiast zasycha. Zaczynam szlochać.

Następnym razem, gdy zobaczyłam głównych bohaterów tamtego dnia w Whitley – Nell i Dana, Ronniego i Howdona – byli oni wszyscy razem w tym samym miejscu. Ten zbieg okoliczności tylko wzmocnił moje poczucie surrealizmu i podsycił fantazje. Przyznaję teraz, że przestawałam trzymać się kurczowo rzeczywistości. W nocy moje teorie na temat śmierci tych dwóch chłopaków stawały się coraz bardziej dzikie i paranoiczne. Widziałam pajęczą sieć przyczyn i skutków, potworności i powiązania między nimi. Rano budziłam się wyczerpana, a sny wydawały się niedorzeczne. Retrospekcje były żywe i realne.

W ostatniej chwili postanowiłam pojechać do Wintrylaw na zbiórkę pieniędzy na rzecz Konsorcjum Wiejskiego – widziałam plakat w ośrodku kultury, w którym pracował Dan. Nie miałam żadnego konkretnego powodu tej podróży, choć przyszło mi do głowy, że może tam być wolontariuszka Doreen i uda mi się ją namówić na rozmowę. W tamtym czasie nie planowałam niczego, co robiłam. Liczyłam też na to, że będą się tam kręcić Howdon i Ronnie Laing i dowiem się więcej o tym, co knują w Whitley Bay. Nie zastanawiałam się, jak zdobędę te informacje. Coś się wymyśli. Istniała możliwość, że ponownie spotkam Dickona. Chciałam opowiadać mu dowcipy, rozśmieszać go.

To dopiero czerwiec, ale miałam wrażenie, że lato zbliża się ku końcowi. Zdarzały się chłodne dni, ale ogólnie rzecz biorąc, w tym roku było wyjątkowo pogodnie i ciepło. Z niecierpliwością czekałam na zmianę pogody. Ciągłe słońce przenosiło mnie z powrotem do Maroka i Philipa. Myślałam, że zimno uśmierzy ból i pomoże mi optymistyczniej myśleć. Wieczór był wilgotny i parny. Wszyscy chodzili rozdrażnieni. W Sea View Jess opie-

przała swoich podopiecznych, a nawet Raya. Wydawała się zadowolona, gdy powiedziałam, że wyjeżdżam; oznaczało to jedne zwłoki mniej pod jej stopami.

Nie byłam pewna, czego się spodziewać po tym wydarzeniu, ale podchodziłam do niego z niecierpliwością, z dziecinnym wręcz podnieceniem. Od tego pierwszego razu, kiedy spojrzałam w dół na jego wielkie kominy, Wintrylaw było dla mnie szczególnym miejscem. Nie chodziło tylko o to, że mieszkał tam Philip. Kipiało tu od przepychu, którego nigdy nie zaznałam i nawet nie zdawałam sobie sprawy, że go pragnę. Zwykle śmiałam się z takich rzeczy. Tego wieczoru jednak chciałam tego i miałam nadzieję, że się nie zawiodę.

Ledwo dotarłam na miejsce, przekonałam się, że nie ma na to szans. Dom był pogrążony w ciemnościach, ale pochodnie na tarasie i wzdłuż drogi oświetlały go niczym plan filmowy. Na trawniku stała scena z głośnikami, na trawie siedzieli już ludzie. Kiedy do nich dołączyłam, zobaczyłam, że uczestnicy imprezy mają wielkie kosze piknikowe, ale z powodu półmroku byli zaledwie ciemnymi, bezbarwnymi kształtami. Podobnie jak podczas mojej ostatniej wizyty w bramie zatrzymała mnie kobieta zbierająca opłaty za wstęp. Tym razem wydawała się mniej zakłopotana ich wysokością. Wzięła pieniądze i przepuściła mnie, zachęcając, żebym się pospieszyła, bo impreza zaraz się zacznie.

Joanna czekała na schodach tarasu, by powitać ostatnich gości. Ponownie się przebrała, tym razem za postać z powieści Georgette Heyer. Miała na sobie białą suknię, prostą i z wysokim stanem, a na ramiona zarzuciła muślinową chustę. Włosy spięła, jedynie kilka niesfornych loków opadało jej na czoło. Nie byłam pewna, czy mnie pozna, ale nie sprawiło jej to najmniejszego problemu.

– Lizzie, moja droga – powiedziała. – Jak miło z twojej strony, że nam wybaczyłaś. Philip bardzo by się ucieszył, że postanowiłaś nas wesprzeć.

Wzmianka o Philipie wprawiła mnie w zakłopotanie, co prawdopodobnie było jej zamiarem. Przypominała mi, że ja też mam sporo za uszami i nie powinnam czuć się lepsza. Machnęła ręką w kierunku stołów, praw-

dopodobnie tych samych, które widziałam już w dniu pogrzebu. Stały na nich misy z ponczem, a nieletnie kelnerki z firmy cateringowej z Alnwick nalewały go do szklanek.

– Powinnaś spróbować – powiedziała Joanna. – Mój własny przepis. Jest przepyszny.

Chciałam zapytać, czy gdzieś w pobliżu jest Dickon, ale ona już zwróciła uwagę na kogoś innego. Byliśmy spóźnieni, a ona niecierpliwie czekała na rozpoczęcie imprezy.

Wieczór muzyki i poezji został wymyślony jako zbiórka pieniędzy, ale Konsorcjum zamieniło go w hołd dla Thomasa Marinera i Marcusa Tate'a. To było prawie tak, jakby stali się oni ich pierwszymi męczennikami. Nie widziałam Doreen, ale jeśli tam była, na pewno płakała. Zastanawiałam się, czy to Joanna wymyśliła ten hołd dla chłopaków, czy też, gdy już to zasugerowano, uznała, że nie może się nie zgodzić. Nie mogła przecież powiedzieć organizatorom: „Cóż, to trochę niezręczne, bo Thomas był nieślubnym synem mojego męża". Jeśli nawet przeszkadzały jej komentarze na temat życia Thomasa, nie okazywała tego. Obserwowałam ją przez większość wieczoru.

Po muzyce na rozpoczęcie – wyborze madrygałów śpiewanych przez duży chór amatorski z Newcastle – przemówił Ronnie Laing. Spodziewałam się, że tam będzie, ale nie wiedziałam, że odegra tak ważną rolę. Myślałam, że nie znosi znajdować się w centrum uwagi. Wszedł na scenę i poczekał, aż tłum ucichnie. Być może dlatego, że był to rodzaj przedstawienia, mówił dość płynnie, a jego jąkanie stało się prawie niesłyszalne. Rozglądałam się za Kay, ale najwyraźniej nie kibicowała mężowi.

– Byłem zaskoczony, gdy dowiedziałem się, że Thomas dołączył do Konsorcjum jako wolontariusz. Nie rozmawialiśmy o tym wcześniej. Chyba osiągnęliśmy etap, gdy w ogóle ze sobą nie rozmawialiśmy. – Przerwał. Na twarzach zebranych pojawiły się współczujące uśmiechy. – Bardzo się ucieszyłem, że to zrobił. Po jego śmierci dało mi to coś, co mogłem zapamiętać i z czego mogłem być dumny. Dzięki temu czułem, że wniosłem jakiś wkład w jego życie.

Zgromadzeni zerwali się na równe nogi i zaczęli wiwatować. Nawet ja trochę się wzruszyłam. Dopiero gdy Ronnie schodził ze sceny, dotarło do mnie, że Joanna z pewnością nie zdradziła mu nazwiska biologicznego ojca Thomasa. Gdyby wiedział, że to Philip nim jest, nie odegrałby tej scenki. Byłam zadowolona. Miałam nadzieję, że Joanna zachowa tę tajemnicę do śmierci. Tak naprawdę nie miała prawa dzielić się tą informacją. Później, jak sądzę, przemówienie wygłosił pan Tate, ojciec Marcusa, ale do tego czasu obserwowałam już przebieg wydarzeń z domu i nie słyszałam, co mówił.

Mój umysł błądził, gdy student trzeciego roku wydziału sztuk scenicznych na Uniwersytecie Northumbria czytał Johna Clare'a. Robiło się coraz ciemniej i trudno było dostrzec postacie siedzące na trawie, ale kiedy odwróciłam się w stronę tarasu, zobaczyłam Stuarta Howdona obok Joanny. Szeptał jej coś na ucho, stojąc tak blisko, że w pewnym momencie musiał odgarnąć ze swojej twarzy jeden z jej zabłąkanych loków. Joanna z uśmiechem patrzyła na scenę. Nie sposób było orzec, co myśli o tym, co mówi do niej adwokat. Kiedy po jakimś czasie znów się odwróciłam, już ich nie było.

Nastąpiła przerwa i znów przyniesiono poncz, a także delikatne kąski, które były bardziej dekoracyjne niż odżywcze. Cieszyłam się, że po drodze zatrzymałam się w restauracji w Amble. Myślałam, że Dickon i Flora pojawią się w tym miejscu, ale nigdzie ich nie widziałam, aż do chwili, gdy spojrzałam w kierunku domu i zobaczyłam, że chłopiec wygląda przez okno na piętrze.

W jego spojrzeniu nie było nic tęsknego – widziałam to wyraźnie, bo w jego pokoju paliło się światło. Wcale nie chciał znaleźć się tutaj. Gardził nami z powodu tego, co się działo.

Kiedy wszyscy zostali wezwani z powrotem pod scenę na drugą część przedstawienia, wślizgnęłam się do domu i wbiegłam na górę po dużych kręconych schodach. W każdej chwili spodziewałam się, że usłyszę krzyk, pytanie, co tu robię. Pokój Dickona musiał znajdować się przy końcu domu, ponieważ chłopiec wyglądał przez ostatnie okno. Szłam cicho po korytarzu z wytartą wykładziną. Niewiele sobie robiłam z Joanny, ale nie

chciałam spotkać Flory. Już sobie wyobrażałam, z jaką pogardą patrzyłaby na mnie, słuchając moich kulawych wyjaśnień. Nie widziałam jej w pokoju Dickona. Jeśli tam była, niemożliwa do zobaczenia z ogrodu, chłopiec musiałby mnie ratować.

Na szczęście okazało się, że jest w pokoju sam. Drzwi były otwarte, więc jeszcze z korytarza widziałam, że jestem bezpieczna. W telewizji leciał jakiś amerykański dramat szpitalny z dużą ilością krzyków i krwi, ale on go nie oglądał. Nadal siedział na parapecie i patrzył na dwór. Nie chciałam wchodzić do pokoju bez zaproszenia, dlatego stanęłam w drzwiach, czekając, aż mnie zauważy. Na mój widok rozpromienił się i wyłączył telewizor. Zrobiło mi się miło.

– Czekam na fajerwerki – powiedział – ale najpierw będzie mnóstwo nudnych rzeczy.

Wciąż stałam w drzwiach.

– Wejdź – zaprosił mnie do środka. – To nudziarstwo niedługo się skończy, a stąd będziemy mieć dobry widok.

– Gdzie Flora?

– Śpi u koleżanki. Jej zdaniem fajerwerki są dla dzieci.

Usiadłam obok niego na parapecie i spojrzałam w dół.

– Twoja mama jest naprawdę dobra w te klocki.

Ta myśl właśnie przyszła mi do głowy. Na scenie kobieta przy kości śpiewała jakąś pieśń, której nie znałam. Publiczność zmieniła się w mroku w niewyraźną plamę. Kobieta skończyła, ukłoniła i rozległy się litościwe oklaski. Dickon się uśmiechnął.

– Naprawdę dobra – przyznał.

– Podejrzewam, że to dlatego, że jest fotografką. Potrafi przewidzieć efekty, które chce uzyskać.

Mówiłam bardziej do siebie niż do niego, ale chłonął pochwały w imieniu matki.

– Pisze też świetne opowiadania – stwierdził. – Chociaż nie ma już na nie za dużo czasu.

– Musi być jej ciężko, odkąd zmarł twój tata.

– Tak – przyznał. – Tak myślę.

Na scenę wrócili studenci i odegrali scenę ze *Snu nocy letniej*. Wypowiadane przez nich kwestie popłynęły w naszą stronę i wpadły do środka przez uchylone u góry okno. To był ten monolog o wonnych brzegach i macierzance. Jak się zdaje, sen zaczął morzyć również publiczność. Dickon przypatrywał się temu przez chwilę, po czym stracił zainteresowanie. Zaproponował, że pokaże mi swoją kolekcję czaszek i skrzydeł, i wskazał zniszczoną walizkę pod łóżkiem. Powiedziałam, że wolę poczekać, aż będę miała więcej czasu, żeby się dobrze przyjrzeć, i znów wpatrzyliśmy się w okno.

– Mówili o tobie – powiedział.

– Kto? Twoja matka?

– Nie. Howdon i Ronnie Laing.

– Ach tak? – Nie mogłam się zmusić, żeby zapytać, co takiego mówili. Zresztą pomyślałam, że Dickon pewnie i tak mi powie.

– Niewiele słyszałem – powiedział z żalem. – Siedzieli w gabinecie taty, podczas gdy wszyscy inni pomagali w przygotowaniu imprezy. To niesprawiedliwe. Howdon nigdy w niczym nie pomaga.

– Jest za gruby.

– To prawda – odparł ze śmiechem, po czym znów wyjrzał przez okno.

Już myślałam, że przez to, że mu przerwałam, porzuci temat, gdy dodał:

– Howdon cię nie lubi. – W jego głosie usłyszałam podziw. – Co takiego zrobiłaś?

– Nic. W każdym razie nie celowo.

– Nazwał cię wredną krową.

– To nie było zbyt miłe.

– No dobra… – Przerwał na chwilę. – Tak naprawdę nie nazwał cię krową, tylko gorzej.

– Tym bardziej mi przykro.

– Chce ci dać pieniądze, żebyś trzymała się z dala od ich spraw.

Trochę mnie to zaskoczyło. Przecież wcale nie mieszałam się w ich sprawy. W każdym razie od spotkania na wystawie. Od tamtej pory skoncentrowałam się na Harrym Poolu i Absalom House. Potem pomyślałam, że pewnie Marjorie powiedziała mu o mojej wizycie w Warren Farm.

– Nie wiem, o czym on mówi.

– Ronnie powiedział, że to nic nie da. Takie jak ty są nieprzekupne.

Czyli Ronnie mnie zna. Pytanie tylko, ile o mnie wie. Na pewno nie to, że Philip wynajął mnie do odnalezienia Thomasa. A może oni wszyscy byli w to zamieszani? Czy to jakiś misterny spisek?

– Czy Ronnie przyjaźnił się z twoim ojcem?

Dickon zamyślił się. Przyjaźń stanowiła dla niego poważną sprawę.

– Tacie było go szkoda. Mówił, że Ronnie miał zły okres i że zrobił naprawdę wszystko, żeby się z nim uporać. Większość ludzi poszłaby na dno.

– Jakiego rodzaju zły okres?

– Nie wiem. Nie pytałem.

– Twój tata był ławnikiem, prawda? Czy mógł poznać Ronniego w sądzie?

– Nie jestem pewien. Niewiele mówił o sądzie. Twierdził, że mu nie wolno.

Pociągnął mnie za rękaw, by przyciągnąć moją uwagę do tego, co się działo na dworze.

– Myślisz, że zaraz będą fajerwerki?

– Co sądzisz o Ronniem Laingu? – zapytałam, ponieważ opinia Dickona była wszystkim, co w tej chwili mogłam uzyskać.

– Myślę, że jest w porządku. Pomógł mi zbudować szałas w lesie. Rozpaliliśmy ognisko. I poszedł ze mną obserwować borsuki. Wiesz, że trzeba przykleić kolorowy celofan na latarkę, żeby światło ich nie odstraszało?

– Nie – odparłam. – Nie wiedziałam o tym.

– Mogłabyś kiedyś pójść z nami. Nie mają już młodych, ale można podejść naprawdę blisko...

– Czy Ronnie kiedykolwiek wspominał o swoim przybranym synu Tomie? – przerwałam mu.

– To on ma syna? – Ta informacja na chwilę przykuła uwagę Dickona. – Nie, nigdy mi o nim nie mówił. Może kiedyś go przyprowadzi, to się pobawimy.

Nie wiedziałam, co na to powiedzieć. Przecież byli braćmi.

Przedstawienie zbliżało się do końca. Wszyscy wykonawcy weszli na scenę, by ukłonić się publiczności. Zastanawiałam się, czy Joanna wygłosi mowę, ale wróciła na swoje miejsce na tarasie obok Howdona. Dickon zauważył, że na nich patrzę.

– Mama nie lubi Howdona – powiedział ze złością. – Nie w taki sposób. Nie mogłaby. Zapytałem ją, dlaczego on ciągle tu przyłazi. Odpowiedziała, że w interesach.

– Orientujesz się, o jakie interesy chodzi? – zapytałam, ale właśnie w tej chwili rozpoczął się pokaz fajerwerków i już wiedziałam, że straciłam jego uwagę. – Lepiej już pójdę – powiedziałam. – Do widzenia.

Nie odwracał wzroku od ogrodu.

– Cześć.

Wyjęłam z torebki kawałek papieru i zapisałam na nim numer telefonu do Sea View i numer swojej komórki.

– Jeśli będziesz chciał porozmawiać, zadzwoń.

Zrobiłam to dla siebie, nie dla niego. Nie mogłam sobie poradzić z myślą, że już więcej się nie spotkamy. Włożył karteczkę do kieszeni dżinsów, nie odrywając wzroku od kolorowych świateł na dworze.

Siedziałam w tłumie, dopóki nie skończył się pokaz. Nie chciałam rozmawiać z Joanną przy Howdonie. W takim stanie, w jakim byłam, zrobiłabym mu scenę. Naprawdę myślał, że może mnie kupić?

Kiedy ostatni fajerwerk wystrzelił nad morzem, ruszyłam do samochodu. Miałam nadzieję, że będę jedną z pierwszych, ale najwyraźniej

wszyscy wpadli na ten sam pomysł i w kierunku parkingu zmierzał cały tłum. To wtedy zobaczyłam Dana i Nell. Szli kilka kroków przede mną, jak zwykle trzymając się za ręce. Nell miała na sobie długą jedwabną spódnicę. Czarną albo ciemnofioletową, w ciemności nie widziałam dokładnie. Ale to na pewno byli oni. Nie ma mowy o pomyłce. Ich twarze w świetle reflektorów samochodowych wyglądały surowo i zdecydowanie.

Wmawiałam sobie, że w ich obecności tutaj nie ma niczego podejrzanego. Dan nadal miał kontakty z uniwersytetem. Obracał się wśród ludzi sztuki. Zapewne grali tu i śpiewali ich znajomi. Jednak nie byłam o tym przekonana.

Rozdział trzydziesty trzeci

Następnego ranka zadzwoniłam do Farriera. Nie sądziłam, że uda mi się go złapać, myślałam, że zostanę spławiona. Jednak po pięciu minutach nieoczekiwanie usłyszałam w słuchawce jego głos.

– Lizzie? – Sprawiał wrażenie zaniepokojonego, a nawet zatroskanego. – Co się stało?

– Nic.

Zapadło milczenie, które zdawało się mówić: „To po kiego zawracasz mi głowę?". Nagle poczułam się niezręcznie.

– Słuchaj, pewnie zaraz powiesz: „Nie ucz ojca dzieci robić"...

– Ale?

– Sprawdziliście, czy bliscy Thomasa byli notowani, prawda?

– Zależy, jak bliscy.

– Na przykład ojczym.

– Dlaczego uważasz, że Ronnie Laing ma kartotekę? – zapytał ostrym tonem. Na pewno nie po ojcowsku.

– Nie mam konkretnego powodu. Serio. To raczej domysły.

– Obiecałaś, że będziesz się trzymała od tego z daleka.

– I trzymam się, naprawdę!

Trochę za bardzo protestowałam. Nie chciałam go okłamywać, ale za bardzo się tym wszystkim przejmował.

– No dobrze, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć, to w takich przypadkach zawsze sprawdzamy członków rodziny.

Wyraźnie grał na zwłokę. Nie odpowiedziałam.

– Naprawdę, Lizzie, nie możesz oczekiwać, że ci powiem.

Dalej milczałam.

– Niech będzie, powiem ci, żeby cię uspokoić. Ronnie jest czysty jak łza. Nigdy nie miał zatargów z prawem. Wzorowy obywatel.

Wzorowy obywatel z trudną przeszłością, pomyślałam. Philip powiedział Dickonowi, że Ronnie przechodził zły okres, a ja ufałam pamięci Dickona i osądowi Philipa. Co się stało? Tragedia rodzinna, załamanie psychiczne, bankructwo? Istniały dwa sposoby, aby się tego dowiedzieć. Mogłam zapytać samego zainteresowanego. Tyle że nawet mnie wydawało się to nierozważne. Drugi sposób: mogłam zapytać jego żonę. Znalazłam kartkę z jej numerem służbowym i zadzwoniłam.

Spodziewałam się, że Kay będzie do mnie wrogo nastawiona, ale ona zareagowała na propozycję spotkania z niemal żenującym entuzjazmem.

– Proszę przyjść po południu do przedszkola – powiedziała. – O trzeciej. Dzisiaj zakończenie roku szkolnego, więc nie będzie żadnych zebrań. Wszyscy będą chcieli jak najszybciej wyjechać na wakacje.

Wskazówki okazały się bardzo precyzyjne i rzeczowe, ale głos jej drżał. Przedszkole znajdowało się przy ruchliwej ulicy, niedaleko centrum Wallsend. Nad domami górowały dźwigi stoczni. Budynek przedszkola zbudowano z czerwonej cegły wiktoriańskiej i mógł być kiedyś przytułkiem. Grupy dzieci razem z nauczycielami po kolei wychodziły na plac zabaw. Nie wiem, czy tak było zawsze, czy miało to umożliwić rodzicom pożegnanie się przed wakacjami. Grupa Kay zjawiła się jako ostatnia. Kobieta trzymała mocno za rękę małego chłopca. Pozostałe dzieci szły za nią gęsiego. Zachowywały się nadzwyczaj grzecznie. Nawet rodzice wydawali się onieśmieleni w jej obecności. Zabrali dzieci i trzymali się z daleka. Ale gdy plac zabaw opustoszał, promienny, profesjonalny uśmiech zniknął z jej twarzy. Wyglądała na dziesięć lat starszą.

Kiedy weszłam na plac zabaw, nagle poczułam się, jakbym znowu miała sześć lat. „Kolejna szkoła" – pomyślałam. „Kolejna rutyna, którą trzeba zrozumieć. Kolejni nauczyciele, których trzeba zadowolić". Dopiero gdy zobaczyła mnie Kay, wróciłam do dorosłości. Znów byłam odpowiedzialną osobą. Podeszła do mnie i impulsywnie wzięła mnie za rękę.

– Jak to dobrze, że się pani ze mną skontaktowała – powiedziała. – Proszę wejść.

Nie byłam pewna, czy bycie odpowiedzialną to coś, do czego się nadaję. Wyglądało na to, że oczekuje ode mnie zbyt wiele.

Rozmawiałyśmy w jej salce, siedząc na niskich stolikach. Nie zdążyła jeszcze posprzątać po zajęciach. Słoiki z pędzlami na ławce, piasek na podłodze, stosy karteczek i książek z biblioteki…

– Posprzątam w weekend – powiedziała. – Dzisiaj już nie mam na to siły.

Najwyraźniej w normalnych okolicznościach nie przyszłoby jej do głowy, żeby zostawić taki bałagan.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam. – Z powodu Thomasa.

– Policjanci wspominali, że to pani go znalazła.

Skinęłam głową, ale nic nie powiedziałam. Czekałam, aż zacznie. Czułam, że tak powinno być. To musiało toczyć się w jej tempie.

– Była tam pani pierwszy raz? Czy może udało się pani z nim spotkać wcześniej?

– Pierwszy raz. Nie zdążyłam go spotkać…

Chciałam dodać „żywego”, ale niezręcznie by to zabrzmiało.

– Ach tak.

Starała się opanować rozczarowanie. Co próbowała ode mnie uzyskać? Rozgrzeszenie? Spodziewała się, że powiem: „Nie martw się. Thomas wybaczył ci, że wyrzuciłaś go z domu. Powiedział mi, że cię kocha. Zrozumiał”. Czy to by jej pomogło? W każdym razie nie byłam gotowa kłamać.

– Żałuję, że nie postąpiłam inaczej – powiedziała po prostu.

– Nie jest pani temu winna. To nie pani go zabiła.

– Ale czuję się tak, jakbym to zrobiła. – Przerwała na chwilę. – Jego wyprowadzka… To była moja decyzja, nie Ronniego.

Wyglądało na to, że chce, bym się odezwała. Czy poczułaby się lepiej, gdybym się z nią zmierzyła? Czy dlatego mnie tu zaprosiła?

– Ronnie nie chce wywierać na mnie presji – ciągnęła. – Ale on mnie potrzebuje. Być może bardziej, niż kiedykolwiek potrzebował mnie Thomas. Mój syn nigdy tego nie rozumiał.

Nie odpowiedziałam. Oczywiście, że Thomas tego nie rozumiał. Nawet ja nie mogłam tego zrozumieć. W końcu była jego matką.

– Jeśli mam być szczera, to nie była wina Ronniego.

– Dlaczego Ronnie tak bardzo pani potrzebuje?

Traciłam cierpliwość. Przecież był dorosłym mężczyzną, prawda? Zdolnym, by zadbać o siebie. Długo zwlekała z odpowiedzią. W oddali słychać było szum maszyny do froterowania podłóg. Z kranu w rogu kapało.

– W młodości brał udział w misji wojskowej za granicą. Niektóre rzeczy, których był świadkiem, nadal śnią mu się po nocach.

Nagle to, co powiedział mi Dickon, nabrało sensu. To dlatego Philip był przychylnie nastawiony do Ronniego. To wyjaśniało te szałasy w lesie i ogniska. Chłopięce zabawy. Nawet jeśli Ronnie przechodził trudne chwile jako żołnierz, musiał być z czegoś dumny. Na przykład z przyjaźni czy umiejętności, które zdobył. Musiał mieć jakieś dobre wspomnienia, inaczej zupełnie by się pogrążył. Ze mną było podobnie.

Zamierzałam opowiedzieć o stresie pourazowym. Zapytać, czy Ronnie umówił się na terapię, powiedzieć jej, że nawet wojsko uznaje to teraz za chorobę. Uczyłam się o tym na studiach, więc byłam w tym dobrze zorientowana. Do tego dochodziły moje własne przeżycia. Wiedziałam wszystko o retrospekcjach i atakach paniki. Wiedziałam, przez co przechodził. Zawsze wydawało mi się, że mamy ze sobą coś wspólnego. Chciałam zapytać, czy chodziło o Falklandy, czy może Zatokę Perską. Czytałam o tych konfliktach, wiedziałam o nich więcej niż moi rówieśnicy. To pozwoliło mi ujrzeć Ronniego w innym świetle. Nie tylko jako kogoś pokręconego i strasznie nieśmiałego, ale też jako bohatera.

Jednak zanim zdążyłam coś powiedzieć, ona wróciła do swojej opowieści.

– To nie była brytyjska armia. Tak byłoby łatwiej. Mógłby poprosić o pomoc. Rozpoczął szkolenie, ale nie mógł go ukończyć. To nie jego wina.

Chciałam zapytać, czy w ogóle cokolwiek było jego winą. Jednak miałam na tyle rozsądku, żeby nie przerywać.

– Pracował za granicą – powiedziała. – Jest tam pewna agencja…

Nadal nie rozumiałam.

– …prowadzona przez byłych brytyjskich oficerów. Zapewniają pomoc w konfliktach, w które rząd nie może się oficjalnie angażować.

– Był najemnikiem! – krzyknęłam. Tym razem nie mogłam się powstrzymać. Byłam zszokowana. Zawsze wydawał mi się wręcz zbyt łagodny. Wyobrażałam sobie, że siedzi pod pantoflem nadmiernie kontrolującej żony. Wydawało mi się, że znam się na ludziach. Nie wyobrażałam sobie, by mógł stosować przemoc.

– Nie – odparła. Ona też była zszokowana. – Był idealistą. Myślał, że pomaga. W każdym razie nie pracował dla nich za długo. To miało na niego zbyt negatywny wpływ.

Pomyślałam, że wystarczająco długo, żeby zarobić na komis samochodowy. Ciekawe, co koleżanki z Żon Metodystów powiedziałyby o przeszłości jej męża.

– Minęło dużo czasu, zanim zaufał mi na tyle, żeby o tym opowiedzieć – ciągnęła Kay. – Jest introwertykiem, człowiekiem bardzo powściągliwym. Przez to czasami sprawia wrażenie wrogo nastawionego. Wiem, że moi rodzice go nie lubią, ale nie ufałabym do końca ich opinii.

– Czy kiedykolwiek próbował skorzystać z profesjonalnej pomocy?

Pokręciła głową.

– Jest na to zbyt dumny. Mówi, że ponowne przeżywanie tych doświadczeń i tak by mu nie pomogło. Chce wierzyć, że panuje nad sytuacją.

– A panuje? – zapytałam.

– Co ma pani na myśli?

– Czy wciąż ma koszmary?

– Nie tak często jak kiedyś.

– A co z innymi objawami? Napady złości, depresja, bezsenność?

– Poprawiło mu się po wyprowadzce Thomasa. – Widać było, że niełatwo jej to wyznać. – On ciągle prowokował Ronniego. Nie rozumiał. A Ronnie nie pozwolił, żebym mu to wyjaśniła. Jak już mówiłam, postrzegał tę chorobę jako coś, z czym musi sobie poradzić sam.

Nie do końca sam, pomyślałam. Wciągnął w to ciebie, Thomasa i dzieci.

– Pomogła mu działalność w Konsorcjum Wiejskim. Zapalił się do tego. Przestał myśleć o swoich problemach. Był w tym dobry. Ludzie to dostrzegali i to dodało mu pewności siebie.

– A czy nie czuła się pani odrobinę nieswojo, gdy zaprzyjaźnił się z Philipem Samsonem?

– Co ma pani na myśli? Philip był wspaniałym człowiekiem. Zanim zachorował, podróżował po całym świecie w poszukiwaniu tematów do programów telewizyjnych i nowych zleceń, a mimo to zawsze znajdował czas dla Ronniego. Jego śmierć była ogromną tragedią. Wstrząsnęła nami wszystkimi.

Była całkiem przekonująca. Zapewne tak długo wypierała myśl, że Philip jest ojcem Thomasa, że prawie o tym zapomniała. Wpatrzyłam się w nią. Wciąż siedziała na małym stoliku, ale miała pochyloną głowę i złożone dłonie, jakby się modliła. Być może tak właśnie było. Nie patrzyła w górę.

– Ja wiem – powiedziałam.

Uniosła głowę. Przez chwilę wydawało się, że zapomniała, gdzie się znajduje. Zastanawiałam się, czy wspomina Philipa jako studenta, nieodpowiedzialną miłostkę sprzed dwudziestu lat.

– Słucham?

– Wiem, że Philip Samson był ojcem Thomasa.

– Skąd, u licha ciężkiego, przyszło pani to do głowy?

Spojrzała na mnie tak, jakbym opowiedziała wyjątkowo niesmaczny dowcip. Instynkt samozachowawczy powstrzymywał mnie przed powiedzeniem: „Wiem o tym od Philipa. To dlatego przyszłam do pani domu

przed śmiercią Thomasa. Philip chciał, żebym go znalazła". Zamiast tego zapytałam:

– A to nieprawda?

– Oczywiście, że nieprawda. W tamtych czasach nie znałam Philipa. Gdy Ronnie zaczął chodzić na spotkania Konsorcjum Wiejskiego, poznał go na jednym z wieczorków organizowanych przez Joannę. Wydawało się, że świetnie się dogadują. Wcześniej znałam go tylko z telewizji.

Uwierzyłam jej. Gdyby kłamała, musiałaby być o niebo lepszą aktorką od Dana. Wciąż próbowałam dojść do siebie, gdy ona zaczęła dzielić się ze mną historią, którą przez cały ten czas trzymała w tajemnicy, której nigdy nikomu nie opowiedziała – ani Ronniemu, ani matce, ani synowi.

– Byłam młoda – powiedziała. – Głupia i naiwna. Nie taka, jak dzisiejsze dziewczyny, dla których seks jest czymś normalnym. Jeśli nawet z nim flirtowałam, nie wiedziałam, co robię. Ciągle to sobie powtarzam. Czuję, że to była moja wina, ale nie wiem, jak to możliwe. Wciąż jeszcze byłam dzieckiem. Może nie w sensie prawnym, ale pod każdym innym względem tak. A on mógłby być moim ojcem. Wydawał się godny zaufania. Opiekowałam się jego dziećmi. Mama i tata załatwili mi tę pracę. Byli strasznie dumni, nie tyle z mojego powodu, ile dlatego, że zrobili przysługę swojemu przyjacielowi. Na początku lubiłam tam chodzić. Miło spędzało się czas w pięknym i dużym domu. W zamrażarce były lody czekoladowe. Mogłam się nimi częstować do woli. Już samo to pokazuje, jaka byłam wyrafinowana! Kładłam dzieci do łóżka, włączałam telewizor i jadłam lody. Taki miałam pomysł na udany wieczór. Potem wracałam do domu samochodem ze skórzanymi fotelami i radiem. W mojej pamięci Frank Sinatra śpiewa w tym radiu *Fly Me to The Moon*. Może nie zawsze leciało tam właśnie to, ale tak to zapamiętałam. Znasz tę piosenkę?

Przytaknęłam, ona jednak nie oczekiwała odpowiedzi. Jakiś czas zajęło mi skupienie się na tym, co mówi, ale jej historia zdążyła mnie już wciągnąć. Czasami znasz zakończenie jakiejś opowieści, ale nie wiesz, jak do niego dojdzie. To i tak ekscytujące, prawda? Poza tym było coś hipnotyzującego w obserwowaniu kobiety, która zwykle tak dobrze kontrolowała

emocje i chroniła siebie, a teraz nagle odpuściła i wyrzucała potok słów, pragnąc pozbyć się ciężaru.

– Ten policjant, inspektor Farrier, zapytał mnie o ojca Thomasa – ciągnęła – a ja mu nic nie powiedziałam. Nie mogłam. Nawet gdyby pomogło to wytropić mordercę. Za bardzo się wstydziłam. Nie z powodu tego, co się stało, ale tego, że byłam aż tak głupia. Da pani wiarę? Bałam się, że będą się ze mnie śmiać, więc milczałam.

Miała na sobie sięgającą łydek bawełnianą sukienkę z nadrukiem w kwiaty. Małe, kryte guziki przy szyi i na nadgarstku. Wyglądała jak sztywniaczka i nauczycielka, dosłownie zapięta na ostatni guzik. Ale jednocześnie trzęsła się z gniewu na siebie i na mężczyznę, który ją wykorzystał.

– Miał żonę. To czyniło go bezpiecznym. Tak myślałam, podobnie jak moi rodzice. Za jego żoną nie przepadałam. Nie traktowała mnie zbyt przyjaźnie. Kiedy na przykład próbował przekonać mnie, żebym została dłużej, mówiła: „Myślę, że Kay wolałaby wrócić do domu". Usta miała zaciśnięte z dezaprobatą. Myślałam, że to na mnie jest zła, ale tak naprawdę była zła na niego, Harry'ego Poola.

Przerwała i wpatrzyła się w okno. Zastanawiałam się, czy wypowiedzenie jego nazwiska było dla niej czymś ważnym, ale nie o to chodziło. Nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Po prostu znów przeżywała te wszystkie wydarzenia.

– To się zdarzyło pewnego wieczoru, kiedy jego żona była u swojej matki. Chyba się pokłócili. Zabrała dzieci ze sobą. Nie sądzę, żeby to zaplanował, nie był aż tak przebiegły. To znaczy, moim zdaniem nawet nie pamiętał, że to piątek. Bo musi pani wiedzieć, że opiekowałam się dziećmi tylko w piątki. Kiedy zadzwoniłam do drzwi, wydawał się zaskoczony, że mnie widzi. Wolę nie myśleć, że to wszystko zorganizował. Dużo pił. Nie wiem, czy to była przyczyna kłótni z żoną, czy jej skutek. Nigdy nie mogłam znieść widoku pijanego Thomasa. Może właśnie dlatego. Zaprosił mnie do środka. Zwykle, gdy przychodziłam, dzieci były już w piżamach gotowe do spania. Brałam je na ręce, kładłam do łóżek i czytałam im bajki. Czekały na

mnie w salonie. Tym razem zobaczyłam z przedpokoju, że ich tam nie ma. „Poszły już do swoich pokoi?" – zapytałam i ruszyłam po schodach na górę. Podążył za mną. Na podeście objął mnie. Poczułam woń whisky. „Jesteś piękna, Kay", wyszeptał mi do ucha. „Dla mnie jesteś naprawdę śliczna". A potem zaczął rozpinać mi bluzkę.

Przerwała raptownie. Ręce miała złożone na piersiach. Zacisnęła wargi. Nawet po tylu latach nie mogła się zmusić do opisania szczegółów.

– To był gwałt – powiedziałam. – Nie pani wina.

– Mogłam walczyć. Nie jestem nawet pewna, czy krzyczałam. Szok był taki wielki. Nie mogłam w to uwierzyć. Wychowano mnie na grzeczną dziewczynkę. To było jak koszmar, którego nie potrafiłam powstrzymać. Myślałam, że wszystko skończy się tak, jak w przypadku złych snów, że się obudzę. Ale oczywiście nigdy się nie obudziłam.

– Co się stało potem?

– Pool odwiózł mnie do domu. Jak gdyby nigdy nic.

– Musiał zdawać sobie sprawę, że Thomas jest jego synem.

– Pewnie tak. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nigdy już nie poprosili mnie o opiekę nad dziećmi. Mama zapytała, czy zrobiłam coś nie tak. Nie mogłam powiedzieć rodzicom, co się stało. Czułam się strasznie zakłopotana. Harry był najlepszym przyjacielem mojego taty. Tata go podziwiał. Jego energię, przedsiębiorczość, pieniądze, które zarobił. Nie uwierzyliby mi, a i ja nie chciałam robić zamieszania. Nie docierało do mnie, że mogłam zajść w ciążę.

– Dlaczego Thomas zaczął pracować u Harry'ego Poola?

– Harry zaproponował mu pracę. Tłumaczył, że robi przysługę wnukowi swojego starego kumpla. Co miałam powiedzieć? Thomas potrzebował pracy. Nie podobało mi się to, ale niewiele mogłam zrobić.

– Myślę, że Thomas dowiedział się, że to Harry jest jego ojcem. Nie powiedziała mu pani o tym?

– Nie!

– Czy Ronnie wie?

– Nigdy mu nie powiedziałam – wyznała. – Ale Ronnie ma swoje sposoby na pozyskiwanie informacji.

Rozdział trzydziesty czwarty

To, co wydarzyło się później, można nazwać jedynie farsą. Jak jedno z tych szekspirowskich interludiów, kiedy nastrój ulega nagle kompletnej przemianie. Znacie to – ciężka, napięta atmosfera, wszyscy deliberują o powinnościach politycznych albo śmierci, a w następnej scenie wpada dwóch klaunów albo rubasznych opojów i rzucają żarciki.

Wciąż myślałam o konsekwencjach rewelacji, które usłyszałam od Kay. Za dużo tego wszystkiego naraz. Nigdy nie podejrzewałam, że Thomas mógłby nie być synem Philipa. Po co Philip miałby mnie okłamywać? Na łożu śmierci wyznaje się chyba prawdę? Jaki miałby w tym cel? Podpuszczał mnie, żebym w końcu wzięła pieniądze? Wydawało się to zbyt wydumane, dlatego postanowiłam to jeszcze raz przemyśleć.

Być może to nie Philip był autorem tej bajeczki, tylko ktoś inny. Kartka na pewno nosiła jego odręczny podpis – rozpoznawałam jego pismo z listu, który zostawił mi w Marrakeszu. Przed śmiercią miał pewnie do podpisania mnóstwo papierów, umów przygotowanych przez Howdona. Mógł być też na tyle osłabiony, że nie do końca wiedział, co czyta. Ufał Stuartowi, mógł mu wspomnieć o naszym marokańskim romansie. Tylko po co Stuart wysłał mnie w pościg za cieniem, prosząc, żebym odnalazła Thomasa Marinera? Nasuwała się oczywista odpowiedź – Howdon chciał śmierci Thomasa. Tyle że nie wiedziałam, z jakiego powodu, więc znów musiałam się poddać. Skupiłam się na Harrym Poolu.

Harry Pool okazał się gnojkiem, który zgwałcił Kay Mariner i zrobił jej dziecko. Utrzymywała to w tajemnicy przez dwie dekady, o nic go nie prosząc i próbując jakoś ułożyć sobie życie. Jak dla mnie wykazała się większą odwagą niż ten szurnięty Ronnie, który przywlókł się tu po jakiejś wojence w Trzecim Świecie, przywożąc worek forsy i kilka koszmarów. Wiem, że

okropnie to brzmi i pewnie powinnam mu okazać więcej współczucia, ale wkurzało mnie jego obsesyjne zaaferowanie samym sobą. Powoli uświadamiałam sobie również, jaka sama muszę być irytująca. I nie była to przyjemna myśl.

Harry pewnie się domyślił, że Thomas jest jego synem. Nie był przecież tępakiem. A kiedy usłyszał od swojego starego kumpla Archiego, że Thomas przechodzi trudne chwile, jakaś resztka sumienia zmusiła go do tego, by zaoferować chłopakowi pracę. Albo znów chodziło o tę samczą dumę i nie mógł znieść myśli, że jego syn jest bezrobotny. Raczej nie spodobało mu się to, że Thomas wyniósł się z domu, by mieszkać w schronisku, między ćpunami i azylantami.

I tak Thomas zaczął pracę w firmie transportowej. Ale Pool nie mógł tego tak zostawić, nie mógł się powstrzymać przed wyjawieniem chłopakowi prawdy, że są spokrewnieni. Musiał wziąć byka za rogi. Tyle że Thomas, zamiast okazać wdzięczność i podziw wobec zamożności i przedsiębiorczości Harry'ego, wściekł się na niego w imieniu swojej matki. Wkurzony i przekonany o swojej racji napisał list do Shony Murray, grożąc ujawnieniem jakiejś machlojki Harry'ego – przemytu paliwa albo ludzi. Może nawet chciał wyjawić Archiemu Marinerowi, że jego najlepszy kumpel wcale nie jest takim fajnym gościem. To mogła być przyczyna jego śmierci, a Philip i Stuart nie mieli z tym nic wspólnego.

Wszystko to kłębiło się w mojej głowie, gdy jechałam z powrotem do Newbiggin, i jak już mówiłam, nie było to łatwe. Raczej tragedia niż komedia, niewiele powodów do śmiechu. A potem znalazłam się w Sea View i miałam wrażenie, że trafiłam do domu wariatów. Ray i jego kumple z klubu folkowego popijali domowej roboty piwo z butelek po cydrze, intonując co pięć minut jakąś pieśń i robiąc z siebie kompletnych pacanów.

Jess nie mogła się mnie doczekać.

– Dobrze, że już jesteś, kochana. Masz dziesięć minut, żeby się przebrać, zanim przyjedzie po nas samochód.

Popatrzyłam na nią pustym wzrokiem.

– Zapomniałaś? Jedziemy na *ceilidh*. Imprezę zaręczynową. – Wydawała się tak rozczarowana, że musiałam skłamać.

– Oczywiście, że pamiętam. Nie wiedziałam tylko, że ktoś nas tam zabiera.

– Ray tak to załatwił, żebyśmy mogli się napić – odparła z uśmiechem Jess.

– Świetnie – odpowiedziałam głośno, mając tuż przy uchu świergocący gwizdek jakiegoś brodatego grubasa, który siedział na stole. – Doskonale.

Dziewczyna, do której jechaliśmy, mieszkała na farmie swoich rodziców, a *ceilidh* odbywał się w prawdziwej stodole. Po jednej stronie ciągnęły się zagrody i stały bale siana, a w powietrzu unosiła się słodka woń krów, ale było tam na tyle czysto, że nie czułam żadnego dyskomfortu. Z natury jestem miastową dziewczyną, a wieś zawsze wydawała mi się pełna rzeczy, na które można przypadkiem wpaść – byków, płotów pod prądem albo krowich placków.

Stodoła była wielka jak kościół, pomiędzy drewnianymi belkami, na których zagnieździły się wróble, dało się dostrzec słomianą strzechę. Ktoś musiał się tam wcześniej wdrapać po wysokiej drabinie, bo belki sufitowe ozdobiono bukietami kwiatów. Na scenie z palet stojącej pod jedną ze ścian występowała dziewczyna o długich, prostych włosach, grająca na kobzie, oraz dwóch dziadków z akordeonem i gitarą, do których czasem dołączali kumple Raya. Goście byli w najróżniejszym wieku – od par w podeszłym wieku, ubranych w odświętne stroje, po dzieci przebrane jak na bal. Raczej niewiele nastolatków, może zjawią się później, po zamknięciu pubów. Przyjęcie było składkowe – kobiety donosiły ze swoich samochodów kolejne miski sałatek i pieczeni na zimno przykrytych folią spożywczą, pojemniki Tupperware z wymyślnymi ciastami, musami i kiszami oraz patery z owocami.

Wszystko to wyglądało aż nazbyt dobrze, jak wyobrażenia mieszczuchów o wiejskim życiu. Cała społeczność gromadząca się, by świętować, jedna z tych imprez, którymi przybysze z Newcastle mogą się pochwalić przy kolacji ze znajomymi. I może faktycznie wyglądało to zbyt dobrze, by

było prawdziwe. Ogarnęły mnie te same uczucia, które towarzyszyły mi na wystawie zdjęć Joanny. To fikcja i wszyscy w niej uczestniczyliśmy. Ludzie na wsi wcale nie byli milsi od innych. Nie robili się lepsi. Ale ja jestem cyniczką, a każdy może opowiadać historię swojego życia tak, jak chce, czemu więc mieliby nie połatać kilku dziur w rzeczywistości, by zapewnić młodej parze udaną imprezę?

Całkiem dobrze się bawiłam. Bałam się, że spędzę całe przyjęcie, podpierając ściany i umierając z zażenowania, ale kiedy tylko przestałam myśleć o Thomasie Marinerze i wypiłam parę drinków, wszystko od razu zaczęło mi się bardziej podobać. Przyjaciele Raya byli pacanami, ale zupełnie nieszkodliwymi. Prosili mnie do tańca i zamiatali mną podłogę, aż brakowało mi tchu w piersi, ale żaden niczego nie próbował. I niczego więcej ode mnie nie oczekiwał. Jess musiała im powiedzieć, że przechodzę trudne chwile i trzeba mnie traktować delikatnie. Kiedy w końcu zeszłam z klepiska, nie było to spowodowane snobizmem, tylko naprawdę poczułam się wyczerpana. Nie pokonywałam kilkunastu kilometrów w gumowcach w każdy weekend i nie miałam takiej kondycji jak oni.

Przycupnęłam obok staruszka o jasnych paciorkowatych oczach, z niemal niezrozumiałym akcentem. Mówi się, że nikt nie rozumie ludzi z Ashington, ale ja byłam z nimi osłuchana. Zajęło mi chwilę, nim przyzwyczaiłam się do jego głosu, ale dotarło do mnie niemal wszystko, co powiedział. Wyraźnie cieszyła go publiczność, zwłaszcza pod postacią znacznie od niego młodszej kobiety. W swoim czasie musiał być prawdziwym uwodzicielem. I chyba nie miałam szans uciec od Thomasa Marinera, ponieważ słuchając opowieści mojego rozmówcy o dorastaniu w dolinie i plotek o tutejszych osobistościach, uświadomiłam sobie, że to właśnie w tych okolicach upłynęło dzieciństwo Stuarta Howdona. Ludzie, nad którymi rozmyślałam cały dzień, wrócili, by mnie prześladować.

Wszystko zaczęło się od staruszka, który w pewnym momencie wrzasnął do swojego przysypiającego kolegi:

– A widziałeś, że w gazecie pisali, że Howdon ponoć ma startować do parlamentu? Mówi, że ktoś musi bronić naszych rolników, ale skąd on

miałby coś o tym wiedzieć?

Jego kolega drgnął, ale się nie odezwał, więc staruszek znów zwrócił się do mnie:

– Mówią, że będzie niezależnym kandydatem – prychnął. – Z tego całego ichniego Konsorcjum.

– Nie ma pan o nich najlepszego zdania, co? – zainteresowałam się wbrew sobie, bo spodziewałabym się, że popiera ich działalność.

– A panienka nie od nich aby? – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

Pokręciłam głową.

– To co z nimi nie tak?

– Im idzie tylko o siebie.

– To znaczy?

– Pieniądze i ambicja. Co im jeszcze trzeba? Howdona ciągnie do Londynu, między ludzi z telewizora. I tyle.

– Ale to Konsorcjum zaczęło całą dyskusję – przypomniałam, czując się dość dziwnie jako ich obrońca. Spodziewałabym się raczej czegoś odwrotnego.

– Wiece i marsze. Na co to komu?

– Sporo ludzi jednak przychodzi.

– Jasne, że tak. Jak ci wynajmą autobus i powiedzą: „Weź dzień wolnego, pojedziemy do Londynu", to jedziesz. – Wzruszył ramionami. – Udało im się skaperować różne szumowiny. Nawet porządni ludzie dostają czasem małpiego rozumu. Ciężko im tutaj i chętnie by się na kimś wyżyli. Konsorcjum to wykorzystuje. Mieszają im w głowach i spuszczają ich ze smyczy.

– A skąd pan zna Howdona?

– On tutejszy przecież. – Znów zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem ptasich oczu. – Na pewno nie jesteś od nich?

– Przysięgam, że nie. Nie bawię się w takie rzeczy.

Dziadek podniósł się od stołu i ostrożnie odstawił swój kufel. Miał na sobie wytarty, wiekowy garnitur i prującą się koszulę. Buty za to wypastował

do takiego połysku, że odbijały się w nich lampy wiszące pod sufitem.

– A teraz wyciągnij rękę, młoda damo, i daj się porwać do tańca. Muszę się im wszystkim pokazać z najpiękniejszą dziewczyną we wsi. – Poderwał mnie z krzesła i pociągnął między tancerzy.

Nie mam pojęcia, o której skończyła się ta impreza. Wszyscy za dużo wypiliśmy, ale nikt się nie porzygał, nie doszło do żadnej bitki. Może tak właśnie wygląda dorosłość. Ray i Jess przez cały wieczór kleili się do siebie. Porozmawiałam trochę z jego kumplami i okazali się całkiem w porządku. Normalni, zabawni ludzie z dziwacznym gustem muzycznym. Ale to nie było ich całe życie. Jeśli dobrze pamiętam, jeden pracował jako nauczyciel, trafił się też jakiś lekarz.

Muzyka w końcu umilkła i wszyscy wyszliśmy na zewnątrz. Jess i Ray obmacywali się gdzieś w półmroku. Przy drodze brakowało latarni i tylko w nielicznych rozproszonych domach paliły się światła, więc niebo nad nami błyszczało naprawdę jasnymi gwiazdami, na dodatek była pełnia. Wieczór okazał się miły, ale nagle znów poczułam się samotna. Chciałabym się z kimś podzielić tą chwilą i widokami. Kiedy Jess i Ray dołączyli do nas ponownie, patrząc na siebie rozpromienionym wzrokiem, poczułam taką zawiść, że aż chciało mi się płakać. Przypomniało mi się, co staruszek mówił o ludziach werbowanych przez Konsorcjum. Kiedy jesteś wkurzony, chcesz w coś przywalić, a sam cel nie ma większego znaczenia. Kochałam Jess na zabój, ale nie potrafiłam się z nią cieszyć. Czułam się tak okropnie, że nie wytrzymywałam cudzego szczęścia. I rozumiałam, czemu Stuart Howdon był rozgoryczony i wściekły, pozostając w związku małżeńskim z kimś, kto go w ogóle nie obchodził. W takim nastroju masz ochotę kogoś walnąć. Jesteś gotów do mordu.

Nie brałam komórki na imprezę, ale po powrocie, czując zbyt duże napięcie, by zasnąć, i będąc zbyt taktowną, by zrobić sobie kakao w kuchni i przeszkadzać zakochanej parze w średnim wieku, rzuciłam okiem na nowe wiadomości. Nie wiem, czego się spodziewałam. Pewnie czegoś od Kay. Dałam jej przecież numer i powiedziałam, by się odzywała, gdy tylko najdzie ją na to ochota. Ale na pewno nie spodziewałam się usłyszeć dzie-

cięcego głosu. Dickon. Wydawał się nieco przytłumiony, jakby mówił przez komórkę albo specjalnie ściszył głos, by nikt go nie podsłuchał.

– Lizzie? Jesteś tam, Lizzie? Bo muszę z tobą porozmawiać. Ale nie dzwoń tutaj. To by nic nie dało. Możesz przyjechać jutro wieczorem? Tylko nie do domu. Do tego lasu przy starej ścieżce. O zmroku. Chcę ci pokazać borsuki.

Odsłuchałam nagranie jeszcze parę razy, ale niczego więcej się nie dowiedziałam. Nie wiedziałam, czy był wystraszony, zaniepokojony, czy po prostu cieszył się, że pokaże mi ulubione zwierzęta. Sama jakoś nie potrafiłam się tym cieszyć. Borsuki są wielkie i czarne i lepiej ich unikać, podobnie jak płotów pod napięciem i krów. Ale było mi trochę przykro, że nie odebrałam jego telefonu. Noc aż do świtu upłynęła mi bezsennie na takich właśnie rozmyślaniach.

Rozdział trzydziesty piąty

Chociaż powinnam już znać drogę do Wintrylaw, znalazłam wjazd do lasu dopiero wtedy, gdy już prawie straciłam nadzieję na jego odnalezienie. Rozważałam nawet pójście do drzwi rezydencji i zapytanie o Dickona. Jeździłam w kółko po okolicznych drogach zupełnie jak za pierwszym razem z Rayem. Nagle ujrzałam znajomy widok: garbaty mostek nad bagnem, dzikie zarośnięte brzegi, żywopłot z głogu i las rosnący po jednej stronie. A dalej kamienne filary, pokryte porostami i mchem, dzięki czemu zlewały się z drzewami, a także trawiastą ścieżkę, która prowadziła przez las i w końcu do okazałego domu.

Siedziałam w samochodzie, żałując, że Dickon nie wyznaczył mi konkretnej godziny spotkania. Kiedy, na miłość boską, zapada zmrok? Nie ruszałam się z Sea View cały dzień, na wypadek gdyby zadzwonił, ale nie było żadnych wiadomości. Jak na osobę, która przyznała się do kaca giganta i powiedziała, że czuje się, jakby umierała, Jess była irytująco szczęśliwa. Kręciła się po domu z odkurzaczem, podśpiewując pod nosem. Cieszyłam się, wychodząc z domu wczesnym wieczorem, chociaż na dworze było jeszcze jasno.

Zaparkowałam samochód dokładnie w tym samym miejscu, w którym Ray wysadził mnie w dniu pogrzebu. Zatrzymałam się tak blisko żywopłotu, że gdyby ktoś ze mną jechał na miejscu pasażera, nie mógłby wysiąść. Samochód skrył się wśród trybuli leśnej i tych wysokich chwastów z małymi różowymi kwiatkami, których nazwy nie znałam. Philip na pewno nie miałby problemu z ich identyfikacją. Zaczęłam czytać książkę, ale zmorzył mnie sen. Kiedy się obudziłam, zaczynało się ściemniać i pomyślałam, że już prawie czas.

Przeszłam między filarami i znalazłam się w lesie. Wiał wiatr, ciepły, suchy wiatr, który sprawiał, że gałęzie skrzypiały, a liście nade mną szumiały. Wydawało mi się, że brzmią jak tłum plotkujących starych bab. Pomyślałam, że będę musiała to zapamiętać, aby opowiedzieć o tym Dickonowi. W lesie było o wiele ciemniej, ponieważ baldachim listowia zasłaniał światło. Zdenerwowało mnie to. Nigdy nie lubiłam ciemności, a odkąd Nicky wziął mnie na zakładniczkę, śpię przy zapalonym świetle. Oczywiście nie pomyślałam o zabraniu latarki, kubka kawy czy czegoś, na czym mogłabym usiąść.

Myślałam, że Dickon będzie na mnie czekał. Nigdy nie należałam do skautów. Weszłam na pogrążoną w mroku ścieżkę. Rozwidlała się i nie wiedziałam, w którą stronę iść. Straciłam rozeznanie. Nasłuchiwałam, czy na drodze nie ma samochodów, ale albo nie było ruchu, albo zagłuszał go szum wiatru. Nie chciałam wołać Dickona. Wiedziałam na tyle dużo, by zdawać sobie sprawę, że trzeba być cicho, jeśli zamierza się zobaczyć zwierzęta. Nie chciałam też, żeby się na mnie gniewał albo pomyślał, że nie warto zawracać sobie mną głowy. To było oczywiście nielogiczne, ponieważ każdy mój krok mógł wystraszyć zwierzęta. Chodziło raczej o to, że czułabym się naprawdę głupio, stojąc tam i krzycząc, nie chciałam robić z siebie widowiska.

I wtedy zobaczyłam błysk latarki. Światło było przytłumione i pomarańczowe. Dickon musiał pokryć szkiełko kolorowym celofanem, tak jak mówił. Co za ulga. Zaczynałam już myśleć, że szukam wiatru w polu. Ruszyłam w stronę światła. Od czasu do czasu wiatr rozwiewał baldachim z liści i widziałam niebo oraz brunatne chmury, przez które przeświecał księżyc. Poszycie było skąpane w blasku. Potem następował kolejny podmuch i wszystko wydawało się ciemniejsze niż przedtem, a ja musiałam mocno wypatrywać światła latarki.

Siedział na brzegu bagna. Wcześniej w tym roku kwitły tam dzwonki, jednak teraz zostały tylko mięsiste, podobne do włóczni liście. Początkowo ich nie widziałam, ponieważ oślepiało mnie pomarańczowe światło, które nakierował na moją twarz, jakby chciał się upewnić, że to ja, a nie ktoś

obcy. Zobaczyłam je dopiero wtedy, gdy spojrzałam w dół, żeby ochronić oczy.

– Lizzie Bartholomew – powiedział.

To nie był głos Dickona. To był głos dorosłego mężczyzny, łagodny i cichy. Ronnie Laing.

– Gdzie Dickon?

– Joanna kazała mu zostać w domu. Przeziębił się. Wiesz, jak to jest z dziećmi.

– Przekaż mu, że mam nadzieję, że wkrótce wyzdrowieje.

W tej chwili już wiedziałam, że Dickon został wykorzystany, by mnie tu zwabić.

– Nie chcesz zobaczyć borsuków, Lizzie?

Jego głos był naprawdę niezwykły. Chcąc przezwyciężyć jąkanie, mówił powoli, a zarazem uwodzicielsko i łagodnie.

– Nie, dziękuję.

– Usiądź.

Nadal mówił powoli, ale tym razem nie było to zaproszenie. Raczej rozkaz. A ja nigdy nie słucham rozkazów.

– Odwal się.

– Siadaj – powiedział, wyciągając nóż.

Przemawiał do mnie przepraszającym tonem, prawie jakby proponował mi rozejm. W tej chwili wiatr odchylił gałąź nad nami, wpuszczając światło księżyca, które zabłysło na ostrzu.

Spojrzałam na niego. Wiedziałam, że jeśli rzucę się do ucieczki, bez trudu mnie złapie. Był sprawniejszy ode mnie i znał las. Gdybym go zaskoczyła, może udałoby mi się wytrącić mu nóż. Ta myśl naprawdę przyszła mi do głowy. Cóż za naiwność. Jeden semestr zajęć z samoobrony kobiet i myślałam, że mogłabym się zmierzyć z najemnikiem. Usiadłam. Nie sądziłam, żebym miała wybór. Przynajmniej na razie.

– Howdon cię do tego namówił?

Nie odpowiedział. Nie odrywał wzroku od ostrza. Poruszył nożem, tak że odbiło się od niego światło latarki. Wydawał się nim zahipnotyzowany. Ja czułam się podobnie, ale mówiłam dalej:

– To Howdon za tym wszystkim stoi, prawda? To on sfałszował papiery, które miałam podpisać. Ale dlaczego chciał, żeby Thomas zginął? Dlaczego pozwolił mi myśleć, że Philip jest jego biologicznym ojcem?

Wyrzucałam z siebie słowa, by zwalczyć panikę, dawną bezradność, która zaczęła wdzierać się do mojego umysłu. Pojawiła się, gdy usiadłam. Znów byłam zakładniczką, siedziałam na podłodze, a szaleniec groził mi bronią. Wydawało mi się, że go rozumiem, a nawet lubię. Wyobraziłam sobie, jak Jess przewraca oczami. Nigdy się nie nauczysz, Lizzie? Nigdy nie zadbasz o siebie?

Gdy zbierają się pod jego drzwiami, Nicky przenosi mnie na podłogę. Rozmawiają z nim przez całą noc. Usunęli innych pensjonariuszy i negocjują z nim, żeby otworzył drzwi, choć na chwilę.

Ich głosy są łagodne i uspokajające, ale nie rozumiem słów i nie sądzę, żeby Nicky ich słuchał. Wciąż do mnie szepcze. Tłumaczy, gdzie zamierza zadać cios i w jaki sposób będzie mnie ranił.

– Mogą mnie zabić, ale zabiorę cię ze sobą – mówi. – Jesteś gotowa na śmierć?

Czuję, jak mocz spływa mi po nogach.

Od czasu do czasu krzyczy do nich, ale nie jest to nic, co miałoby sens. To nie tak, że prowadzi z nimi prawdziwą rozmowę. Nie wiem, jak długo tam jestem. To mogą być nawet dni.

Nagle moje oczy przeszywa jasne światło. Fosforyzująca biel. Jaśniejsze niż wszystko, czego kiedykolwiek zaznałam. Głos rozkazuje:

– Biegnij, Lizzie, biegnij.

Ale ja nie biegnę. Mój mózg jest zbyt ospały. Komunikat powoli dociera do moich nóg. W końcu wstaję. Nicky jest szybszy. Unosi nóż nad głową. Patrzę na niego zmrużonymi od światła oczami i czekam, aż uderzy.

Rozlega się wystrzał, tak głośny, że spodziewam się, że szyby wylecą z okien. W drzwiach stoi mężczyzna, którego nie rozpoznaję. Jest w ciemnym ubraniu i czapce z daszkiem. Trzyma w ręku pistolet, który teraz jest wycelowany w podłogę.

Kiedy się odwracam, Nicky leży w kącie, a krew plami jego ubranie. Przestaję się kontrolować. Kucam przy chłopcu, gładzę go po włosach i mówię, że to wszystko moja wina i że nie chciałam, żeby zginął.

W lesie nie straciłam panowania nad sobą. Nadal kontrolowałam sytuację. Może i się trzęsłam, ale trzymałam nerwy na wodzy.

– Coś niedobrego działo się w Konsorcjum, prawda? Czy Thomas się o tym dowiedział?

Gonitwa myśli. To Ronnie musiał zabić. Howdon był na to zbyt delikatny, zbyt miękki. Nie chciałby ubrudzić krwią garnituru, rąk i wydatnego brzucha. Czy Ronnie wziął pieniądze za zabicie własnego pasierba? Czy kiedy widziałam ich razem w Whitley Bay, Howdon właśnie zlecał Ronniemu zabicie mnie? Czy o to chodziło? O pozbycie się kolejnego kłopotu?

Ronnie nagle oderwał wzrok od noża. Światło latarki do połowy oświetlało jego twarz. Jego oczy znajdowały się w cieniu. Oczodoły wydawały się puste.

– Przespałaś się z Philipem? – zapytał.

– Co to cię, kurwa, obchodzi?

– Zrozumiałbym, gdybyś to zrobiła. – Jego głos przeszedł w rozmarzony szept. Zupełnie jakby sam uprawiał seks z Philipem i odtwarzał obrazy w swojej głowie. – Był wspaniałym człowiekiem.

– Co ty możesz o tym wiedzieć?

Nie mogłam tak po prostu siedzieć tam dłużej i nic nie robić. Musiałam podjąć wyzwanie, sprowokować odpowiedź. Może wtedy Ronnie straci koncentrację i zapomni o nożu.

– Był celebrytą, występował w telewizji. A mimo to miał czas dla przyjaciół. Miał czas dla mnie. Gdyby nie on, poszedłbym na dno. Wierzył w to, co w nas najlepsze.

– Dlaczego zaangażował się w działalność Konsorcjum?

Im więcej dowiadywałam się o tej organizacji, tym bardziej żałowałam, że Philip się z nią związał. To była banda zapatrzonych w siebie dupków. Philip do nich nie pasował.

– Uwierzył w marzenie – powiedział Ronnie, po czym zamyślił się na chwilę, a kiedy znów się odezwał, przez chwilę się jąkał. Dopiero po chwili zwolnił, a jego głos złagodniał. – Właściwie to wierzył w Joannę, a ona wierzyła w marzenie.

– Jakie marzenie, Ronnie? Wieś tylko dla ludzi ze wsi? Jak dla mnie, to trochę faszystowskie.

Najwyraźniej nie spodobały mu się moje słowa. Zignorował je.

– Jaki masz plan, Ronnie? Będziemy siedzieć na tyłkach przez całą noc, jak para gówniarzy, czy pozwolisz mi wrócić do samochodu i zapomnimy o sprawie? Wiem, jak to jest, dać się ponieść. Dogadamy się, Ronnie? Jak wariatka z wariatem.

– Nie mogę cię puścić – odparł. Miałam wrażenie, że nawet żałował. Po prostu wykonywał rozkazy. Czy tak właśnie to wyglądało w tej jego afrykańskiej dżungli?

– Howdon się nie dowie. Powiem, że uciekłam.

– Nie mogę cię puścić – powtórzył.

– Możesz, Ronnie.

Jej głos był czysty i donośny. Nie słyszałam kroków, w ogóle żadnych odgłosów, które uświadomiłyby mi jej obecność. Być może stała tam przez cały czas, przysłuchując się naszej rozmowie. Podeszła bliżej i wtedy odniosłam wrażenie, że traktuje Ronniego jak dziecko.

– Dość już tego. Dosyć zabijania – powiedziała.

Odwrócił promień latarki i oboje wpatrzyliśmy się w Joannę. Trzeba przyznać, że kobieta miała styl. Jakby ubrała się specjalnie dla efektu, który

wywołała w tej chwili, jakby wiedziała, że właśnie taką ją zobaczymy po raz pierwszy. Miała na sobie długie buty, obcisłe spodnie i luźną białą bluzkę. Jej włosy rozwiewał wiatr. Wyglądała jak matka Lary Croft. Wydawała się nierealna.

– Nie rozumiesz – powiedział Ronnie. Jąkanie powróciło.

– Nie? Puść ją. Chodź do mnie, Lizzie. Odejdź od niego. On cię nie skrzywdzi.

Czułam się tak jak wtedy, gdy krzyczeli do mnie, żebym uciekała. Tej nocy w ośrodku dla młodzieży. Tym razem posłuchałam. Wstałam i podeszłam do niej, a Ronnie pozostał na miejscu, bawiąc się nożem.

– Jedź do domu – powiedziała do niego łagodnie Joanna. – Wracaj do domu, do Kay i dziewczynek. Twój samochód stoi na podjeździe.

Ronnie wstał bez słowa i zaczął biec. Wkrótce zniknął nam z oczu. Miałam uczucie, jakbyśmy byli dwoma występującymi w cyrku psami, a Joanna naszą treserką. Stała tam w tych swoich długich butach i białej bluzce i brakowało jej tylko bata.

– Nie możesz pozwolić mu uciec. To szaleniec, morderca.

– Policja będzie wiedziała, gdzie go znaleźć. Nie ma ani rozumu, ani na tyle odwagi, żeby zbiec – stwierdziła, sprawiając wrażenie nieziemsko zmęczonej. – Chodźmy do domu. Obie musimy się napić.

Rozdział trzydziesty szósty

Kiedy to sobie wszystko poukładałam? Na pewno nie było to olśnienie, srebrzysty promień przebijający się przez liście ani efekt logicznego rozumowania. Raczej coś w rodzaju baśni, którą słyszało się w dzieciństwie i nie pamięta o niej aż do chwili, kiedy przypadkiem usłyszany po latach fragment przywołuje ją w całości w pamięci. Może wiedziałam to wszystko od samego początku, ale nie chciałam pogodzić się z prawdą. Bałam się radzenia sobie z jej konsekwencjami.

Poszłam za Joanną brzegiem w stronę domu. Szła pewnym krokiem, ja za to co chwilę się ślizgałam i potykałam, więc musiała się zatrzymywać i na mnie czekać. Wprowadziła mnie do środka tylnymi drzwiami. Ale nie chodziło o to, by mnie poniżyć, prowadząc wejściem dla służby – w ten sposób okazywała mi gościnność, bo z tego wejścia korzystali wszyscy członkowie rodziny. A przynajmniej tak to odczytywałam. Przed nami ciągnął się zagracony korytarzyk prowadzący do wąskich schodów. Pewnie kiedyś służba korzystała z tej drogi, ale dziś czekała tam na nas Flora, która siedziała w różowej piżamie na szczycie schodów i patrzyła z niepokojem. Pewnie nie mogła się doczekać powrotu matki.

– Już dobrze, kochanie – uspokoiła ją Joanna z mieszaniną troski i wyczerpania w głosie. – Już jestem i wszystko jest dobrze. Możesz wracać do łóżka. Napiję się tylko i zaraz do ciebie przyjdę.

Dziewczyna zniknęła bez słowa.

– Zawsze się martwi – wyjaśniła Joanna, pozbywając się butów, które rzuciła na stos obuwia w wiklinowym koszu. Na wieszakach wisiały skórzane kurtki i zielone puchowe anoraki. – Tęskni za ojcem, oczywiście.

Rozpuścił ją do cna. Ale powinnam mieć dla niej więcej czasu. Teraz to powinno być łatwiejsze.

Musiała się spocić, bo idąc, zostawiała wilgotne odciski stóp na płytkach. Poszłam tym śladem przez długi, ciemny korytarz, mijając worki z ziemniakami, puste kanistry i kilka starych odkurzaczy. Potem weszłyśmy do kuchni i znów poczułam się jak w *Jaskółkach i Amazonkach*. W domu dziecka mogłam tylko czytać o takich kuchniach w zakurzonych książkach dla dzieci. Wyszorowany sosnowy stół. Wielka misa owoców, którymi można się było częstować. Piec kuchenny. Drewniana suszarka na pranie, opuszczana spod sufitu. Tłusty rudy kocur w koszyku. Obrazki malowane przez Florę i Dickona jeszcze w przedszkolu, umocowane do ściany staroświecką taśmą samoprzylepną. Bujany fotel z poduszkami, stojący tuż przy piecu. Miałam czas się temu przyjrzeć, gdy Joanna zapaliła świece i wcisnęła główny włącznik światła.

– Usiądź – poleciła. – Czerwone może być?

Chciałam się bronić, że wracam autem, ale dotarło do mnie, że tak samo jak ona muszę się napić. W końcu zawsze mogłam zamówić taksówkę. Albo zostać na noc. Nasze relacje już chyba na to pozwalały. Przyjaźń. Anonimowa Lizzie Bartholomew zaproszona w gości do znanej fotografki Joanny Samson w Wintrylaw. Mogłabym zresztą po prostu zapytać, czy nie będzie jej przeszkadzało, jeśli zostanę. Wiem, że dla was to pewnie banał, ale dla mnie było to istotne. Kryła się w tym jakaś nadzieja, obietnica bezpieczeństwa. Jakbym wreszcie stała się szanowaną osobą. Tak naprawdę. Nie byłam już dzieckiem dwóch kobiet w średnim wieku i suczki collie. Mogłam gościć w domu, który stał od setek lat. Jako część rodziny. Prawie uwierzyłam, że jestem spokrewniona z Philipem i Dickonem.

Joanna zdążyła już otworzyć wino przyniesione ze spiżarki i rozlała je do kieliszków wielkości akwarium. Usiadłyśmy naprzeciw siebie za stołem.

– Dobra. Musimy zdecydować, co dalej.

Nie odpowiedziałam, delektując się trunkiem. I to tak naprawdę się delektując, całym jego smakiem i bukietem.

– Co powinnyśmy zrobić? – naciskała, zmuszając mnie do myślenia o problemie, o którym nie chciałam myśleć. Chciałam jak najdłużej rozkoszować się zapachem i smakiem tego wina na języku. Ona jednak nie odpuszczała.

– Rozumiesz, że wszystko zależy od ciebie? To ty wniesiesz dziś oskarżenie i będziesz kluczowym świadkiem.

– Nie. Nie jestem kapusiem. I to od ciebie wszystko zależy, nie ode mnie.

– Jak to?

– Ronnie nie zabił Thomasa.

– Nie sam. Z tym mogę się zgodzić. Stuart musiał mu pomagać. To on pociągał za sznurki.

– Nie.

Tym jednym słowem odrzuciłam wszystko, swoją szansę na stanie się częścią tej rodziny. Odrzuciłam dobre wina, zimowe spacery z Dickonem, sobotnie rodzinne śniadania przy sosnowym stole, dziewczęce pogaduchy przez telefon z Joanną. Wiedziałam, że to mi właśnie zaoferowała. Skąd więc te skrupuły? Thomas tak naprawdę nie był synem Philipa, niczego mu nie byłam winna. Ale to chyba duma. Wybrałam sobie najgorszy moment na odkrycie, że jednak mam w sobie odrobinę dumy. Joanna, w taki czy inny sposób, kupiła wszystkich pozostałych. Mnie nie kupi.

– To nie Stuart wymyślił poszukiwania Thomasa Marinera – odparłam. – Tak samo jak ja wierzył, że Philip ma nieślubne dziecko. I to nie na polecenie Philipa zaprosił mnie na pogrzeb i zaoferował pieniądze. To ty. Ty to wszystko ustawiłaś.

– Philip naprawdę by się ucieszył, że tu jesteś. – Napiła się wina. Jej twarz zdawała się niknąć w olbrzymim kieliszku. – Zrobiłaś na nim spore wrażenie.

– Powiedział ci?

– Oczywiście. Wszystko sobie mówiliśmy. Chciał ci nawet zapisać jakieś pieniądze w testamencie, ale uznał, że poczujesz się dotknięta. „To wolny

duch", mówił. „Niezależny. I tak mnie zapamięta. A jeśli nie, to trudno. Przynajmniej nie będzie to kupione wspomnienie".

– Nie byłaś zazdrosna?

– Oczywiście, że byłam. Jak cholera. Ale umierał, więc co miałam powiedzieć?

Przypomniałam sobie, jak opisywał mi ją Philip w Marrakeszu. „To święta. Niczego mi nie odmawia". Wtedy wydawało mi się, że ironizuje, ale to była prawda. Czuła się zobowiązana pomóc mu w spełnieniu przedśmiertnych pragnień. A on był okrutny i miał gdzieś jej uczucia. Wykorzystał to.

– Opowiedz mi, co się stało.

Może to dziwne, ale wcale nie czułam się przestraszona tą rozmową. Być może wpływało na to miejsce, gdzie się odbywała. Nie znajdowałyśmy się w gotyckiej scenerii smaganego wiatrem lasu skąpanego w blasku księżyca. Było tu domowo i rodzinnie.

Joanna podniosła się, by przynieść kolejną butelkę i korkociąg.

– Jesteś głodna? Mamy chyba jakieś sery.

To nie była próba odwrócenia uwagi. Nawet w takiej chwili starała się dopełnić obowiązku gościnności. Położyła na desce kawałek stiltona i wyjęła wciąż jeszcze nierozpakowane masło i krakersy.

– Wydaje mi się, że chodziło o pieniądze – wyjaśniła. – Wstyd przyznać, ale ostatecznie do tego to się sprowadza.

– Założyłaś Konsorcjum Wiejskie, żeby zarobić na tym pieniądze?

– Nie. W ogóle nie. Przynajmniej nie z początku. Naprawdę wierzyłam, że grozi nam utrata moich ukochanych krajobrazów. Tyle się tu zmieniało, wszystko było strasznie zagmatwane, a ludzie z miasta ciągle mówili nam, co mamy robić. Chciałam, żeby Wintrylaw przetrwało w takim stanie jak obecnie dla Flory i Dickona. Żeby moje wnuki bawiły się tam, gdzie ja bawiłam się w dzieciństwie. – Spojrzała prosto na mnie. – To chyba nie są jakieś wielkie wymagania, prawda?

Wzruszyłam ramionami. Niech się cieszy, że choć tyle miała.

– Jakoś nigdy nie popierałam prawa do dziedziczenia bogactwa.

– Jezu – westchnęła. – Tu wcale nie chodzi o bogactwo, tylko o przetrwanie!

Moim zdaniem wszystko to było względne. Z takim winem i drogimi serami zdawała się całkiem nieźle radzić sobie z przetrwaniem. Ale milczałam. To była jej historia, niech ją opowie po swojemu.

– Ludzie myśleli, że jesteśmy zamożni. Mieliśmy w końcu dom i ziemię. Philip miał program w telewizji, ja robiłam te swoje zdjęcia. Ale to wszystko było niepewne. Oszczędzanie nam zupełnie nie wychodziło. Te wszystkie rzeczy typu ubezpieczenie czy składka emerytalna są takie trywialne, prawda? Nie chcieliśmy, by postrzegano nas jako osoby, które się tym przejmują. A potem Philip zachorował i skończyła się telewizja. Zawsze pracował jako wolny strzelec, więc nie dostał żadnego chorobowego. Nic. Kiedy zrozumiał, że umiera, okazało się, że tak wiele jeszcze chciał zrobić i zobaczyć.

– Góry Atlas.

– Też. A ja nie mogłam mu powiedzieć, że to niemożliwe.

Nie. W końcu byłaś świętą. Niczego mu nie odmawiałaś.

– Wreszcie zaczęłam podbierać kasę z Konsorcjum. Najpierw tylko pożyczałam. I z początku naprawdę chciałam wszystko zwrócić. A pieniędzy było w bród. Nie uwierzyłabyś, jacy ludzie bywają hojni. I to nie tylko bogacze. Z każdą pocztą docierały kolejne czeki. Członkowie zarządu nie wiedzieli nawet, na co to wszystko wydawać. Kiedy się między sobą o to kłócili, ja wyczyściłam konto. I tak się marnowało…

– To nie mogło być takie proste. Mieli chyba przecież jakąś księgowość?

– W rozsypce. Poważnie. Wszystkich zaskoczyło, jak szybko rozwijała się nasza organizacja. Kilka artykułów w niedzielnych gazetach i luksusowych magazynach wystarczyło, by poruszyć opinię publiczną. Nikt z nas nie był gotów na taki sukces. Całe biuro to było kilka wolontariuszek w średnim wieku i świeżo upieczony student.

– Marcus Tate?

– Syn jednego z naszych darczyńców. Mieliśmy sprawny marketing, więc wszyscy zakładali, że stoi za nim solidna machina. Ale prawda wyglądała inaczej. Biuro robiło wrażenie, dostaliśmy wyposażenie od naszych darczyńców z kręgów biznesowych, ale nikt w nim nie wiedział, co robić. – Ujęła kieliszek w obie dłonie. – Ludzie wierzyli, że otrzymujemy znacznie większe wpływy, niż faktycznie mieliśmy. Część dziennikarzy uznawała nas za zło wcielone, posiadaczy ziemskich, którzy chcą odgrodzić swoje tereny od spacerowiczów. Nasi poplecznicy za to widzieli w nas zbawców wszystkich wiejskich tradycji, od prawa do polowania po lokalne szkoły. Ale do tego też się nie nadawaliśmy. Byliśmy jedynie bandą amatorów, pełną dobrych chęci.

Dobrych?

– I wtedy Thomas odkrył, że kradniesz?

– Thomas miał swoje motywacje. – W głosie Joanny pojawił się chłód. – Nienawidził Ronniego Lainga. Dołączył do nas tylko po to, by narobić problemów. Ale dowiedziałam się o tym dużo później.

I kochał Nell Ravendale, pomyślałam. Chciał dokonać czegoś wielkiego, żeby jej zaimponować. Nell nienawidziła Konsorcjum. Była z tych, którzy widzieli w nim czyste zło. Zaciągnęła Dana na imprezę charytatywną w Wintrylaw, żeby szpiegować przeciwników. To dlatego była taka oględna, mówiąc o Ronniem Laingu. Thomas chciał, by skandal wokół defraudacji odbił się jak najszerszym echem. Żadnego uciszania, wycofywania się, dyskretnego zatykania ust pieniędzmi. Dopilnował tego. Dlatego zainteresował tym tematem Shonę Murray. To wszystko była część strategii, by odzyskać ukochaną.

– Harry Pool też was wspierał?

– Jedna z pierwszych dużych wpłat.

Być może Thomas wiedział też i o tym. A kiedy zatrudnił się w Konsorcjum jako wolontariusz, zaczął się zastanawiać, gdzie się podziały te wszystkie pieniądze.

Odkroiłam kawałek sera i ułożyłam go na krakersie.

– Wcale nie chciałam go zabić – westchnęła Joanna, jakby do siebie. Za oknem świszczał wiatr. – Jasne, że nie. Myślałam, że da się przekonać. Okazało się jednak, że trudno go odnaleźć bez zwracania na siebie uwagi. W końcu przestał pojawiać się w biurze. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka. Właśnie dlatego zgłosiłam się do ciebie.

Przecież Ronnie wiedział, gdzie mieszka Thomas. Marcus mu powiedział. Tyle że zrobił to dopiero tuż przed jego śmiercią. Do tego czasu Joanna zdążyła już uknuć całą intrygę, która miała na celu mnie pozyskać. Dickon wspominał, że matka ma talent do wymyślania historyjek.

– Ale skoro było tak ciężko z kasą, jak znalazłaś te dziesięć tysięcy dla mnie?

– Co? – Tym razem była mną wyraźnie zniecierpliwiona, jakbym mówiła o jakichś drobnych. Ciekawe, jaką sumę wyprowadziła z Konsorcjum. – Ach... To Stuart się tym zajął. Był bardzo lojalny wobec Philipa. Wierzył, że Thomas to jego syn, i był posłuszny prośbie Philipa, by znaleźć ci zajęcie. Wiedział, że nie mam takich pieniędzy, a w tym czasie próbował mnie też chronić przed wiedzą na temat nieciekawej przeszłości Philipa. Załatwiłam to tak, by Stuart sam znalazł wytyczne, razem z całą resztą papierów. Nietrudno było podsunąć je Philipowi do podpisu.

– Stuart jest lojalny także wobec ciebie – zauważyłam. Musiał wiedzieć, że była w to wplątana. Rozmawiając z Ronniem w Whitley Bay, chciał pewnie jakoś zmniejszyć rozmiary katastrofy. Musieli podejrzewać, że to ona jest morderczynią, ale nadal próbowali ją chronić.

– Tak – zgodziła się po chwili. – Myślę, że tak.

– Ale nie do tego stopnia, by wziąć na siebie winę za dwa zabójstwa. Nie poświęci samego siebie.

– Wcale nie dwa! – oburzyła się tak, jakbym nazwała ją potworem. – Tylko jedno.

– To co się stało z Marcusem?

– To był taki słodki chłopak. I podkochiwał się we mnie. Lubił starsze panie. W końcu nigdy nie znał swojej matki.

– Był u ciebie tej nocy, gdy umarł.

– Mhm.

– I?

– Zrobił się trochę niespokojny w kwestii pieniędzy, bał się, że policja zacznie wokół niego węszyć, szukając związków z Thomasem. Nie wierzył, że mogłabym zabić Thomasa. Oczywiście, że nie. Był mną zauroczony. Ale w końcu pewnie by to wszystko rozgryzł.

– Upiłaś go?

– Sam się upił.

– Nie mogłaś wiedzieć, że zjedzie z mostu.

Nie odpowiedziała, ale uśmiechnęła się chytrze. Chciała, żebym to zauważyła i doceniła jej przebiegłość.

– Majstrowałaś przy jego aucie?

– Pojechałam za nim Spine Road. Mogłam trzymać się trochę za blisko i go wystraszyć. Pogubił się. – Rzuciła mi uwodzicielskie spojrzenie z cyklu „przecież jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami". – Wcale nie chciałam go zabić. To jasne. Zależało mi tylko na tym, by jeszcze rozważył pomysł rozmawiania o nieprawidłowościach w Konsorcjum z ojcem lub policją. To był wypadek. Zdarza się. Zwłaszcza młodym kierowcom... – Wzruszyła ramionami.

– Ja też tak skończę, wyjeżdżając dziś z Wintrylaw? Przekroczyłam przecież granicę. Mam się bać wypadku?

– Ależ skąd! – Moje przypuszczenia wyraźnie ją dotknęły. Naprawdę była w tym dobra. Dopiero po chwili milczenia, ostrożnie dobierając słowa, by nie umknęło mi ich znaczenie, podjęła: – Wydaje mi się, że możemy dojść do porozumienia. Wiesz, że nie miałam innego wyjścia poza zamordowaniem Thomasa. Każda dobra matka na moim miejscu zrobiłaby tak samo. Zastanów się tylko. Dopiero co umarł Philip i jedyne, co mi zostało na tym świecie, to Flora i Dickon. Gdyby Thomas wszystko wyjawił, a ja trafiłabym do więzienia, nie miałby się nimi kto zaopiekować, trafiłyby do domu

dziecka. Potrafisz sobie wyobrazić, co by to dla nich oznaczało? I to tuż po śmierci ojca?

Oczywiście, że potrafiłam sobie to wyobrazić, a ona o tym doskonale wiedziała. Znała moją historię. Philip ją jej opowiedział.

– Pomyśl, co by się stało, gdybyś zgłosiła to na policję. Byłoby o wiele gorzej.

Jej ton był nieprzejednany. Czułam się tak, jakby rozbiła mnie w drobny mak i okładała wciąż bez końca, dopóki nie wpadnę w całkowite otępienie.

– Pomyśl o tych wszystkich mediach. Jacy rodzice zastępczy przygarną dzieci morderczyni? Jak zareagują na to koledzy tych dzieci? Wyobraź sobie tylko te prześladowania i nękanie w szkole. Flora być może dałaby sobie z tym radę, ale Dickona wcale nie jestem pewna.

Wiedziałam, że mną manipuluje, i ani trochę nie byłam przekonana, że aż tak się troszczy o swoje dzieci. Jednak brzmiała przekonująco i doskonale o tym wiedziała.

– Przecież nie stanowię zagrożenia dla społeczeństwa – mówiła dalej. – To się już nie powtórzy. Jeśli doniesiesz o tym na policję, to dzieci poniosą największą karę, nie ja.

– Sama się nimi zaopiekuję.

Dobra, to było szalone, ale to ona mnie do tego doprowadziła.

– Daj spokój! – Nagle w jej głosie pojawiła się cała duma i arogancja, ukrywana do tej pory pod gładkimi słówkami. – Jesteś wariatką. Rzuciłaś się na kogoś z nożyczkami. Wcale nie jesteś lepsza ode mnie. A nawet gorsza, bo nie miałaś powodu, a mogłaś go zabić. Naprawdę myślisz, że opieka społeczna powierzy ci jakieś dziecko?

Mogłam jej wyjaśnić, że miałam powód – wzięto mnie na zakładniczkę i widziałam śmierć chłopaka. Nie byłam w pełni władz umysłowych. Ale w ten sposób znów zrobiłabym z siebie ofiarę, a czas najwyższy, bym przestała to robić.

Wpatrywałyśmy się w siebie ponad stołem. Płomień grubej świecy migotał przez chwilę, a potem znów strzelił prosto. Wstałam. Joanna musiała

uznać, że wygrała, bo nie próbowała mnie zatrzymać. Znalazłam drogę do drzwi frontowych i wyszłam. Nie należałam do tej rodziny i wcale tego nie chciałam. Spojrzałam w okno Dickona, ale było zasłonięte, zobaczyłam jedynie ciemność.

Jechałam bardzo powoli i ostrożnie, wiedząc, że w tym stanie nie powinnam siedzieć za kółkiem. I nie chodziło tylko o wino. Gdybym miała choć trochę zdrowego rozsądku, zatrzymałabym się przy pierwszej budce i zadzwoniła do Farriera. Ale nie mogłam się na to zdobyć. Nie mogłam tego zrobić Dickonowi. Nie chciałam, żeby przechodził przez to samo co ja. Uznałam, że odczekam parę dni. Może coś się wydarzy, coś w rodzaju *deus ex machina* pod postacią Ronniego lub Stuarta, i wszystko się jakoś rozwiąże bez mojego udziału. Ronnie był na tyle wściekły, że mógłby ją zabić. Dzieciaki trafiłyby pod opiekę państwa, ale pozostałby im wizerunek dobrej matki. Nie musiałyby wiedzieć, że zamordowała nastolatka. A może Joannę ruszy jednak sumienie i sama zgłosi się na policję? Albo popełni samobójstwo, wyjaśniwszy w liście, że nie może żyć bez męża? Wszyscy by to łyknęli.

Kiedy dotarłam do Sea View, Jess kładła się już do łóżka. Miała na sobie tę okropną koszulę nocną, w fiołkowym kolorze dywanika do kibla i do cna sprutą.

– Hej, kochanie – przywitała mnie. – Widziałaś borsuki?

– Nie – odpowiedziałam. – Dzisiaj nie chciały się bawić.

Rozdział trzydziesty siódmy

– Za dużo myślisz – stwierdził Farrier.

Nie wiem, jak na to wpadł. Przyszedł do mnie, kiedy czekałam na cud – na to, że Joanna umrze lub zniknie. Przyszedł, żeby mi powiedzieć, że ją aresztowali. Nie spodziewałam się, że to zrobią. A przynajmniej nie bez mojej pomocy. Znów przemawiała przeze mnie pycha. Myślałam, że jestem jedyną osobą zdolną ją załatwić. Kiedy tak czekałam na ten cud, powróciły retrospekcje. Nawiedzały mnie częściej niż kiedykolwiek, ale jakoś się nimi za bardzo nie przejmowałam. Nie pozwalałam, żeby mnie prześladowały tak jak kiedyś.

– Co się stało z dziećmi?

– Są u rodziców zastępczych w Heaton. Naprawdę miła para. Duży dom z widokiem na park. Specjalnie zapytałem. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć.

Heaton. To stamtąd pochodził Philip. Było w tym coś pocieszającego.

– Nie wyglądasz na zaskoczoną aresztowaniem Joanny – zauważył.

Siedzieliśmy na białej ławce przed Sea View. Jess pojechała do Asdy. Ray zabrał ją furgonetką na zakupy. Organizowała imprezę, wielkie przyjęcie. Pomyślałam, że ona i Ray zamierzają ogłosić zaręczyny, ale byłam tak wyczerpana, tak zmęczona i emocjonalnie martwa, że już mnie to nie obchodziło. Mogę się wyprowadzić, na pewno znajdę jakiś ciepły kąt. W ostateczności zawsze pozostawał mi Absalom House.

– To prawda, nie jestem zaskoczona.

– Jak na to wpadłaś?

Spojrzałam na niego.

– Czy to rozmowa prywatna, czy służbowa?

– Prywatna.

– Bo wiesz, nie mam ochoty włóczyć się po sądach.

– Skaleczyła się tamtego dnia u Thomasa. Znaleźliśmy ślady krwi, które nie należały do niego. Kiedy ją aresztowaliśmy, zrobiliśmy test. DNA się zgadza. Nie będziemy potrzebować takich świadków jak ty. Między nami mówiąc, myślę, że przyzna się do winy.

– Powiedziała mi, że to ona go zabiła – odparłam. – Myślała, że nie wydam jej ze względu na dzieci.

– Nie wydałaś.

– Ale ciągle się nad tym zastanawiałam.

– Wiem. To znaczy, domyślam się.

Popatrzyliśmy na zatokę, z kościołem Świętego Bartłomieja na jednym końcu i z elektrownią w Blyth i wyrastającymi z morza turbinami wiatrowymi na drugim.

– Wysłałem księgowych do Konsorcjum Wiejskiego – powiedział Farrier. – Nie byłem pewien, czy to coś da. Rutynowe działanie. Poszedłem za pewną wskazówką zawartą w liście, który Thomas wysłał do Shony Murray. Nie miałem stuprocentowych dowodów.

– Jak Thomas dowiedział się, że Joanna robi przekręty?

– Niektórzy członkowie Konsorcjum dziwili się, gdzie podziały się ich pieniądze. Ale nikt jej nie podejrzewał.

– Jasne, że nie. To przecież święta kobieta.

– Thomas przyłączył się do nich tylko po to, żeby mącić. Z tego, co mówiła Shona, postrzegał siebie jako kogoś w rodzaju szpiega. Zobaczył kilka listów ze skargami i włamał się do systemu komputerowego, żeby dowiedzieć się więcej. Musiał wypaplać coś Marcusowi. To przez to Joanna zaczęła go podejrzewać.

Farrier nie patrzył na mnie, zupełnie jakby składał raport przełożonemu.

– Potem zgłosił się Ronnie Laing. Przyprowadziła go żona. Twierdziła, że jest przygnębiony. Ciągle o czymś myśli i te myśli go wykańczają. A na

końcu zeznanie złożył ten adwokacina. Szczury uciekające z tonącego okrętu.

– To musiał być szok dla Joanny. Myślała, że są nią oczarowani i jedzą jej z ręki.

– Myślała nawet, że ja jestem nią oczarowany.

Farrier spojrzał na mnie i uśmiechnął się, by pokazać, że jest tylko człowiekiem, niewolnym od słabości. Założę się, że Joanna poprowadziła go do domu drogą na tyłach, a potem posadziła go przy kuchennym stole i zaproponowała herbatę lub wino.

– Ale nie dałeś się na to złapać.

W oddali rozległ się dźwięk policyjnej syreny. W Newbiggin to normalka. Mógł to być też wóz strażacki. W wakacje znudzone dzieciaki ciągle palą ogniska.

– Nie miałam pojęcia, że tyle robicie.

– To było morderstwo. Nie mogliśmy siedzieć z założonymi rękami. – Uśmiechnął się, by mi pokazać, że nie czuje się urażony. Miał na sobie bezkształtną sportową marynarkę, niebieską koszulę i błyszczący krawat, który wyglądał, jakby wyprasował go zbyt gorącym żelazkiem.

Pomyślałam, że jeśli się rozpłaczę, obejmie mnie, żeby mnie pocieszyć, ale nie mogłam się do tego zmusić. Wspominałam już chyba, że mam słabość do starszych mężczyzn. Jednak to nie był właściwy czas. Wszystko i bez tego wystarczająco się pokomplikowało.

– Muszę zostać w kraju do rozprawy sądowej?

– Nie. Jak już mówiłem, mamy mnóstwo dowodów. Nie musisz przez to przechodzić. Możesz wyjechać.

Tak też zrobiłam. Kupiłam bilet na tani lot do Agadiru, potem pojechałam autobusem do Tarudantu i wydałam resztę pieniędzy Philipa na tygodniowy pobyt w Palais Salaam. W pokoju mam kanały satelitarne, ale nie oglądam telewizji. Unikam angielskich programów informacyjnych.

Maroko nadal mnie zachwyca. Ma to coś wspólnego z intensywnym światłem i zapachami. Kolory nie eksplodują już w mojej głowie, ale nie

przeszkadza mi to. Mogę się bardziej zrelaksować. Leżeć nad basenem w Palais Salaam, obserwować bilbile latające pod wysokimi drzewami i wciąż myśleć, że jestem w raju. Jeśli wskoczę do wody i rozluźnię napięte mięśnie, może uda mi się prawie zapomnieć o Dickonie.

Jego raj został sprzedany, aby można było spłacić długi Joanny. Wygląda na to, że za mało ukradła. Wintrylaw stanie się ekskluzywnym klubem sportowym i już mówi się o wycince drzew. Dyrektor zarządzający firmy deweloperskiej twierdzi, że bez pola golfowego się nie obejdzie. Widziałam go w programie *Look North*. Nosił kosztowny tupecik i najwyraźniej wyrolował go protetyk; sztuczne zęby ruszały mu się, gdy mówił. Tak czy owak, nie będzie już obserwowania borsuków, budowania szałasów czy przedzierania się przez fale w stronę słońca. Dickon nie będzie miał już dzieciństwa rodem z *Jaskółek i Amazonek*.

Tylko czy naprawdę powinno mnie to obchodzić? Dzieciaki z ośrodka, w którym pracowałam, nie miały szansy na choćby tydzień takiego życia. Mieszkały w gównianych wieżowcach, a ich przygody polegały na trzymaniu się z dala od ćpunów i złodziei samochodów. Dlaczego miałabym płakać z powodu Dickona, a nie ich?

Jutro wracam do domu. Jess wychodzi za mąż. Ona i Ray chcą, żebym była druhną. To Ray mnie o to poprosił. Rumienił się i jąkał, mówiąc, jaki to będzie dla nich zaszczyt. Na początku nie wiedziałam, o co mu chodzi. Musiałam powiedzieć „tak". Patrzył na mnie tak błagalnym wzrokiem, że nie mogłam odmówić. Wezmą ślub w kościele Świętego Bartłomieja. Ksiądz się zgodził, chociaż Ray był już wcześniej żonaty. Dziwnie będę się czuła, idąc do ołtarza za Jess. Mam nawet odpowiednio tandetną sukienkę. Kupiłyśmy ją w lumpeksie w Jesmond za dwadzieścia pięć funtów. Jess twierdzi, że w Jesmond można dostać naprawdę dobre rzeczy z drugiej ręki.

W Sea View nie będą już mieli żadnych lokatorów z piekła rodem. Ray postawił na swoim. Zamierzają zająć większą część domu, a pokoje na poddaszu przekształcić w samodzielne mieszkanie do wynajęcia. Mówią, że przyda im się kasa z czynszu i mogę tam zamieszkać. Podejrzewam, że są

po prostu uprzejmi. Jess nie życzyłaby sobie, żeby ktoś pomyślał, że wyrzuciła mnie na ulicę. Powiedziałam, że się zastanowię.